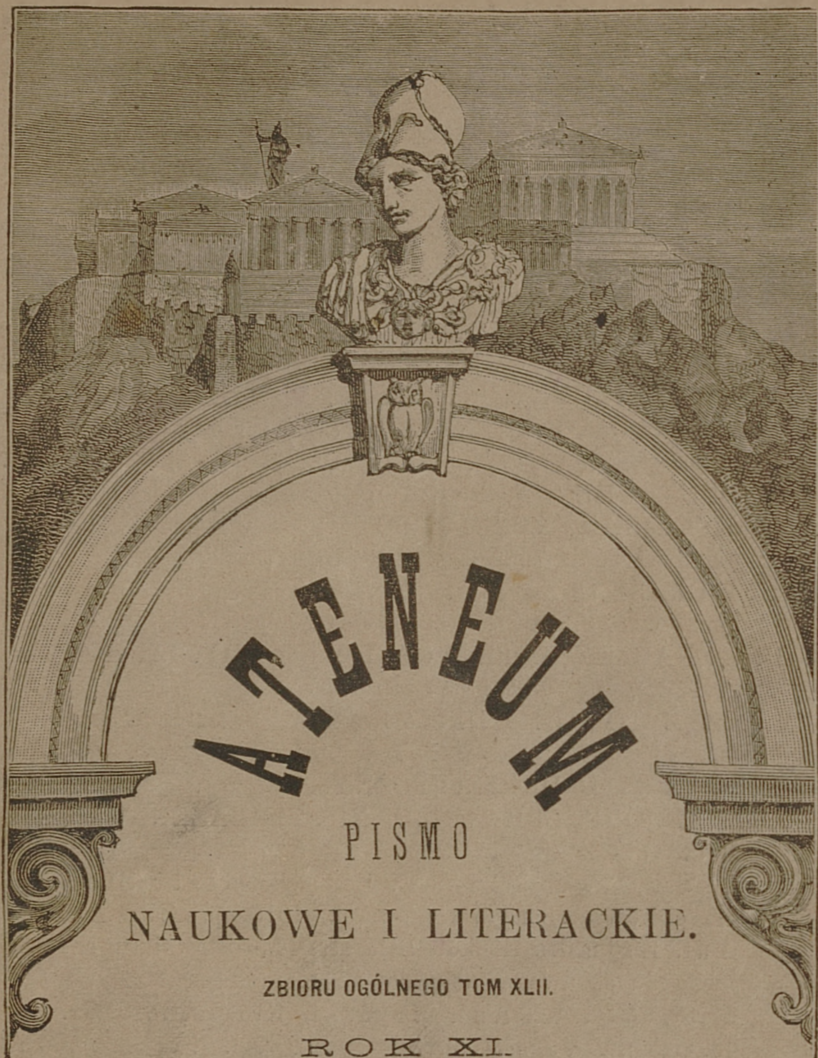


ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XLII.

ROK XI.

TOM II. -- ZESZYT III.

Czerwiec

WARSZAWA.

Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1886.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 2 Czerwca 1886 r.

LARIK.

TRAGEDYA W PIĘCIU AKTACH, Z MOTYWÓW DZIEJOWYCH.

ODZNACZONA
NA KONKURSIE DRAMATYCZNYM WARSZAWSKIM
IMIENIA WOJCIECHA BOGUSŁAWSKIEGO.

OSOBY:

LEGAT RZYMSKI, przełożony miasta.
MARO, dowódca.
BRANIO, LARIK — ze starszyzny brytańskiéj.
KUNO, LETTA — dzieci Larika.
LIDYA, przyjaciółka Letty.
GALGAKUS, wódz brytański.
LANIWAL, TAMAR, STAFORD, DAY — naczelnicy wojska Galgakowego.
WILMAR, wysłaniec Galgaka.
KAWORT, SEN — towarzysze Wilmara.
WAR, PAN, SAK — spiskowcy.
MOL, RAK, PUK, BOB — młodzież brytańska.
RUFUS, dowódca straży.
PINA, bogaty rzymianin.
FILOZOF.
LATARNIK.

Posłowie Legata. Żołnierze rzymscy i brytańscy. Spiskowcy brytańscy. Lud. Oprawcy.

Rzecz dzieje się w Brytanii za panowania Rzymian.

„Namque ut homines dispersi ac rudes eoque in bella faciles quieti et otio per voluptates adsuescerent, hortari privatim, adjuvare publice, ut templa fora domos extruerent, laudando promptos et castigando segnes: ita honoris aemulatio pro necessitate erat. Jam vero principum filios liberalibus artibus erudire, et ingenia Britannorum studiis Gallorum anteferre, ut qui modo linguam Romanam abnuebant, eloquentiam concupiscerent. Inde etiam habitus nostri honor et frequens toga. Paulatimque descensum ad delenimenta vitiorum, porticus et balnea et conviviorum elegantiam. Idque apud imperitos humanitas vocabatur, cum pars servitutis esset.“

(*Cor. Taciti Vit. Agric. XXI*).

AKT PIERWSZY.

Scena w ogrodzie, przed domem Larika, wpośród bujnéj zieleni drzew i krzaków. Na trójnogu pali się ogień święty.

SCENA I.

Larik, Kuno, Wilmar, Sen.

(Larik wchodzi, skradając się, za nim Sen i Wilmar, za nimi Kuno. Larik prowadzi za rękę Sena).

Larik. Chodźcie tu, chodźcie, tuście już bezpieczni. O tyle bezpieczni, o ile wszyscy jesteśmy bezpieczni pod okiem Rzymian. W każdym razie nie mniéj, jak orzech ukradziony przez wiewiórkę. Zgryzie ona łupinę i zajrzy do środka, tylko nie wiadomo kiedy. W każdym razie pewno nie w téj chwili.

Sen. Ale, panie, ukryjcie nas. Jeżeli nas pochwycą, będziemy zgubieni.

Larik. Zaraz, zaraz. Czy was ścigają?

Sen. Ścigają.

Larik. Powiedzcie mi tylko, jak to było, gdzie to było, jakim sposobem się stało?

Wilmar. Późniéj się dowiecie, panie...

Sen. Późniéj, późniéj!

Larik. Więc jednego z was pojmali?

Sen. Ale tak, tak...

Larik. A was dwóch nie?

Sen. Nie, nie...

Larik. Więc było was wszystkich trzech?

Wilmar. Panie!..

Larik. No, więc dobrze.

Kuno. Cicho!.. Słyszę szmer — ktoś nadchodzi... (*wszyscy nasłuchują*).

Larik (*po chwili*). Zdawało ci się.

Kuno. Może.

Larik. No, więc dobrze. Chodźcie, ukryję was. Kuno, zawiedziesz ich... gdzie ich zawiedziesz? Zawiedziesz ich tak: Wilmara zamkniesz w komorze Letty. Tego zaprowadzisz tymczasem do spichlerza. Będziecie schowani osobno. Tym sposobem szpieg będzie miał podwójne prawdopodobieństwo, że znajdzie; ale też będzie miał tylko połowę prawdopodobieństwa, bo znajdzie zawsze jednego. Drugi mógłby się tymczasem ratować ucieczką.

Sen. Cicho... ktoś nadchodzi!

Kuno. Cicho... (*słuchają*).

Wilmar. Nie, to jakiś daleki odgłos.

Sen. Uchodźmy, uchodźmy.

Larik (*wskazując drogę*). Daléj, tędy. Kuno, zamknij ich dobrze. A prowadź tak, żeby was nikt nie spostrzegł.

Kuno. Bądź spokojny, ojcze (*wychodzą*).

Wilmar (*zatrzymując się*). Lariku, jeszcze słowo. Wszystko się stać może, a więc i to, że nas pochwycą. Na ten wypadek oddaję ci listy, które dla ciebie przyniosłem. Przeczytaj je i zniszcz (*oddaje mu zwój*).

Larik. Przezornie czynisz.

Wilmar. Teraz odchodzę spokojny.

Larik. Niech was bogowie prowadzą.

SCENA II.

LARIK, sam.

Larik. Byłoby może rozsądniéj, żebym ich u siebie nie przechowywał. Chociaż kto wié. Szczęście to jeszcze, że ich Kuno spotkał. Gdzieindziéj byliby im odebrali listy, a te listy wyśpiewałyby może co takiego, o czém nikt nie powinien wiedziéć. W takich burzliwych czasach listy nie przynoszą spokojnych nowin. Kiedy mi już listy oddał, najbezpieczniéj byłoby pozbyć się tych dwóch. Ale tamten trzeci? Rzymianie pewno ciekawi są nie mniéj odemnie, co on im powie. Jeżeli są posłami Galgaka, przyszli z zapowiedzią wojny. Jeżeli się to wyda, chciałbym wiedziéć, co ze mną zrobią. Mogą mnie powiesić. Mogą mnie dać na pożarcie bestyom. Mogą mnie żywcem spalić... Lettę mogą wydać na pogwałcenie żołdactwu. Kunona mogą ściąć. Szczęście to, że nie mam więcéj dzieci, i że się nad niemi nie będą mogli pastwić. Bodaj ich wygubiła zaraza! (*Rozwiązując zwój*): Wojna?.. A może nie wojna?.. Człowiek jest często jak ów robak, gnieżdżący się pod murami gmachu, który mu słońce zasłania. Przeklina budowę, ale boi się upadku jéj, aby sam w gruzach nie zginął. Oto się waham zajrzéć w oczy wieści, która powinna miéć dla mnie oblicze kochanki... Czemu? Dobrze przynajmniéj, że nie przez tchórzostwo. Kiedy na nich patrzę... haa!... Chciałbym tylko być pewnym, że będę ich mógł wygubić tak, jak pragnę — z pogodą na czole, z uśmiechem na ustach. Drodzy Rzymianie!.. niech was mór wytrzebi. Drodzy Rzymianie, drodzy przyjaciele!.. idźcie do piekła,

popłyńcie na falach własnéj krwi do swego wielkiego Rzymu. Drodzy dobroczyńcy Rzymianie (*spluwa*), tfu!.. Tu jest dwa pisma... Co to?... To jest... do Brania?.. A to?... „Larikowi“... To do mnie... A to do Brania!.. Schowam to pismo do Brania (*chowa w zanadrze*). A to odczytam. (*czyta*): „Synowi wyspy, słudze ojczyzny, Larikowi, śle pozdrowienie Galgakus, wódz Brytanów.“ (*mówi*): Galgakus! Wiedziałem, wiedziałem! Drogie imię, ono jest rękojmią powodzenia. (*Czyta daléj*): „Mężny Lariku. Zbyt długo już krwawe jarzmo Rzymian uciska karki nasze. Podległe władzy mojéj plemiona gotowe są do boju. Jesteśmy jednak na tyle słabi w porównaniu z wrogami, że pierwszy cios musimy zadać podstępnie. Zdobycie kilku warownych miejsc da znak ludowi naszemu od brzega wyspy do brzega, aby za broń porwał. Przeto wzywam ciebie, Lariku, abyś podburzył ludność i zawiadomił nas, kiedy będziecie gotowi. Na ten czas ja przybędę, i, z dwóch stron uderzywszy, weźmiemy Cezareum miasto. Albowiem to wasze miasto musi być pierwszém, jako ważna pozycya strategiczna. To drugie pismo oddasz Braniowi. Przygotuj go poprzednio, jeżeli prawda, co ludzie mówią, że serce jego odeszło od nas, którzy chcemy wolności. Gdyby był jawnym zdrajcą, zaniechaj. Inne rozkazy i życzenia nasze oznajmi ci ustnie poseł nasz, którego podług widzenia zatrzymasz lub odeślesz.“ — Jeżeli tamten pojmany wié o tém wszystkiém!.. Na torturach niechybnie wypowie, zkąd, po co i do kogo tu przyszedł. Życie moje z jutrzejszém słońcem rozwieje się jak mgła dzisiejsza, i cała sprawa upadnie. A Kuno! A Letta! A Galgakus, któremu fałszywych posłów poślą, aby go wprowadzić w zasadzkę!.. Jeżeli to prawda, to chciałbym być jutro jedynym sępem w Brytanii (*wchodzi Kuno*).

SCENA III.

LARIK i KUNO.

Kuno. Już są schowani. Dałem im wskazówki na wypadek niebezpieczeństwa.

Larik. Kuno!..

Kuno. Co ci jest? Dlaczego zbladłeś?

Larik. Los nasz, a może i los ojczyzny naszéj waży się w téj chwili pomiędzy językiem a podniebieniem jednego człowieka. Czy rozmawiałeś z Wilmarem?

Kuno. Prawie nie, nie było kiedy. Ale dał mi do zrozumienia, po co tu przybyli i z czém spodziewają się odejść.

Larik. I co ci mówił?

Kuno. Co mówił?

Larik. Uważasz! Jeżeli tamten pojmany wié, do kogo i z czém przyszli, to lepiéj nam było na świat się nie rodzić. Rzymianie potrafią wydobyć z niego tajemnicę. Czy mówił ci Wilmar o tamtym... jak mu na imię?..

Kuno. Kawort.

Larik. Czy mówił ci o nim?

Kuno. Właśnie téż Wilmar kazał mi uprzedzić cię, żebyś się nie niepokoił aresztowaniem Kaworta; albowiem nie zna on imienia twego i wogóle o niczém nie wie, z wyjątkiem tego, skąd przybywa.

Larik. Taaak?.. Aaah! łajdaki Rzymianie!

Kuno. Wilmar sam trzyma poselstwo. Udając się w drogę, dla własnego bezpieczeństwa wziął dwóch towarzyszy. Powiedział im, że jedzie za handlem, że z pieniędzmi będzie wracał. Zapewnił mnie téż, że gdyby i jego schwytano, raczéj śmierć sobie zada, niżby miał wyznać prawdę.

Larik. Słuchaj-no, a nie byłoby lepiéj, żebyśmy sami śmierć mu zadali?... Może i temu drugiemu?

Kuno. Drugiemu może. Ale Wilmarowi nie godzi się, boć on poseł.

Larik. Prawda.

Kuno. Jednak i ten drugi nic nie powie, bo nic nie wie.

Larik. On by może nie umiał nic powiedzieć; ale oprawcy wyciągną z niego więcéj, niż on sam wie. „A skąd jesteś?", „a co tam słychać?", „a jak tam u was mówią o Lariku", „a porządny to człowiek, co?" — Niech im bydlę odpowie, że porządny i że taką ma sławę u plemion—to już dosyć! Tacy ludzie, którzy nic nie wiedzą, są najniebezpieczniejsi, bo nie wiedzą, co ukrywać.

Kuno. Jeżeli każesz, ojcze...

Larik. Toż samo będzie z Kawortem.... Wstrzymajmy się jeszcze. Dobre przynajmniéj, że tylko jednego pojmali.

Kuno. Byliby wszystkich pojmali, i Wilmara i Sena, gdyby ci nie zemknęli w porę. Spotkałem ich u północnéj bramy. Opowiem ci, jak to było. Smutnie się skończyło, ale było trochę śmieszne. Odzież ich zwróciła uwagę, i przechodzący ulicą żołnierz zaczął wołać: „patrzcie, małpy morskie idą."

Larik. Małpy morskie!

Kuno. Małpy morskie.

Larik. Bodaj zmarniał! Czy nazywanoby nas małpami morskiemi, gdyby tu Rzymian na wyspie nie było?

Kuno. Myślę, że nie.. Ale kiedy ten powiedział „małpy morskie“, Kawort wyciął go pięścią w kark. Jak ten go wyciął w kark, wszczęła się kłótnia, potem bójka, potém zbiegowisko... Wilmar, widząc niebezpieczeństwo, wmieszał się w tłum i zaczął uciekać. Sen za nim. Ale Kawort nie mógł się ukryć, gdyż na niego wszystkie oczy były zwrócone. Straże porwały go i powlokły do lochów.

Larik (*podnosząc rękę*). Pssst!

Kuno. Co to?

(*Za sceną rozlega się gwar coraz zbliżającego się tłumu*).

Głos za sceną. Tędy, tędy!

Głos inny. Między te drzewa weszli!

Głos trzeci. Za tym domem zniknęli mi z oczu!

(*Przeciągły gwar*).

Larik. Czy to ich gonią?!

Kuno. Tak, to tłum goni. Usuńmy się z drogi. (*Wchodzą ludzie*).

Larik. Już zapóźno!

SCENA IV.

LARIK, KUNO, TŁUM LUDZI, później RUFUS ze strażą.

Pierwszy z tłumu (*wbiegając*). Rozlećcie się na wszystkie strony! Patrzcie w tych krzakach, tu, naokoło. Tu się musieli schować, albo niech mi grzyby na oczach wyrosną! (*spostrzegając Larika*). O! ci ich musieli widzieć!.. Tędy uciekało dwóch szpiegów, musieliście ich widzieć, dwóch zdrajców, łotrów, musiałeś ich widzieć, gdzie są, gadaj!.. Cóż to? Milczysz?.. Czy jesteście poddanymi Cezara?

Larik. Powiedziałeś.

Pierwszy z tłumu. Com powiedział?

Larik. Coś wiedział.

Pierwszy z tłumu. Powiedziałem, że jesteś fałszywym poddanym Cezara.

Larik. Wolno ci było powiedzieć, że jestem prawdziwym.

Pierwszy z tłumu. Tak, alebym zełgał.

Larik. Jeżeliś kłamca, niech cię powieszą.

Pierwszy z tłumu. Hola, chłopcy, szelma jestem, jeżeli to nie są zdrajcy. (*do Larika*): To ty ptaszku zęby sobie na mnie ostrzysz, kiedy ci pod nosem szpiegi przeleciały! Chłopcy, niech ręce nogi połamię, jeżeli ci hultaje ich nie schowali! Dalej, brać ich... (*Tłum rzuca się na obu z krzykiem, ci dobywają miecze. Za sceną nowy alarm, i w chwili, kiedy Larik z synem bronią się przed napaścią, wchodzi na czele straży i zgrai pospólstwa Rufus*).

Rufus (*wchodząc*). Czy już pojmani? (*spostrzegając Larika*) Co to?

Larik. Rufusie! Gwałt mi się dzieje przed moim własnym domem! Jeżeli takie jest bezpieczeństwo wiernych sług Cezara, bodajem był wprzód skonał, zanimeście tu panować zaczęli.

Rufus. Wybacz im, Lariku. Nie chcieli cię zapewne obrazić. A że szukali szpiegów....

Larik. Szpiegów w moim domu szukali? przed moim domem? koło mojego domu? Jakto! Albo ja nie jestem Larik, albo mój dom jest warownią Rzymu!

Rufus. Wybacz, ale w istocie zdaje się, że tędy biegli. (*do tłumu*): Wszak w téj stronie ich widziano?..

Głosy zmieszane. Tu byli!.. Między temi drzewami!.. Koło domu!... W krzakach!.. Na skręcie ich widziałem!.. Niech zginę, jeżeli tu nie byli!..

Rufus (*do Larika*). Aleś ty ich nie widział?

Larik. Gdybym ich widział, jużby byli w twoich rękach.

Rufus. Możeś tylko nie zwrócił uwagi? Możeś nie wiedział, że to są zdrajcy?..

Larik. Co?! Zdrada piętnuje się na czole. Gdyby tędy przechodzili zdrajcy, poznałbym ich. Bo kto zdradza kogoś, kogo nie powinien zdradzać, kogo mu nie wolno zdradzać, kogo natura sama nie pozwala zdradzać—przysięgam, że poznałbym ich odrazu! Przynajmniéj zwróciliby moją uwagę. Ale żeby te łotry (*wskazując na tłum*) lżyły mnie, godziły na moje życie, że bym ja na nich, na współobywateli, niech ich powietrze ogarnie, żebym ja na nich potrzebował dobywać miecza, tego miecza, bodaj im wnętrzności poszarpał....

Rufus. Uspokój się. Możesz wnieść skargę do sądu. W téj chwili nie czas na rozprawy. Tych zbiegów koniecznie trzeba znaleść. Wiesz, co się dzieje na wyspie—podobno bunt podnosi hardą głowę. To mogli być emisaryusze. Skoro mówisz, że ich tu niéma, wierzę ci. Larik ma wiarę u Rzymian, których jest przyjacielem. Poszukamy ich daléj. Za mną! Rozbiedz się na wszystkie drogi! Hola, za mną!

(*Rufus a za nim tłum w różnych kierunkach rozbiegają się*).

SCENA V.

Larik i Kuno.

Kuno (*chowając miecz*). Niebezpieczeństwo minęło!

Larik. Łajdaki!.. Poszli łajdaki!

Kuno. Udało nam się.

Larik (*chowając miecz*). Widziałeś ten motłoch? To są parszywe owce, które same do wilków uciekają. Takie nie zubożą stada i będą najprzód zjedzone.

Kuno. I jeszcze wilki się niemi potrują.

Larik. Potrują się — dobrześ powiedział. Ale, uważasz... tego Sena trzeba na wszelki wypadek uprzątnąć. Jak tylko ztąd wyjdziesz, zajmiesz się tém.

Kuno. Jeżeli rozkazujesz...

Larik. Rozkazuję.

Kuno. Więc się tak stanie.

Larik. Słyszałeś, co ten mówił, że ja mam u nich wiarę. Cha, cha, cha, dobrze powiedział. Mam wiarę u Rzymian. Tak jest, mam ją u nich, to znaczy, żem ją wypożyczył. Należy mi się lichwa. Teraz odbiorę moją wiarę z lichwą. Słuchaj mnie dobrze! Bogowie chcą, aby krzywdy nasze były pomszczone. Bogowie wybrali mnie za narzędzie swéj woli, ty będziesz narzędziem mojéj. Stłumisz w sobie od dzisiaj myśl wszelką, która nie będzie ze mnie, wszelką żądzę, która nie będzie ze mnie. Będziesz głuchy i ślepy na wszystko, co nie jest rozkazem moim, będziesz moją ręką, moją nogą, moim językiem i niczém więcéj. Będziesz?

Kuno. Będę, ojcze.

Larik. Gdybym się na tobie zawiódł — ale nie, to niepodobna. Wiem, że nienawidzisz Rzymian.

Kuno. Przekonam ich o tém zczasem.

Larik. Tak, chodzi tylko o to, czy ich nienawidzisz z poczucia obowiązku jedynie, czy z samego już instynktu?

Kuno. Jak to rozumiesz?

Larik. Czy ci się naprzykład nie śni czasami w nocy, że morze Rzym zalało, albo że ognie podziemne wyniszczyły miasta tego narodu, wytępiły ludność? Czy w marzeniach na jawie błędna i mimowolna myśl nie stawiała ci przed oczyma zarazy strasznéj, która zaściela trupami doliny i grzbiety Apeninów, albo czy nie myślałeś kiedy o środkach zatrucia wszystkiéj wody w ich rzekach, wszystkiego zboża na ich polach, co, czy nie?

Kuno. Nie przypominam sobie.

Larik. Nie?

Kuno. Nie—to nie. Ale nieraz marzyłem i nieraz mi się śniło, że toczyliśmy wojnę z Rzymianami. Wtedy zawsze walczyłem tak mężnie, że kiedym się zbudził, prosiłem bogów, aby mi dali podobną odwagę, gdy przyjdzie do rzeczywistéj walki.

Larik. Znać, żeś młody. Ale to dobrze. Nam starym inaczéj się marzy, wam inaczéj. Słuchaj-że mnie pilnie. Wilmar przywiózł mi listy, zapowiadające wojnę z Rzymem... Odkrywasz głowę — dobrze czynisz. Wojna z Rzymem będzie modlitwą o naszą swobodę. Galgakus jest wodzem.

Kuno. O, ojcze, ojcze! Nie chciałem ci przerywać, chciałem cię słuchać spokojnie do końca. Ale tyle radości wlałeś mi w serce, że pękłoby, gdybym jéj nie wyrzucił z piersi. Ojcze, więc to Galkakus wodzem naszym! Więc to on powiedzie nas do boju!

Larik. Galgakus wodzem, ale nie on powiedzie nas do boju. Powiedziałem ci, że przedewszystkiém potrzeba nam rozumu. I dlatego nie unoś się radością, tylko słuchaj.

Kuno. Szczęśliwa godzina, w któréj to imię wymówiłeś! Galgakus! Słucham cię, rozkazuj!

Larik. Musimy tu w mieście przygotować wybuch. Gdy się to stanie, my uderzymy z wewnątrz na legiony, Galgakus z zewnątrz. Dzień, który będzie na to patrzał, będzie dniem upadku ich potęgi.

Kuno. O bogi!

Larik. Ale....

Kuno. Jestem pewny zwycięstwa.

Larik. Słuchaj!

Kuno. Słucham.

Larik. Mojém i twojém zadaniem nie jest walka.

Kuno. Jakto?

Larik. Zadaniem naszém jest poruszyć lud. Galgakus chce tego i ja chcę tego. Rzymianie nie przyszli tu po to, aby mnie i ciebie ujarzmiać, a jednak jesteśmy w niewoli. Choć ani ty, ani ja nie będę ich wypędzał, możemy się stać wolni. Rzymianie przyszli i uderzyli o lud nasz, jak fala o skałę. Skała pękła, fala brzeg zalała, utonęliśmy. Ja i ty jesteśmy źdźbłami piasku w skale. Ale mamy rozum. Rozumem powinniśmy rozproszone odłamki napowrót zbić do kupy i napowrót skałę postawić przeciwko fali. Niech jeszcze raz uderzy. Kiedy uderzy, nie skruszy nas, ale się na drobną pianę rozbije i zginie w odmętach, z których wyszła.

Kuno. O bogi, więc cóż mam czynić?

Larik. Najprzód słuchaj. Pójdziesz pomiędzy lud i będziesz mówił, że „zdaje się“, albo że „ludzie powiadają“, że zbliża się dzień odwetu. Będziesz mówił, że starzy mieli sny, pełne wróżb dobrych — i dodasz zawsze: „tak mówią.“ Nie będziesz wspominał imienia mojego — wcale. Ale będziesz wspominał imię Galgaka. Postąpisz tak. Gdy np. spotkasz na drodze kilku ludzi, zbliżysz się do nich i zapytasz: „czy to prawda, czy nie słyszeliście, co powiadają, że Rzymianie mają uciekać z wyspy?“ Odrzekną ci, że nic nie wiedzą. Wtedy im powiesz: „I ja nic nie wiem, ale powiadają, że Galgakus ze strasznem wojskiem idzie, i że wróżbiarze wróżą Rzymianom klęskę.“ Potém każesz im, aby o to samo innych pytali. Możesz być pewny, że się zapytają. Tym sposobem wieść się rozejdzie, trwożliwi będą nabierali ducha, a odważni umocnią się w swém męstwie.

Kuno. Ale ojcze...

Larik. Słuchaj mnie jeszcze. Oprócz tchórzliwych i mężnych są nadto trzymający z Rzymem i skłonni do zdrady. Gdy więc zobaczysz w gronie ludzi człowieka, rozprawiającego o małych szansach zwycięstwa, o przeważnéj potędze Rzymian, pytaj się, niby mimochodem, czy to prawda, że Rzymianie przed odejściem mają wyrżnąć miasto; czy prawda, co powiadają, że są najbardziéj zawzięci na swoich stronników, którzy, choć się łasili, nie umieli zapobiedz klęsce, i że stronników tych najpierw podobno chcą wygubić? To odejmie serce zdrajcom. To sobie zapamiętaj dobrze.

Kuno. Będę pamiętał.

Larik. No więc dobrze. Więc powtórz-że mi, co masz robić?

Kuno. Zrobię wszystko, coś mi rozkazał.

Larik. Ale co, powiedz co?

Kuno. Będę się starał budzić obawę i nadzieję. Nadzieję, że Galgakus wytępi Rzymian, obawę, że Rzymianie wytępią tu nas wszystkich w osadzie.

Larik. Dobrze.

Kuno. W tym celu, będąc niby echem poglosek, sam będę szerzył pogłoski.

Larik. Dobrze.

Kuno. Pogłoski, że...

Larik. Że co?...

Kuno. No, to, coś mi mówił; już ja będę wiedział. Będę mówił tak: „Powiadają, że trzeba się zbroić, i słyszę, że rozsądni ludzie myślą o ostrzeniu mieczy."

Larik. Dobrze. To dobrze. Pamiętaj, że to jest rzecz główna. Skoro się lud uzbroi, połowa zadania skończona. Lud uzbrojony i szepczący w tajemnicy o walce, jest jak łuk naciągnięty. Dość odjąć rękę, aby wypuścił strzałę. To rzecz główna.

Kuno. Tak.

Larik. Tak. Teraz zadanie drugie. Uważasz. Chcę, abyś mnie zrozumiał.... Ale — za pozwoleniem. Do pomocy w czynieniu tego, com ci rozkazał, wybierzesz sobie kilku młodzieńców. Na początek trzech, czterech, tylko pewnych....

Kuno. Mogę wziąć.... naprzykład... Saka, Pana, Wara....

Larik. Dobrze. Im także nie wspomnisz o mnie, ani o rozkazach moich. Owszem, będziesz do nich mówił zupełnie tak samo, jak do innych, aż póki nie uwierzą. Wieść o zmianach, o wojnie padnie na młode umysły, jak iskra na wysuszoną słomę. Wybuchną i zapłoną. Gdy im powiesz, że słyszałeś o zamiarach Galgaka i o niepokoju Rzymian, młode wyobraźnie, chciwe takich nowin, wydmą

i nadzieję i niebezpieczeństwo siłą własnego zapału do niebywałych rozmiarów. A skoro raz zaczną myśléć o tém, za chwilę uwierzą, że myśli ich i ich pragnienia są faktem lub będą faktem. Czyś to aby dobrze zrozumiał?

Kuno. Rozumiem. Powiem im toż samo, co innym. Ale oni przyjmą to tak gorąco, że wprzód, nim ja dokończę swą mowę, oni pobiegną szerzyć radosną nowinę.

Larik. Tak jest. Więc będziesz wiedział?

Kuno. Będę.

Larik. Teraz chodzi o to, aby uzbrojenia odbyły się w tajemnicy. Niech się Rzymianie o niczém nie dowiedzą. Następnie o to, aby wszyscy za danym znakiem za broń chwycili. W tym celu masz mówić, że starsi znak dadzą, gdyby groziło niebezpieczeństwo. Hasło obrony będzie zaś hasłem napadu.

Kuno. Dobrze, ale dlaczego mam zachowywać tajemnicę wobec przyjaciół?

Larik. Dlatego, że ja ci tak każę. Słyszałeś, co mówił Rufus „Larik jest przyjacielem Rzymian.“ Jeżeli nie chcę zginąć pierwszym, muszę być ostatnim z tych, którzy im nieprzyjaźń swoją okażą. A że nie ostatnim z tych, którzy słuchają podszeptów téj nienawiści, to dlatego, że zanadto pali mi ona wnętrzności.

Kuno. Rozumiem cię, ojcze. Bądź pewny, że zastosuję się ściśle do poleceń. Będę przebiegły, jak żmija. Rozdmucham płomienie, chociaż pozornie niby gasić je będę. Tak niechaj mi dopomogą bogowie! Na ten ogień święty przysięgam ci, że zatruję serca ludzi jadem obawy i nienawiści do tego stopnia, że tylko krwią będą z nich mogli oczyścić dusze. Na ten ogień święty przysięgam, że będę ci wiernie służył.

Larik. Oto jest pismo Galgaka. Musi spłonąć, aby ślad po niém nie został.

Kuno. Pozwól, niech dotknę do niego usta (*całuje*).

Larik. Błogosławię cię (*rzuca zwój na ogień; wchodzi Bramo, który stoi wtyle, niewidziany*). Niech się tak rozproszą legiony Rzymian, jak dym tych płomieni. Niech będzie błogosławiony miecz, który pierwszy uderzy Rzymianina. Niech będą błogosławione usta, które pierwsze okrzyk wojenny wydadzą. Niech wszystkie radości wiosny spłyną na serce rycerza, który pierwszy Brytannom zwycięstwo obwieści. Bogowie, jeżeli zginę, niech duch mój w dziobie kruka zamieszka, abym mógł szarpać trupy poległych ciemięzców—Bogowie!...

Kuno (*obejmując go za kolano*). Ojcze!

Larik (*ściska głowę syna*). Idź!

SCENA VI.

LARIK. BRANIO.

(Branio stoi na tylnym planie, nie widziany przez Larika).

Larik. Aaaah!.. lżéj mi na sercu. Złość, nienawiść, wzgarda gniły mi w duszy pod osłoną przymusowego milczenia. Teraz to zatrute bagno znajdzie upust. Larik, przyjaciel Rzymian, pomści się na Rzymianach. Larik, który ma wiarę u Rzymian, wycofa dług swój z lichwą... Larik milczący otworzy usta uczuciom swoim, rozpuści myśli swoje jak psy gończe, aby szukały zguby dla Rzymu. A myśli jego, jak psy wierne, tresowane ciężkim batogiem nieszczęścia, przyniosą mu tysiąc środków zagłady. (*Larik zamyśla się, potém wyjmuje pismo z zanadrza i czyta, podczas gdy Branio mówi*).

Branio. (*n. s.*) Zdaje się, że coś knuje. Musi wiedziéć o Galgaku, a jest jedynym człowiekiem, który mógłby mu dopomódz. Jeżeli stanie po stronie Rzymian, wzrośnie w potęgę—a jego wpływy już mnie kłują w oczy. Jeżeli się rzuci w spisek, skompromituje nas wszystkich, którym Rzymianie ufają, i ja będę zachwiany. Tak czy owak—zawsze lepiéj zrobię, jeźli go zgubię wprzód, zanim się zbuntem zwącha. To będzie pewniejsze... Wiem, że mi odmówi, ale ta odmowa będzie wstępem do jego upadku.

Larik. (*n. s.*) Braniowi tego listu dać nie mogę. Ale mam prawo schować go, więc schowam. To list nie do mnie, więc mnie nie potępi. A w jego rękach mógłby się stać zgubnym. (*p. ch.*) Lud się i tak uzbroi, to pewna. A i to pewna, że się będzie w tajemnicy zbroił. (*chowając pismo*) A chociażby się Rzymianie spostrzegli, możnaby im to wyłożyć korzystnie, że się lud zbroi jako sprzymierzeniec, w chęci walki z Galgakiem. Ale do tego trzeba nam jedności, trzeba, żeby starszyzna była z nami. A to zaś tylko od Brania zależy. Jeżeli się Branio zbudzi... hm! pytanie.

Branio, (*który podczas ostatnich słów zbliżał się powoli*). Branio nie zbudzi się, bo Branio nie śpi, lecz czuwa nad szczęściem przyjaciół. (*wyciąga ręce*).

Larik. Branio!.. Witaj mi, panie. Właśnie myślałem o tobie.

Branio. Witaj Lariku. Czy i wtedy myślałeś o mnie, kiedy składałeś ofiarę?

Larik. Ofiarę?

Branio. Tu, przed chwilą, kiedyś się modlił do Bogów przy ogniu świętym?

Larik. A... tak... rozumiem cię. To nie była ofiara. Albo raczéj,

była to ofiara... ale zarazem... Prawdę mówiąc... nic nie ofiarowałem. Modliłem się. Czy słyszałeś, com mówił?

Branio. Tak, trochę. Słyszałem coś o Rzymianach, o mieczach, o zwycięstwie. Domyślam się z tego, żeś się modlił za pomyślność rzymskiego oręża.

Larik. Taaak?

Branio. Tak.

Larik. Z czém przychodzisz?..

Branio. Przychodzę do ciebie z wieścią—taką... no, gdybyś ty do mnie z podobną przyszedł, obsypałbym cię złotem.

Larik. Z jaką wieścią?

Branio. Z jaką?

Larik. Tak, bo i ja mam dla ciebie wieść, taką wieść... no, nie wiem, jak ty ją przyjmiesz, ale gdybyś ty do mnie z podobną przyszedł, nie złoto, ale krew mą oddał-bym ci.

Branio. Zatém wieść twoja aż krwi potrzebuje?

Larik. A twoja?

Branio. Moja nie. Moja prowadzi co najwyżéj do pomieszania krwi.

Larik. Moja—do krwi rozlewu.

Branio. Czy czasem nie o Galgaku myślisz?

Larik. Tak jest.

Branio. A no, kiedy tak, to ci powiem otwarcie, że istotnie ze strony Galgaka grozi nam niebezpieczeństwo. Ale mam nadzieję, że krew twoja nie będzie przeciwko niemu potrzebną. Nie po krew też twoją przychodzę, lub jeżeli chcesz, to nawet po krew, tak jest, ale...

Larik. Przepraszam cię, Branio, jakie niebezpieczeństwo grozi nam ze strony Galgaka?

Branio. Wielkie. Dowiedziałem się przez listy, że szykuje on bunt na wyspie, chce lud podburzyć, chce nasze miasto zdobywać, chce Rzymian wypędzać. Jest to szaleństwo, które nas o zgubę przyprawi.

Larik. O zgubę!.. Czy jesteś tego pewny?

Branio. Może-ż być inaczéj?

Larik. A gdyby rzeczywiście zwyciężył?

Branio. Gdyby! gdyby! Nie może zwyciężyć! Z czém zwycięży? Legiony rzymskie wojować garstką niekarnéj hołoty?! Na taki zamiar trzeba być głupcem albo Galgakiem.

Larik. Lecz gdyby lud powstał?

Branio. Drwisz chyba! Lud coraz bardziéj oswaja się z panowaniem Rzymian; nakoniec coraz więcéj ciągnie z niego korzyści... Dobrodziejstwa cywilizacyi...

Larik. (*przerywając*) Lecz gdyby powstał?

Branio. (*n. str.*) O źle! Nie pomyliłem się w domyśle.

Larik. Co? Gdyby powstał?

Branio. Jakim sposobem! Gdzie! Co! Co ci się zdaje! Lud ma powstać, żeby był wymordowany, żeby utracił spokój, dobytek, życie! Gdzie jest taki głupi lud! Wyznam ci, że gdyby nasz był taki, wstydziłbym się do niego przyznać.

Larik. Dobrze—lecz gdyby go kto podburzył?

Branio. Podburzył?

Larik. Tak.

Branio. To się stać nie może. Galgakus nie podburzy, bo mam nadzieję, że wyślą przeciwko niemu legiony. Emisaryusze jego nie podburzą, bo ich schwytamy, tak jak dziś straże schwytały jakiegoś. Więc któż może podburzyć?

Larik. Gdyby tak ktoś z miejscowych, z naszych?

Branio. Z naszych?

Larik. Czy byłbyś temu przeciwny?

Branio. *Ty* mnie o to pytasz?

Larik. Dlaczego byłbyś przeciwny?

Branio. Niestety, widzę z twéj mowy, że ty-byś nie był przeciwny. Ale, Lariku, daj się przekonać, póki czas jeszcze. Obaj zarówno mamy ważne powody, aby się oprzéć buntowi. Tylko że ty jesteś stary marzyciel i nie rachujesz się z rzeczywistością. Jeżeli przyjdzie do wybuchu, będzie on niewątpliwie stłumiony.

Larik. Zapewne...

Branio. Trzeba być ślepym, aby tego nie widziéć. Jakie są nasze siły? Gdzie? Czy Galgakus? Jest to ambitny hultaj, i nic więcéj. Wreszcie przypuśćmy, chociaż to jest niepodobieństwo...

Larik. Tak, niepodobieństwo...

Branio. ...ale przypuśćmy, dajmy na to, że na chwilę odniesie on jakieś drobne korzyści. Czy sądzisz, że Rzymianom zabraknie legionów? Z Azyi je wezwą, ze wszystkich końców świata wezwą, a nas ujarzmią.

Larik. No, to nie koniecznie. W Azyi tak dobrze potrzebują legionów jak u nas. Ich państwo całe jest zlepkiem podbojów. A podboje nie są wieczne... Na samą wieść, że nasza wyspa wre wojną, inne narody...

Branio. Już wiem, co chcesz powiedziéć. Jest to dzieciństwo. Ale dajmy na to, że Galgakus nawet wypędzi Rzymian, i że wrócimy do dawnego stanu. Uważał-że-byś to za pożądane?

Larik. Oh—co znowu...

Branio. Wrócilibyśmy do stanu barbarzyństwa, z którego wyprowadzili nas Rzymianie. Co prawda, to prawda. Trzeba im oddać sprawiedliwość. Dawniéj mieszkaliśmy w nędznych lepiankach, teraz mamy porządnie murowane domy. Komu to zawdzięczamy? Rzymianom. Co prawda, to prawda. Dawniéj obyczaje nasze były dzikie, teraz wypolerowały się. Dziś mamy obyczaje patrycyuszów. Co prawda, to prawda. Dziś mamy wspaniałe łaźnie, dziś badamy nauki rzymskie i greckie, czytamy poetów, dziś umiemy zrobić właściwy użytek z pracy niewolników naszych—a wszystko to zawdzięczamy Rzymianom. I trzebaż to tracić dla głupiéj ambicyi Galgaka? Zastanów się, czy warto!

Larik. Więc swoboda jest dla ciebie niczém?

Branio. Niczém?—nie! Lecz nie nazywam swobodą twardego jarzma barbarzyńskich królów. Przy nich stracilibyśmy wszystko. Pamiętaj także, że Galgakus nie dowierzałby nam, jako dziś przyjaciołom Rzymian.

Larik. Tak sądzisz?

Branio. Niewątpliwie. Ale to są marne przypuszczenia. Bo niepodobna, żeby się on utrzymał. A w takim razie na co się przyda porozumienie z buntem? Czy tak ci pilno na szubienicę? Zastanów się. Nawet ci z nas, którzy nie przyjmą udziału w spisku, byliby skompromitowani, gdyby choć kilku ze starszyzny brytańskiéj zdradziło Rzymian. Cień ich wiarołomstwa i na nas padnie. Rzymianie powiedzą, że krew już nasza tak podła jest, że ufać nam nie można. W co się wtedy obrócą nasze majątki, nasze stanowiska?..

Larik. (*n. str.*) Bogowie, uzbrójcie mnie w cierpliwość!

Branio. Zresztą, już o tém nie mówię. Ale tak jak teraz rzeczy stoją, możemy być pożyteczni.

Larik. Komu?

Branio. Ludowi! Możemy łagodzić ciężar jarzma i jednocześnie umacniać wpływ cywilizacyi... która...

Larik. Która nas gubi, która nas wyzuwa z wiary, z obyczaju, z męstwa, która nas zmienia w nędzne frygi rzymskie, w skoczków, łajdaków, aktorów, kłamców, pochlebców — czy to chciałeś powiedziéć? Jeżeli tak, to niechaj ta cywilizacya na tobie skończy dzieło zniszczenia. Sądziłem, że znajdę w tobie więcéj serca dla swoich. Zawiodłem się. Wepchnąłeś mi sztylet w piersi. Branio! Ty jesteś dowodem, jak straszne jest panowanie Rzymian, kiedy na takich jak ty przekształca ludzi. Branio!..

Branio. Ile nienawiści, ile nienawiści! Lariku, jesteś niepoprawny. Zręcznie się maskowałeś, aleś się nie przerobił. Szkoda. Spodziewam się pomimo to, że nie przyłożysz ręki do spisku; inaczéj mu-

siałbym zostać twoim nieprzyjacielem. Byłoby to największą boleścią mojego życia. Ale pamiętaj, że stawiałbyś na kartę nie tylko swoją lecz i moją przyszłość. Z drugiéj strony jednak widzę, że misya moja spełznie na niczém. Lariku, przyszedłem do ciebie, jako swat od Marona, który chciał córkę twoją pojąć za żonę. Zanadto wszakże nienawidzisz Rzymian, jak się przekonywam, abyś się mógł na to zgodzić. Odpowiedz mi w dwóch słowach, czy mam odejść?

Larik. Coo? po co przychodzisz?

Branio. Jasnom wyłożył. Maro...

Larik. Kajus Maro?

Branio. Tak, Kajus Maro...

Larik. Chce...

Branio. Chciał wziąć twoją córkę.

Larik. Czy to być może?.. Zkąd ta myśl?..

Branio. Pokochał.

Larik. (*spogląda podejrzliwie, po chw. mówi n. s.*) Zastawia na mnie smrodliwą pułapkę... Czyżbym się zdradził?.. Nie mogę odmówić... Grób się pode mną otwiera...

Branio (*n. s.*) Po tém, com mu powiedział, dobrze się namyśli, zanim poda rękę spiskowcom. Ale swatów nie przyjmie. Zgubiłby się w oczach gawiedzi. Ja tymczasem potrafię obrócić przeciwko niemu zemstę Marona i kark mu skręcę... (*głośno*) A więc, Lariku? Z czém odchodzę? Nie tłómacz się długo. Powiedz jedno słowo—nie! Maro nie będzie miał do ciebie urazy—to już ja biorę na siebie.

Larik. Poczekajno... Branio—po chwili namysłu przekonywam się, że to, co mówiłeś, było zupełnie słuszne.

Branio. Taaak?

Larik. Tak, zupełnie słuszne. Nie zważaj na chwilowe moje uniesienie. Byłem rozdrażniony, gniewałem się na syna, który rozpustne życie prowadzi. Modliłem się właśnie do Bogów o jego poprawę, gdyś nadszedł...

Branio. (*n. s.*) Patrzcie!..

Larik. Więc istotnie Kajus Maro chce pojąć Lettę za żonę?

Branio. Z tém mnie tu przysłał.

Larik. Tak, masz racyę. W naszém położeniu nie pozostaje nic, jak trzymać z Rzymianami. Galgakus jest rzeczywiście niebezpieczny. Branio, chcę ci dać dowód, żeś mnie przekonał. Jeżeli Maro pragnie pojąć moją córkę, i jeżeli się ona na to zgodzi—oddam mu ją. Lepsze jest pewne dzisiaj niż niepewne jutro.

Branio (*n. s.*) Własnym uszom nie wierzę.

Larik. A zatém?

Branio. (*n. s.*) Nie byłem na to przygotowany.

Larik. Dlaczego milczysz, Branio?

Branio. Ja? Nie. Owszem. Uradowałeś mnie nadzwyczajnie. Więc zgadzasz się oddać córkę Maronowi?

Larik. Tak.

Branio. Wbrew nienawiści swojéj zgadzasz się?

Larik. Kochany Branio, nie czuję nienawiści. Wierz mi. To, coś tu widział, to było poprostu rozdrażnienie. Zresztą, mój Branio, czyż śnieg w promieniach słońca nie topnieje? Czy można nienawidzieć tych, którzy nam dają szczęście? Kocham każdego, co mi dobre czyni. A krok Marona rozwiałby w méj duszy ostatni ślad niechęci, gdyby tam niechęć tkwiła. Tak, powiedz mu to i wręcz mu oznajmij, że gotów jestem przyjąć go za zięcia.

Branio. Czeka on tu niedaleko. Czy mogę go przyprowadzić?

Larik. Możesz (*ściskając go za ręce*). Z całego serca ci dziękuję. Bądź pewny mojéj wdzięczności. Jeżeli będziesz potrzebował usług moich przeciw Galgakowi, rachuj na mnie. Przywołaj Marona, ja tu przyprowadzę Lettę. Niech się zobaczą, niech pomówią. Jeszcze raz ci dziękuję (*wychodzi*).

SCENA VII.

BRANIO.

Branio. Postawił mnie w trudném położeniu. Rzeczywiście, tego się nie spodziewałem. Córka Larika wychodzi za Rzymianina? To jest łajdacki podstęp! Inaczéj zacząłbym wątpić, że się znam na ludziach... A może wabi go nadzieja wpływów, jakieby przez to u Rzymian posiadł... Larik, spowinowacony z Maronem, zaćmi mnie.. Odezwą się w nim wszystkie zadawnione urazy... Tacy ludzie długo pamiętają urazy.. Gdyby się nawet skompromitował, będzie miał obrońcę w zięciu. Tak... oddając mu córkę, usuwa wszelkie podejrzenia, rozwiązuje sobie ręce i zyskuje bezpieczeństwo na wszelki wypadek... I ja tego nie przewidziałem!.. To fatalne!—W takim stanie rzeczy nie pozostaje mi nic lepszego, jak czemprędzéj go zadenuncyować. Jest to jedyny środek. Sumienie nakazuje mi chwycić się go w interesie dzieci. Mam podejrzenie, że ten szpieg, którego dziś schwytano, był posłem do Larika. To jest jedyny środek, inaczéj byłbym zarznięty własną brzytwą...

Larik (*za sceną*). Letta! Letta!

Branio. Idę do Marona.

Letta (*za sceną, śpiewa*):

„Za morze wietrze dmij,
Za morze łódko płyń!

Za morzem słońce świeci jasno,
U nas we mgle promienie gasną.
Za morzem szczęście, wiosna, raj,
Ach! nie to co mój kraj!"

Branio. Podobno to córka Larika... (*Letta za sceną znowu zaczyna śpiewać tę samą zwrotkę*). Trzeba się śpieszyć... Może mi się uda wpłynąć na Rzymianina (*wychodzi*).

SCENA VIII.

Letta. Później kolejno: Lidya, Larik, Branio i Maro.

Letta. (*wchodzi z pieśnią na ustach, którą urywa; w ręku trzyma niezapominajki, na głowie ma diadem, na piersiach pallę* [„*palla*"]). Zdawało mi się, że ktoś mnie wołał po imieniu. Może to Lidya, bo miała dziś przyjść do mnie. Zmartwię ją, oddając jéj podarunek, ale cóż robić. (*Upuszcza kwiaty*) Oh! (*zbiera*). Nic mi się dziś nie wiedzie. Kuno mnie w tym stroju zastał, teraz znów kwiaty gubię. Obrzydliwy dzień (*wbiega Lidya*).

Lidya (*wbiegając*). Nareszcie cię znajduję. Stukałam do wszystkich drzwi, ale pozamykane.

Letta. Jak się masz, droga!

Lidya. Jak się masz, jak się masz! W takiéj chwili przynajmniéj powinnabyś siedziéć w domu.

Letta. Czy się co stało?

Lidya Zaraz ci powiem. Ach! jak ci w tém ubraniu prześlicznie.

Letta. Cóż z tego, kiedy muszę ci je oddać!

Lidya. Jakto? Dlaczego?

Letta. Ojciec mi kazał.

Lidya. Dlaczego?

Letta. Dlatego, że się tak ubierają Rzymianki, a on nie chce, żebym się ubierała jak Rzymianki.

Lidya. Ależ to nieznośny dziad!

Letta. Żebyś ty wiedziała, co ja cierpię, to okropność. Ubrać mi się nie wolno, rozśmiać mi się nie wolno. Kiedy się wszyscy bawią, kiedy się wszyscy weselą, ja muszę butwiéć w zamknięciu. W tych dniach będą igrzyska. Prosiłam, żebyśmy poszli. To mi powiedział, że nie o igrzyskach mam myśléć, ale w komorze siedziéć i płakać. Płakać! Wyobraź sobie, kiedy się wszyscy bawią, ja mam płakać!

Lidya. Czy on oszalał? Czego płakać!

Letta. Dobra jesteś! Czego płakać! Płakać, że tu są Rzymianie, że się ludzie bawią, że—doprawdy, już sama nie wiem, wszystkiego płakać i płakać! (*płacze*).

Lidya. Ale to okropne, moja droga. On ma chyba źle w głowie. Płakać, że są Rzymianie! Ależ on cię zamorduje takiém postępowaniem!

Letta. Jestem nieszczęśliwa! Tęsknię do czegoś, czegoś pragnę. Kiedy patrzę na ten świat, na ludzi, którzy mają wesele w sercu, uśmiech na ustach, to mi się dusza do czegoś wyrywa, a tu nic, nic, tylko pokutuj! Za co? Żebym choć co była winna, żebym ja tu tych Rzymian sprowadziła! Doprawdy, nie wiem, jak ja to wytrzymam.

Lidya. To mnie oburza! To jest okropne! Ah, to okropne!.. Ale się to niedługo skończy. Jest ktoś taki, co cię wybawi z téj niewoli. Domyśl się kto. Z tém tu do ciebie przybiegłam. Wypadkiem podsłuchałam rozmowę jego z Braniem. Stało się, jak mówiłam. Chce się z tobą ożenić...

Letta. Maro?!

Lidya. Dziś jeszcze będzie prosił ojca o twoją rękę.

Letta uderza w dłonie.

Lidya. Czy się tego nie domyślałam? Czy ci nie mówiłam?

Letta. Ale co ojciec powie? Truchleję na samą myśl.

Lidya. Kpij sobie z ojca! Musi pozwolić choćby dlatego, że będzie się bał zemsty Marona. A gdyby się uparł, no, to już ja to biorę na swoją głowę. Nie pozwolę cię zamęczyć. Maro niedługo wraca do Rzymu--wiem to od mego męża. Będzie się tam starał o kwesturę. Jak tylko zechcesz, możesz z nim pojechać. Ojciec niech sobie gada, co chce, to nas nic nie obchodzi. To nie do wytrzymania siedzićć ciągle wpośród téj dziczy, jeszcze jak się ma takiego ojczulka, taką obrzydliwą mumię. W Rzymie dopierobyś odetchnęła. Dopierobyś zobaczyła, co to jest świat, towarzystwo, zabawy. Jak się stary będzie wzdragał, pojedziesz, i rzecz skończona!.. Maro tu pewno przyjdzie. Okazuj mu życzliwość! Nie zważaj na ojca! Co taki stary dziwak może wiedzićć! Niech gada, co chce! Młodzi muszą żyć, młodość ma swoje prawa. Niéma zacniejszego człowieka, jak Maro. Na twojém miejscu byłabym uszczęśliwiona!

Letta. Ale czy to tylko prawda?

Lidya. Zawiodłam cię kiedy? Zawiodłam? Cóż to? Nie wierzysz mi? Od jakiegoż to czasu? Jeżeli mnie nie wierzysz...

Larik (*za sceną*). Letta!

(*Lidya i Letta słuchają*)

Larik (*za sceną*). Letta, Letta!

Letta. To mój ojciec!

Lidya. To twój ojciec. Uciekam. Nie chcę się z nim widzićć.

Letta. Zostań!

Lidya. Nie, nie. Bądź zdrowa! Nie daj się zagadać! Stawiaj się hardo. Trzeba, żebyś się umiała cenić. Powodzenia! (*wybiega*).

Letta. Lidya ma racyę. Gdyby nie moja uległość...

Larik (*za sceną*). Letta! Letta!

Letta. Niech sobie woła.

Larik. (*za sceną*) Gdzie się podziała!.. Letta, odezwij się!

Letta. Nie odezwę się!.

Larik. (*wchodząc*) Gdzie ty się chowasz?

Letta. Nie chowam się wcale.

Larik. Więc dlaczegóż cię nie mogę znaleźć?

Letta. Byłam w ogrodzie. Kuno mnie wypędził z domu—zbierałam kwiaty dla Lidyi.

Larik. I znowu widzę na twém czole tę wstrętną przepaskę, i znowu ten obrzydliwy rzymski łachman. Czym ci nie kazał pozbyć się tego! Czym ci nie kazał zwrócić tego Lidyi!

Letta. Jeszcze nie miałam kiedy.

Larik. Nie miałaś kiedy? A ustroić się w to miałaś kiedy?!

Letta. Ubrałam się, bo wszystkie dziewczęta się tak ubierają. Zresztą, w tém mi jest do twarzy.

Larik. Do twarzy ci jest?

Letta. Tak, jest mi ładnie.

Larik. Ładnie ci? A ty suko! To ty dlatego, że ci ładnie, ubierasz się jak ulicznica.

Letta. Każdy się ubiera jak chce... nie jestem suka.

Larik. Letta! Widzisz ty moje siwe włosy?! Czy ty wiesz, jak mi krwawisz serce?!... Letta!

Letta. Wybacz...

Larik. Niech cię krew zaleje, jeżeli ja ci mam wybaczać. Jeżeli ja ci mam wybaczać, to bodajeś była zgniła w żywocie matki. Nie po tom cię chował, abym ci musiał wybaczać. Suko! zrzuć to ze siebie, zrzuć to natychmiast, jeźli nie pragniesz doznać mojego gniewu!

Letta. (*Zdejmuje diadem i pallę, i rzuca mu pod nogi*) Masz!

Larik. (*załamując ręce, n. s.*) O, czemuż jéj nie mogę zabić w téj chwili! Powiedzianoby, żem to uczynił dla uniknięcia związków z Maronem. Żółć mnie udusi. Gotowaby mnie zdradzić!.. (*stoi przez chwilę zamyślony*) Pójdź no tutaj! (*po chwili*) Wybaczam ci!

Letta. (*wykrzywia pogardliwie usta*).

Larik. Uważasz... nie chcę się dziś gniewać. Uważasz. Przyjdzie tu zaraz pewien patrycyusz, niejaki Kajus Maro, który chce cię wziąć za żonę. Uważasz—za żonę. Jeżeli będzie do ciebie mówił, odpowiesz mu... odpowiesz mu, jak ci serce podyktuje. Ja nie mam nic przeciwko temu, a chcę, żeby on wiedział, jak ci serce dyktuje. Czy masz apetyt na tego patrycyusza? Co?..

Letta. Myślę, że jestem warta patrycyusza.

Larik A te łajdaczki rzymskie, z któremi się oni żenią, te, co to po łaźniach chodzą, czy także są warte patrycyuszów?

Letta. Te nie są ich warte.

Larik. Nie są? Phsssi! Ty masz głowę! przekonywam się, że ty masz głowę. Niech się udławię, jeżeli ty nie masz głowy! Ha, więc to tak! A no dobrze. (*szmer za sceną*) Oto już pewno idą.. Trzeba to schować tymczasem... (*Ukazują się Maro i Branio. Podczas gdy oni na stronie mówią, Larik zbiera rzucone przez córkę rzeczy, zwija je w tobołek i chowa za pazuchę*).

Branio. (*do Marona, n. s.*) Jeszcze raz ci mówię, jako przyjaciel, namyśl się, odłóż to na kiedy indziéj.

Maro. (*do Brania, n. s.*) Nie, to jest nieodwołalne.

Branio. (*do Mar., n. s.*) Żebyś później nie żałował. Mówię ci... W tém jest podstęp...

Maro. (*do Br., n. s.*) Przestań, przestań!.. Oto Larik!

SCENA IX.

Larik, Letta, Maro, Branio.

Maro. (*do Larika.*) Panie. (*kłania się nizko*).

Larik. Witaj, Maronie. Zawsze mi byłeś pożądanym gościem, ale dzisiaj stokroć milszym jesteś niż kiedykolwiek.

Maro. Przychodzę, aby z ust twoich usłyszéć to, o czém mnie uprzedził Branio, że dobrze przyjąłeś mą prośbę. Chcę wierzyć, że...

Larik. O tak, możesz wierzyć!.. Branio dobrze ci zamiary moje wyłożył. Podaj mi rękę, Branio. Dziękuję ci. Maronie, być może, że słyszałeś kiedy od wrogów moich, jakobym nie kochał Rzymian. Niechże życzliwość moja dla ciebie kłam temu zada. Postanowienia moje wyczytasz z tego uścisku. (*Otwiera mu ramiona, potém, wskazując na Lettę*) Oto córka.

Maro. (*kłaniając się*) Pani.

Letta (*kłania się*).

Maro. Słyszałaś, jaka jest wola ojca. Należysz do mnie już z obowiązku posłuszeństwa. Pragnąłbym, aby ten obowiązek nie był ci przykrym. Pragnąłbym, aby chęci twoje mówiły za mną. Składam ci u stóp moją przyszłość. Odpowiedz mi, wolę ojca wesprzéj słowem własnego przyzwolenia.

Letta. Oto jest moja ręka. Panie, jak ty mnie chcesz poślubić, tak ja chcę pójść za tobą wszędzie, gdziekolwiek mnie powiedziesz.

Maro. (*Biorąc jéj dłoń w swoją*) Powiodę cię do chwały, do szczęścia.

Larik. Cieszę się, cieszę się, niech się podemną ziemia rozstąpi, jeżeli się nie cieszę. Oto jest córka! Maronie, godna ciebie dziewica, szlachetny Maronie! Niech cię uściskam! (*ściska Lettę*) Niech was uściskam! (*ściska Marona*). Ciebie Braniol (*ściska dłoń Brania*) Ty byłeś sprawcą naszego szczęścia. Podziękujcie Braniowi. (*Maro i Letta zbliżają się i dziękują*) Niech umrę, jeżli mnie to wszystko nie raduje. Tak, podziękujcie.

Branio. Niéma tu mojéj zasługi. Maro chciał; ty, Lariku, umiałeś ocenić zaszczyt, jaki ci Maro wyrządził...

Larik. Sprawiedliwe nieba!..

Maro. Zaszczyt jest tu na obie strony równy. Jestem obywatelem zwycięskiego narodu, ale tutaj przyszedłem jako zwyciężony. Serce moje uległo. Mam nadzieję, że jak ta moja porażka będzie dla mnie źródłem radości, tak i dla was po klęsce lepsza przyszłość zaświta.

Larik. Oby tak było, oby tak było!.. Letto, trzeba uczęstować miłych gości. Zaprowadź ich do izby. Proszę, raczcie, drodzy przyjaciele! Letta, prowadź!

Letta. Pozwólcie za mną.

(*zaczynają wychodzić Letta, Maro i Branio*)

Larik. Letto!

Letta. Co, ojcze?

Larik. Pójdź, przytul się do moich piersi.

(*Letta waha się przez chwilę, potém idzie i obejmuje ojca*).

Larik. Jesteś szczęśliwa?

Letta. Tak.

Larik. Idź! (*do Mar. i Br.*) Wybaczcie, żem ją zatrzymał. Chciałem się jéj dotknąć... chciałem się upewnić, że to ona.

Letta. (*zapraszając*) Maronie!.. (*wychodzą*)

SCENA X.

LARIK.

Larik. (*twarz wykrzywia mu się boleśnie, ręce załamane*) Suka! (*po chwili*) Suka... Suka!.. (*wyciąga rękę*) Nie położysz się w jego łóżku... Jego łóżko będzie wprzód zniszczone... On sam będzie zniszczony... Wszystko będzie zniszczone... Haaa! (*wychodzi szybko za poprzedzającymi*).

(*d. c. n.*) *Jan Gadomski.*





POWIEŚĆ SPÓŁCZESNA WE FRANCYI.(1)

3. Albert Delpit.

Miłośnicy teatru zachowają długo w pamięci scenę z komedyi przedstawionéj kilka lat temu na deskach teatru *Gymnase*, w któréj syn byłéj nierządnicy „Koralii" dowiaduje się o hańbie swojéj matki. Opuściwszy Paryż i prowadzone w nim rozpustne życie, zmieniwszy nazwisko, przywdziawszy strój bogatych owerniackich wieśniaczek, przedzierzgnęła się „Koralia" w „Ciotkę Dubois", poważną i cnotliwą matronę. Wychowany przez nią, jako jéj siostrzeniec, wypiastowany na dzielnego i szlachetnego młodzieńca, z wytworném wykształceniem, z pięknemi przymiotami duszy, ze świetną przyszłością w obranym wojskowym zawodzie, odkrywa nagle nieszczęsny „Daniel", że ta kobieta, w któréj przywykł czcić, kochać, uwielbiać nietylko dobrodziejkę swoję, ale wzór, ideał wszystkich cnót niewieścich, że ta najczystsza, w jego pojęciu, najświętsza z kobiet, jest jego matką, i że téj matce na imię „Koralia." W jednéj chwili wszystko, co do niego należało lub należéć mogło, przeszłość, teraźniejszość i przyszłość rozsypuje się w proch pod jego nogami. Szpadę, którą nosi przy boku, trzeba mu złamać, aby nie plamił swoją niesławą honoru armii; dostatki, które go otaczają, trzeba mu odrzucić ze wstrętem, serce nawet wydrzéć sobie z piersi, trzeba i wyrzec się od wczoraj pozyskanéj narzeczonéj. Toć nie może być ona narzeczoną syna „Koralii"!

Wśród tego opłakanego rozbicia, jak tonący majtek, chwyta się on ostatniéj deski zbawienia, ostatniéj nadziei.

— Mój ojciec? — pyta — kto jest moim ojcem? Może ta krew, która płynie w moich żyłach i bije w mojém sercu, jest jego krwią

(1) Ob. zeszyt styczniowy „Ateneum" z r. b.

szlachetną i czystą! Może to, co czuję dobrego, uczciwego i do podniosłych czynów pochopnego w sobie, jest spadkiem po nim. Kto on?

„Koralia“ milczy i odwraca oczy.

— Nieszczęśliwa! nawet tego nie wie!

Wystarczałoby téj jednéj sceny, aby wydzielić panu Delpit miejsce między realistami. Niewiele równie realistycznych mieści w sobie spółczesny repertuar teatralny i sama spółczesna biblioteka powieściowa. Nie brakuje zaś i innych podobnych w literackim bagażu autora „Solanży de Croix St. Luc.“ U żadnego atoli z jego współzawodników proporcya przeciwnych, idealistycznych pierwiastków nie dosięga równie wysokiéj skali. U żadnego także stosunek wzajemny dwóch pierwiastków nie okazuje się zawisłym od równie kapryśnéj choć stale wpływ swój wywierającéj przyczyny. W tym względzie Delpit stanowi bardzo osobliwe i oryginalne zjawisko— choć bez osobliwego ani oryginalnego talentu. Z przekonania, wykształcenia i ogólnego artystycznego kierunku jest on realistą, realistą nie cofającym się pod niczém, albo mało przed czém. Ostrzeżona o nieprzyjaznych zamiarach byłego swego kochanka, pana „de Bruniquel“, który wybiera się zdradzić tajemnicę jéj przeszłości przed ojcem narzeczonéj „Daniela“, „Ciotka Dubois“ ucieka się bez wahania do wspomnień téj przeszłości dla zwalczenia groźnego przeciwnika; naznacza mu nocną schadzkę i próbuje, w obronie syna, zwycięskiéj niegdyś broni nieprzekwitłych jeszcze wdzięków. „Ciotka Dubois“ wdziewa napowrót maskę „Koralii.“ Kto nie wzdrygnął się przed taką metamorfozą, od tego realizm niema prawa wymagać nic więcéj. Ale rozlubowanego w brutalnéj prawdzie téj sceny, czy téż, podług gustu, obrażonego nią czytelnika czeka niezawodząca nigdy u Delpit'a niespodzianka. Niech odwróci kartkę, a będzie przez cały rozdział pływał, z dorastającym do wszystkich romantycznych bohaterów „Danielem“ i z prześcigającą najheroiczniejsze bohaterki „Edytą“, w najpowietrzniejszych lazurach najczystszego ideału.

Jest bowiem coś, co włazi ustawicznie w drogę realistycznéj oryentacyi Delpit'a i zastosowanym do niéj intencyom i założeniom jego powieści. Tém czémś zaś jest podobno jego temperament. Wszystko zdradza w nim człowieka obdarzonego wyjątkowo wrażliwą wyobraźnią a czułém sercem, wyjątkowo skłonnego do entuzyazmów i uniesień. Zdarza się tedy, że rozczula się on i entuzyazmuje do téj lub owéj z kreowanych przez się postaci i wówczas traci, patrząc na nią i mówiąc o niéj, grunt realistyczny pod nogami a zaczyna chodzić po obłokach. Samo z siebie idzie, iż kreacyami oddziaływającemi nań w ten sposób są kreacye sympatyczniejsze; zaczém idzie znowu, iż w każdéj prawie jego powieści widać dwie grupy

osób: jedną z istot naturalnych, żywcem pochwyconych z rzeczywistości i przedstawionych tak jak je Pan Bóg stworzył, bez sztucznych dodatków i opuszczeń, z przyłożeniem się nawet artysty do wiernego odwzorowania, za przykładem holenderskich lub niemieckich mistrzów, wszystkich rysów modelu, nie wyłączając zmarszczek, blizn i brodawek; drugą—istot nadprzyrodzonych, złożonych z mgły, napojonych eterem i odzianych tęczą.

Osnowę swych powieści i główne jéj figury czerpie pospolicie Delpit z życia spółczesnego; oprawia najczęściéj w ramy artystycznéj kompozycyi fakta i typy prawdziwe, zdarzone i spotkane w życiu; tylko w wykonaniu tak obmyślanego założenia ulega on nieszczęsnym owym wpływom przyrodzonego swego temperamentu i pisze powieść *à côté*. Historya to, między innemi, ostatniéj z jego powieści, drukowanéj w *Revue des deux Mondes*, w ciągu zeszłego roku: „Solanży de Croix St. Luc.“ „Solanża de croix St. Luc“, to Zofia de Chaulnes, księżniczka Golicyn z domu. Trzy lata temu, kiedy skandaliczny proces, wytoczony przez matkę zmarłego księcia de Chaulnes, starą księżnę de Chevreuse, pięknéj synowéj, a zakończony publiczném zniesławieniem biednéj kobiety i odebraniem jéj opieki nad dziećmi, wlókł się przed kratkami tutejszych trybunałów i walał na tutejszym bruku najpiękniejsze francuskie imiona. Delpit odegrał czynną rolę w roznamiętniającym opinią publiczną familijnym zatargu. I rolę godną szlachetnego człowieka. Z pomiędzy głośniejszych pisarzy, on jeden ośmielil się wystąpić w obronie nieszczęsnéj ofiary arystokratycznego samolubstwa i religijnego fanatyzmu. I zapewne wtedy już przyrzekł sobie pomścić kiedyś, w przekazanym potomności utworze, zhańbioną pamięć niewinnéj żony i matki. Skutek nie odpowiedział w zupełności dobrym jego chęciom. Serce i wyobrażenia wypłatały mu znowu figla. Jak natchnieniom posłuszny, chciał on zrobić za dobrze, a zrobil nicpotém. Zapewne Zofia de Chaulnes i tragiczne jéj losy dają się poznać w jego powieści, ale, skoro podjął on już tę pośmiertną rehabilitacyą, skoro podejmując ją, nie cofnął się przed żadną bodaj najdelikatniejszą stroną poruszanych, niedalekich wspomnień, przed niczyją drażliwością i przed niczyim gniewem, toć godziło mu się przedstawić bohaterkę i klientkę swoję taką, jaką była, a jaką poznał, lub poznać ją był powinien, gdy jéj niedola a jego sympatya zbliżyły go do niéj. Sprawa jéj byłaby niezawodnie zyskała na tém, a i sprawa literatury także.

Prawdziwa „Solanża de Croix St. Luc“, ta, któréj na imię: Zofia de Chaulnes i która ma swoje miejsce w historyi spółczesnéj tutejszego społeczeństwa, jest typem nie wiem czy koniecznie słowiańskiéj ale surowéj, prostaczéj natury niewieściéj, wchodzącéj w zetknię-

cie z tutejszym przealembikowanym światem. W odległym od stolicy, prowincyonalnym kącie, między ojcem ideologiem a matką nieco ekscentryczną, w swobodzie wiejskiego życia wyrósłszy, wpada ona nagle w świat całkiém odmienny, budzi się do nowego życia na bruku paryskim, śród obcych sobie, nieswojskich żywiołów. W dodatku chwyta ją brutalnym uściskiem dziwaczny, paradoksalny tych żywiołów antagonizm: z jednéj strony mąż, typ dzisiejszego, arystokratycznego sportsmena, który mężnie stawał na polach bitew przed Prusakami, ale stracił zdrowie na rozpustach, a zaczyna obznajmianie młodéj żony z uciechami małżeńskiego pożycia od włóczenia jéj po eleganckich knajpach w dobraném towarzystwie podobnych do siebie klubowców. Z drugiéj strony teścia, typ spółczesnéj arystokratycznéj matrony, która zrobiła heroicznie ofiarę z dwóch swoich synów ojczyźnie, a straciwszy jednego, trawi czas na dewocyi i dobrych uczynkach, ale tam gdzie obowiązek (uznany i pojęty przez nią) milczy, a odzywa się głos dumy rodowéj lub egoizmu familijnego, tam serce jéj staje się z kamienia, tam dochodzi ona z łatwością do wniosku, że synowa, która powiła dwoje dzieci i zapewniła przyszłość „domu“, zrobiła swoje i pozbyć się jéj wolno, jeśli można, a jeśli można, pozbywając się jéj, zachować we własnych ręku rząd tego „domu“ i wszystkiego, co do niego należy, nie wyłączając dostatków i rezydencyi we wspaniałych pałacach, w zamkach, i wychowania, podług własnego widzimisię, owych z radością powitanych niemowląt, tém lepiéj! I godzi się tedy, dla dopięcia tego celu, skorzystać z każdéj zręczności, z każdego przewinienia zawadzającéj synowéj, i uchwyciwszy tę zręczność, wyzyskać ją bezlitośnie; w imieniu moralności, religii i prawa, zgnieść biedną kobietę, zdeptać ją, zhańbić; wydrzéć jéj serce z łona razem z dziećmi, które nosiło to łono, zabić ją i odmówić nawet uczciwego pogrzebu, a przeto zostać szanowną matroną i starszą córką kościoła!

A ta biedna kobieta jest piękną jak bóstwo z ogniem w żyłach, z dziecinną lekkomyślnością w głowie, z wieśniaczą prostotą w sercu, z ustawiczną naokoło niéj napaścią pokus wszelkiego rodzaju, i tak łatwo złowić ją w nastawione sidła! Jednego dnia trafia się między mężowskimi towarzyszami, większy od innych łotr, który dla własnéj chluby kompromituje ją, dostarcza pozorów choć błahych przeciwko niéj i nieubłagana teścia dopełnia egzekucyi.

Obok téj *prawdziwéj* „Solanży“, obok téj rzeczywistéj tragedyi jéj losów przeszedł Delpit i poszedł tam, gdzie go wyobraźnia uniosła. Jego romansowa „Solanża“ jest powtórzonym poraz setny, a ckliwym jak zawsze wizerunkiem kobiety *niezrozumianéj*, żony, która nie znalazła swojego ideału w udzielonym sobie przez przypadek to-

warzyszu życia, szuka tedy ideału tego obok, znajduje go, ale pozostaje czystą, mimo oskarżających ją pozorów. Nie podobało się nawet autorowi doprowadzić téj swojéj fikcyjnéj bohaterki do historycznego kresu jéj bolesnych przeznaczeń. Pozwolił on jéj odzyskać syna wydartego jéj objęciom przez wyrok trybunałów, wróconego jéj macierzyńskiéj miłości przez szlachetną interwencyą wiejskiego proboszcza, który umie przebłagać starą dueryerkę, matkę hr. „de Croix St. Luc.“ Podobało mu się nawet, aby po śmierci męża nowe przez kościół pobłogosławione śluby połączyły jego „Solanżę“ z tym, którego wybrało jéj serce. — Nie tak łaskawym był los *prawdziwéj* „Solanży.“ *Prawdziwa* „Solanża“ umarła w 25 m roku życia na poddaszu ubogiego domku, w dzielnicy roboczéj *de la Villete*“, w łóżku biednéj wyrobnicy, która jéj dała przytułek. Umarła, nie zobaczywszy zabranych sobie dzieci. Umarła z nędzy, boleści, wstydu, rozpaczy i gorączki, wywołanéj szalonêm użyciem morfiny. I prócz owéj litościwéj kobiety z ludu, nikt się nie zlitował nad nią, nikt jéj nie przebaczył, nikt nie dał się przebłagać. Prawdziwa dueryerka (księżna de Chevreuse) nie pozwoliła żadnemu spowiednikowi nakłonić siebie do mniéj surowych uczuć, wytrwała do końca przy swéj nienawiści, przy swéj wzgardzie, przy wydartéj prawnie opiece dotąd pod jéj strażą rosnących dziatek i przy nieprawnie zagrabionym a dotąd w jéj rękach zostającym majątku.

Trzeba zresztą oddać Delpit'owi tę sprawiedliwość, że przynajmniéj w ogólnym zarysie charakteru srogiéj patrycyuszki potrafił utrzymać się przy prawdzie i nie cofnął się przed jéj oddaniem. Zwalczona cierpieniem, chora i bliską śmierć widząca przed sobą „Solanża“ pisze do teści:

„Pani, jestem zwyciężoną. Niezadługo przestanę należeć do tego świata; błagam cię, pozwól, abym nie poszła bez zobaczenia mojego syna.“

Stara hrabina zostawia tę odezwę bez odpowiedzi i daje szorstką odprawę ujmującemu się za biedną synową księdzu „Lenoir.“

— Ależ ta nieszczęśliwa matka umrze!

— Cóż ztąd? Umrze źle, tak jak źle żyła.

I oburza się zawzięta w swém postanowieniu dewotka na poczciwego sługę bożego. Jakiém prawem ten syn jakiegoś chłopa, czy robotnika wtrąca się do domowych spraw rodziny „de Croix St. Luc“?—Ksiądz „Lenoir“ jest zresztą kreacyą czysto fikcyjną, tak jak fikcyjném, w powieści Delpit'a, dokonane przezeń nawrócenie *in extremis* dumnéj i nieugiętéj penitentki. W historyi, obok prawdziwéj hr. de St. Luc, obok zamkniętéj w zdobytym na synowéj zamku jak

w fortecy i ze słynném benedyktyńskiém opactwem w *Solesmes* sąsiadującéj księżny de Chevreuse, widać tylko gromadę fanatyczniejszych od niéj saméj i twardość jéj serca hartujących mnichów.

Nie odważył się też Delpit odwzorować w kopiowanym przez się modelu jednego charakterystycznego rysu: chciwości, idącéj w parze z dumą rodową i religijnym fanatyzmem. Prawdziwa „hr. de St. Luc“ nie uznaje w swéj synowéj matki swoich wnuków, godnéj tego imienia i godnéj przywiązanych doń praw i obowiązków, ale przedewszystkiém uznaje siebie samę godniejszą do rezydowania w „Sablé“ i reprezentowania tam wielkiego rodu książąt de Chaulnes, de Luynes i de Chevreuse. P. Delpit cofnął się tym razem. I cofnął się raz jeszcze przed powtórzeniem, w całéj jéj grozie i hańbie, okropnéj procedury, która zapewniła tryumf teści nad synową, a która pozostanie plamą sądownictwa francuskiego w XIX wieku, tak prawie jak w XVIII procesu kawalera de la Barre czy Calas'a.

Bojaźliwa oględność podyktowała mu przeniesienie akcyi sądowéj na prowincyę, a i tam jeszcze kazała mu rzucić na jéj przebieg ostrożną zasłonę. Zaledwie zdobył się on na dwuznaczne tu i owdzie zanotowanie domyślnéj uległości panów sędziów wywieranym na nich z wysoka wpływom. *Prawdziwa* akcya sądowa rozegrała się przed 3-ą izbą cywilną paryską i była od początku do końca walką bezbronnéj kobiety z koalicyą wielmożnych, przeciwko jéj sławie i jéj prawom sprzymierzonych potęg. Cale przedmieście St. Germain stało za krzesłami panów sędziów i kierowało ich sumieniem. I przez trzy miesiące widziano i słyszano rzeczy ohydne, o pomstę wołające do tego Chrystusa rozkrzyżowanego tam na ścianie nad głowami sądzących, u którego stóp nawet jawno-grzeszna niewiasta znalazła miłosierdzie. Widziano i słyszano tych ludzi wydających w imieniu liberalnéj rzeczypltéj wyroki, zredagowane w stylu św. inkwizycyi. Widziano podrobione dokumenta i słyszano najętych świadków. Słyszano wielkiego adwokata, oskarżającego nieszczęsną matkę o hańbę ostatnią, o pijaństwo i o rozpijanie własnych dzieci i przedstawiającego tytułem dowodu rachunek restauracyjny z zamieszczoną na nim—butelką czerwonego wina, tak jedną butelką czerwonego wina na pięć osób! I widziano prokuratora liberalnéj rzeczypltéj przyjmującego ten dowód, powołującego się nań i robiącego zeń broń morderczą! Na podstawie takich dowodów zamordowano legalnie *prawdziwą* „hr. de St. Luc.“ Trzema miesiącami późniéj ta rozpustna i w pijanych orgiach macierzyństwo swe poniewierająca kobieta umierała z nędzy, bo nie chciała przyjąć jednego solda z milionowego dożywocia na mężowskim spadku, od którego litera prawa nie pozwoliła jéj odsądzić!

Delpit nie jest człowiekiem, coby się był mógł podnieść w tym razie do téj roli wielkiego, w imieniu opinii publicznéj przemawiającego superarbitra, którą mu obrany przezeń przedmiot przeznaczał. Chciał może, ale mu odwagi zarówno i sił zabrakło. Biedna Zofia de Chaulnes czeka jeszcze drugiego Woltera.

„Syn Koralii“ pozostanie prawdopodobnie arcydziełem miłego redaktorom i czytelnikom „Revue des deux Mondes“, w pół-światłach najczęściéj, półcieniach i półsłówkach lubującego się pisarza. Jego ex-kokotka, prowadząca przykładne i poświęceń nawet pełne życie, wychowująca syna wzorem najlepszych matek, ale nie domyślająca się nawet, że oddane temu wychowankowi dostatki są hańbą w jego ręku, nie wzdrygająca się przed ofiarowaniem jego narzeczonéj zebranych z rynsztoka brylantów, odgrywająca przybraną na się rolę z werwą wytrawnéj aktorki, kłamiąca bez skrupułu o wszystkiém i przed wszystkiemi, jest typem doskonałym. Doskonałym także jest p. „de Bruniquel,“ o którym nie wiadomo i który sam nie wie, czy zdradza przed ojcem pięknéj „Edyty“ tajemnicę „Koralii“ dlatego, że mu tak honor i sumienie każą, czy dla tego, że ubiegał się sam o piękną i posażną „Edytę“ i odżywiła się w nim nadzieja osiągnięcia dawnych swych marzeń, po usunięciu niebezpiecznego rywala. Delpit posunął się tu do rzadkiéj w jego utworach subtelności analizy psychologicznéj.

I daléj nawet jeszcze sięgnął on w tym, wyjątkowe miejsce w dotychczasowéj jego literackiéj twórczości zajmującym utworze. Są tam ustępy o zakroju filozoficznéj tezy *à la Dumas*. Nie domyślający się swego pochodzenia a o fizyologiczne teorye Darwinistów otarty „Daniel“ odsłania, przed wyciągającym go na słówka panem „de Bruniquel“, oparte na owych teoryach poglądy. Wyciągnął on ze swoich czytań i rozmyślań konkluzye bolesne ale logiczne:

„Wielki naturalista angielski podzielił wszystkie istoty żyjące na dwie połowy: z jednéj strony zwycięzcy, z drugiéj zwyciężeni. Ten lub ów gatunek będzie zwyciężonym, dlatego że..., słaby od początku, przekazał on tę słabość potomstwu. Inny będzie zwycięzkim, dlatego że, tą samą drogą spadkową, jego przedstawiciele stali się silnymi. Czyż nie widzimy zresztą w zwierzętach stałego odziedziczania się wad i przymiotów? Potomstwo hieny jest z urodzenia fatalnie tchórzliwém; potomstwo lwa fatalnie odważném. Wierzę zaś osobiście że to, czego nauka stwierdziła dokładność w świecie fizycznym, jest prawdziwém także w świecie moralnym. Cnotliwe albo występne instynkta odziedziczają się tak samo, jak piękne albo szpetne kształty. Dziewięćdziesiąt razy na sto, syn uczciwego człowieka będzie uczciwym, syn łotra łotrem. Zasada dziedzicznego szlachec-

twa nie ma innéj podstawy, i nawet w naszéj spółczesnéj burżuazyi, śród któréj ideę szlachectwa zastąpiły pokrewne pojęcia tradycyjnéj zacności i prawości, nie zobaczysz pan prawie nigdy, aby familia bez zarzutu łączyła się z drugą, noszącą na sobie plamę. Niesprawiedliwe to, okropne, zgoda; nie zaprzeczysz pan jednak oczywistości...“

I p. „de Bruniquel“ odchodzi, rozmyślając nad temi nowemi naukowemi poglądami, trafiającemi tak dokładnie w sens dawnych *przesądów*. Stawia sobie pytanie, „czy *przesądy* nie są przypadkiem prawdami zaćmionemi, przechowywującemi się z tym niewyraźnym kształtem w duszy narodów?“ A jednak „Daniel,“ „Daniel“ szlachetny, wspaniałomyślny, serdecznie dobry, kochający i godzien kochania, „Daniel“ syn „Koralii“ nie zdajeż się być żyjącém zaprzeczeniem tych pojęć?

Ale p. „de Bruniquel“ nie jest zdolnym do przeciągania długo podobnéj wycieczki na zawrotnych wyżynach filozoficznéj spekulacyi. Ani sam Delpit także. O Darwina i jego teorye zawadził nawet podobno tutaj autor jedynie gwoli upatrzonemu przez się efektowi scenicznemu. Bo „syn Koralii“ napisany został pierwotnie dla teatru, w formie pięcioaktowéj komedyi, i, nawiasem mówiąc, obiegł napróżno w téj formie wszystkie teatralne dyrekcye stołeczne, dopóki nie trafił w panu Montigny, byłym dyrektorze teatru „Gymnase“ na lepszego znawcę. Rozmowa tedy, w któréj „Daniel“ potępia bezwiednie sam siebie, odsądzając się od prawa do ręki „Edyty“ przed swoim rywalem, musiała przedstawić się autorowi jako *la scène à faire.*

Na tym krótkim urywku filozoficznym poprzestaje Delpit w sztuce i w powieści saméj, do któréj sztuka dostarczyła materyału. Ale rzucone tu mimochodem ziarno nie miało być straconém. Jednego dnia a raczéj jednéj nocy, Sardou, przyprawiony o bezsenność przez Dumasowskie laury, miał przejść tędy, podnieść leżący w ziemi zarodek z wszystkiém do niego należącém, to jest z „Koralją,“ jéj synem i narzeczoną jéj syna, z całym dramatycznym pomysłem Delpita i z całym personalem wchodzącym do tego pomysłu, przechrzcić „Koralię“ na „Żorżettę,“ i napisać prawdziwą sztukę *à thèse*, którąśmy oglądali niedawno w teatrze *Vaudeville.*

Zaszczyt, wyrządzony w ten sposób drugorzędnemu bądź co bądź pisarzowi przez pierwszego z żyjących tu pisarzy dramatycznych, nie wywdzięczył się zbyt pomyślnym rezultatem. Wolno jednak Delpit'owi pocieszać się własnym podwójnym tryumfem, odniesionym przed publicznością słuchającą i czytającą, na scenie i w książce, w komedyi i w powieści. Sardou znudził wszystkich czteroaktową dysputą nad zapożyczonym od Delpit'a tematem. Delpit potrafił zabawić kolejno i wzruszyć wszystkich—co jest podobno najlepszą

jeszcze do powodzenia drogą—pokazując po prostu, jak się para kochanków kocha i jak walczy z narzuconą sobie sytuacyą. Jego „Daniel“. jego „Edyta“ są istotami wyidealizowanemi, podniesionemi do nadprzyrodzonéj wysokości moralnéj, działają jak aniołowie, mówią językiem serafów, ale działają i mówią ładnie, a sytuacya, w któréj umieścił ich autor, jest jedną z najpatetyczniejszych, z jakiemi spotkać się można w teatrze. „Daniel,“ dowiedziawszy się o niesławie swego pochodzenia, wyrzeka się bez chwili wahania wszystkiego, co jest owocem téj niesławy i wszystkiego, co się z nią pogodzić nie może, majątku i zawodu wojskowego, sławy obiecanéj sobie i obiecanego z narzeczoną szczęścia. Czyni to, cierpiąc jak męczennik, ale z męczeńską słodyczą i rezygnacyą, a kiedy nieszczęsna matka pyta go, czy jéj nie przeklina,... czy jéj przebacza, odpowiada jéj:

— Zapominam.

A kiedy prosi go, aby nie poświęcał dla niéj swego szczęścia, aby wyrzekł się raczéj jéj, która nie uznała go za syna przy urodzeniu, nie dała mu swego imienia, odpowiada jeszcze:

— Prawda, nie noszę twego imienia, a więc przyjmij moje. Nie uznałaś mnie, nie uprawniłaś mnie jako swego syna, ale kochałaś mnie, pozwól więc, abym ja uznał cię i uprawnił: uściskaj mnie...

Tylko przed tą, którą umiłował i obok któréj marzył o długich latach szczęścia, przed straconą narzeczoną w ostatniéj pożegnalnéj rozmowie, łzy cisną mu się do oczu. Napróżno stara się on ukryć je pod maską obojętności i chłodu, mówić suchym językiem adwokatów o majątkowych przeszkodach, ona wyciąga go na słowa, dobiera się z niewieścią przenikliwością do ukrywanéj przed nią tajemnicy, porusza wszystkie struny jego uczuć, i wreszcie patrząc mu w twarz mówi:

— Płacz-że pan! umierasz z ochoty do płaczu!

I wtedy pierwsza skarga dobywa mu się z piersi:

— Ach, jakże nielitościwie mnie pani dręczysz! Tak, kocham cię, moja na zawsze stracona towarzyszko życia, i nigdy miłość moja nie była głębszą jak w téj chwili, w któréj przychodzę cię żegnać. Myślałem, że mi sił starczy do odegrania roli do końca, ale nie mogę dłużéj... nie mogę! Tak, płaczę i żegnam cię i umrę z tego, żem cię stracił, ale przez litość zostaw mnie, nie zatrzymuj mnie, nie pytaj o nic... Kocham cię i wyrzekam się ciebie, kocham cię i przyprawiam cię o rozpacz... Teraz ty płaczesz... osądźże, jak straszną jest moja tajemnica, skoro nawet łzy twoje nie mogą mi jéj wydrzéć!... Nie szukaj!... Niezasłużona hańba ciąży na mnie; nie jestem odtąd godny być twoim mężem.

— Ty!—tu uśmiech wspaniałéj dumy opromienia jéj twarz. Powiedz mi, że prawda jest kłamstwem, że słońce jest ciemnością, uwierzę ci prędzéj!..

W kilka dni późniéj, zebrana w domu ojca „Edyty“ arystokracya Montaubańska—rzecz dzieje się na prowincyi—rozkoszuje się złośliwemi komentarzami nad ogłoszoném zerwaniem zapowiedzianego małżeństwa. Ostre języki znęcają się nad nieszczęśliwym „Danielem.“ „Edyta“ słucha dolatujących do jéj uszu jadowitych domysłów i uwag, w milczeniu, ale ze wzrastającą niecierpliwością. Od ciotki swojéj, staréj panny „Cezaryny“, dowiedziała się ona tymczasem o ukrytym dla niéj dotąd sensie napotkanych w niejednéj powieści, a związek z dzisiejszemi jéj zaprzątnieniami mających wyrazów.

— Droga, kochana ciociu, powiedz mi prawdę... chodzi o moje szczęście... wszak jest to zbrodnią dla kobiety miéć kochanka?

Przestraszona ciocia zamyka usta swéj wychowance, zabrania jéj powtarzać okropnego słowa, którego wypowiedzenie samo zniesławić może! Posłuszna „Edyta“ rzuca się cioci na szyję, nie pyta o więcéj, wié to, co wiedziéć chciała, i teraz, w zapełnionym rodzicielskim salonie, gdy z ust zazdrośnego malarza „Morisseau“ wychodzi ostatni przeciwko „Danielowi“ wymierzony pocisk, wstaje i głosem donośnym woła:

— Znieważasz pan mojego narzeczonego, panie Morisseau; to podłość! Nie śpiesz się pan zresztą z oznajmieniem zerwanego między nami związku. Związek ten stał się koniecznym... Daniel jest moim kochankiem woła.

W téj chwili wchodzi, naglącym listem przez heroiczną dziewczynę wezwany, Daniel. Zdumiewa się i protestuje. Edyta przerywa mu mowę.

— Milcz; powiedziałeś mi o hańbie plamiącéj twój honor, chciałam takiéj saméj plamy na moim honorze. To zbliża.

I naturalnie zasłona spada nad skojarzoną napowrót i uszczęśliwioną parą.

Przyczyniło się do zjednania utworowi pana Delpit powszechnego aplauzu kilka drugorzędnych komicznych postaci, specyalnie dla potrzeb optyki teatralnéj wprowadzonych do akcyi, i z tego specyalnego punktu widzenia obmyślanych, ale rysujących się i w powieści saméj dość humorystycznemi sylwetkami, i nieco zużyty, ale nie zawodzący nigdy komicznych intencyi autorskich, typ prowincyonalnego archeologa, zbierającego stare rondle pod nazwą rzymskich hełmów, i nierównie oryginalniejszy typ malarza impresyonisty, który pociesza się po swych niepowodzeniach paryskich, zdumiewa-

jąc Montaubańskich estetyków swojemi teoryami artystycznemi. Malarz ten jest zarazem muzykiem, marzy o nowym systemacie „kolorów harmonicznych,“ o nowych kombinacyach między dwoma „sympatycznemi wcieleniami natchnienia,“ i rozwija w następujący sposób metodę, którą wybiera się zastosować do opracowania zamierzonéj opery:

„Wezmę płótno pięć metrów długie, pięć metrów szerokie, nałożę czerwonego, fioletowego, brunatnego, czarnego, niebieskiego i zielonego; pośrodku wielką plamę żółtą: żółta plama to tenor!“

Bezwzględna krytyka nie dopatrzy i w tym utworze szczęśliwego autora nic wyjątkowo głębokiego, oryginalnego, wytwornego, a doszuka się wielu usterek, wynikających po części z tego antagonizmu ścierających się w nim kierunków artystycznych, który jest znamiennym rysem jego talentu. Myśl jego zatrzymuje się i tu najczęściéj na powierzchniach, nie sięgając do głębi przedmiotu, kiedy nie gubi się we mgłach, albo nie grzęznie znowu w konwenansowych kliszach. Językowi brakuje i tu siły, dosadności, obrazowości, indywidualnego piętna,- wszystkiego jedném słowem, co stanowi styl— choć nie brakuje naturalności, poprawności, jasności i swobody. Jest to jednak zawsze *udatny* utwór i więcéj takich pragnąć nam godzi się a i spodziewać się wolno od pisarza, który w sile wieku i talentu będąc, nie wypowiedział zapewne ostatniego swego słowa.

Delpit drukuje w téj chwili w fejletonie „Figara“ nową powieść p. t. „M-lle de Bressier.“

4. **Claretie.**

Kilka miesięcy temu dzienniki paryskie powtarzały jeden za drugim następujące humorystyczno-żałobne ogłoszenie:

Dnia 14 października, o godzinie 3-éj bez opóźnienia, odbędzie się pogrzeb Juliusza Claretie, literata, zmarłego wskutek dekretu ministeryalnego, powierzającego mu urząd administratora „Komedyi Francuskiéj.“

O człowieku, który mógł dać powód do podobnego żartu, który nie pomyślał o żadnéj przeciwko niemu protestacyi i o którym przypuszczać wolno, że sprawdzi zawartą w żarcie przepowiednią, o człowieku tym powiedzieć wolno także, że chyba nie był literatem prawdziwym, pisarzem z powołania i urodzenia, z krwi i kości. To pisarz z rzemiosła i rzemieślnik pióra, ale nie artysta! Trafiło mu się dziś rzemiosło zyskowniejsze, więc rzucił pióro, i, dopóki pozostanie administratorem „Komedyi Francuskiéj,“ dopóty wydawcy i księgarze płakać po nim będą. Jeżeli zaś, tak jak jego poprzednik Emil Perrin,

(malarz z rzemiosła pierwéj), umrze na przeznaczoném sobie dziś stanowisku, tedy „Jan Mornas,“ noszący datę 1885 roku, pozostanie jego literackim testamentem.

Przegląd bogatéj powieściowéj puścizny „nieboszczyka“-pisarza usprawiedliwia w zupełności to założenie. W przedmowie do „Monsieur le Ministre,“ powieści z r. 1881, przypisanéj Alfonsowi Daudet, autor odzywa się:

„Co chciałem zrobić tym razem? To co chcemy wszyscy w téj saméj godzinie: uchwycić mimochodem tę zamieszania pełną chwilę, te obyczaje nowe, to społeczeństwo prowadzące daléj przedpotopowy hałas, ten świat rozgorączkowany i nie schodzący nigdy ze sceny, ten wszystkim pożądliwościom otwarty ustawicznie jarmark, ten kiermasz wszystkich uciech, który zasmuca nas trochę a bawi nas bardzo i pozwala nam, powieściopisarzom, prostym kandydatom do prawdy, roześmiać się czasem z wiecznych kandydatów do teki ministeryalnéj.“

Już w saméj téj ogólnéj charakterystyce powieściowego spółczesnego ruchu, Claretie odsłania się takim jakim jest, z właściwą swoją *manierą* i z właściwą także ciasnotą poglądu. Ta charakterystyka, w zastosowaniu do całości spółczesnéj powieściowéj produkcyi, to negacya dobréj co najmniéj połowy talentów i dzieł. Gdzież w niéj się podziewa taki Piotr Loti ze swoją „Rarahu“? gdzie sam Zola z takiém dziełem jak „Germinal“? gdzie Jerzy Ohnet i inni? Ci *wszyscy*, o których mówi Claretie, to gromadka pisarzy, których talent jest mu bliższym, bo odpowiada jego własnym instynktom; a jeszcze ci wszyscy, *chcąc* rzeczywiście tego, co on mówi, i tego, czego sam *chce*, *chcą* inaczéj niż on, widzą co innego w owéj „pełnéj zamieszania chwili,“ w owych „nowych obyczajach, w onym rozgorączkowanym świecie.“ Bracia Goncourt widzą tam materyał do mniéj lub więcéj trafnych psychologicznych analiz, Zola temat do mniéj lub więcéj głębokich tez filozoficznych, Daudet bogactwo farb, świateł, cieniów i kontrastów do pysznych swych stereoskopowych kompozycyi, on, Claretie, widzi jedno tylko: kilka kartek z kroniki życia paryskiego, kilka *faits-divers* zebranych z paryskiego bruku. Tę kronikę pisze on z dnia na dzień w fejletonie dziennika „Temps,“ te *faits-divers* zbiera z dnia na dzień ze skrzętnością reportera; skoro zaś nagromadzi się ich spora wiązanka w jego pamięci, oprawia on je w ramy jakiejkolwiek fabuły, i wydaje pod umiejętnie wybranym tytułem u *Dentu*. „Monsieur le Ministre“ jest jedną z takich kompilacyi. Nic więcéj. Dedykując tę powieść w r. 1881 staremu swojemu przyjacielowi i „towarzyszowi drogi“, Alfonsowi Daudet, ulega podobno autor innemu jeszcze natchnieniu niż to, którego dostarczyć

mu mógł popęd czułego serca. Chce podobno zastrzedz się przeciwko oskarżeniom o plagiat i nieszlachetną konkurencyą. „Są,—mówi na wstępie swéj przedmowy,—myśli, które unoszą się w powietrzu, jak pyłek kwiatów. Od lat już wielu zbierałem notatki do téj książki...“ Co znaczy, że pomysł do „Monsieur le Ministre“, powieści wydanéj u *Dentu* z podpisem pana Juliusza Claretie, znaleść się mógł tam, gdzie znalazł się pomysł do „Numa Roumestan,“ powieści wydanéj jednocześnie u *Charpentier* z podpisem Alfonsa Daudet'a,—zawieszony tak samo w powietrzu razem z zapladniającym pyłkiem kwiatów.

I bez téj ostrożności z jego strony, byliby chyba czytelnicy obu utworów uwolnili pana Claretie od wszelkiéj odpowiedzialności. „Monsieur le Ministre“ i „Numa Roumestan,“ to wprawdzie dwie kreacye tak zbliżone do siebie obranym w nich tematem, jak tylko można. „Monsieur le Ministre“ to typ prowincyonalnego adwokata, bez innego talentu prócz gładkiéj swady w gębie, który z tego jedynego daru pomocą dobija się wysokiego stanowiska, i korzysta zeń, nie dla wcielania w czyn wielkich myśli—bo tych brakuje zupełnie w jego głowie—lecz dla używania rozmaitych nastręczających mu się teraz uciech i rozkoszy, w szczególności zaś dla zdradzania z pół-światowemi i cało-światowemi syrenami młodéj, pięknéj i w gruncie serca kochanéj przez się żony. Zamiast „Monsieur le Ministre“ napiszmy teraz „Numa Roumestan,“ a ze zmianą nazwiska odnajdziemy ten sam typ i tę samę nawet fabułę powieści. Tylko na téj tożsamości punktu wyjścia, pomysłu, założenia kończy się analogia dwóch utworów. W wykonaniu, odskakują one natychmiast od siebie, i nic właśnie lepiéj wykazać nie może zasadniczéj różnicy dwóch pokrewnych z pozoru talentów, jak trafiające się tu spotkanie ich dróg u początkowéj mety i prędki ich rozdział.

Wpadłszy na pomysł swego adwokata-ministra, co robi Alfons Daudet? Wynajduje dla wcielenia tego pomysłu postać oryginalną, którą lepi misternemi palcami artysty z osobnéj upatrzonéj gdzieś gliny, w którą wlewa odrębny temperament, którą ożywia intensywném życiem. I pokazuje nam tego adwokata-ministra z przodu i z tyłu, z wierzchu i ze środka. prowadzi nas z nim razem po stopniach jego szybkiéj fortuny. Po kikudziesięciu kartkach, znamy go na wylot, jak gdybyśmy przez pięć lat siadali z nim na ławach szkoły prawa i pijali z nim *bock*' i w knajpach dzielnicy Łacińskiéj. Jakoż są tacy wśród nas, co odnajdują w nim dobrze znajome rysy. To Gambetta! wołają. To południowiec w każdym razie, i w każdym jego ruchu, geście i słowie odbija się piętno tego pochodzenia. Kiedy pośród rodziny lub dobranego koła znajomych puszcza on swobod-

nie cugle bujnéj swéj naturze, natychmiast fantazya strzela mu z czupryny jak szampan z butelki, charakterystyczne wykrzykniki, odnajdujące się w swadzie innego Daudet'owskiego bohatera, Tartarin'a Taraskończyka, *aie*, *ouie*, *avai*, *açavai*, *au moins*, *differemment*, *allons*!... tryskają mu z ust. Kiedy pojawia się na trybunie, to z miną marsylijskiego atlety cyrkowego, ze specyficzną w porywającéj wymowie mieszaniną zapalczywości, werwy i humoru. Kiedy spędza wieczór w towarzystwie panny Bachellery, to w rozpiętéj kamizelce, bez surduta, z rękawami koszuli zakasanemi po łokieć dla przygotowania przedziwnéj brandady prowansalskiéj, niezrównanego specyału, w którego kompozycyi stokfisz walczy o lepsze z czosnkiem!

Nie dość na tém. Aby lepiéj jeszcze nas z nim zapoznać, pokazuje nam go autor w jego właściwém otoczeniu, przenosi nas z nim razem na południe, do rojącego się barwnym tłumem starego, rzymskie czasy pamiętającego amfiteatru w Aps-en-Provence, w środek szalonéj, tysiące par nóg razem z wielkim człowiekiem w taniec rzucającéj *farandoli*. I to jeszcze mu nie wystarcza. Sprowadza on do Paryża w ślad za swoim bohaterem, rzuca na bruk stołeczny całe to ruchliwe, barwne i ekscentryczne południe, przedziwnego „Valmajour'a," króla prowansalskich trubadurów z jego malowniczą rodziną, „Bomparda," drugiego Taraskończyka, „Mèfre'a" z Beaucaire, utrzymającego skład południowych wiktuałów, dziesięciu innych. I wszystko to umiejętnie ugrupowane, ujęte w jedne ramy, składa się na całość artystyczną, na obraz niezrównanie świetny, z którego występuje, na którego tle rysuje się z mistrzowską wypukłością form, główna, główne miejsce zajmująca postać.

Nic podobnego u pana Claretie. Kto jest właściwie p. „Vaudrey," jego adwokat-minister, zkąd się on wziął, jak wygląda, dla czego jest ministrem, na żadne z tych pytań nie odpowiada autor. Pokazuje on nam go tak, jak go sam zobaczył, przechodząc bulwarem. Wyciął jego sylwetkę z ilustrowanego dziennika, doczepił do niéj kilka skandalicznych plotek, podniesionych z bruku, i zeszył jak się udało—nieszczególnie. Minister „Vaudrey" kocha się w „Maryannie Kayser," córce malarza, która kochała się kiedyś w panu de „Lissac" przyjacielu ministra i w kilku innych osobach, a teraz nie kocha się w nikim, ale flirtuje z księciem „de Rosas," którego przywodzi ostatecznie do małżeństwa. Pan „de Lissac" kocha się w pani „de Vaudrey," która zdradzona przez swego męża, oburza się tak gwałtownie na to przeniewierstwo, że chce uciekać z nastręczającym się w osobie pana „de Lissac" towarzyszem podróży. Kto jest właściwym bohaterem téj powieści, „Vaudrey," „Lissac" czy „Rosas"? Chyba „Rosas," bo jego enigmatycznie-ekscentryczna figura

występuje w końcu na pierwszy plan. A co jest właściwą powieści treścią? Czy małżeństwem zapieczętowana intryga „de Rosas'a“ z „Maryanną Kayser, na któréj powieść się kończy, czy upadkiem gabinetu zamknięta ministeryalna karyera „Vaudrey'a“, od któréj się powieść zaczyna? Gdzie zaś w dodatku odbywa się ten początek i ten koniec? W jakim świecie? Adwokat-minister „Vaudrey“ spotyka „Maryannę Kayser“ w salonie pani „Marsy“, gdzie książe „de Rosas“, grand hiszpański, milioner i wielki uczony, opowiada ostatnią swoję podróż w głębi Afryki, i która tedy pani „Marsy“ przyjmuje razem książąt, ministrów, uczonych i — kokotki. Prawda, że „Maryanna Kayser“ przybyła ze swoim byłym kochankiem, panem „de Lissac“, który ją przedstawił, nie wspominając dyskretnie o przeszłości! Gdzie Claretie widział taki świat, takie salony i takie towarzystwa? Nawet reporterskiéj dokładności brakuje w tych obrazach— tak zresztą jak w Figarowych i Gil-Blasowych kronikach salonowych, których autorowie nie widzieli pospolicie w życiu swoim niczyjego salonu.

A już myśli jakiejkolwiek głębszéj, filozoficznéj czy artystycznéj, nie szukać tutaj. Kiedy Alfons Daudet wprowadza na scenę swojego „Roumestan'a, tedy ma na oku historyczny fakt tego prawdziwego najazdu południowych karyerowiczów, prowansalczyków i gaskończyków, którego w ostatnich czasach doświadczył Paryż i kreśli genezę tego faktu. Nic podobnego u Juliusza Claretie. Po za *materyalną* stroną spisywanych przezeń zdarzeń po za wizerunkiem *zewnętrznym* kreślonych przezeń postaci niemasz dla niego nic. Widnokrąg jego nie sięga daléj.

Jakim zaś jest on w téj powieści, takim pozostaje we wszystkich innych. Rodzaj ich nie zmienia się i nie zmienia się zastosowany doń proceder. Zawsze na początku kilka czy kilkanaście opisowych kartek, scena jakowaś z paryskiego życia, obraz kulis opery w „Monsieur le Ministre“, obraz otwarcia „Salonu“ w „Le Million“, widok śniadania na pokładzie płynącego Sekwaną statku w „Le Prince Zilah“ i t. d. Wszystko niby pochwycone z natury, niby oddane z drobiazgową dokładnością i bogactwem szczegółów, a przecież nie chwytające oczu nakształt opisów Zoli, nie udzielające złudzenia rzeczywistości i nie rzeczywiste istotnie najczęściéj, nie realne mimo pretensyi do realizmu, *nie widziane.* „Vaudrey“, mianowany ministrem od kilku dni, wchodzi do „foyer“ tancerek opery. Wszystkie oczy zwracają się ku niemu, „a na kanapach, na około luster, gromada młodych ludzi, poprawnie ubranych i łysych, otoczonych— może przypadkiem—przez gromadę tancerek, które się śmieją, schowała się nawpół za spódnicami sąsiadek, schylając głowy i pokazu-

jąc łysiny, jak kobieta, która nie chce widzieć kogoś, chowa się nawpół, wtykając nosek w swój bukiet. Spostrzegając ten manewr, minister uśmiechnął się. Poznał swych podwładnych z prefektur i podprefektur bliskich Paryża, przybyłych z Wersalu albo z Chartres i administrujących Francyą z głębi kulis Opery.“ — Oto próbka stylu i maniery autora. Mniejsza już o styl, którego chropowatość, niejasność, ciężka i dziwaczna składnia niedostatecznie jeszcze odbijają się w moim przekładzie. Ale kogóż taki opis złudzić potrafi? Komu zdoła wyperswadować, że „foyer“ operowe roi się od prefektów i podprefektów — zwłaszcza od podprefektów republikańskich, biedaków mających zaledwo z czego żyć w swych prowincyonalnych dziurach!

Za pierwszym rozdziałem wypełnionym regularnie przez jeden z takich obrazków, idzie regularnie drugi rozdział, w którym autor zapoznaje nas bliżéj z głównemi postaciami powieści. Ale jakże powierzchownie zawsze! O głębszą znowu psychologiczną analizę charakterów pytać go nie należy. Ani o wielką w ich kreśleniu logikę, ani o wielką prawdę Typy to fantastyczne jak „książe de Rosas“, który dowiadując się przypadkiem, w godzinę po ślubie, o przeszłości swéj dość nieoględnie wybranéj małżonki, skazuje ją na wieczyste, „*hasta la muerte*“ („aż do śmierci“, podług rodowéj swéj dewizy) zamknięcie w Fuentacarralskim zamku pod Toledo, jak pokrewny mu fantastyczną charakterystyką i tragicznym losem, tylko z węgierska tym razem przebrany „książe Zilah“; albo typy konwenansowe znowu, przekopiowane żywcem z króla wszystkich konwenansowych portrecistów Balzac'a, jak odnajdujący się w kilku powieściach „bankier Molina“, Molina *le tombeur*, kupujący sumienia ministrów i serca baletnic, trzęsący giełdą i kulisami opery, wesoły, rubaszny i hulaszczy, typ nie istniejący w dzisiejszym przynajmniéj świecie finansowym.

W trzecim rozdziale zawięzuje się intryga, a raczéj zawięzują się intrygi, bo jest ich pospolicie co najmniéj dwie, które plączą się i kleją się jak mogą. Źle najczęściéj i dziwacznie. Pełno tu nieprawdopodobieństw, sprzeczności i prostych nonsensów. „Marsa“ narzeczona „księcia Zilah“ dała się rokiem pierwéj uwieść „hr. Stenko“, o którym nie wiedziała, że jest żonatym. „Stenko“, zawsze zakochany, domaga się od dawnéj swéj kochanki jednorazowego przynajmniéj powrotu do łaski, przed ślubem, obiecując w zamian zwrot posiadanych przez się listów—co jest tém brzydszym z jego strony postępkiem, że „książe Zilah“ uznaje w nim najlepszego ze swych przyjaciół. „Marsa“ odmawia. „Stenko“ wybiera się wtedy posiąść gwałtem to, czego nie może otrzymać dobrowolnie, a ponieważ posiada klucz otwierający boczną furtkę parku, pośród którego wznosi się

willa zamieszkana przez „Marsę“, przeto zapowiada nieczułéj ekskochance rychłe odwiedziny. Ostrzeżona w ten sposób „Marsa“, wié o furtce i o kluczu; mogłaby zmienić zamek, albo dodać doń prostą zasówkę, albo postawić nocnego stróża, albo wreszcie zamknąć po prostu drzwi swojego pokoju, do których „Stenko“ nie posiada klucza. Ale nic podobnego nie przychodzi jéj do głowy. Dlaczego? Dlatego, że inaczéj nie było by powieści. „Marsa“ zostawia przeto rzeczy *in statu quo*, ale rozkazuje spuścić z łańcucha ogromne brytany, niezmiernie złośliwe, które rzucają się na przybywającego nocą Don-Juana i kaleczą go niemiłosiernie. Zaczém do żywego przez ich zęby i przez „Marsy“ niegodziwość dotknięty „Stenko“ mści się, posyłając swojemu przyjacielowi, „księciu Zilah“, miłosną wspomnianą już korespondencyą, którą powierza swemu służącemu, rozkazując, aby doręczył ją *przed ślubem*. Służący spóźnia się niewiadomo dlaczego i przybywa *po ślubie*. I ztąd katastrofa. Wszystko zaś to dzieje się w Paryżu, albo pod Paryżem i wszystkie mniéj więcéj pomysły autora odznaczają się tym samym stopniem prawdopodobieństwa i dorzeczności.

Nie stanowi w tym względzie wyjątku sam ostatni jego utwór, choć niby na głębszém filozoficzném założeniu oparty, poruszający moc fizyologicznych, psychologicznych, etycznych, prawnych i ogólno-społecznych zagadnień. Mimo tych wszystkich danych „Jan Mornas“ to jeszcze i zawsze pod piórem Juliusza Claretie prosty *fait-divers*, z szablonową reporterską biegłością obrobiony. Autor zawadził przypadkowo o przedmiot głęboki, ale swoim zwyczajem zatrzymał się na jego powierzchni. „Jan Mornas“, młody i ambitny doktór medycyny bez klienteli, spotyka młodą i piękną dziewczynę „Łucyą Lorin“ z sercem bez zajęcia; rozkochuje ją, a dostrzegłszy w niéj przypadkiem skłonność do łatwego poddawania się wpływom magnetycznym, obmyśla zużytkowanie tego odkrycia dla zapewnienia sobie szybkiéj fortuny; usypia snem letargicznym niewinną swoję ofiarę i rozkazuje jéj udać się nazajutrz do Wersalu, do znajomego sobie pana „de la Berthiere“, starego sknery, dobyć z upatrzonéj przez się kryjówki przechowywaną w niéj kwotę i przynieść ją sobie. Ulegając potędze magnetycznego zaklęcia, mimo walczących z niém w jéj szlachetnéj duszy oporów i wstrętów, nieszczęśliwa „Łucya“ spełnia rozkaz. Gdy zaś ślepy i sparaliżowany p. „de la Berthiere“ zrywa się, zbierając ostatek sił dla bronienia swego skarbu, odpycha go ona tak gwałtownie, że biedny starzec padając na wznak, rozbija sobie czoło o krawędź jakiegoś sprzętu i kona. „Łucya“ wraca do swojego kochanka z pieniędzmi, ale nazajutrz policya trafia na jéj ślad i aresztuje ją. „Jan Mornas“ ucieka ze swoją zdo-

byczą, ale uśpiona napowrót przez przywołanego do śledztwa specyalistę, niewinna wspólniczka zbrodni wyjawia prawdziwego jéj sprawcę. Telegraf ściga go i dogania na granicy włoskiéj, ale przegrawszy tymczasem zdobyte przez się banknoty w Monte-Carlo, „Jan Mornas“ wyrządza sam sobie sprawiedliwość—strzelając sobie w łeb z rewolweru, nakształt pierwszego lepszego z niefortunnych klientów nieboszczyka Blanc.

Co to takiego ta powieść? Czy *medyczno-sądowe* studyum w saméj rzeczy, jak chce autor, w przedmowie, przypisującéj dzieło doktorowi Horteloup? Gdzież tam! To proste *compte-rendu* z pierwszego lepszego z tych pseudo-naukowych doświadczeń, któremi od roku popisuje się codziennie po rozmaitych salach publicznych, kawiarniach i salonach cała gromada samozwańczych naśladowców doktora Charcot. Być może zresztą, iż autor zawadził o samego doktora Charcot i przypatrzył się własnym jego doświadczeniom, podejmowanym na niewieściéj, histerycznéj klienteli szpitalu *de la Salpétrière*. Ale czy wniknął w naukowy sens tych doświadczeń? Czy zapytał znakomitego specyalistę o sekret jego poglądów i wniosków? Czy zajrzał przynajmniéj do jego dzieł, do protokółu jego sprawozdań naukowych i komunikatów udzielonych przezeń Akademii medycznéj? Czy zestawił je z teoryami jego współzawodników, doktorów Lhuys, Richet, Broca, Brémaud? Gdzież tam znowu! Ani pomyślał o czémś podobném. Powtórzył po prostu to, co widział i co widziały i powtarzają dziś w potocznéj rozmowie tysiące osób. A za przykładem tych tysięcy widział i powtórzył bardzo niedokładnie i powierzchownie. Nie uderzył go nawet jeden charakterystyczny przecież i doniosłości pełen szczegół. Łatwość trafiająca się u pewnéj—bardzo ograniczonéj, jak sądzę osobiście—liczby istot do przyjmowania pewnych poddawanych im natchnień jest faktem skonstatowanym. Istoty te chodzą, ruszają się, spełniają rozmaite czynności, podług udzielanych im, w czasie uśpienia magnetycznego rozkazów, i powtarzają te czynności *nawet po obudzeniu*, jeżeli otrzymały odpowiednią w tym względzie wskazówkę. Można tedy wymódz na poddanym takim doświadczeniom osobniku, aby uderzył w twarz swego sąsiada, aby wyciągnął mu zegarek z kieszeni, albo strzelił doń z rewolweru. I wędrujący po Paryżu *hypnotyści* powtarzają do uprzykrzenia te próby. Ale są pewne rzeczy, których *nie można*, pewne próby ze stałem spotykające się niepowodzeniem Sam dr. Charcot w *la Salpétrière* nie potrafił nigdy skłonić żadnéj ze swych pacyentek do popełnienia jakiegokolwiek czynu przeciwnego *wstydowi niewieściemu*. Zkąd tenże dr. Charcot i inni poważni hypnotyści wyprowadzają ten wniosek, że magnetyczną drogą udzielane pobudki bez-

silnemi pozostają wobec silnego oporu naturalnych instynktów i wywierać mogą swój wpływ jedynie *w granicy naturalnych skłonności osobnika*, — i ten drugi wniosek, że magnetyczne uśpienie nie usuwa nigdy w zupełności *samowiedzy*. Młoda dziewczyna, która przed chwilą, posłuszna otrzymanemu rozkazowi, wymierzyła bez wahania rewolwer przeciwko własnéj matce, wzdryga się teraz przed zaleconém jéj obnażeniem téj lub owéj części własnego ciała i odmawia stanowczo posłuszeństwa hypnotycznéj potędze. Dla czego? Dla tego wnoszą uczeni specyaliści, że domyśla się ona, w pierwszym przypadku, że rewolwer nie nabity, a wié w drugim, że oczy, których się wstydzi, na nią patrzą.

Ale co wobec tego faktu dzieje się z wymyśloną przez p. Claretie fabułą i z przywiązanemi do niéj przezeń naukowemi pretensyami? W niedawno ogłoszonéj i sympatycznie przez publiczność przyjętéj powieści innego, poczynającego i mniéj pretensyonalnego autora w „Le Garde du Corps“, pana Duruy, hypnotyzm odgrywa także wielką i tragiczności pełną rolę.—Trudno dziś o powieść, która by się obchodziła bez hypnotyzmu. — Podejrzywający nagle żonę swoję małżonek zagląda jéj w oczy, usypia ją natychmiast tém w płyn magnetyczny uzbrojoném spojrzeniem i wydziera jéj tajemnicę zbrodniczéj miłości wraz z nazwiskiem kochanka. Pod względem naukowym „Jan Mornas“ stoi na téj saméj prawie wysokości.

Nie chciałbym przeto odmawiać talentowi tak poczytnego bądź co bądź i wybitne do dnia wczorajszego stanowisko w powieściowym ruchu spółczesnym zajmującego autora wszelkich zalet i przymiotów. Posiada on niezaprzeczenie dużo zręczności, pomysłowości, werwy; wyrobiony smak i prawdziwy *zmysł aktualności*. Tylko przymioty te i zalety nie wystarczają do usprawiedliwienia ambicyi pisarza, który chce być malarzem swojéj epoki, jéj ludzi, obyczajów, namiętności, tendencyi, przekonań, przesądów.... Maluje on ją, ale, aby użyć technicznego wyrażenia, maluje ją *de chic*, to jest nie z natury a z pochwyconego, a własną fantazyą dopełnionego wrażenia. Realista niby, realista z instynktu i przekonania, ale zadawalniający się kopiowaniem nie modelów żywych lecz manekinów. Pierwszy, w ostatecznéj analizie, ze spółczesnych fejletonistów, pisarzy *à la ligne*, pierwszy przed Hektorem Malot, Adolfem Bélot, Karolem Mérouval.... Jest ich cały tuzin, kładących z roku na rok i prawie z miesiąca na miesiąc tom na tomie, figurujących ze swojemi trzystoma wierszami na parterze trzech naraz dzienników, a zarówno pozbawionych wszelkiego osobistego artystycznego kierunku i ideału, zarówno naśladujących rzucone w obieg publiczny wzory, czepiających się to Alfonsa Daudet, to znowu Jerzego Ohnet, nigdy własne-

go, oryginalnego, indywidualnego natchnienia. Taki Karol Mérouval, niegdyś adwokat, zapisany do literackiego cechu od lat pięciu zaledwo, znalazł już możność wyprodukowania coś dwudziestu powieści, z których jedna i druga w trzech tomach. Ten naśladuje głównie Oktawiusza Feuillet; czasem jednak, jak mi to sam tłómaczył, zapożycza się u Zoli, i tak czy siak znajduje debiut w fejletonie małéj „République Française“ i u *Dentu*, i zarabia z jakie 30,000 fr. rocznie. Zarabia niewiele stosunkowo. Takiemu Hektorowi Malot kontrakt zawarty z „Petit Journal“ w epoce, w któréj dziennik ten nie odbijał się jeszcze w 900,000 egzemplarzy, przynosi około 250,000 rocznego zarobku. Drugi to pisarz-eklektyk. Swojego czasu, kiedy pisał „Sans famille“, oglądał się na Dickensa. Późniéj w „Germaine“, gdzie wprowadził na scenę rodaka naszego „księcia Sobolewskiego“, w nie nadto sympatycznéj roli, (podobno dla wypłatania figla książęcemu koledze od pióra z polskiém nazwiskiem, ten sam, do którego dowcipny Aurelian Scholl odezwał się kiedyś: „*tu n'es ni prince, ni lu, ni beau et je ne suis pas même sur que tu sois Mirski*“) zachwycił coś z maniery Cherbulieza. Ale czasy zmieniły się. Zawiały nowe wiatry. Bracia Goncourt wytworzyli szkołę, która dobiła się wielkiego rozgłosu, Guy de Maupassant stał się poczytnym autorem; niech żyje tedy metoda eksperymentalna! „Le lieutenant Bonnet“, ostatni utwór pana Hektora Malot ma czém zadowolnić najwybredniejszych naturalistów. Niemasz tam cienia prawie intrygi powieściowéj, żadnego założenia, żadnego rozwiązania i żadnych epizodów; ale jest wierny, w stylu wojskowego raportu, spisany protokół życia garnizonowego, inwentarz półkowych remanentów, rejestr oficerskich powinności, budżet oficerskich dochodów i rozchodów, *menu* oficerskiéj kuchni i t. d. Niech przeczyta, kto potrafi. Potrafiłem sam, bo lubię robić rzeczy sumiennie. Ale nie radzę nikomu. Wolę już stanowczo pana Claretie. Co nie przeszkadza temu, że od trzech miesięcy „Le lieutenant Bonnet“ doczekał się dziesiątego czy któregoś wydania. Militarya są w modzie; mundury oficerskie „robią *flores*.“ Najdogodniejszy to sposób przygotowania sławnego „odwetu.“ Wiedział téż Malot co robił, obierając ten temat; i na umiejętném upatrywaniu takich tematów, na owym zaznaczonym u niezaprzeczonego szefa téj powieściopisarskiéj szkoły *zmyśle aktualności* polega w znacznéj części sekret jéj powodzenia i jéj artyzmu.

5. **Paweł Bourget.**

Z Pawłem Bourget wracamy w sferę poważnéj literatury. Pisarz to znany od wczoraj zaledwo, ale już głośny. Napisał jednę dotąd

powieść tylko (1), ale ta powieść—„Cruelle énigme“—jest we wszystkich rękach— zwłaszcza we wszystkich *rączkach*. Ten nie naśladuje nikogo; ten umie być samym sobą; sam czegoś chce i czegoś szuka. Czego? Odpowiedzi na jedno z tych drażniących pytań, rozwiązania jednéj z tych bolesnych w saméj rzeczy zagadek, rzuconych dziś w obieg publiczny przez nowy w otaczającém go społeczeństwie zwrot ku filozoficznym zaprzątnieniom, wśród których przeważa silnie zarysowana pesymistyczna tendencya. Skąd ten zwrot i skąd ten pesymizm? Z wstrząśnienia wywołanego w umysłach pamiętnemi katastrofami „strasznego roku“? Z przedłużającego się od owéj pory niepewnego, chaotycznego układu stosunków społecznych? Z bliższego zetknięcia się tutejszego świata umysłowego ze światem niemieckim? Z wszystkich tych źródeł zarówno, podług wszelkiego prawdopodobieństwa. Jedna to z form téj wielkiéj, uniwersalnéj „newrozy“, która pozostanie w historyi tego społeczeństwa charakterystyczném znamieniem dzisiejszéj doby i dzisiejszego pokolenia.

Potężniéj oczywiście odbiły się te wpływy na temperamentach wrażliwszych, w duszach artystycznych i niewieścich. W niewieścich to nawet wyobraźniach znalazł podobno specyalny pesymizm niemieckiéj szkoły grunt dla siebie najprzyjaźniejszy. Ta lub owa *mondaine*, zdradzająca słabe pojęcie o własnych francuskich klasykach, a nawet o ortografii. zdumiewa swych słuchaczy cytatami z Schopenhauera, Hartmana i Moleschotta — co jéj nie przeszkadza zresztą, w pospolitym biegu rzeczy, ubierać się u Worth'a i kotylionować do piątéj rano. Schopenhauer, Hartman, pesymizm i rozstrój nerwów odnajdują się za powrotem do domu, w towarzystwie migreny. Ta sama także niewieścia publika przyczyniła się głównie do téj wziętości, jakiéj w ostatnich czasach doczekała się tutaj rosyjska literatura powieściowa, a zwłaszcza dwaj jéj reprezentanci, dwaj pesymiści i nerwo-pacyenci: Tołstoj i Dostojewski, wziętości, która należy także do charakterystycznych rysów chwili bieżącéj, i która nie pozostanie bez wpływu na rozwój i powieściowéj tutejszéj twórczości i umysłowego wogóle ruchu.

Paweł Bourget jest specyficznym produktem tych wszystkich pierwiastków. Jego pierwszą próbę na polu powieściopisarstwa popoprzedzające: „*Essais de Psychologie Contemporaine*“, z portretami Baudelaire'a, Renana, Flauberta, Taine'a i Stendhala, wskazują

---

(1) Druga powieść Bourget'a p. t. „Crime d'amour“ drukuje się obecnie w *Nouvelle revue*. — „Bolesną zagadkę“ pomieściła *Gazeta polska* r. 1885 w tłómaczeniu p. W. Bogusławskiego.

w nim myśliciela, oswojonego z zawrotnemi ścieżkami, po których chodzi, z przepaścistemi głębiami, w które się zapuszcza... myśl zareńskich sąsiadów. Czytał on niezawodnie także we francuskich spopularyzowanych dziś przekładach „Prestuplienje i Nakazanje“ Dostojewskiego, „Annę Karenin“ Tołstoja. Zachował wszelako sporo z przyrodzonéj francuskiemu umysłowi lekkości. Ztąd dziwne nieraz w jego osobnéj manierze kontrasty, uderzający, częstokroć prawie śmieszny antagonizm między treścią a formą, między przedmiotem, na którym się wyobraźnia autora zatrzymuje a komentarzami, które doń pracująca jego myśl przyczepia. Oto próbka ze wstępu jego powieści zapożyczona. Chodzi mu o przedstawienie czytelnikowi dwóch kobiet, matki i córki, które mimo dzielącéj je różnicy wieku uderzają podobieństwem rysów. Zjawisko to dość powszednie, dość naturalne i nie odgrywające, nawet w założeniu autora, żadnéj nadzwyczajnéj roli. Oto jednak w jaki sposób on z niém się obchodzi:

„Ludzie przyzwyczajeni do odczuwania za pomocą swéj wyobraźni (?) znają dobrze ten rodzaj melancholii, bez analogicznego w świecie uczuć przykładu, którą narzuca nam podobieństwo nadto zupełne między matką a córką, kiedy matka ta ma lat pięćdziesiąt, córka lat dwadzieścia pięć i kiedy jedna staje się tym sposobem niby widmem przedwczesném téj starości, do któréj dąży druga. Jakże płodném w gorzkie ostrzeżenia jest dla zakochanego to widzenie nieuniknionego zwiędnienia czekającego piękność, w któréj się dziś lubuje! Bezinteresownemu widzowi takie podobieństwa dostarczają natomiast obfitego materyału do rozmyślań. Rzadko bowiem trafia się, iżby analogia rysów w dwóch twarzach sięgała aż do identyczności; rzadszą jest jeszcze zupełna tożsamość obustronnego wyrazu. Zazwyczaj z jednego pokolenia na drugie urzeczywistnił się niby pochód naprzód wspólnego temperamentu. Przeważający w fizyonomii przymiot stał się bardziéj wydatnym, wykazując za pomocą widomego symbolu rozwój charakteru, rezultat dziedziczności. Zanadto delikatna już pierwéj twarz wydelikatniła się jeszcze; zmysłowa zmateryalizowała się; twarda stwardniała i wyschła. Ale zwłaszcza w epoce, w któréj życie dokonało już swojego dzieła, w któréj matka przeszła sześćdziesiąty rok a córka czterdziesty, to stopniowanie w podobieństwach staje się jakby namacalném dla badacza, a z niém razem rozwija się przed nim historya moralnych okoliczności, pośród których żyła i walczyła ta dusza dziedziczna wspólnéj rasy, któréj dwie te istoty wskazują dwie etapy. Widzenie fatalnych wpływów krwi jest wtedy tak jasném, że czasem ściska serce. W takich to spotkaniach, nawet przed umysłami najwięcéj pozbawionemi zmy-

słu ogólnych pojęć, odsłania się nieubłagana, tragiczna działalność praw natury....“

Czy ta nieubłagana, zgodzić się można na to, a dla czego koniecznie tragiczna, tego wytłómaczyć się nie podejmuję, działalność praw natury wykazać nam ma swoję potęgę w dalszym ciągu powieści, czy doprowadzić nas ma do jakiéj aktualnéj tragedyi, czy ona to stanowi ową „bolesną zagadkę“, obraną za temat przez młodego autora? Nie. Nie spotkamy się już z tą potęgą i jéj tragicznemi fatalnościami po za tą pierwszą kartką książki. Zagadka, którą sobie i autor postawił, jest innéj natury. Na téj pierwszéj kartce chciał nas on tylko zapoznać z panią „Castel“ i z panią „Liauran“, babką i matką bohatera powieści, „Huberta Liauran“; ale przypomniał sobie mimochodem Schopenhauera, Moleschota, Darwina i niewiem kogo jeszcze i puścił wodze swéj żyłce filozoficznéj.

Właściwa zagadka, przedmiot powieści, przedstawia się jak następuje.

Dwudziestoletni „Hubert Liauran“ zakochał się, wzorem wielu dwudziestoletnich młodzieńców, w starszéj dziesiątkiem lat od siebie pani „de Sauve“, którą, wzorem zawsze swoich rówieśników, ubrał, przystroił, w swojéj wyobraźni, we wszystkie najwspanialsze przymioty ciała i duszy. Miłość ta, podzielana przez panią „de Sauve“— nadmieniam, jeżeli komu wiadomość ta potrzebna, że pani „de Sauve“ ma męża—i przez długi czas czysta, dzięki niewinnéj wstrzemięźliwości młodego „Huberta“ i powstrzymującemu panią „de Sauve“ sentymentalnemu usposobieniu, doczekuje się ostatecznie naturalnego, psychologiczno-fizyologicznego momentu, w pełnym angielskiego komfortu apartamencie „Star-Hotelu“, w Folkestone, dokąd udała się pani „de Sauve“, korzystając z nieobecności podróżującego po Algieryi pana „de Sauve“, i dokąd za nią podążył młody „Hubert.“ Dla dwudziestoletnich kochanków psychologiczno-fizyologiczne momenta trafiają się najczęściéj w podróży i w hotelowych apartamentach. Można tylko powinszować Bourget'owi trafności jego spostrzeżeń w tym względzie. Spotkanie zakochanéj pary w nadmorskiéj przystani opowiedzianém jest zresztą ładnie, w stylu świeżym i harmonijnym. Scena, w któréj pani de „Sauve“, bez narażenia swego wstydu niewieściego na zbyt upakarzającą kapitulacyą, przywodzi swego rumieniącego się adonisa do złożenia mniéj eterycznych niż dotąd darów na jéj ołtarzu, traktowana dyskretnie, mimo swego absolutnie realistycznego charakteru i ze smakiem.

Ale tu w chwili, w któréj idylla się kończy, zaczyna się dramat. Wśród nocy „Hubert Liauran“ budzi się, widzi swoję kochankę zalaną łzami. Przestraszony pyta o powód.

— Nic to. To łzy wdzięczności.... Ale czemuż nie zabrano mi ciebie zawczasu?.. (*sic*). Ach, jakżem niegodna ciebie!

Niegodna? Dlaczego? To właśnie zagadka, a raczéj początek zagadki, którego to początku rozwiązanie odkrywa się niebawem przed łatwowiernym młodzieńcem. Dla tego, że pani „de Sauve", obdarzona istotnie szlachetném sercem, ale także wrażliwym umysłem i gorącym temperamentem, miała już kilku kochanków, starszych od „Huberta" i mniéj od niego niewinnych. Teraz kocha go ona prawdziwie, przywiązała się całą duszą do téj miłości, która ją podnosi i rehabilituje niejako we własnych oczach, ale w kilka miesięcy późniéj, oddalona od niego skutkiem przedłużonego pobytu w Trouville, spotyka tam przystojnego i przedsiebiorczego hrabiego „de La Croix Firmin". Jednego dnia, „w jedną z tych upalnych godzin, w których wola nasza czuje się jakby słabą", hrabia odwiedza ją, okazuje się śmielszym niż kiedykolwiek, i kochając zawsze swego „Huberta" tą samą nienaruszoną miłością, pani „de Sauve" oddaje się hr. „de La Croix Firmin", „zrazu przez słabość, a potém namiętnie, z wściekłością."

Dlaczego? Dziesiękroć stawia sobie to pytanie biedny, przez usłużnych przyjaciół ostrzeżony „Hubert" i nie znajduje odpowiedzi. „Tak, ona kochała go, kocha go teraz jeszcze. Są łzy, są uściski, jest ciepło duszy, które nie kłamie. Kocha go i zdradziła go! Oddała się innemu, z jego własném imieniem w sercu, po sześciu zaledwo tygodniach rozstania! Ale dlaczego? dla czego? Popchnięta jaką siłą? Porwana jakim zawrotem głowy? ogarnięta jakim szałem fałszywym?"

I sam autor nie rozwiązuje téj zagadki, a rozwiązanie powieści, do którego nas doprowadza, pozostaje równie enigmatyczném. Naturalnie „Hubert Liauran" przeklął zdradziecką kochankę, chociaż zdrada jéj trwała trzy dni zaledwo, „po których obudziła się ona ze zmysłowego swego obłędu jak ze snu." Przypadek jednak zbliża ich niebawem w ustronném mieszkanku paryskiém, które dawało niegdyś dyskretną gościnę ich miłosnym schadzkom, a do którego przybywają teraz: ona—aby zobaczyć raz jeszcze swój raj utracony, on—aby oddać klucze tego raju odźwiernemu. On nie przebaczył, a ona nie śmie nawet prosić o przebaczenie. Ale w chwili ostatecznego rozstania się ręce ich zbliżają się przypadkiem, i obustronny poryw zmysłów rzuca ich „w jeden z tych uścisków obłędnych i milczących, w których roztapiają się wszystkie swary, słuszne i niesłuszne, ale także wszystkie pojęcia o godności." I wiedzą oboje: ona — że go odzyskała napowrót, on — że został napowrót pochwyconym, ale przez to, co jest w nim „ciemniejszego i mniéj szlachetnego." Niebawem rozwiane upojenie pozwala mu porównać to, co odczuł przed

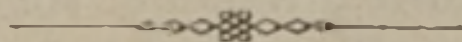
chwilą z tém, co odczuwał dawniéj. „Symbol dopełnionéj zmiany uwydatnia się przed jego oczami w kontraście między brutalną rozkoszą doświadczoną na téj oto kanapie, a boską wstydliwością minionych dni.“ Pozbywszy się pierwéj szacunku dla swéj kochanki, pozbywa on się go teraz dla siebie samego, „ale ponieważ jéj usta drżą od rozkoszy i pieszczot, więc oddaje on im ich pocałunki.“

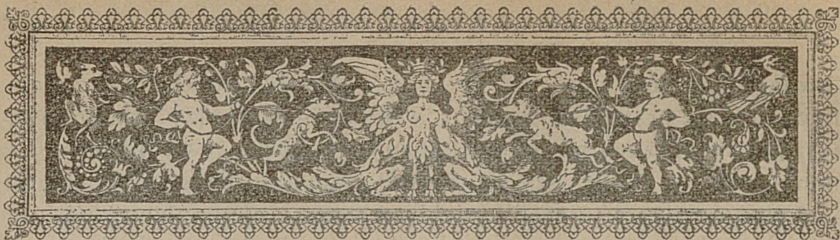
I pani „Castel“ z panią „Liauran“ spostrzegają się wprędce, że ta nieszczęsna namiętność, z któréj mieniły go wyleczonym, odrodziła się w ich wnuku i synu tylko przeistoczona i przeistaczająca jego samego, „bo niestety głęboka-to prawda, że człowiek jest takim, jaką jest jego miłość.“ — „Ale ta miłość czemu i skąd się ona u nas bierze? Pytanie bez odpowiedzi, i, tak jak zdrada kobiety, jak słabość mężczyzny, jak życie samo, bolesna, bolesna zagadka!“

Na tych słowach zamyka Bourget swoję rzecz o losach „Huberta Liauran“ i pani „de Sauve,“ a ja zamykam moję rzecz o panu Bourget i o realistach wogólności. W stosunku do przyszłości młodego autora, jedyna ta jego, w ciągu roku zeszłego ogłoszona powieść zachowuje także charakter zagadkowy. Widać w niéj niezaprzeczone znamiona niepospolitego talentu, obok charakterystycznych cech wielkiego niewyrobienia. Posiada niewątpliwie Bourget rzadki dar obserwacyi, analizy psychologicznéj a nawet stylu, myśli i formy, ale nie posiada dotąd dostatecznego panowania ani nad myślą, ani nad formą. Pierwsza bywa często niejasna, druga rzadko poprawna— grzesząc często pretensyonalnością przez ubieganie się o oryginalność. Co się z tych wszystkich danych wyrobi, to zagadka.

I o całości zresztą realistycznéj szkoły wogólnym jéj składzie wyniesie zapewne czytelnik z kończącego się tu sprawozdania to pojęcie, że pozostaje ona na wyrobku i stanowi ze swojéj strony zagadkę—choć mniéj bolesną od tych, które porusza Bourget.

Kazimierz Waliszewski.





DUSZA JAKO POJĘCIE PRZYRODNIKA.,

Dusza katechizmowa. — Zdyskretowanie duszy katechizmowéj i nowe pojęcie duszy, jako symbolu streszczającego wszystkie zjawiska psychiczne.— Niektóre zdobycze psychologii dzisiejszéj. — Samoświadomość z brakiem wyobrażenia duszy, jako stadyum poprzedzające powstanie wyobrażenia duszy.—Dusza homeryczna.—Uwaga, wola—jaźń.—Rehabilitacya duszy katechizmowéj, jako dalszego stadyum w rozwoju samoświadomości.—Paradoks wynikający ze stosunku idej do pojęć.

W obec tego, że każda wykształcona jednostka musiała przynajmniéj raz jeden zmienić swój pogląd na duszę, przejść chociażby od grubego wyobrażenia duszy, jako „ducha" widzialnego, do wyobrażenia duszy niemateryalnéj i niewidzialnéj,—nie będzie zapewne pozbawioném interesu przedstawienie zmian, przez jakie pod tym względem przeszedł przyrodnik. Wskazanie czynników, które te zmiany wywołały, i uzasadnienie poglądu ostatecznego, do jakiego obecny stan nauki doprowadza, więcéj niż kiedykolwiek potrzebném jest dziś, gdy w literaturze spotkać można tyle zdań niezgodnych, tyle twierdzeń wprost przeciwnych, a jednak równe mających pretensye.

Nie będę się rozwodził nad duszą-widmem, jaką sobie wyobrażałem w dzieciństwie, dzięki pomocy intelektualnéj ze strony piastunki, a wprost przejdę do urabiania się w moim umyśle pojęcia „duszy" pod wpływem systematycznego kształcenia.

W pierwszych już kilku latach nauki metodycznéj, zdawało mi się, dobrze zrozumiałem, co to jest dusza, gdy katechizm wytłómaczył, że jest nią to, co w mojém ciele myśli i niém rządzi. Brakowało mi tylko jéj obrazu, czułem bowiem, że nie mogę już korzystać z dawniejszego wyobrażenia; z czasem jednak myśleć o tém przestałem, godząc się z orzeczeniem katechizmu, że dusza jest niewidzial-

ną, że zatém nie ma poważnéj racyi pracować nad określeniem jéj formy. Wystarczało mi, gdy czułem, że jest we mnie coś, co kieruje mojemi myślami i wolą, i że to coś na chwilę nawet istniéć nie przestaje. Budząc się po głębokim śnie, znajdowałem, iż ono bynajmniéj nie zostało osłabione, ani zmienione. Ta chwilowa przerwa świadomości tylko ułatwiła mi pojęcie nieśmiertelności duszy: rozumiałem, jak dusza może nie umrzéć, chociaż ciało stanie się łupem śmierci. Katechizm przemawiał wtedy do mnie słowami człowieka, który utrzymuje, że słońce nie przestało świecić, chociaż przed okiem mojém zakryły je chmury,—że skoro wiatry zasłonę rozwieją, blask jego znowu moją wesołość ożywiać będzie.

Wcześnie zacząłem zajmować się fizyką; przerobiłem wiele doświadczeń. Ilekroć przygotowałem wszystko, jak się należy, doświadczenie zawsze mi się udawało. Wyrobiłem sobie pojęcie o niezmiennném, niewzruszalném następstwie pewnych zjawisk natury po innych zjawiskach przyrodzonych. Wiara moja w cudowność znikła, a zniknięcie rzuciło cień na moje pojmowanie duszy, albowiem ten sam katechizm, który tak przekonywająco nauczał o duszy, mówił i o cudach z równą powagą.

Zacząłem wówczas studyować „powstawanie praw moralnych.“ A były to dla mnie prawdziwe studya: pożerałem zadrukowane karty, prowadziłem gorące spory, przewróciłem do dna archiwum wypadków w pamięci méj złożonych—i powstawanie praw moralnych w umyśle moim odziało się w szatę prawa naturalnego, zrozumiałego, jak prawa fizyczne. Upadla moja wiara w istnienie moralności absolutnéj. Nowy i jeszcze grubszy cień pokrył czarnym całunem katechizmowe pojęcie o duszy: straciło ono dla mnie wszelką wartość.

Poznałem rozmaite maszyny fizyczne; wiele z tych mechanizmów odmodelowalem sam; pojmowałem kombinacye coraz bardziéj złożone, zawilsze, subtelniejsze, coraz dziwniejsze w działaniu swojém: granica wynalazczości zaczęła się przed wzrokiem moim odsuwać coraz daléj w nieskończoność, wreszcie przestałem ją widziéć. Poznałem początki anatomii i fizyologii z dzieł popularnych; przeżułem „Wykłady o duszy ludzkiéj i zwierzęcéj“ i zrozumiałem, co chciał powiedziéć Wundt, dowodząc, że logika to mechanizm. Od téj chwili za duszę począłem uważać to, czego objawem jest cała działalność świadoma: myślenie, wzruszenia i akty woli, rozumiejąc jednak, że „dusza“ jest tylko terminem, który pozwala jedném słowem wskazać na tysiączne objawy, niby znakiem algebraicznym, który daje się rozwinąć w obszerne wzory i używa się dla skrócenia. Nie uważałem więc téj duszy za byt jakiśkolwiek, a objawy jéj pojmo-

wałem jako grę energii („sił“), ujawnianéj przez materyę zorganizowaną w ciało ludzkie lub zwierzęce. Daleki byłem od tego, aby myśl lub uczucie zaliczać do rodzaju wydzielin, jak żółć lub ślinę; nieszczęśliwe to porównanie uważałem za oręż ludzi ciemnych, którzy nie znając mechaniki, nie zdobyli żadnéj analogii, co by pomogła im zrozumiéć nieograniczoną rozmaitość w funkcyach złożonych mechanizmów. Zdawało mi się czasami, iż niedaleką musi być chwila, kiedy fizyologowie potrafią z jasnością mechanicznego modelu wyłożyć najciemniejsze zjawiska duchowe.

Z zapałem rzuciłem się do nauk przyrodniczych; chciałem wiedziéć wszystko, co tylko było można—o tém, jak jest zbudowane ciało ludzkie i zwierzęce, jak powstał człowiek, jego mózg i narzędzia zmysłów. Poznałem wszystkie dowody, które zmuszają do przekonania, że człowiek rozwinął się z organizmów niższych i że te jakąbądź drogą powstały z materyi nieorganicznéj. Tu dopiéro stanąłem na rozdrożu, a raczéj nie ja sam stanąłem, lecz byłem postawiony przez spór, który dziś jeszcze wielu uważa za nierozstrzygnięty. Mam na myśli pytanie, czy „czucie“ jest tylko następstwem pewnéj szczególnéj złożoności ustroju nerwowego, czy też ogólną zdolnością właściwą wszelkiéj materyi w ruchu będącéj. Z początku pierwsze wydawało mi się pewniejszém; późniéj jednak monizm Haeckl'a, szczególnie wobec teoryi o ciele wyższych zwierząt jako kolonii zupełnych organizmów niższego rzędu—komórek (1) zyskując na praw-

(1) Teorya ta, przy bliższém poznaniu budowy najwyższych pierwotniaków—wymoczków, bardzo traci na wiarogodności, która głównie się opierała na czysto formalném podobieństwie jajka zsegmentowanego do kolonii, pewnych od wymoczka znacznie niżéj stojących organizmów. A oto jaka jest budowa wymoczków niektórych np. Vorticelli. Drobne stożkowate ciałko, z nóżką na cieńszym końcu, pokryte jest sprężystą błonką; protoplazmatyczna, wypełniająca cały stożek masa ciała jest *rozdzielona zupełnie wyraźnie* (konturem) na dwie warstwy, zewnętrzną, obejmującą—stałą, i wewnętrzną, objętą—płynną, która peryodycznie lub ciągle jest wprawiana w ruch kęskami pokarmu, wtłaczanemi przez rurkę z błonki sprężystéj, sięgającą do brzegu podstawy stożka w głąb' ciała. Zewnętrzna stała warstwa posiada dwa układy włókien mięśniowych, z których jeden pozwala zwierzątku kurczyć swoje ciałko a drugi nóżkę. Zewnętrzna warstwa daje cieniuchne nagie wyrostki, wystające nazewnątrz po za błonkę i w formie spiralnéj okalające brzeg podstawy stożka a także wnętrze owéj pokarmowéj rurki. Rzęski te są najdrażliwszą częścią powierzchni ciała, są zatém jakby zwiastunem przyszłych organów zmysłów. Służą one także do zbierania i wtłaczania wewnątrz ciała pokarmu, a także do wypędzania niestrawionych resztek, które dostają się z ciała do rurki pokarmowéj przez specyalny otwór z boku. Nadmiar z pokarmem pochłoniętéj wody wydziela wewnętrzna trawiąca masa przez osobny pęcherzyk, otwierający się także do rurki pokarmowéj. Podział ciałka na dwie morfologicznie i fizyologicznie *odrębne* warstwy jest segmentacyą *in statu nascendi* na dwie komórki, z których jedna ma odpowiadać przyszłéj embryologicznéj egzodermie, druga—entodermie pierwotnéj. Są to główne

dopodobieństwie, zamącił moje jasne, jak mniemałem, rzeczy téj pojmowanie.

Słyszałem wiele o „Zasadach psychologii“ Spencer'a, zabrałem się do ich przeczytania i zostałem zdumiony potęgą umysłu tego filozofa. Podziwiałem przedewszystkiém metodyczność i wszechstronność w rozbiorze zagadnień. Szczególniéj uwielbienia godnym wydał mi się tom drugi, gdzie Spencer przedstawia życie i „ducha“ jako „utrzymanie ciągłéj odpowiedniości“ między organizmem a otoczeniem. Stopniowy rozwój ducha u zwierząt z człowiekiem włącznie jest tylko coraz wyższym rozwojem odpowiedniości między stosunkami w czynnościach organizmu a stosunkami zewnętrznemi. Stopniowemu rozwojowi ducha człowiek zawdzięcza to, że czyny swoje stosuje do wydarzeń, które mają miejsce na drugiéj półkuli, a nawet daléj, bo w dziedzinie ciał niebieskich,—do wydarzeń, które stały się, stają się, lub za lat wiele stać się mają.

Spencer pozostawił mię na owém rozdrożu między monizmem a poglądem, który ogranicza objawy świadomości warunkiem pewnéj złożoności w budowie masy nerwowéj.

Szukałem nie samoanalizy lecz nowych bezpośrednich badań, nowych dokładnych doświadczeń nad układem nerwowym; tych u Spencer'a nie znalazłem i Spencer mię nie zaspokoił.

Nareszcie obszerne i wszechstronne przygotowanie przyrodnicze dało mi klucz od podwoi, które wzbraniały mi przystępu do studyów nad fizyologią układu nerwowego, ponieważ przedtém nie byłem wtajemniczony dokładnie w rezultaty i metodę innych badań przyrodniczych. Zwróciłem się wówczas do obszerniejszych dzieł specyalnych i znalazłem to, czegom szukał w „Fizyologii“ Herman n'a, zbiorowemi siłami opracowanéj, w „Fizyologii“ Foster'a zaopatrzonéj w niezwykle cenne dopełnienia Tarchanow'a, w dziele Charlton'a Bastian'a „Mózg jako organ myśli,“ w Charcot'a „Prelekcyach o lokalizacyi w chorobach mózgu,“ w „Zasadach psychologii fizyologicznéj“ Wundt'a i innych. Pochłaniałem to obfite pożywienie z łapczywością człowieka, który odbył post czterdziesto-dniowy, rozkoszowałem się jak smakosz, którego podniebienie łechtały subtelne i bajecznie ścisłe dochodzenia współczesnych fizyków, chemików, anatomów, embryologów, histologów itd.—i w końcu przypomnia-

---

rysy budowy, w szczegółach swoich jest ona tak złożoną, że na opisanie jéj trzeba by całego tomu. Komórki więc ciała zwierząt wyższych przedstawiają się, w obec takiéj budowy wymoczka i porównawczego jéj znaczenia, jako integralne cząstki organizmu, a nie organizmy samodzielne, któreby kiedybądź były zależne tylko od świata zewnętrznego, a nie od innych, z któremi tworzą i tworzyły całość bardzo „zcałkowaną.“

łem sobie... katechizmowe określenie duszy i, co więcéj, nauczyłem się je szanować. Szacunek ten należy mu się jako dobréj charakterystyce najwyższego stopnia rozwoju samoświadomości u osobników gatunku „Homo sapiens.“ Czwarty więc z kolei mój pogląd na duszę przyjmuje ścisły związek między jéj wyobrażeniem a samoświadomością, uważając zaś wyobrażenie duszy i odpowiadające mu pojęcie za zmienne, znajduje, że jedno i drugie w ciągu lat tysięcy przeszło w rozwoju swoim kilka stadyów wybitniejszych, nie licząc wielu mniéj wyraźnie dających się określić.

Ewolucyjny pogląd na duszę obrałem za główny przedmiot niniejszéj pracy. Sądzę, że on właśnie odpowiada dzisiejszemu stanowi wiedzy. Ponieważ zaś opiera się na wynikach psychologii fizyologicznéj, nauki nowéj, która zmężniała w ostatnich dopiero latach i skarby swoje w znacznéj jeszcze części kryje w mało przystępnych dziełach specyalnych: więc dla rozwinięcia i uzasadnienia jego będę musiał przedstawić najważniejsze zdobycze nowéj gałęzi wiedzy nieco obszerniéj, niżby z tytułu pracy wypadało. Zacznę od nich, zastrzegając sobie z góry cierpliwość czytelnika.

Każde dostatecznie silne podrażnienie zakończeń nerwowych, znajdujących się w organach zmysłów, w mięśniach, we wnętrznościach, wywołuje w nerwie impuls nerwowy. Gdy impuls nerwowy dobiegnie wielkich półkul mózgu, może („może,“ bo niezawsze zostaje) zostać odczutym, inaczéj—dojść do świadomości. Odczucie impulsu powszechnie nazywają wrażeniem. Pojedyńczy uświadomiony impuls jednego rodzaju ma przedstawiać wrażenie proste, jakoby naturalny element świadomości. Za taki zdaje się go uważać Spencer, takiego zdania trzyma się téż Haeckel, przyznając „czucie“ („duszę“), każdemu nerwowi (1), każdéj komórce, ba—nawet każdemu atomowi! Do tejże grupy psychologów należy zaliczyć i Lewes'a, chociaż ten, ograniczając czucie do komórek nerwowych, w szafowaniu duszami jest mniéj hojny. Mielibyśmy więc, jako naturalne elementy świadomości, wrażenia: świetlne, słuchowe, dotykowe, natężenia mięśniowego itd.

Jednakże pogląd taki jest z gruntu błędnym, jako oparty na mylném pojmowaniu znaczenia analizy. O wrażeniach prostych wiemy tylko z badań analitycznych nad stanami naszéj świadomości. Rozpatrzmy wrażenie, które jest następstwém uświadomienia się dotknięcia igły końcem palca, i może wydawać się prostém. Odczuwamy wtedy:

---

(1) Podług Haeckla, nerwy nawet „rozumieją“ („verstehen“) podrażnienia, p. str. 130 i nast. w „Gesammelte populäre Vorträge,“ II zeszyt.

1⁰ samo *dotknięcie*.

2⁰ *poznajemy* dotknięcie jako słabsze lub silniejsze ukłucie,

3⁰ wyraźnie odczuwamy *miejsce* dotknięcia na skórze,

4⁰ odczuwamy *natężenie* mięśni, które utrzymują rękę w danem położeniu.

5⁰ poznajemy *odległość* podrażnienia od środka naszego ciała i *kierunek* téj odległości.

Pierwsze odpowiada uświadomieniu się samego impulsu dotykowego. Drugie zawiera przypomniane wrażenia takiego samego rodzaju. Trzecie jest przypomnieniem wrażeń z okolicznych części skóry; stosunek w przypomnieniu tych ostatnich objaśnia nas o miejscu dotknięcia na skórze. Czwarte jest skutkiem uświadomienia się impulsów domózgowych z mięśni czynnych przy dotykaniu. Piąte zawiera przypomniane wrażenia natężenia mięśni; stosunek w przypomnieniu tych ostatnich daje nam właśnie miarę kierunku i odległości draźnienia.

Dodajmy jeszcze do tego przypomnienie dotykowo-wzrokowego obrazu ostrza, który, będąc jeszcze bardziéj złożonym od rozebranego produktem, zlewa się z nim w jednę nierozdzielną całość (1).

Odróżnienie zewnętrznego przedmiotu od „wrażeń“ jest dopiero następstwem obszernéj wiedzy i głębokiéj analizy; człowiek znajduje, że w danéj chwili treścią jego świadomości jest przedmiot jako byt zewnętrzny (2). Przypomniawszy w formie szeregu myśli ową analizę, dopiero on może pojąć różnicę między wrażeniami a przedmiotem; człowiek, co analizy takiéj nie robił, oczywiście tego nie pojmuje.

Zdaje się, że głównie dzięki przypomnianym wrażeniom mięśniowym i dotykowym, powodującym lokalizowanie „wrażeń“ w przestrzeni, obrazy, które przy halucynacyi mają żywość „wrażeń“ bezpośrednich, wydają się rzeczywistemi zewnętrznemi przedmiotami. Człowiek w podobnym stanie gotów jest walczyć na pięści z marą, która ma dla niego byt w przestrzeni nie mniéj realny od bytu jego własnéj osoby.

Na zakończenie téj analizy „wrażenia“ zaznaczmy, że jednak nie wszystkie składające je wrażenia są jednakowo wyraźne, najwyraźniejszém jest jedno lub grupa wrażeń najsilniejszych, przez bezpośrednie podrażnienie wywołanych; inne można odróżnić nieco wyraźniéj tylko przy pomocy uwagi—lecz ich nigdy nie brak. Od prze-

---

(1) Przytoczona tu analiza nie ma pretensyi do zupełności.

(2) „Zasady Pchychologii“ Spencer'a, § 438.

ważającego wrażenia nadajemy nazwę całemu „wrażeniu,“ np. wyżéj rozebrane nazywamy dotykowém.

Rozbiór prostego napozór dotykowego „wrażenia“ przekonywa, że jest ono właściwie połączeniem wielu wrażeń nowych i przypomnianych, które bodaj czy w tysiącach zliczyć się dadzą. To łączenie się, zlewanie się wielu wrażeń w jednę całość nazywają *kojarzeniem współczesném*, samą zaś całość psychologia fizyologiczna oznacza mianem *wyobrażenia*. Najprostszym tedy naturalnym elementem świadomości jest *przynajmniéj* wyobrażenie. Wrażenia, „czucia“ spencerowskie są jakby jednostkami, na które może rozkrajać wyobrażenie analiza umiejętna; lecz jak cegła nie nosi na sobie charakteru cząstki pokoju, tak samo impuls nerwowy, który mógłby się wydawać czémś odpowiadającém wrażeniu prostemu, nie posiada wcale subiektywnych cech wrażenia, czucia; wrażenia prostego, nie zlanego z innemi wrażeniami nie znamy wcale, w świadomości naszéj takich wrażeń brak zupełnie. Gdy więc będziemy mówili o wrażeniu, to zawsze tylko jako o sztucznym produkcie analizy, produkcie, który *zawsze zostaje w takim lub innym, lecz w każdym razie, ściśle określonym związku z innemi*. Twierdzenie Lewes'a, że każdy impuls nerwowy po dojściu do jakiejbądź komórki nerwowéj przybiera charakter czucia, wywołuje pewien stan świadomości niższego lub wyższego rzędu, nie tylko że nie okazuje się „pozytywném,“ lecz raczéj wygląda na doktrynę pozbawioną wszelkiéj podstawy sprawdzalnéj. Nawet kombinacye impulsów nerwowych w niższych częściach mózgu zwierząt i człowieka nie przedstawiają żadnych objawów ani obiektywnych (1) ani subiektywnych (u człowieka), któreby kazały uważać je za odczuwane, za wywołujące pewien stan świadomości. Z istnienia analitycznych jedności wnioskować, że każdy impuls w oderwaném włóknie nerwowém jest „czuciem“ lub wrażeniem, jest to nakazać samotnemu Robinsonowi prowadzenie operacyi bankierskich, jest to wnosić, że wszystkie objawy złożonéj całości są objawami, które może przedstawiać w miniaturze każda część od téj całości oderwana, włókno bowiem nerwowe, pojedyńcza komórka nerwowa, jakkolwiek sama złożona, jest właśnie taką częścią względem całego układu nerwowego.

Jak już wspomnieliśmy, dopiero dojście impulsów nerwowych do półkul może spowodować czucie, a dokładniéj—powstawanie wyobrażeń.

---

(1) Pozornie celowym ruchom zwierząt pozbawionych półkul można przeciwstawić wprost przeciwne: wąż bez głowy tak samo szybko obwija się naokoło przyłożonego kija jak i naokoło rozpalonéj sztaby.

W półkulach każdy organ zmysłu dla impulsów przez się wysyłanych ma osobną stacyę z komórek nerwowych, które są połączone ze sobą i z komórkami innych stacyi za pomocą licznych włókien nerwowych. Ze zniszczeniem takiéj stacyi zwierzę przestaje poznawać podrażnienie odpowiedniego organu: to ostatnie przestaje wywoływać wyobrażenia. Pies, któremu wycięto stacyę wzrokową, nie poznaje ani kija, ani mięsa, ani żadnéj innéj rzeczy, na którą oko jego jest zwrócone. Czuciowe te ośrodki mieszczą się u człowieka w tylnéj połowie półkul. W przedniéj, wyjąwszy część górną płatów czołowych, mieszczą się stacye, z których schodzą do niższych części mózgu impulsy nerwowe, zarządzające ruchami dowolnemi; zniszczenie tych stacyi powoduje niemożność wykonywania ruchów dowolnych.

Powstawanie wyobrażenia, jak łatwo widzieć, wymaga współczesnéj działalności wielu z tych ośrodków czuciowych: w szczegółowo rozebranym np. wyżéj przykładzie—przynajmniéj dwóch, dotykowego i czucia natężenia mięśni (a właściwie jeszcze i ośrodka wzrokowego). Anatomiczno-fizyologicznym warunkiem powstawania wyobrażeń przez kojarzenie wrażeń jest istnienie obfitych połączeń między określonéj budowy komórkami stacyj i wzajemna wymiana impulsów nerwowych.

Jak wiadomo, człowiek posiada zdolność „dopełniania" obrazów (1): przerywany kontur twarzy wywołuje jednak wyobrażenie twarzy całéj; kontury drzew o zmroku kształtują się w naszéj wyobraźni w postacie wież, zamków, olbrzymów. Na tém działaniu „wyobraźni" polega efekt utworów sztuki malarskiéj i rzeźbiarskiéj. Ani malowidło, ani rzeźba nie odtwarzają przedmiotów w zupełności, wyobrażenia zatém budzone przez widok obrazu, rzeźby, nie odpowiadały by prawdziwym przedmiotom, gdyby nie ta zdolność dopełniania. Objawy jéj są nie czém innéln jak przypominaniem wrażeń brakujących, które ze wszystkiemi wywołanemi w danéj chwili, lub z częścią ich kiedyś tworzyły jedno wyobrażenie: kontury i cienie obrazu przypominają formy w przestrzeni i zlewają się z niemi i z wrażeniami barw w jednę całość; przypomnienie barw i cieni widzianych na przedmiotach naturalnych dopełnia i zaciera niedokładności w cieniowaniu i kolorycie dekoracyi itp.

Każdy przedmiot obserwujemy w danéj chwili nie w całości lecz w części, z jednéj strony i w jedném tylko położeniu; zawsze je-

---

(1) Wundt nazywa to „asymilacyą wyobrażeń." Obrazy wzrokowe bierzemy tu dla przykładu, to samo bowiem stosuje i do wyobrażeń dźwiękowych (słuchowych) wszystkich innych (np. dotykowych, p. wyżéj przytoczoną analizę).

dnak w otrzymywane nowe wyobrażenie wchodzą wrażenia, które brały udział w poprzednich wyobrażeniach tego samego przedmiotu: wyobrażenie części dopełnia się w umyśle przypomnieniem pozostałych wrażeń do całości, która staje się coraz obszerniejszą, w miarę jak coraz wszechstronniéj przedmiot rozpatrujemy (1).

Fizyologiczno-anatomicznym warunkiem dopełniania się wyobrażeń, czyli przypominania jednych wrażeń przez drugie i zlewania się ich w jednę całość jest odpowiednie *wyrobienie* tych komórek i włókien je łączących, które były współcześnie czynnemi. Warunek ten można oznaczyć krótko zdaniem: *wyobrażenia pozostawiają skombinowane ślady w budowie mózgu.* Impuls nerwowy wszedłszy na drogę tych skombinowanych śladów, przekształca się odrazu i urabia na podobieństwo tego, który same ślady był urobił. Mechanizm pozostawiania śladów w obecnéj chwili daje się już wytłómaczyć na podstawie wzajemnego wpływu połączonych i współcześnie drażnionych komórek nerwowych. Zebranie jednak wielkiéj ilości faktów i należyte wyłożenie odpowiedniéj teoryi przechodziło by nasz zamiar w danéj chwili, ograniczamy się więc na prostéj wzmiance.

Powszechnie wiadomo, że nie tylko wrażenia kojarzą się ze sobą, tworząc pewne całości—wyobrażenia, lecz że i te ostatnie mogą się wiązać jedne z drugiemi bez zlewania się w jednę całość (skojarzenia następcze). Dwa wyobrażenia, które następowały zaraz jedno po drugiem, wiążą się ze sobą tak, iż jedno ożywione przypomina drugie. Tak np. wyobrażenie słuchowe francuskiego słowa, następujące po wyobrażeniu polskiego, kojarzy się z tém ostatniém. Późniéj usłyszane słowo polskie przypomni odpowiednie francuskie (chociaż nie naodwrót, jeżeli i odwrotny porządek miejsca nie miał). W podobny sposób wyobrażenia słuchowe nazw przypominają wyobrażenia przedmiotów, wyobrażenia słów wiążą się w zdania, tony w melodye itp. Dając „wolny bieg myślom“ możemy zau-

---

(1) Rozumie się, że w takiém dopełnioném wyobrażeniu przedmiotu najwyraźniejszemi wrażeniami są te, które otrzymujemy bezpośrednio. Gdy patrzę na kapelusz z góry, to najwyraźniejszą jest grupa wrażeń składająca się na obraz wierzchu kapelusza, lecz i reszta chociaż mniéj wyraźnie z pamięci się dopełnia: czuję, że mam przed sobą nie wierzch kapelusza lecz cały kapelusz i że niewidzialne jego części mają taką a nie inną formę. Gdy patrzę na kapelusz z boku, to najwyraźniejszą jest grupa wrażeń otrzymanych od boku kapelusza, lecz zarazem choć słabiéj przypominają się i wrażenia z pozostałych, niewidzialnych stron.

W pamięci, dzięki skojarzeniom, o których niżéj, można wywołać wyobrażenie kapelusza z przewagą tych lub innych grup wrażeń, chociaż najłatwiéj przypomina się ta kombinacya, co najczęściéj się zdarzała, np. obraz kapelusza z boku.

ważyć całe szeregi najrozmaitszych wyobrażeń, przypominanych na mocy skojarzenia następczego.

Fizyologiczno-anatomiczne warunki skojarzeń następczych są też same, co skojarzeń współczesnych między wrażeniami, a mianowicie: istnienie połączeń między odpowiedniéj budowy komórkami i wzajemna wymiana impulsów, czego skutkiem jest wyrobienie się odpowiednich śladów w budowie mózgu, dróg prowadzących od masy nerwowéj czynnéj przy jedném wyobrażeniu do masy nerwowéj, która była czynną przy drugiém. Nic to nie znaczy że dwa wyobrażenia nie są współczesnemi, impulsy bowiem nerwowe, odpowiadające pierwszemu wyobrażeniu, jakkolwiek *osłabione* mogą trwać jeszcze chwilę, przy początku impulsów drugiego; zresztą w skojarzenie następcze mogą wchodzić dwa początkowo współczesne wyobrażenia.

Ponieważ w świadomości naszéj nie znajdujemy nic oprócz wyobrażeń (o aktach woli i wzruszeniach powiemy późniéj); ponieważ nie ma świadomości (czucia) bez wyobrażeń, a wyobrażeń bez świadomości: więc warunki powstawania wyobrażeń są zarazem *warunkami świadomości*. Tworzenie się skojarzeń współczesnych i następczych (słabszych), dopełnianie i przypominanie wyobrażeń na mocy skojarzeń już gotowych—oto są te warunki ze strony subiektywnéj rozpatrywane. Można je wyrazić króciéj dwoma słowami: *zapamiętywanie i przypominanie*. Anatomiczno-fizyologicznym, czyli obiektywnym warunkiem świadomości jest oczywiście, *wyrabianie się i istnienie już wyrobionych dróg nerwowych, skombinowanych śladów w budowie mózgu* (resp. półkul).

Analiza warunków świadomości przeprowadzona przez Wundt'a w „Zasadach psychologii fizyologicznéj," rozstrzyga wyżéj wzmiankowany spór na niekorzyść monizmu. Świadomość, czucie przedstawia się tu jako następstwo szczególniejszéj złożoności w budowie masy nerwowéj (resp. półkul), a bynajmniéj nie jest, ani własnością ogólną materyi w ruchu (Haeckel), ani własnością „histologiczną" (Lewes) każdéj komórki nerwowéj; nie mamy prawa przypisywać jéj zwierzętom niższym, nie posiadającym wcale włókien i zwojów nerwowych, jak np. wymoczkom. Ruchy wymoczków są zbyt proste, aby potrzeba było przypuszczać dla ich objaśnienia mechanizm koordynacyi z towarzyszącą mu świadomością, aby im przypisywać popędy choćby najprostsze; tam zaś, jak np. u jamochłonnych (coelenterata), gdzie ruchy są bardziéj złożone, znaleziono i układ nerwowy, a przynajmniéj jego początki; tu więc dopiero otwiera się pole do przypuszczeń psychologicznych, rozumie się jednak o tyle tylko, o ile mechanizm uporządkowania ruchów nie da się objaśnić inaczéj,—

o ile znajdzie się więcéj niż sama metafizyczna racya do podobnego rodzaju hypotez.

Stany świadomości zapewne dadzą się wytłómaczyć całkowicie przez prawa fizyologiczne, tj. przedstawić jako funkcye fizyologicznych czynności mózgu, przynajmniéj jest to postulatem psychologii dzisiejszéj, który coraz wyraźniéj zyskuje powagę prawa przyrodniczego; są jednak one objawami nowemi, właściwemi złożoności, które poczynając i rozwijając się wraz z tą ostatnią nie dałyby się nigdy przewidziéć na podstawie danych czysto fizyologicznych. Tak własności chemiczne ciał złożonych nie mogły być przewidziane na podstawie znajomości samych pierwiastków; trzeba było badać i jedne i drugie, określić wzajemny stosunek własności ciał prostych i złożonych; dopiero można było przedstawić ostatnie jako funkcye pierwszych i opierając się na tém, robić wnioski dedukcyjnéj natury.

Tworzenie się skojarzeń współczesnych i następczych oraz przypominanie nie wyczerpuje działalności duchowéj; z jéj objawów musimy w téj chwili poruszyć abstrahowanie (odrywanie) i wyodrębnianie wyobrażeń.

Abstrakcya jest następstwem wielu wyobrażeń jednego rodzaju. Wiele drzew, wiele domów, wiele zwierząt, wiele podobnych wydarzeń itd. przez nas zaobserwowanych dają nam idee domu, drzewa, zwierzęcia, zdarzenia jednego rodzaju itd. Powstawanie idei psychologia fizyologiczna może już objaśnić w sposób ogólnikowy od chwili, gdy umiejscowienie ośrodków czuciowych zostało odkrytém i dowiedzionénı (ostatnie dziesięciolecie). Przedmioty jednego rodzaju, brzmienia jednakowego składu itp. drażnią te same elementy nerwowe (1) organów zmysłów, a zatém i w półkulach. Cechom wspólnym przedmiotów, brzmień itd. odpowiadają jednakowe wrażenia i czynne są przy tém też same komórki półkul; połączenia między niemi, dzięki wiele razy powtórzonéj czynności, wyrobią się stosunkowo mocniéj, niż połączenia tychże komórek z innemi, których czynność łącznie z czynnością tamtych odpowiada przypadkowym cechom przedmiotów. Następstwem tego będzie pewne wyodrębnienie grupy elementów nerwowych, których podrażnienie da nam w umyśle wyobrażenie złożone z wrażeń, między którémi przeważą

---

(1) Pozornie przeczy to, że np. kapelusz przy innéin położeniu inną kombinacyą elementów siatkówki podnieca; lecz w mózgu za każdym razem przy *dopełnianiu* wyobrażenia są czynne i te elementy nerwowe, które poprzednim położeniom kapelusza odpowiadały. W ten sposób ilość masy nerwowéj przy danéın wyobrażeniu konkretném czynnéj wprawdzie nieco się zwiększa, lecz przedstawia w każdym razie względnie stałą kombinacyę dla każdego przedmiotu.

siłą lub nawet same tylko wystąpią (dzięki wpływowi uwagi, o którym niżéj) te, co odpowiadają wspólnym cechom wszystkich przedmiotów obserwowanych jednego rodzaju. Otóż takie zwężone wyobrażenie będziemy nazywali oderwaném, lub króciéj—*ideą*, przeciwstawiając je wyobrażeniu konkretnemu, które odpowiada jednemu tylko ze spostrzeganych przedmiotów i o ile to być może w zupełności. Utworzenie się idei nie wyłącza jednak możności przypomnienia konkretnych wyobrażeń, tylko to ostatnie wymaga nieco większego i zarazem *dłuższego* natężenia uwagi i pomocy takiego skojarzenia (np. z imieniem własném), przy którém impulsy wyobrażenia przypominającego mają odrazu zapewniony dostęp do wszystkich elementów nerwowych, składających czynnością swoją dane wyobrażenie konkretne. W każdym jednak razie masa nerwowa, czynna w chwili uświadamiania się idei, jest oczywiście mniejsza, niż przy odpowiedniem wyobrażeniu konkretném. Ostatnie jest szerszém od idei i włącza w siebie przy uświadamianiu się jéj składniki.

Wyobrażenia konkretne coraz mniéj podobnych a coraz liczniejszych przedmiotów, w najobszerniejszém tego słowa znaczeniu, wywołują powstawanie idei coraz szczuplejszych, coraz ogólniejszych, jak np. idee: przedmiotu, formy, materyi, oporu, przestrzeni i t d. (1). O wpływie uwagi tak na abstrahowanie, jak na tworzenie wyobrażeń fantastycznych powiemy późniéj.

Jedne idee pozostają z drugiemi w związku określonym przez skojarzenia. Sama idea, oczywiście, nie odpowiada treści idei wraz z jéj skojarzeniami.

Każda idea, jak i wyobrażenie konkretne, może w swoje skojarzenia wprowadzić ściśle z nią skojarzone wyobrażenie znaku, wyrazu. Ograniczający zaś wpływ uwagi umożebnia na mocy tych skojarzeń przypomnienie zamiast idei z wyrazem, tylko samego wyrazu (2). W ten sposób skojarzonym ideom odpowiadają skojarzone wyrazy i, dzięki wpływowi uwagi, mogą przypominać jedne drugie bez przypominania idei odnośnych. Wyraz (lub znak) odpowiadający idei nazwijmy *symbolem pojęcia*, rozumiejąc przez pojęcie wyraz odpowiadający idei i skojarzenia jego odpowiadające skojarzeniom

---

(1) Nie mamy dosyć miejsca tutaj, aby rozwinąć znaczenie dopełniania się idei, zwracamy tylko na nie uwagę czytelnika, prosząc o przypomnienie wyłożonych wyżéj zasad jego, które wyjaśnią, jak obszar idei może względnie się rozszerzać.

(2) Im bardziéj jest natężona uwaga, im wyraźniejszém jest wskutek tego uświadomienie wyobrażenia, tém bardziéj się ogranicza jego obraz. Z początku idea i wyraz dzięki nader ścisłemu skojarzeniu mogą występować w świadomości jako jedno złożone wyobrażenie (Wundt).

idei. *Treść tedy pojęcia możemy rozwinąć na szereg myśli w skojarzonych następczo symbolach wyrazowych* (1).

Podkreślmy mocno, że symbole znakowe lub wyrazowe (jako wyobrażenia) nie zawierają ani źdźbła tych wrażeń, które wchodziły w skład odnośnéj idei: myśli zatém, które przedstawiają rozwinięcie w wyrazach treści pojęcia, zawierają tylko stosunki idej, ale nic nad to; *pojęcie jest zbiorem stosunków idej*, lecz nie zawiera nic z tego, co jest w idei każdéj, chociaż przy rozwijaniu gotowego pojęcia mogą się idee niektóre przypomniéć.

W symbolach wyrazowych rozmyślamy o swoich własnych ideach i wyobrażeniach konkretnych, nie potrzebując ich przypominać. Wszelkie wyobrażenia stają się wtedy dla nas równoważnemi z zewnętrznym przedmiotem badania, możemy je każdéj chwili przy pomocy uwagi powołać przed trybunał świadomości dla sprawdzenia lub nowéj analizy (także przy pomocy uwagi), albo myśléć jako o nieobecnych, lecz znanych nam ze swoich stosunków. Wreszcie możemy w podobny sposób myśléć o pojęciach. Powstanie usymbolizowanych znakami (np. wyrazowemi) pojęć zdaje się być koniecznym warunkiem analizowania własnych stanów świadomości. Ztąd mowa przedstawia się jako legendowa dźwignia Archimedesa, którą on mógłby świat wyruszyć z jego postaw, a która człowieka wywindowała po nad zwierzęta.

Powstanie jednak symbolów wyrazowych umożebnia i wielewiele złudzeń. Wskutek rozmowy, wskutek podobieństwa dźwięków lub przez takie działanie uwagi, jak przy fantazyowaniu, możemy skojarzyć ze sobą słowa i potworzyć pojęcia, które stosunkom idej wcale a wcale nie odpowiadają. Możemy np. myśléć, że $6+9=14$, że ogień ziębi, że przedmioty istnieją tylko w naszéj wyobraźni, że nawet sami nie istniejemy, albo że świat, którego jądrem jesteśmy, ma granicę na końcu naszego nosa, że prostak dojdzie do takich samych wniosków co mocarz myśli, bo obaj mają „zdrowy rozum“ itd. Spencer dowiódł („Zasady psychologii“, część siódma), że najwyższém kryteryum prawdy jest skojarzenie idej lub wyobrażeń konkretnych, że dla sprawdzenia myśli dość jest przypomniéć same idee i zobaczyć, czy one kojarzą się w sposób odpowiadający skojarzeniu symbolów wyrazowych czy nie, czy np. można sobie wyobrazić ogień ziębiący, granicę świata na końcu nosa i t. p. Wypadki złożeńsze wymagają téż i liczniejszych sprawdzeń, podług Spencer'a,

(1) Oczywiście taka droga kojarzenia się następczego wyrazów musi być ściśle odróżniana od kojarzenia się wyrazów li tylko dla tego, że jeden po drugim zostały usłyszane: wartość skojarzeń w obu razach bardzo jest różna.

często tak złożonych, że i wytrawny myśliciel zaplątać się może. Gdy skojarzeniu słów nie odpowiada skojarzenie idej w umyśle słuchacza, odpowiada on wtedy: „nie rozumiem.“ To jednak zdarza się pospolicie u ludzi, którzy w pojęcia mniéj zabrnęli. Ci zaś, co rozporządzają znacznym ich zapasem, często miewają sposobność powiedziéć „pojmuję“, gdy skojarzenia wyrazów usłyszanych odpowiadają przynajmniéj w części już poprzednio przez nich posiadanym, a w swojéj reszcie im nie przeczą.

Z tém wszystkiém nawet skojarzenie idei lub wyobrażeń konkretnych może wprowadzić w błąd. Wyobrażenie zjawiska B skojarzone następczo tylko z A przedstawi się jako jego bezwarunkowy skutek. Liczniejsze dopiero spostrzeżenia mogą wprowadzić B w skojarzenie następcze z innemi wyobrażeniami, i ono nie przedstawi się już jako bezwarunkowy skutek A; pierwotnie absolutna prawda staje się względną lub nawet całkiem prawdą być przestaje. Rola zatém wszelakiego doświadczenia jest wielką, lecz jak łatwo widziéć, powaga jego opiera się na tym samym sprawdzianie, na stałości i ograniczoności skojarzenia wyobrażeń. „Zdrowy rozum“ prostaków jest ten sam, co uczonego, umysły ich jednak różnią się zasobami, bo rozmaitością, liczbą i siłą skojarzeń, i wskutek tego jeden uważa za prawdę to, co dla drugiego jest już przesądem.

Oto parę przykładów (1).

„Król Kafrów, z plemienia Kussa, złamawszy pewnego razu kotwicę, umarł niedługo potém. Od owéj pory Kafrowie mniemają, że kotwica była żyjącą, pozdrawiają ją z uszanowaniem, skoro tylko zdarzy się im przechodzić koło niéj.“

„Australijscy krajowcy mają sobie za niezmienną regułę nigdy nie świstać przechodząc przez piaszczyste wybrzeże Sydney'u, ponieważ pewnego razu skala obłamawszy się, zgniotła kilku ich rodaków, którzy szli tamtędy świszcząc.“

Jeżeli brak pewnéj idei, to ma się rozumiéć brak i skojarzeń jéj z innemi ideami, a zatém i pojęcie odpowiednie nie zostanie zrozumianém, chociażbyśmy się postarali w danym umyśle wywołać skojarzenie odpowiednich wyrazów w odpowiednim porządku. Wyda się ono głupstwem, jeżeli tylko osobnik sprawdza je, t. j. przy pomocy uwagi przypomina odnośne idee (2). Oto przykład zastosowania sprawdzianu wykrytego przez Spencer'a.

---

(1) Lubbock. Początki cywilizacyi. Warszawa 1873, t. II, str. 131.

(2) U dzieci, których uwaga jest niewyrobiona, sprawdzanie to często nie odbywa się. Można im wpoić odpowiednie pojęcie, formułkę, lecz zaczynają ją „rozumiéć“ z czasem dopiero, gdy zjawią się odpowiednie idee. Takie zabijanie ćwieczków, wywra-

„Przyjaciel Langa próbował długi czas i z wielką wytrwałością wytłómaczyć pewnemu australijczykowi, bardzo zdolnemu i inteligentnemu, niezależne istnienie duszy, lecz dziki nie mógł zachować poważnéj miny i zwykle znajdował wymówkę ażeby odejść. Pewnego dnia szedł on za swym uczniem i spostrzegł, jak ten śmiał się na całe gardło z niedorzecznego pojęcia, że człowiek może żyć i poruszać się nie mając ani rąk, ani nóg, ani zębów do jedzenia. Przez długi czas nie mógł uwierzyć, żeby biały mówił poważnie, i gdy nakoniec przekonał się o tém, pojęcie o nieśmiertelności tém mu śmieszniejszém się wydawało, im bardziéj na seryo traktował je europejczyk" (1).

Chociaż idea jest wynikiem wielu wyobrażeń konkretnych, odczuwamy ją jednak w chwili danéj jako przedstawiającą jeden przedmiot. Gdy wyobrażam sobie ogród, to jeden, a nie wszystkie sto ogrodów, które moją ideę ogrodu urobiły.

Jakkolwiek oderwaną byłaby idea (z materyału przez działalność organów zmysłów dostarczonego powstała), nie brak w niéj nigdy więcéj lub mniéj jasnych stosownych wrażeń napięcia mięśniowego i dotykowych, bo te wchodzą w skład wszystkich wyobrażeń bez wyjątku. Dzięki przypomnianym wrażeniom natężenia mięśniowego i dotykowym, ideę odnosimy do pewnego miejsca w przestrzeni. Gdy *wyobrażam* sobie ogród, ogród ten wówczas zdaje się rozpościerać przedemną. W rozwinięciu *pojęcia* ogrodu na szereg myśli w wyrazach, wrażenia wchodzące w skład idei ogrodu, udziału nie biorą: gdy więc z uwagą myślę słowami, gdy piszę, gdy wypowiadam myśli składające określenie ogrodu, nie czuję istnienia ogrodu; skoro jednak zjawi się napowrót w świadomości mojéj wyraźnie idea ogrodu, nie mogę nie umiejscawiać jéj w przestrzeni, nie mogę całkiém uwolnić się od *poczucia* realnego jéj bytu; zdaje mi się, że widzę przedmiot tylko mniéj obfity w szczegóły, niż który bądź z istniejących naprawdę.

Na jawie jednak bardzo łatwo jest przejść do myśli, przedstawiających wykład słowny odnośnego pojęcia; idea wtedy natychmiast niknie, a wraz z nią i poczucie realności jéj. Pojęcia rozwinięte na myśli poprawiają w ten sposób przekonanie o rzeczywistości wyobrażonego przedmiotu. Jeżeli wyobrażenie zniknie przy pierwszéj próbie rozwijania z uwagą odpowiedniego pojęcia, myślimy

---

cające naturalny porządek powstawania pojęć do góry nogami, Bain w swojéj „Nauce wychowania" potępia, chociaż zarazem i zaleca „korzystać z téj chwili, gdy pamięć najdzielniéj wsysa pewne wiadomości (?)" (str. 228).

(1) Pocz. cywil. t. III, str. 56.

w zdaniach o przedmiocie (oznaczonym w naszéj świadomości przez symbol wyrazowy lub znakowy), jako o nie istniejącym (1) w danéj chwili przed nami, lub nie istniejącym wcale; jeżeli zaś nie niknie, wtedy nie możemy żadną miarą uwolnić się zupełnie od poczucia rzeczywistości wyobrażenia przedmiotu. To ostatnie ma miejsce, gdy wyobrażenie jest skutkiem właściwego i normalnego podrażnienia organów zmysłów, lub chorobliwego podniecenia ośrodków, jak to bywa w halucynacyach. Wyobrażenia halucynacyjne mogą nabierać niezwykłéj siły, tak, że pod tym względem dorównywają wywołanym bezpośrednio. Pewna inteligentna kobieta (2) usłyszała z drugiego pokoju wołanie męża, który był od niéj wówczas oddalony o pół mili. Szukając, przebiegła całe mieszkanie, lecz go nie znalazła; gdy wrócił, pytała, dla czego jéj figle robi. Inną razą widziała kotkę kryjącą się pod krzesło męża i prosiła go, ażeby na nią nie nadeptał. Mąż nie widział kotki, ztąd powstała sprzeczka, a sprawdzenie dowiodło, że kotka cały czas leżała przy służącéj na drugim końcu mieszkania. Ta sama kobieta późniéj w gronie licznych gości spostrzegła na krześle swoję dawno zmarłą przyjaciółkę. Teraz już myślała, że to złudzenie, nie mogła się jednak uwolnić od pewnéj bojaźni; przyjaciółka znikła dopiero wtedy, gdy kobieta przezwyciężając obawę podeszła do krzesła jéj i na niém usiadła. Człowiek mniéj inteligentny byłby pewnym, że przyjaciółka istotnie przyszła z tamtego świata w odwiedziny.

Sprostować błędne przekonanie pozwala w podobnych wypadkach jedynie nabyte doświadczenie lub próba natychmiast wykonana. W ten sposób sprawdzian bytu, który w pewnych okolicznościach nie wystarcza człowiekowi do zdania sobie sprawy z rzeczywistych stosunków zewnętrznych, znajduje względne dopełnienie w kryteryum prawdy.

Gdy śpiemy, działalność półkul jest żadną lub bardzo ograniczoną. Im mocniejsze jest poprzednie znużenie (jeżeli tylko nie wprawia mózgu w stan chorobliwy), tém twardszy sen wywołuje, tém

---

(1) Tak zresztą będzie tylko wtedy, gdy *chodzi* o sprawdzenie rzeczywistości, gdy wskutek rozmowy, okoliczności, studyów obecnych lub dawniejszych powstała wątpliwość. W przeciwnym razie ponowne przypomnienie idei-przedmiotu, z towarzyszeniem właściwego poczucia realności jej, tylko potwierdza przekonanie o rzeczywistości. Tak się dzieje z ideą „duszy“, mającéj postać ciała, u wyżéj stojących dzikich i naszego pospólstwa. Trudno mi się oprzéć myśli, że zaznaczony tutaj moment założył podwalinę arystotelesowego pojęcia formy w stosunku do materyi i był dźwignią, która podnosiła Platona aż do przyznania bytu nadzmysłowym „ideom“ (pojęciom).

(2) Opis przytoczonych tu wypadków podaje Huxley w swojéj fizyologii (tłóm. niemieckie).

mniéj wyobrażeń wówczas się uświadamia. Idee i wyobrażenia konkretne, które wtenczas się budzą wskutek zewnętrznego lub wewnętrznego podrażnienia nie zostają rugowane ze świadomości przez odnośne pojęcia. Ulegamy wtedy zupełnemu złudzeniu co do rzeczywistości sennych widziadeł. Brak analizy własnych wyobrażeń (1) cofa umysłowe życie podczas snu na stopień, któryby można porównać z umysłowém życiem zwierząt, nie mogących krytykować własnych wyobrażeń.

Rozpatrzeniem kryteryów prawdy i bytu kończymy tę bardzo niezupełną analizę abstrahowania. Wypada nam jeszcze zaznaczyć stosunek między abstrahowaniem a krytyką. Krytyka, o któréj mówimy, przypuszcza istnienie pojęć, a więc wysoki rozwój zdolności abstrahowania. Abstrakcya zatém musi poprzedzić krytykę. Abstrahowanie przynajmniéj w początkach odbywa się w sposób względnie bierny, uwaga jest kierowaną przez zewnętrzne podrażnienia; przy krytyce zaś kierowanie uwagi ma swoje źródło względnie niezależne od zewnętrznych podrażnień. Im uboższym jest umysł w produkty abstrakcyi, tém słabszą i niedołężniejszą musi być krytyka, która w braku pojęć wydaje się całkiem niemożebną. Potwierdzenie zdania, że sceptycyzm idzie w parze z rozwojem umysłu. można znaleść tak dobrze w rozwoju całéj ludzkości, w porównaniu rozmaitych ras obecnie zamieszkujących ziemię, w porównaniu różnych klas tego samego społeczeństwa, jak i w rozwoju pojedyńczego osobnika.

Przejdźmy teraz do zapowiedzianego wyżéj wyodrębniania się wyobrażeń. Przez to wyrażenie rozumiem zjawisko, podobne do tworzenia się idei ze względu na fizyologiczno-anatomiczne objaśnienie, lecz wcześniejsze. Rezultatem jego jest wyłanianie pojedyńczych wyobrażeń konkretnych z chaosu, który tworzą zapewne wszystkie współczesne wrażenia dziecięcia. Jest to najpierwsze stadyum na drodze rozwoju abstrakcyi. Oto jak je charakteryzuje Wundt (2):

„Dla wyrobienia ciągłości świadomości istotnym warunkiem jest tworzenie się związku (3) między wyobrażeniami; związki te dzielą się na mocniejsze i luźniejsze, powstaje pewna rozkładająca działalność, która wiele pierwotnych połączeń znowu rozrywa. W nierozwiniętéj świadomości wszystko współcześnie wyobrażone zlewa się

---

(1) Przyczyną, dla któréj myśli w wyrazach nie mogą wyrugować wyobrażeń, wywołanych normalném lub chorobliwém podrażnieniem, jest zapewne siła odnośnych impulsów nerwowych w porównaniu z impulsem wyobrażeń przypomnianych; w czasie snu zaś — osłabienie uwagi.

(2) Wundt. Grundzüge der Physiol. Psych. wyd. II, t. II, str. 217.

(3) To jest skojarzeń, fizyol.-anatomicznie — wyrabianie się dróg nerwowych.

w jedno. W umyśle dziecka dom z placem, na którym stoi, rumak z jeźdźcem, łódź z rzeką zlewają się w jeden obraz. Dopiero stopniowo z tych pierwotnych całości wydzielają się *pojedyńcze wyobrażenia*, jako takie, które stanowią stalsze składniki zmiennego przebiegu połączeń. Wydzielenie to jest w części następstwem bezpośrednio zauważonych ruchów i zmian w przedmiotach, w części zaś skutkiem wyodrębnienia się stalszych związków z pomiędzy luźniejszych."

I oto przebiegliśmy już te ogólne dane, które są niezbędne dla skreślenia pierwszego stadyum, poprzedzającego powstanie wyobrażenia duszy. Przedstawimy je, trzymając się, z niektóremi zmianami, szkicu Wundta. Stadyum, do którego charakterystyki mamy właśnie przystąpić, Spencer nazwał zróżnicowaniem zasobów duchowych na podmiot i przedmiot (subiekt i obiekt).

W rozwoju pojedyńczych wyobrażeń konkretnych ważny udział bierze jedno wyobrażenie, nader obszerne, a w dalszém przekształceniu świadomości odgrywające główną rolę. Jest to wyobrażenie, które źródło ma w nas samych. Wrażeń z naszego ciała pochodzących, dopóki czuwamy, nigdy nie brak, szczególniéj stosuje się to do mięśniowych i dotykowych, albowiem nie te to inne mięśnie są wciąż natężone, czynne, nie tą to inną częścią skóry dotykamy siebie, ubrania, pościeli, podstawy, na któréj stoimy lub siedzimy; drobne zmiany temperatury, ruch powietrza, nieustannie wywołują wrażenia cieplne (słabe); usta nasze i język, mięśnie oddechowe i skóra przy oddychaniu naciągana, krtań, gardziel i kanały nosowe dostarczają ciągle wrażeń dotykowych i mięśniowych. Nakoniec wrażenia wzrokowe, szczególniéj z członków ciała, są dosyć częstemi.

Z powodu ciągłego a przynajmniéj bardzo częstego powtarzania się tych wszystkich wrażeń *razem*, skojarzenie między niemi coraz bardziéj się utrwala i podobnie jak z wyobrażeń konkretnych w późniejszym czasie wydzielają się idee, tak tu z chaosu dziecinnego umysłu, z jednego niewyraźnego wyobrażenia, obejmującego wszystkie otrzymywane wrażenia, wyłania się *wyobrażenie własnéj osoby*. Z pozostałéj masy wyodrębniają się także grupy wrażeń zwykle razem występujących, i w ten sposób powstają wyobrażenia przedmiotów, którym skojarzone wrażenia mięśniowo-dotykowe wyznaczają coraz dokładniéj położenie w zewnętrznéj przestrzeni. Stosunki przestrzenne w umyśle dziecięcia rozszerzają się bardzo stopniowo; małe dzieci wyciągają rączki tak samo do zabawki trzymanéj o stopę przed niemi, jak i do księżyca, który człowiek doroślejszy wyobraża sobie przynajmniéj tak odległym jak krańce horyzontu.

Wyobrażenie własnéj osoby nigdy nie ustępuje ze świadomości. jest tylko to słabszém, to silniejszém, stosownie do okoliczności, skierowujących uwagę na nie lub na przedmioty zewnętrzne. Rozumie się także, iż w wyobrażeniu własnéj osoby przeważają raz te, raz inne grupy wrażeń, odpowiednio do części ciała, która bezpośrednich wrażeń dostarcza, reszta zaś dopełnia się na mocy gotowych skojarzeń współczesnych; wyobrażenie tedy własnéj osoby cokolwiek się modyfikuje stosownie do zmiany wrażeń przy ruchach, zmiany, która nadaje przewagę to tym, to innym wrażeniom. Stosunkowo drobne lecz liczne modyfikacye mają ważne znaczenie, albowiem dzięki im, wyobrażenie własnéj osoby dopełnia się zawsze to słabszém, to cokolwiek żywszém przypomnieniem najróżnorodniejszych ruchów, co odczuwa się jako możliwość ruchów.

Przewaga tych lub innych wrażeń, z téj lub innéj części ciała pochodzących, wzrokowych, dotykowych lub mięśniowych, jest w ścisłym związku z grupą *szczególniejszych wrażeń napięcia*, one bowiem towarzyszą każdemu bardzo wyraźnemu uświadomieniu się wrażeń szczególniéj słuchowych i wzrokowych. Doroślejsi nazywają je to *siłą uwagi*, to *siłą woli* (lub po prostu uwagą, wolą) stosownie do tego, czy za wyraźném uświadomieniem się pewnéj grupy wrażeń następuje ruch, czy nie. O źródle tych wrażeń napięcia pomówimy późniéj, tu tylko dodamy, że uświadamiają się one bez analizy ze strony osobnika i stanowią ważny element złożonego wyobrażenia własnéj osoby, element, który ze względu na niezliczoną moc swoich skojarzeń stanowi wyborny łącznik. Siła jego zdaje się wzmacniać (1) inne skojarzone z nim wrażenia, o tyle zapewniając im w świadomości przewagę, o ile one potrafią zdobywać go dla siebie (przypominać)—siłą, jeżeli są wywołane po raz pierwszy, mocą skojarzenia, jeżeli same są przypomnianemi.

Częstsze występowania przewagi jednych grup wrażeń niż drugich, występowanie wyraźne pewnych wrażeń w związku zawsze tylko z pewnemi i zawsze temi samemi wrażeniami, wywołuje dalsze wyodrębnianie wyobrażeń pojedyńczych ze złożonego i obszernego wyobrażenia własnéj osoby. Wszystkie jednak nowo-powstałe pojedyńcze wyobrażenia, a daléj zwężone idee, są bardzo mocno skojarzone jedne z drugiemi w zamknięty łańcuch, którego ogniwa są oprócz tego ściągnięte wspólnością wyżéj zaznaczonych wrażeń napięcia, jak punkty koła za pomocą średnic lub cięciw przez jeden punkt przechodzących. Wyodrębnienie wyobrażeń wyraża się tu

---

(1) Wzajemnemu wzmacnianiu wrażeń odpowiada ze strony fizyologicznéj wzajemne wzmacnianie się impulsów, niedawno dowiedzione przez fizyologów dla półkul.

w przewadze przy uświadamianiu, w mocniéj zarysowanym kontraście jasności między wyobrażeniem wywołaném a resztą, którą to ostatnie się dopełnia.

Otóż ten nigdy ze świadomości nie znikający splot wyobrażeń własnéj osoby Wundt nazywa *samoświadomością* (świadomością siebie—„Selbstbewusstsein"). „Samoświadomość mówi on, jest zatém w początkach swego rozwoju całkiem zmysłową. Składa się ona z szeregu zmysłowych wyobrażeń, które tylko przez swoję stałość i częściową zależność od woli wyróżniają się z pomiędzy innych, gdy jednocześnie żywe uczucia ogólne („Gemeingefühle" np. zmęczenie, boleści, głód, pragnienie, rześkość itp.) ich działanie potęgują. Już u zwierząt najniższych (?) są wszystkie warunki do wyrobienia się podobnéj prostéj samoświadomości potrzebne. Nawet u dzieci i dzikich stałość wyobrażeń odegrywa przeważającą rolę. Zewnętrznym przedmiotom, które przedstawiają odpowiednią stałość cech swoich, ten stopień psychicznego rozwoju przypisuje do swojéj podobną samoświadomość, uważając je za ożywione i uduchowione."

Wyraz „uduchowione" („beseelt") nie ma wcale oznaczać, że istota, na opisanym stopniu rozwoju zostająca, posiada dwa sploty wyobrażeń, jeden o swojém ciele, drugi o swojéj duszy, a zatém jeden o przedmiocie, drugi o jego istocie duchowéj—bynajmniéj! W taki właśnie błąd wprowadziłbym czytelnika, używając wyrażenia „obdarzone duszą." Przez wyrazy „ożywione i uduchowione" należy rozumiéć, że dany osobnik przedmiotom zewnętrznym przypisuje wzruszenia, uczucia ogólne, możliwość ruchów itd.

Samoświadomość, któréj powstanie jako obszerniejszego wyobrażenia, a następnie splotu wyobrażeń, dopiero co skreśliliśmy, obejmuje człowieka jeszcze jako jednę całość, jako jedno „ja", którego noga, ręka, włosy, paznogcie w jednakowym stopniu są częściami, a przy cokolwiek niższym rozwoju nawet odzież, sukienka, ślina etc.

Ślady niższych stadyów spotykają się obok wyższych; jest to tak powszechném, że nie masz zapewne przyrodnika, socyologa, etnologa, filologa, ekonomisty itd. któryby o tém nie wiedział doskonale. Otóż taki ślad podobnego splotu wyobrażeń, podobnéj prostéj samoświadomości znajdziemy w przykładzie następującym (1).

„Mówiąc o Nowéj Zelandyi, Tylor podaje: Osoba, która chce zaczarować drugą, stara się dostać jakąś rzecz należącą do téj ostatniéj: kosmyk włosów, kawałek ubrania lub nawet cząstkę pożywienia, odmawia nad niém pewne *karakias* (czyli zaklęcie), potém je za-

(1) Początki cywilizacyi. Johna Lubbock'a, w polskim przekł. 1873 r. str. 93.

kopuje. Przypuszcza się, że zaczarowana osoba niszczeje w tymże stosunku, w jakim przedmiot gnije. Prawie zawsze następuje skutek, gdy ofiara usłyszy o swém zaczarowaniu; obawa dopełnia bardzo szybko życzeń jéj nieprzyjaciela. Osoba, która chce drugą w ten sposób zaczarować, trzy dni nic nie je, czwartego dnia przyjmuje pokarm i wtedy dopiero ofiara umiera.“

Widzimy z tego przykładu, jak silném jest w umyśle Nowo-Zelandczyków skojarzenie wyobrażenia np. włosów z resztą wyobrażeń (własnéj) osoby; wiadomość o gniciu przenosi się przez to mocne skojarzenie na całą osobę tak w umyśle oczarowanego, jak nawet i czarującego. Siła tego skojarzenia jest u tych dzikich mocniejszą niż w umyśle człowieka cywilizowanego i służy za świadectwo, że kiedyś związek mógł być jeszcze ściślejszym.

Następujący wyjątek z „Początków cywilizacyi“ bardzo żywo charakteryzuje dzikich znajdujących się na stopniu rozwoju, który cechuje się samoświadomością, obejmującą całość człowieczéj osoby (t. III, str. 4).

Oj. Baegert, misyonarz jezuita, który żył siedemnaście lat z Indyanami kalifornijskimi, znakomicie opisał ich obyczaje i zwyczaje. „Nie mają oni, powiada, ani rządu, ani religii, ani urzędników, ani policyi, ani praw, bożyszcza, kościoły, kult, obrzędy religijne, są im zupełnie nieznane, nie tylko, że nie wierzą w prawdziwego Boga ale nawet nie oddają czci fałszywym bóstwom. Wszyscy są sobie równi, każdy robi to, co mu się podoba i nie troszczy się o zdanie sąsiada; to téż wszystkie występki i zbrodnie pozostają bez kary, wyjąwszy w takim razie, gdy obrażone indywiduum lub jego krewni sami sobie wymierzają sprawiedliwość i zemszczą się na winowajcy. Oddzielne plemiona nie przedstawiają bynajmniéj zbioru istot rozsądnych, poddających się pod prawa i posłusznych swym zwierzchnikom; można je tylko porównać do trzody świń, wałęsających się według własnego upodobania, dziś razem, jutro oddzielnie, i spotykających się przypadkowo ze sobą. Jednéń słowem, Kalifornijczykowie żyją, *salva venia*, niby „libertyni lub materyaliści.“ Wypytywałem się usilnie tych, z którymi żyłem, czy wierzą w Boga, w życie przyszłe, *w istnienie swych własnych dusz, lecz nie mogłem odkryć nawet śladu podobnych wierzeń*. Język ich nie zawiera wyrazu dla oddania pojęcia „Bóg“ i „dusza“ i dla tego téż misyonarze zmuszeni są w swych kazaniach i naukach religijnych używać hiszpańskich wyrazów *Dios* i *alma*. Zresztą nic w tém dziwnego, że to ma miejsce u ludzi, myślących tylko o jedzeniu i bawieniu się, nie zastanawiających się nad rzeczami poważnemi i odpowiadających na zapytanie, przechodzące zakres ich ciasnych pojęć:—*aipekerıri*—kto to wie? Na często po-

wtarzane zapytywania, czy nigdy nie badali, kto mógł stworzyć słońce, księżyc, gwiazdy i inne przedmioty, zawsze mi odpowiadali *vera*, nie.“

Za brakiem rozpadnięcia się splotu wyobrażeń składających prostą samoświadomość na dwa: ciała i duszy, zdaje się świadczyć przekonanie o zupełnéj znikomości całéj osoby.

„Nie licząc na nic po upływie obecnego życia, nie mają dzicy (1) żadnéj nadziei po za grobem. Płaczą oni, jęczą, rozpaczają. „Amekwisza“—„wszystko stracone dla niego“ jest to ostatnie słowo wschodnich afrykanów, gdy mówią o zmarłym krewnym lub przyjacielu. „Wszystko stracone i nazawsze“, wołają afrykanie zachodni. Drżą na najmniejszą wzmiankę o śmierci. „Ach, powiadają, smutno jest umrzéć, smutno jest opuścić dom, żony i dzieci, nie nosić pięknych materyi, nie jeść mięsa i nie palić tytuniu!“

Gibbs opisując Indyan zamieszkujących na pobrzeżach rzeki Sacramento i San-Joaquin, powiada: „Pytaliśmy się jednego z najinteligentniejszych członków jednego z tych pokoleń, który już od trzech lub czterech lat ma stosunki z białemi, towarzyszył im w licznych wyprawach, o wiarę w Boga; przyznał się do głębokiéj niewiadomości w tym względzie. Nie słyszał on nigdy, żeby ktoś mówił o życiu przyszłém, co zaś do niego samego, nie wierzył w nie stanowczo. Powód dla którego jego rodacy nie zamieszkują po śmierci innych krain, jak to ma miejsce u białych (2), był według niego ten, że Indyanie palą swych zmarłych, *a zatem niszczą ich zupełnie* (3).

Jeszcze wyraźniejsze światło na to stadyum samoświadomości rzucają przykłady, wyjaśniające zapatrywanie się rozmaitych ras niższych na przedmioty. Właśnie tak zwany fetyszyzm dostarczy ilustracyi (4).

Każda rzecz (P. cyw. t. III, str. 12) może być fetyszem; może on przedstawiać postać ludzką lub czyjąbądź inną. Kłos kukurydzy jest zupełnie wystarczającym. Pewien inteligentny murzyn w taki sposób odezwał się do Bosmana: „Jeżeli który z nas zdecyduje się przed-

(1) Tamże, t. II str. 82.

(2) Jak widzimy europejczyk w rozmowie tłómaczył dzikiemu swoje pojęcie o duszy, choć dziki pojął je nięosobliwie.

(3) Tamże, t. III str. 5.

(4) Spencer uważa fetyszyzm (w szkicu o „początkach kultu zwierząt“) za zjawisko wtórne. Spencer jednak nie wyjaśnił psychologicznych podstaw upatrywania podobieństwa między zwierzęciem i martwym przedmiotem a człowiekiem, upatrywania—które występuje coraz wyraźniéj, im z niższym rozwojem umysłu mamy do czynienia (dzicy, dzieci); sądzimy, że w razie wyjaśnienia, cała krucha budowa hypotezy Spencer'a o początku fetyszyzmu byłaby przez niego samego przewróconą do góry nogami.

sięwziąć jakiś ważny zamiar, pierwsza rzecz, od jakiéj zaczyna, jest znalezienie sobie boga, który by mu dopomógł. W tym celu wychodzi i bierze za boga pierwszy lepszy przedmiot, kota, psa, lub jakiekolwiek stworzenie, chociażby najobrzydliwsze w świecie; nawet może to być przedmiot nieżyjący, znaleziony na drodze, jak naprzykład kamień, kawałek drzewa, lub zresztą cokolwiek innego, to zupełnie wszystko jedno. Natychmiast składa się ofiarę nowemu bogowi, przedstawia się mu swój zamiar i obiecuje się mu uroczyście, że będzie uważany i czczony za boga, jeżeli tylko przedsięwzięcie się uda. W tym ostatnim razie wyznaje się, że nowy bóg jest bardzo użyteczny i wtedy składa się mu codzień nowe ofiary; gdy zaś zamiar się nie spełni, wyrzuca się nowego boga, jako bezużyteczne narzędzie i staje się on znowu takim samym zwykłym przedmiotem jak poprzednio. Codziennie więc tworzymy nowych i niszczymy dawnych bogów i skutkiem tego jesteśmy wynalazcami i panami tych, którym oddajemy cześć."

Dzikim, którzy stoją na tym stopniu rozwoju umysłowego, trudno bardzo dać pojęcie o duszy. Widzieliśmy wyżéj, jak australijczyk „bardzo inteligentny" śmiał się z europejskiego pojęcia duszy: człowiek bez zębów, nóg i rąk był dlań niewyobrażalnym. Widzieliśmy, że Indyanin z nad Sacramento zrozumiał, wskutek tłómaczeń europejczyka, że dusza to ciało, które jeżeli nie zostało zniszczone po śmierci, może uchodzić do innych krain i tam żyć. Oto jeszcze jeden dowód, że słaby rozum niższych dzikich nie może pojąć bezcielesnego, a zatém niezabijalnego ducha.

Pewnego razu gdy Moffat próbował wytłómaczyć pewnemu naczelnikowi, co należy pojmować pod wyrazem bóg, dziki zawołał: „Ach, jakbym ja chciał złapać go i przebić lancą." A jednak ten naczelnik był bardzo inteligentny (Pocz. cywil. t. III str. 8).

Żywo odmalowany (P. cyw. t. III str. 16) stosunek ludu prostego w Chinach do jego bogów dotykalnie prawie wykazuje, że ciasne te głowy uważają bałwana za żywego boga, a nie za powłokę boskiego ducha, który może w nią wchodzić lub ją opuszczać.

W Chinach lud prosty, jeżeli „zasyłając długie prośby do swych bożyszcz, nie otrzymuje spełnienia swych życzeń,—co téż często się zdarza,—wyrzuca je jako bezsilnych bogów. W innych razach traktują ich jeszcze gorzéj, lżą ich, a niekiedy i biją: „„Ty psi duchu jeden, powiadają mu, myśmy ciebie umieścili we wspaniałym kościele, pokryliśmy cię złoceniami, dobrześmy cię żywili i okadzali wonnościami; a po tém wszystkiém tyś jest tyle niewdzięczny, żeś nie wysłuchał naszych próśb!"" Po takiéj przemowie przyczepiają sznurki do posągu, zwalają go z piedestału, włóczą po ulicy śród błota i śmie-

ci, aby go ukarać za bezowocne koszta, jakie na niego wyłożyli. Jeżeli by w tym czasie życzenia ich spełniły się, odprowadzają go nazad do świątyni z wielkiemi ceremoniami, obmywają go, ustawiają w niszy, klękają przed nim i przepraszają za swe postępowanie. „„Co prawda, mówią, unieśliśmy się trochę za zbyt żywo, ależ ty ze swojéj strony byłeś nieco za powolny w spełnieniu naszych próśb i dla tego ściągnąłeś na siebie złe obejście. Ale co się stało, już się nie wróci; nie myślmy o tém więcéj. A jeżeli ty chcesz zapomnieć przeszłości, my cię na nowo ozłocimy.““

Uważanie przedmiotów martwych za ożywione, za czujące, można spotrzedz nie tylko u dzikich lecz i u dzieci, a to wskazuje, że takie zapatrywanie się na przedmioty nie może być zjawiskiem wtórném i ma podstawę nie w tradycyi, nie w historycznym lecz w psychologicznym rozwoju; źródło swoje czerpie nie z nauk przez dorosłych udzielanych, lecz znajduje je w samoistnéj od chwili urodzenia wciąż potężniejącéj pracy umysłowéj dziecka, dzikiego.

Pozostaje nam wyjaśnić to zjawisko w sposób zgodny z zasadami psychologii. Rzecz staje się zrozumiałą, gdy za punkt wyjścia obierzemy wyżéj skreśloną prostą samoświadomość.

Splot wyobrażeń składający się na nią zawiera wyobrażenia wzrokowo-dotykowe (1) własnego ciała. Przedmioty najrozmaitsze, jak inni ludzie, zwierzęta, drzewa, kamienie itd. wraz z dotykowo-wzrokowém wyobrażeniem własnego ciała urabiają dotykowo-wzrokową ideę przedmiotu. Łatwość, z jaką my sami odnajdujemy w cebuli—„głowę“, w podporze stołu—„nogę“, w zakończeniu szpilki „główkę“; w cieńszych końcach przedmiotów—„nóżkę“; w średniéj części—ciało, korpus, jest tylko dowodem, że konkretne wyobrażenie włącza w skład swój elementy ogólniejszéj idei. Jak w naszym umyśle za pośrednictwem skojarzeń tych ostatnich z wyrazem odnośnym („głowa“, „noga“, „ramię“) przypomina się wyraz: tak w umyśle dziecka, dzikiego, wyobrażenie konkretne, chociażby po raz pierwszy ujrzanego przedmiotu, włączając elementy idei, dopełnia się wyobrażeniami, które są z ostatniemi ściśle skojarzone. W skład idei wzrokowo-dotykowéj przedmiotu weszły u dzikiego i dziecka takież wrażenia z jego ciała, a zatém i udzieliły jéj swoich skojarzeń z wzruszeniami i ruchami. Oto dlaczego wyobrażenie konkretne pierwszego lepszego przedmiotu dopełnia się u dziecka i dzi-

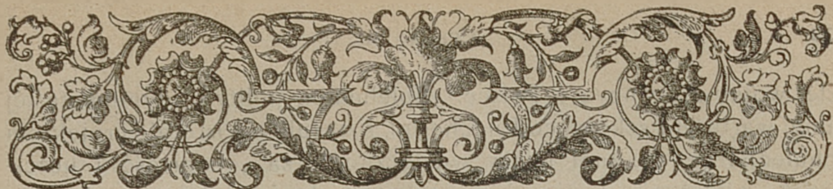
(1) Gdy podajemy podobnego rodzaju nazwę wyobrażenia, to mamy na celu jedynie zaznaczenie przeważających w niém wrażeń (jesteśmy nawet przekonani, że wyliczenie wszystkich wrażeń, wchodzących w skład pierwszego lepszego wyobrażenia w tysiącznem stopniowaniu siły i nadających mu tysiące subtelnych odcieni w miarę zmiany téj siły, przechodziłoby możność największéj potęgi umysłowéj).

kiego przypomnieniem wzruszeń i ruchów, które, gdy jest bardzo słabém, odczuwa się przez dany osobnik jako możliwość; gdy staje się w skutek odpowiedniego skierowania uwagi silniejszém—przedstawia rzeczywistość. Tak dziecię, gdy siądzie na kij, wyobraża sobie, że on je unosi, jak prawdziwy koń, gdy bije stołek lub lalkę rózgą, jest pewném, że jeden i druga czują ból. Chińczyk z pospólstwa jest przekonany, że bożek czuje upokorzenie, gdy go walają w błocie, że lituje, się gdy go błagają. Murzyn rozumie, że fetysz słyszy, gdy on mu obiecuje cześć, że widzi, bo chowa go, lub zakrywa, gdy chce zrobić coś takiego, coby się nie podobało temu bożyszczu.

Zaznaczmy mimochodem, że dopiero co nakreślony proces umysłowy jest *wnioskowaniem*, które właśnie w zupełnie podobny sposób odbywa się i w naszym umyśle, jak to będę miał sposobność niżéj wykazać na przykładzie nie fikcyjnym. Cała różnica między dzieckiem a dorosłym, dzikim a wykształconym cywilizowanym człowiekiem jest w sile i rozmaitości skojarzeń. U nas samoświadomość jest całkiem inną, nie przedstawia ona silnego splotu wyobrażeń cielesnych, skojarzonych np. ze wzruszeniami w związek, zapewniający im występowanie w umyśle współczesne, lub chociażby następcze; skojarzenia te nawet w wielu razach nie istnieją już wcale: „główka" cebuli nie przedstawia się nawet czującą; „mądry jak stołowe nogi" u nas ma wprost przeciwne znaczenie, niż mogło by mieć u murzyna, który by obrał sobie nogę stołu za fetysza.

(*d. n.*) *Józef Siemaszko.*





DYPLOMACYA AUSTRYACKA
WZGLĘDEM POLSKI
POD KONIEC XVIII WIEKU.

II.

Jeżeli austryacka polityka wobec wybuchającéj w maju 1792 wojny między Polską a Rosyą jest niedołężną i słabą, nie należy zapominać o łagodzącéj jéj winę okoliczności, iż ją absorbował zatarg z rewolucyą francuską. Równocześnie z krokami wojennemi Rosyi przeciw Polsce rozpoczęła się nowa, po za plecami Kaunitza, gra polityki pruskiéj. Właściwym kierownikiem polityki austryackiéj był wtedy, podczas długich nieobecności i wypoczynków starego Kaunitza, znany nam tajny radca Spielmann. Do niego to, za pośrednictwem posła austryackiego w Berlinie hr. Reussa, odnosi się minister spraw zagranicznych pruski, hr. Schulenburg, w przedmiocie Polski z propozycyami noszącemi niedwuznaczną cechę intencyi, jakich Prusy nigdy względem Polski żywić nie przestały. Jeżeli Kaunitz w depeszy z 9 maja 1792 nalegał na dwór petersburski o wypowiedzenie wojny Francyi, o „powstrzymanie się z krokami wojennemi przeciw Polsce, nie rządził się sprzymierzony przecież nibyto z Polską gabinet berliński podobnemi skrupułami i starał się wyzyskać kłopoty polskie ku własnemu powiększeniu, wciągając, o ile można, w tę robotę i Austryą. Dnia 22 maja 1792, a więc prawie w chwili, kiedy wojska rosyjskie zabierały się przekraczać granicę, pisał Reuss do Spielmanna z polecenia Schulenburga, iż czas, aby Austrya i Prusy pomyślały teraz o swym interesie w Polsce, aby korzystając z inwazyi rosyjskiéj, Prusacy i Austryacy „pod pozorem obrony zagrożonych swych interesów“ wkroczyli w liczbie 10—12000 ludzi do Polski, poczém Rosya mogłaby sobie zabrać Ukrainę, Austrya wynagrodzić się „nad Renem“, Prusy powetować sobie szkody przy-

szłéj wojny z Francyą w Polsce. Spielmann, polityk i dyplomata téj saméj wartości i szkoły, co Lucchesini, rozczulił się istotnie projektem Schulenburga, nie znał miary wdzięczności za „otwartość i uczciwość“, z jaką minister pruski sprawę tę traktuje, i dał 29 maja 1792 odpowiedź przychylną projektowi pruskiemu, zgadzając się na powiększenie Prus i Rosyi kosztem Polski, żądając natomiast indemnizacyi dla Austryi kosztem Bawaryi. Jedyną niedogodność przedstawiało według Spielmanna niezadowolnienie, jakie objawiała Katarzyna z powodu mieszania się podobnego Prus w sprawy polskie. Nie potrzeba naturalnie powiadać, do jakiego stopnia gabinet berliński był zadowolniony z podobnéj uprzejmości. Co zaś najpocieszniejsza, poczęli obaj korespondenci, Schulenburg i Spielmann, chwalić nawzajem swą „uczciwość“ i „otwartość.“ I tak czytamy w depeszy Reussa do Spielmanna z 4 czerwca. „Z podobną szczerością i otwartością, mówił hr. Schulenburg, nie postępowali zapewnie jeszcze z sobą ministrowie dwojga dworów względem siebie, jak baron Spielmann i ja. Ale tak téż być powinno, jeżeli dobre rzeczy mają przyjść do skutku i tak téż pozostaniemy nadal względem siebie.“ Negocyacya podjęta w ten sposób wśród wojny r. 1792 ciągnęła się daléj. Austryacki mąż stanu zgadzał się w zasadzie na zabór przez Prusy części kraju polskiego, stanowiącego pomost między Szląskiem a Prusami, czyli Poznańskiego. Jak daleko ten zabór Prus miał sięgać, było pozostawioném ich porozumieniu z Katarzyną. Naturalnie wchodziła w program porozumienia między Spielmannem a Schulenburgiem (depesza 9 czerwca) zgoda na akcyą Rosyi przeciw Polsce, na rosyjski manifest, wydany w chwili rozpoczęcia wojny, na przekreślenie ustawy 3-go maja i powrót do stanu rzeczy z r. 1775. Również miała Austrya upomnieć się przy téj sposobności „o swe prawa“ w Polsce, a jéj rezydent w Warszawie de Caché dostał nawet polecenie czynić w tym względzie starania u konfederacyi Targowickiéj. Zgoda Spielmanna na podobne porozumienie trzech mocarstw w sprawie polskiéj, kończyła się takim ustępem: „Zdaje się, iż można sobie pochlebiać, że Polacy, wskutek tych jednobrzmiących deklaracyi, uznają konieczność i stosowność poddania się żądaniom trzech dworów sąsiednich, podobnie jak okolicznościom, a w razie potrzeby, j. c. mość Apostolska połączy swe usiłowania ze staraniami j. c. mości Rosyjskiéj, aby wprowadzić w wykonanie do współki z j. kr. mością Pruską wspólne zamiary trzech dworów.“

Otóż to robota zasnuta między Schulenburgiem a Spielmannem, która jednak, jak przekonywają dokumenta, nie zyskała zatwierdzenia ze strony Kaunitza. Już w depeszy z 21 czerwca 1792 do L. Cobenzla wyrażał Kaunitz przypuszczenie, że Rosya radaby

uwikłać Prusy i Austryą w wojnę z Francyą, aby tém swobodniéj zamiary swe w Polsce przeprowadzić. Całą myśl swoję co do sprawy polskiéj rozwinął przecież kanclerz austryacki w memoryale z 25 czerwca 1792, podanym młodemu cesarzowi, który to dokument rozpoczynał od oświadczenia, „iż w taki sposób ministerstwa swego kończyć nie może.“ W dalszym ciągu czytamy: „Najprzód opiera się pod tak wielu względami wątpliwy projekt hr. Schulenburga na czystém przypuszczeniu, którego egzystencya nie jest pewną, przeciwnie jest bardzo wątpliwą. Samo przez się jest tenże projekt obelżywym dla tutejszego dworu, wobec Polski zaś niegodny, a w swém wykonaniu chimerą. Dla tutejszego dworu obelżywym, ponieważ tenże dał tyle dowodów swojéj rozwagi i uczciwości, że według mego zdania, nie należało sobie pozwalać przedkładania mu podobnego projektu. Wobec Polski jest niegodnym, ponieważ nie zgadza się z uczciwością żądać od swobodnego i niezależnego państwa, aby nietylko wyrzekło się swojéj ustawy, ale aby nawet różne prowincye swego kraju czystéj wygodzie obcych państw poświęcało, rzeczą przeciwną *juri gentium* i wszystkim istniejącym tak dawniejszym, jak nowszym traktatom i zobowiązaniom; wreszcie zaś jest wykonanie całego projektu chimerą: 1) ponieważ tenże tak, jak jest przedłożonym, nie może być wcale przyjętym; 2) ponieważ przyzwolenie dworu bawarskiego i palatyńskiego, co najmniéj jest bardzo wątpliwe; 3) ponieważ prawa zamiany Niderlandów niedawno temu formalnie się zrzeczono, a potęgi morskie takiéj zamianie najprawdopodobniéj i słusznie by się opierały, tak dla tego samego, jak i z tego powodu, że nie może być dla nich rzeczą obojętną, czy posiadają w Niderlandach władcę zupełnie bezsilnego, czy téż potężnego monarchę, któryby sam był w stanie rewolucyi tamże zapobiedz, a tém samém naśladowaniu jéj w siedmiu połączonych prowincyach przeszkodzić. Do tego dodać jeszcze należy, iż w wykonania środkach nie przedstawia się żadna wzajemność, ponieważ: 1) zamiana Bawaryi zależy od dobrowolnego przyzwolenia i wątpliwego rezultatu negocyacyi; Prusy natomiast w porozumieniu z Rosyą co chwila mogą wejść w posiadanie swych nowych nabytków w Polsce, bez możności przeszkody z naszéj strony; 2) ponieważ wobec naszego przyzwolenia na tak znaczne powiększenie pruskiego dworu, pozwolenia, któreby najzupełniéj starczyło do zabezpieczenia takiego nabytku, Prusy, które sobie nie robią skrupułu pozbawić Polskę jéj prowincyi, wahają się przecież elektora bawarskiego i księcia Zweibrückeńskiego doprowadzić do ich zobopólnego zezwolenia drogą takiéj namowy, jakaby w tym celu była konieczną. Przy tém całém postępowaniu tedy nie widzę nic więcéj, jak chciwość i polityczne

zasady, które na przyszłość bardzo mało ufność wzbudzać mogą, a tém samém mało dobrego zapowiadają. Tego rodzaju polityczna moralność nie odpowiada moim zasadom i nie powinnaby być dla tego praktykowaną przez wielkie mocarstwo, które siebie samo umie szanować i ceni wartość swego dobrego imienia. Według moich pojęć, należałoby tedy cały ten projekt starać się pogrzebać, ponieważ ze złéj rzeczy nigdy dobra wyniknąć nie może. W takiém położeniu rzeczy jest więc mojém jedyném życzeniem i jedyną moją nadzieją, że z tego wszystkiego nic nie będzie, a trzeba się miéć na baczności, aby się w tę sprawę daléj nie zapuszczać, a równie niepotrzebnie, jak drobiazgowo nie kompromitować."

W tym duchu zostały wyprawione instrukcye do Reussa w Berlinie, L. Cobenzla w Petersburgu, a cesarz Franciszek odpisał na memoryał Kaunitza w dniu 29 czerwca: „Jestem dalekim od chęci pośpiesznego działania w téj sprawie lub zapuszczania się w cokolwiekbądź, coby czci mojéj szkodzić lub złe następstwa za sobą pociągnąć mogło."

Wkrótce potém wyjechał cesarz na koronacyą do Frankfurtu, kiedy wobec gasnącego pożaru wojennego w Polsce, Schulenburg nie przestał pracować nad Reussem, obiecując Austryi ustąpić księstwa Ansbach i Baireuth, jeżeli ona zgodzi się na zajęcie przez Prusy województwa poznańskiego, kaliskiego i Kujaw. Dodajmy, że wtenczas właśnie, w początku sierpnia, sędziwy Kaunitz po 50-letniéj służbie prosił o uwolnienie, a zawiadujący wydziałem spraw zagranicznych wice-kanclerz Filip Cobenzl okazywał się przychylnym planom i propozycyom pruskim w zamian Ansbachu i Baireuthu. Tymczasem jednak powrócił cesarz z podróży koronacyjnéj, a odbyta pod jego przewodnictwem 3 września konferencya nie oddawała tak zupełnie interesu austryackiego na pastwę pożądliwości pruskiéj. Konferencya ta postawiła obu innym mocarstwom marsa i pogroziła, że w razie obsadzenia kraju polskiego przez Rosyą i Prusy odpowiedzią austryacką będzie również obsadzenie czasowe pewnego odpowiedniego obszaru Polski przez wojska austryackie.

Tutaj to może czas zauważyć, że Kaunitz ustąpił wówczas od kierownictwa spraw zagranicznych urzędowo, zachowując sobie na nie wpływ pośredni, doradczy, a że oficyalnie wziął je na siebie z tytułem wice-kanclerza F. Cobenzl, uchodzący za zwolennika Rosyi, przeciwnika Prus, bez należytéj jednak energii ani w jednym, ani w drugim kierunku. Była to smutna dla Polski chwila, owa jesień r. 1792, po złamaniu oporu na widowni wojennéj, po zajęciu Warszawy przez wojska rosyjskie pod dowództwem Kachowskiego, po wymuszonym akcesie Stanisława Aug. do konfederacyi Targowickiéj,

wśród gospodarowania owéj konfederacyi na Litwie i w Koronie. Co w téj chwili rzeczą zasługującą na uwagę a wynikającą z depesz petersburskich L. Cobenzla, to, że przewodniczący wydziałowi spraw zagranicznych w Petersburgu hr. Ostermann przyjmuje z widocznym kwasem mieszanie się obu mocarstw niemieckich do spraw polskich, a że zgadzając się na subsydya pieniężne w wojnie przeciw rewolucyi francuskiéj (400,000 rubli), nie dopuszcza na tymczasem rozmowy o jakimbądź nowym podziale Polski. W wymianie depesz między trzema dworami grozi naówczas Austrya ciągle obsadzeniem części kraju polskiego w razie, gdyby Prusy nie pozwoliły jéj szukać indemnizacyi w Bawaryi,—o nowym podziale Polski nie ma jednakże chwilowo mowy. Ten stan nie mógł jednak trwać długo, a inicyatywę jego przerwy miało dać, jak zwykle, nienasycone łakomstwa pruskie. Uprzytomnijmy sobie ówczesny stan rzeczy na wielkim teatrze wojny i polityki. Król pruski doznawszy samych niepowodzeń w wyprawie przeciw Francyi, chory, zgryziony, rozpoczął odwet z Szampanii ku Luxemburgowi, mając oczy zwrócone raczéj w stronę łatwych nabytków polskich, aniżeli ku Francyi, skąd prócz bezpłodnéj aureoli obrońcy zagrożonéj idei monarchicznéj, żadna nadzieja dotykalnéj korzyści nie przyświecala. Gabinet wiedeński spoglądał, jak zawsze, tak i wówczas na Prusaków i ich działania z widocznném niedowierzaniem. We współczesnych depeszach F. Cobenzla przebija nawet obawa, aby Prusacy nie weszli w porozumienie z Francyą i nie zabrali Belgii. W charakterze dyplomatycznego agenta, więcéj może jeszcze w roli obserwatora wszelkich ruchów i zamiarów pruskich, został wyprawiony z Wiednia (październik 1792) do obozu pruskiego baron Spielmann. Około połowy października znajduje się główna kwatera króla pruskiego w zamku Merl pod Luxemburgiem; w otoczeniu jego widzimy dwóch czynnych w dziedzinie zagranicznéj polityki mężów stanu, barona Haugwitza i hr. Schulenburga. Obaj zaczynają się zwierzać Spielmannowi i badać przezeń usposobienia dworu wiedeńskiego co do Polski. Po oświadczeniach ustnych 15 października, że król pruski poniósł, przez dotychczasowy swój udział w wojnie przeciw Francyi, wielkie straty i wydatki, przedstawili obaj ministrowie, że „wszelka słuszność wymaga, aby inne sprzymierzone mocarstwa, w pierwszym rzędzie naturalnie Austrya, zgodziły się na wynagrodzenie Prus za szkody poniesione w kampanii francuskiéj. Indemnizacyi téj mogą, według zdania ministrów, Prusy szukać sobie jedynie w Polsce. Dnia 25 października została ta pretensya bez zwrócenia uwagi na jaki bądź możliwy opór ze strony Polski, zakomunikowaną Spielmannowi w sposób formalny przez ministrów pruskich, przyczém również nie było mowy o in-

demnizacyi Austryi przez jakie bądź nabytki bawarskie i frankońskie. Nawiasowo powiedziawszy, nie trudno sobie wyobrazić, jak wśród podobnych targów, jak wśród podobnie na widowni polskiéj traktowanego interesu, wojna przeciw Francyi mogła być prowadzoną, jak nie była prowadzoną na seryo, jak legendową bajką jest owo ocalenie Francyi przez „Marsyliankę“ i „czternaście“ bajecznych armii, kiedy naprawdę ocala Francyą — Polska swą klęską! Wracając do naszego głównego przedmiotu, powiedzmy, że Spielmann zagadniony w ten sposób przez Prusaków, odniósł się z żądaniem instrukcyi do Wiednia. Odpowiedź F. Cobenzla z 26 października, zgodna zresztą z treścią jego późniejszych depesz, pozostanie znowu tylko dowodem owéj dobrodusznéj słabości austryackiéj, która nie chcąc złego, która pragnąc oszczędzać Polskę, nie umiała jéj przecież skutecznie obronić, a kończyła zawsze tylko ustępowaniem, jeżeli nie w uczestnictwie krzywdy wyrządzanéj swojéj klientce. Depesza Cobenzla do Spielmanna z przeznaczeniem komunikacyi Schulenburgowi i Haugwitzowi, zawierała między innemi taki ustęp: „Zaręczam, że kredyt mój u mego najłaskawszego monarchy byłby wystawiony na najwyższe niebezpieczeństwo, gdybym się pokusił doradzać j. c. mości krok tak zabójczy, jakim byłoby dopomagać królowi pruskiemu do ponownych nabytków w Polsce, bez zajęcia z naszéj strony Bawaryi i Górnego Palatynatu. W takim razie uważałbym oziębienie stosunków między obu monarchami za daleko mniejsze złe, aniżeli jednostronne powiększenie się monarchii pruskiéj.“ Jeszcze d. 30 października pisze Cobenzl do Spielmanna, że przecież jeżeli chodzi o Polskę, to i Rosya głos mieć powinna, że Austrya powinna zyskać równoważny nabytek w Bawaryi i księstwach frankońskich, że w ostatecznym razie obsadzi tymczasowo do współki z dwoma mocarstwami część Polski, a frazesy, jak „*Treulose Streiche der Preussen*“, jak energiczne wyrażenia przeciw ich zamiarowi fałszowania asygnat francuskich pojawiają się co chwila w korespondencyi między gabinetem wiedeńskim a dyplomatami jego Spielmannem, Mercym, Thugutem przebywającym w obozie pruskim. Ostatecznie jednak przedstawiają się owe prusko-austryackie negocyacye na zamku Merl w jesiennych miesiącach r. 1792 z najsmutniejszéj strony nie już dla Polski, ale dla Austryi saméj. Istotnie przechodzi niedołężność i bezradność jéj dyplomacyi wszelkie granice. Intencye jéj względem Polski są niewątpliwie dobre. Austrya chciałaby Polsce oszczędzić nowego podziału, a przedewszystkiém zasłonić ją od pożądliwości pruskiéj. Pod tym względem jest nawet najnieprzychylniejszy Polsce z dyplomatów austryackich, Spielmann, przekonań, jakby się zdawać mogło, bardzo wyrobionych. Prusacy

jednakże, Schulenburg, Haugwitz, Bischoffswerder, sam książę Brunświcki nie przestawali posługiwać się względem Austryi następną taktyką. Z jednéj strony, wśród nieustannych frazesów o „dobrém prawie“, „uczciwości“, „otwartości“, przedstawiali natarczywą potrzebę poszukania sobie indemnizacyi w Polsce za koszta wojny francuskiéj; z drugiéj strony dawali do zrozumienia, że jeżeli Austrya na to się nie zgodzi, Prusom nie zostanie nic innego nad smutną konieczność odstąpienia od akcyi wojennéj, porzucenia Austryi saméj w zapasach z Francyą. Co rzeczą znowu na smutną uwagę zasługującą, to, że w tych handlach i targach o Polskę na owym granicznym skrawku belgijskiéj widowni, nie pojawia się ani razu kombinacya jakiejbądź akcyi samejże Polski, przypuszczenie, że ta Polska w jakibądź przecież sposób przeciw stypulacyom takiego bez niéj a przeciw niéj ułożonego targu zaprotestować może. Dyplomaci austryaccy skarżą się w depeszach do Wiednia, „że im Prusacy przykładają nóż do gardła“, targują się o Bawaryą i księstwa frankońskie, występują raz poraz z groźbą obsadzenia równoważnego obszaru w Polsce, ale ostatecznie cofają się i dają rzecz za wygraną ze szkodą patronowanéj niby to przez siebie Polski, bez korzyści najmniejszéj własnéj. Dnia 5-go listopada nadeszła do Merl wiadomość, że dzięki wynagrodzonym przez króla pruskiego orderem orła czarnego . . staraniom posła pruskiego Goltza w Petersburgu, Katarzyna zgodziła się na współokupacyą pruską w Polsce. / Odbyta dnia następnego między pruskimi a austryackimi mężami stanu konferencya wyprowadziła na jaw wspomniane pretensye pruskie wraz z repliką austryacką. Król pruski obiecywał Austryi złote góry w Bawaryi i Frankonii, Spielmann i Mercy domagali się dla niéj działu w Polsce.

Przebieg téj negocyacyi wraz z obustronnemi żądaniami został zakomunikowany do Wiednia. Odbyta tutaj 29 listopada konferencya ministeryalna stanęła zasadniczo na podstawie zajętéj przez dyplomatów austryackich w Merl, oświadczyła gotowość obsadzenia pewnych obszarów Polski, jeżeli Rosya i Prusy przystąpią do nowego podziału. Jakoby gotując się na podobny krok powiększono nieco siły swe w Galicyi i powierzono w Grudniu 1792 dowództwo feldmarszałkowi hr. d'Arnoncourt. Tymczasem powtarzała się ciągle w depeszach pruskich stara zwrotka o konieczności indemnizacyi, kiedy ze strony austryackiéj, nie zabierając się do jakiegobądź czynu, odpowiadano na nią pretensyami do Bawaryi i księstw frankońskich lub żądaniem równoważnego obszaru w Polsce saméj. Ostatni raz odezwała się ta pretensya austryacka w kapitulującéj na rzecz żądań prusko-rosyjskich depeszy wice-kanclerza Cobenzla do repre-

zentanta Austryi w Petersburgu z 23 grudnia t. r. Nie zdołała, rozumie się, taka chwiejna postawa gabinetu wiedeńskiego powstrzymać ani na chwilę ułożonego między Berlinem a Petersburgiem biegu wypadków. Dnia 3 stycznia 1793 nadeszła do Wiednia od L. Cobenzla w Petersburgu wiadomość, że Katarzyna zgodziła się na wkroczenie wojsk pruskich do Polski. Doniesienie to nie omieszkało wywołać pewnego alarmującego wrażenia w Wiedniu i stało się hasłem pewnych intencyi i dobrych chęci, które jednak nie poparte czynem, nie mając do dyspozycyi odpowiednich środków materyalnych, miały spełznąć na niczém. Tuż po nadejściu depeszy Ludwika Cobenzla, wyprawiono do posła austryackiego w Berlinie rozkaz żądania i dla Austryi równoważnego obszaru w Polsce. Nadto nastąpiła walna konferencya wszystkich konferencyjnych ministrów w celu narady, jakie zająć stanowisko w sprawie polskiéj. Brali w naradzie udział: ks. Starhemberg, feldmarszałek hr. Lacy, ks. Rosenberg, hr. Colloredo, hr. Filip Cobenzl, baron Thugut, baron Spielmann i baron Collenbach jako sekretarz. Trudno sobie było zataić, że żal przychodzi za późno, a że pozwoliwszy się wyprowadzić Prusakom w pole i ubiedz w Polsce bez żadnéj równoważnéj indemnizacyi, teraz wobec niemocy zwłaszcza materyalnéj i dywersyi francuskiéj, nie pozostaje Austryi wiele więcéj do roboty nad przyzwoitemi pozorami osłoniową rezygnacyą. Feldmarszałek Lacy tylko wpadł na pomysł, który pokutował przez niejaki czas w intencyach i depeszach gabinetu wiedeńskiego, aby, jak wszystkie inne jego spóźnione projekty, spełznąć na niczém. Pomysł ten zmierzał do zwiększenia sił austryackich w Galicyi kilku batalionami piechoty i kilku pułkami jazdy, aby następnie obsadzić Kraków i Kamieniec, a za pomocą jazdy utrzymywać ciągłą komunikacyą między obu załogami. Okupacya miała być tymczasową, a ustać natychmiast, skoroby Rosya i Prusy wojska swe z Polski wycofały. Bezzwłocznie zaś po téj konferencyi wyprawił gabinet wiedeński w najgłębszéj tajemnicy rotmistrza Ettinghausena na objazd nowego zaboru pruskiego w Polsce i pogranicza. Nie powstrzymało to ani na chwilę szybkiéj akcyi prusko-rosyjskiéj z pewném lekceważeniem Austryi. Tak np. zawarto 13-go stycznia 1793 między Rosyą a Prusami konwencyą, regulującą obustronne działanie wojsk ich bez zawiadomienia nawet Austryi, co, jak widzimy, gabinet wiedeński mocno dotknęło. Przesłany dopiero 27 stycznia memoryał ministra spraw zagr. Ostermanna do posła rosyjskiego w Wiedniu hr. Razumowskiego, oznajmiał, że gabinet petersburski zgodził się nareszcie na ustąpienie pożądliwościom pruskim w Polsce, by położyć koniec niepewności i zniewolić w ten sposób Prusaków do wytrwania w wojnie przeciw rewolucyi francuskiéj. Później-

sza depesza L. Cobenzla z 7 marca donosiła do Wiednia, że nowa, zawarta między Prusami a Rosyą w d. 1 marca konwencya omawia jeszcze szczegółowiéj akcyą obustronnych wojsk w Polsce. Wiadomo zkąd inąd, że tymczasem w ostatnich dniach stycznia 1793 wojska pruskie wkroczyły do Polski, że zajęły Poznań, Toruń, że blokowały opierający się Gdańsk a że Austrya, dzięki niedołężności swéj polityki, mianowicie Filipa Cobenzla, wyszła z téj sprawy z mocnym uszczerbkiem honoru a bez żadnéj materyalnéj korzyści. Wspomnieni przez nas wyżéj mężowie stanu austryaccy skarżyli się, że Prusy wyzyskując trudne położenie Austryi z powodu wojny z Francyą, nadużyły go do postarania się o nowe nabytki w Polsce. Baron Thugut zaś w proroczéj obawie o przyszłość Austryi w skutek nadmiernego wzrostu Prus, pisał: „Całe to położenie rzeczy zdaje się zasługiwać ze strony j. c. mości na uwagę jak najdojrzalszą, aby uniknąć, o ile na to nieszczęśliwe okoliczności pozwalają, wszelkiego rodzaju sideł, jakich odwieczny współzawodnik potęgi austryackiéj, nie przestanie jéj nigdy stawiać.“ Objaw ten przenikliwości ministra austryackiego nie wywołał żadnéj rzeczywistéj, czy to w interesie Polski, czy choćby w interesie własnym akcyi. Pokutuje wprawdzie jeszcze przez kilka tygodni zamiar opanowania Krakowa i Kamieńca, jako zastawu,—ale zamiar ten kończy się na niepokojach fałszywego apetytu, nie wchodząc w żaden nawet początek wykonania. Co najwięcéj, widzimy, że owa klęska interesu austryackiego w Polsce, staje się gabinetowi wiedeńskiemu powodem do postawy najbezpłodniejszéj i najniewdzięczniejszéj, jaką dzieje polityki znać mogą, do odgrywania roli dąsających się i zagniewanych. Rzecz naturalna, że ani gabinet berliński, ani gabinet petersburski owemi dąsami niewiele się kłopotały, że zawierały z sobą styczniowe i marcowe konwencye, w których Austrya najzupełniéj znalazła się pominięta. Dowód zaś owych dąsów austryackich mamy na korespondencyi zamienionéj między wicekanclerzem Cobenzlem a rezydentem austryackim w Warszawie, de Caché'm.

De Caché jest osobistością bardzo małych przedewszystkiém zdolności, nie mającą szczególnego zachowania wobec własnego rządu. Nadto jest tak stanowczym, tak wyraźnym zwolennikiem interesu rosyjskiego, że go poseł rosyjski Siewers wzywa z własnego ramienia, by się udał wraz z nim do Grodna, że mu tamże nawet ofiaruje u siebie mieszkanie. Ta okoliczność właśnie wywołuje, d. 16 marca 1793, depeszę, w któréj wicekanclerz zabrania de Caché'mu wyjeżdżać do Grodna a zarazem poleca, aby wobec wszelkich interpelacyi reprezentantów Prus i Rosyi pozostał na uboczu i zasłaniał swe milczenie brakiem instrukcyi.

Tak więc odsądziła się Austrya sama od odegrania jakiejbądź roli w drugim podziale Polski i w strasznym, mającym go przypieczętować dramacie grodzieńskim. Odtąd widzimy przez niejaki czas usiłowania jéj zwracające się w dwa kierunki, najprzód ku pozyskaniu ściślejszego przymierza z Anglią, aby zrównoważyć alians prusko-rosyjski, następnie ku wykołataniu na Prusach indemnizacyi bawarsko-frankońskiéj. Jeżeli zapytamy o przyczyny podobnego bankructwa polityki austryackiéj w Polsce, znajdujemy ich dwie przedewszystkiém. Pierwszą stanowiła nieszczęsna, tragicznie na losach Polski odbijająca się dywersya rewolucyi francuskiéj; drugą polityczna nieudolność wicekanclerza Cobenzla. niezdolnego żadną miarą sprostać bawiącemu teraz na uboczu, poprzednikowi swemu, Kaunitzowi. Filip Cobenzl, specyalista w wydziale ekonomiczno-finansowym, dawniéj zawiadowca departamentu finansowego w Bruksselli, późniéj na podobném stanowisku w Wiedniu, więcéj administracyjny rutynista, aniżeli polityk, pozbawiony łatwości słowa skutkiem jąkania, nie zdołał wśród trudnych okoliczności rozwinąć akcyi, która by mogla oszczędzić Austryi przykrego i szkodliwego upokorzenia. Co najwięcéj dolegalo i rozdrażniało w Wiedniu, to oddanie Prusom ujść Wisły, to poświęcenie Gdańska. Uczuciu tego rozdrażnienia i niesmaku należy téż przypisać, że pod koniec marca 1793 własnoręczny bilet cesarza Franciszka zawiadomił pewnego pięknego poranku F. Cobenzla, że „odtąd powierza mu się wice-kanclerstwo w sprawach włoskich, kiedy kierownictwo spraw polityki zagranicznéj przechodzi w ręce barona Thuguta.“

Przypatrzmy się z kolei rzeczy akcyi w sprawach polskich tego słynnego w dziejach Austryi męża stanu i zobaczmy, czy i o ile potrafiła być lepszą od poprzedzającéj.

Od chwili objęcia steru polityki zagranicznéj przez Thuguta, co się faktycznie odbywa w pierwszych dniach kwietnia 1793, widzimy przedewszystkiém, również bez śladu jakiéj bądź politycznéj akcyi, cały szereg, rozsełanych za pośrednictwem Starhemberga, Reussa, Ludwika Cobenzla do dworów londyńskiego, berlińskiego, petersburskiego depesz z żalami na gabinety berliński i petersburski z powodu, iż dopiero pod dn. 22 marca zakomunikowały przez swych reprezentantów Cesara i hr. Razumowskiego w Wiedniu konwencyą prusko-rosyjską 13 stycznia 1793, która uważając Polskę bez ceremonii za przedmiot indemnizacyi mający Prusom wynagrodzić koszta wojny francuzkiéj, która pomijając zupełnie Austryą, zastrzegała obu mocarstwom zawierającym ją „prawo“ wyłącznego rozrządzania Polską. Depesze te Thuguta, noszą datę 14 kwietnia t. r., wyrażały z tego powodu marne niezadowolnienie Austryi wraz z natar-

czywém, pełném obawy naleganiem, aby jakąś przecież Polskę przy życiu pozostawić, mianowicie, aby pozostawić Częstochowę Polsce, aby nie dopuszczać obu mocarstw z ich nowemi posiadłościami zbyt blisko do granic galicyjskich. „Jako sąsiad Polski", pisał Thugut w jednéj z pomienionych depesz, „ma cesarz interes, domagać się zachowania tego państwa w stanie pośredniéj potencyi (eines intermediären Staates), a z tego powodu żądać, aby rosyjskie i pruskie działy tak były wymierzone, aby między niemi a granicą Galicyi była zachowana odległość odpowiednia pojęciu pośredniego państwa"...

Tejże saméj treści komunikacyą przesłał Thugut pod tąż datą za pośrednictwem hr. Mercy do dworu londyńskiego, który wogóle. jako przychylny zachowaniu Polski, staje się odtąd przez niejaki czas celem poszukiwanego przez Austryą aliansu. „Podobnie", pisał Thugut, „jak dwór Wielkiéj Brytanii łatwo poweźmie ztąd przekonanie, iż j. c. mość nie może się przychylić do przyzwolenia, jak tego żądają, na tęż konwencyą, tak uzna tenże dwór równie jako rzecz słuszną, iż nasz dwór ze swéj strony nie wywołał wcale myśli nowego rozkawałkowania Polski a daleki od tego, aby go pragnąć, znajduje je przeciwnie jako dla siebie bardzo szkodliwe. Z drugiéj jednakże strony nie znajdujemy się tutaj w położeniu, któreby nam pozwalało opierać się nowemu podziałowi Polski skutecznie. ponieważ stosunki, w jakich się z obu naszymi sprzymierzeńcami znajdujemy, pozbawiają nas nawet możności, wystąpienia przeciw temu z bezpośrednio z silnemi przedstawieniami. Tém więcéj pocieszającą rzeczą byłoby dla j. c. mości, gdyby dwór angielski podobn i względami nie był powstrzymany wystąpić wobec dworów pruskiego i rosyjskiego z takiemi przedstawieniami, któreby je mogły spowodować do zupełnego zarzucenia ich planu podziałowego, albo téż (ponieważ mała tego nadzieja), nadzwyczajne działy, jakie tu sobie sami wymierzyli, zmniejszyć i wprowadzenie całego planu w życie na teraz odroczyć. Podobnie, jak Polacy nie są w stanie wykonaniu podobnego planu się oprzéć, tak też łatwo przewidziéć, iż będzie trudno wymusić przemocą ich przyzwolenie na to. Gdyby tedy przez jakibądź angielski krok, z któregoby w Warszawie wnosić można było, iż Anglia zamierzonego podziału nie pochwala, do tego zachęceni byli, odmawialiby przyzwolenia swego z tém większą energią, przez coby się rzecz ważną w takich razach zyskało, to jest na czasie. Taki krok będzie odpowiadał zarówno względowi, jaki tamtejsze (angielskie) ministerstwo winno miéć dla opinii publicznéj narodu, i dla wrzawy, jaką przy téj sposobności stronnictwo opozycyjne wzniesie, jak będzie mógł być wobec Prus i Rosyi wytłómaczony

tymże właśnie względem. Gdyby też i tutejszy (wiedeński) dwór do poparcia angielskich starań, aby oba mocarstwa dopiero co wspomniane skłonić do miarkowania swych polskich pretensyi i odroczenia chwili ich wykonania, w jakibądź sposób mógł się przyczynić bez nadaremnego się kompromitowania, można w Anglii na to liczyć, że się to (ze strony Austryi) z pewnością i z radością stanie.“ Tak to odnosiła się Austrya w swych kłopotach do pośredniéj interwencyi angielskiéj, zapowiadając równocześnie, że jeżeli jéj gabinet londyński w zatargu dyplomatycznym z obu mocarstwami nie poprze, znajdzie się skazana na smutną konieczność poszukania sobie również „indemnizacyi“ w Polsce.

Kiedy w ten sposób z jednéj strony Austrya przedsiębierze akcyą dyplomatyczną ku ocaleniu resztek Polski na dalekiéj widowni angielskiéj, zobaczmy, co robi na bliższych, w Polsce saméj i w Petersburgu. Wiemy już, że odebrał de Caché od Thuguta instrukcyą, aby mimo wezwania posła rosyjskiego do Grodna nie wyjeżdżał a milczenie swe zasłaniał brakiem instrukcyi. W skutek tego bawił jeszcze de Caché pod koniec kwietnia w Warszawie, kiedy król, dygnitarze rzeczypospolitéj i dyplomacya zagraniczna byli już oddawna w Grodnie. Zdaje się, iż taki stan rzeczy nie odpowiadał ani życzeniom, ani potrzebom gabinetu wiedeńskiego, czego dowodem pozostaną dwie, krótko po sobie, 20 i 24 kwietnia 1793 od Thuguta do de Cachégo wyprawione instrukcye. Według ich brzmienia, miał się de Caché udać bezzwłocznie na stanowisko obserwatorskie do Grodna, nie wdawać się w nic czynnie, zasłaniać się, jak dotąd, brakiem instrukcyi, co najwięcéj, w razie jakich natarczywych nalegań ze strony Siewersa i posła pruskiego Buchholtza, mówić im o potrzebie zmodyfikowania prusko-rosyjskiéj konwencyi z 13 stycznia na rzecz Austryi. Późniejsza instrukcya zalecała w sposób wielce ostrożny, nie kompromitujący dworu wiedeńskiego, wpływać na Polaków, aby zwlekali, o ile można jak najdłużéj, decyzyą i nie poddawali się zbyt pochopnie i pośpiesznie naleganiom prusko-rosyjskim.

Depesz de Cachégo nie zawiera, czego żałować należy, wydawnictwo, z którego zdajemy sprawę. Nie wiemy więc, czy i w jaki sposób rezydent austryacki wywiązał się ze swego polecenia. Ciekawą zaś rzeczą byłoby dowiedzieć się, czy też owa oporność sejmu przeciw żądaniom obu dworów sąsiednich, czy owa opozycya Kimbara, Szydłowskiego, Skarżyńskiego, Mikorskiego, nie znalazła cichéj podpory i otuchy w upomnieniach i przyrzeczeniach austryackiego dyplomaty.

Podejmując podobną cichą i niedostrzegalną na zewnątrz akcyą w Grodnie, kołatał dwór austryacki przez L. Cobenzla nieco głoś-

niéj w swoim i polskim interesie w Petersburgu. Starania te, jeżeli bezowocne, miały przynajmniéj ten względny skutek, że rozjaśniły położenie rzeczy i odsłoniły do głębi tajniki poprzedniéj roboty pruskiéj. Depesze Cobenzla, mianowicie z 3 maja 1793. stwierdzała wprawdzie fakt, że mowy o odstąpieniu od zamiaru podziałowego być nie może, ale że Rosya poczynić może na rzecz Austryi pewne ustępstwa w przedmiocie konwencyi z 13 stycznia. Daléj donosił Cobenzl, jako mu ministrowie Ostermann i Markow zaręczyli, iż byli wręcz przeciwnymi podziałowi nowemu Polski. Ostermann mianowicie zaręczał, iż mu nie było nic przykrzejszego, jak kiedy z polecenia cesarzowéj był zmuszony oświadczyć pruskiemu posłowi Goltzowi, iż gabinet petersburski zgadza się na wkroczenie wojsk pruskich do Polski. Żądania Prus jednakże były zbyt kategoryczne, aby im się było można oprzeć, a co się tyczy Rosyi, jest jéj zamiarem odgraniczyć tylko przez nowy podział Polskę od posiadłości tureckich.

Wobec podobnych, bezpłodnych usiłowań w Petersburgu a tém samém i na widowni polskiéj, zwrócił się Thugut ponownie do gabinetu londyńskiego. Instrukcya jego dana hr. Starhembergowi, zalecała (5 maja) starać się albo o równy udział dla Austryi w Polsce, albo co lepsza, o zupełne zapobieżenie drugiemu jéj podziałowi. ponieważ fakt taki przeszkodzi tylko systemowi aliansów zasnuwanemu przez Anglią przeciw rewolucyi francuskiéj. Ciekawą jest na to datowana 24 maja odpowiedź Starhemberga, jako dająca wyobrażenie o ówczesnych usposobieniach Anglii względem Polski. Stojący na czele gabinetu lord Grenville wyrażał ubolewanie nad losem Polski, przyznawał Austryi zupełną słuszność, ale wypowiadał przekonanie, że moment powstrzymania zaboru prusko-rosyjskiego spóźniony. „Lord Grenville“, pisze Starhemberg, „prowadził rzecz daléj, mówiąc, że jedynie obawa, aby nie widzieć Prus i Rosyi rozdrażnionemi w chwili, kiedy jest rzeczą tyle ważną, aby niemi przynajmniéj nie były przeciw nam (Austryi, ze względu na wojnę przeciw rewolucyi francuskiéj), przeszkodziła w Anglii podniesienia głosu wyżéj z powodu niesłychanych nabytków tychże mocarstw w Polsce. Zapewniał, że chwila, by się temu oprzéć, przeminęła i że nie trzeba się starać o to, aby temu zapobiedz, ile raczéj, aby podobne użycie nie ponowiło się na przyszłość.“

Taka postawa Anglii stała się w czerwcu i lipcu (1793) Thugutowi powodem do zmiany frontu pod pewnym względem. Starhemberg, na swém stanowisku londyńskiém, odbiera na tymczasem polecenie, aby przed lordem Grenvillem nie występował w obronie sprawy polskiéj, kiedy Cobenzl w Petersburgu dostaje polecenie oświad-

czyć Ostermannowi, Bezborodce i Markowowi zgodę Austryi, nawet akces do konwencyi prusko-rosyjskiéj z 13 stycznia, jeżeli dwór wiedeński będzie przypuszczony do uczestnictwa nabytków w Polsce. Mianowicie poczyna odtąd przez kilka tygodni w instrukcyach Thuguta, w konferencyach petersburskich Cobenzla, pojawiać się ze strony austryackiéj apetyt na Kraków. Żądał Cobenzl z polecenia Thuguta ustąpienia wojsk rosyjskich z Krakowa i oddania miasta Austryakom jako pozycyi koniecznie potrzebnéj przeciw Prusakom zajmującym Częstochowę. Na ten raz jednakże uczynili się mianowicie Ostermann i Markow rzecznikami takiéj Polski, jaką miały jeszcze pozostawić przy krótkiém życiu traktaty pozawierane w Grodnie a zżymając się w swych rozmowach z Cobenzlem na pożądliwość pruską, oświadczyli ministrowie rosyjscy, iż nie mogą pozwolić na pozbawienie Polski tyle dla niéj ważnego pod każdym względem miasta, jakiém jest Kraków. Tymczasem poczęły z jednéj strony od de Cachégo nadchodzić z Grodna doniesienia o niespodzianie silnym oporze tamtejszego sejmu polskiego przeciw żądaniom Prus i Rosyi, z drugiéj strony z Anglii wiadomości o wzburzeniu, jakie tamże w dziennikarstwie i pośród opozycyi wywołuje postępowanie obu mocarstw w Polsce. Pod wpływem tych wiadomości pisze znów, chwiejny w swéj akcyi Thugut w depeszy do L. Cobenzla z 12 lipca, „aby się względu na okoliczność, iż mniemany ucisk Polski (la prétendue oppression de la Pologne) dostarcza tylko materyału złéj woli (à la malveillance), że prasa angielska opozycyjna podnosi z tego powodu głos a wszystko to razem wychodzi na widoczną szkodę, wspólnéj akcyi mocarstw przeciw rewolucyi francuskiéj,—starał przekonać ministrów rosyjskich o konieczności odroczenia planu podziałowego.“ Rozumie się, że ten krok Thuguta pozostał bezskutecznym, kiedy równocześnie z Londynu pisał doń Starhemberg 12 lipca, co następuje. „Stopień otwartości i zupełnéj ufności, na jakim byłem dosyć szczęśliwy stanąć osobiście z lordem Grenville, sprawił, że mi wypowiada szczere swoje obawy i wątpliwości. Postępując sobie ze mną w ten sposób, wyznał mi wczoraj poufnie, że się obawia, wnosząc z wiadomości, jakie odebrał, aby polityka, jaką uważamy za rzecz stosowną utrzymywać względem Rosyi i Prus, nie doprowadziła nas do konieczności zabrania dla siebie znacznego obszaru w Polsce, choćby tylko tymczasowo, aby zrównoważyć w ten sposób nabytki dwóch innych mocarstw. Dodał, że to mógłby być jedyny punkt, któryby mógł się stać przeszkodą w przymierzu, jakie wam ofiarujemy, ponieważ podobne postępowanie obraziłoby naród angielski, rozdrażniony już z tego samego powodu przeciw Rosyi i Prusom, a ponieważ dwór londyński nie mogąc uznawać i nie mogąc się

nigdy zdecydować na uznanie nabytku tak niesprawiedliwego, nie mógłby go téż zagwarantować."

Odprawiony w ten sposób z niczém w Londynie, usiłuje Thugut przez następne miesiące, niemal aż do końca 1793, przez Cobenzla w Petersburgu, przez umyślnie posłanego do Berlina Lehrbacha, wykołatać dla Austryi posiadanie Krakowa, przekonać króla pruskiego mianowicie, jakby nie dobrze było, gdyby brał w Polsce lwią część bez uwzględnienia interesu austryackiego. Sam Franciszek II wystąpił nawet we własnoręcznym liście do króla pruskiego z podobném żądaniem, ciągle jednakże napróżno, wszędzie tylko, aby odbierać odpowiedź, mianowicie ze strony Markowa w Petersburgu, że zabór Gdańska i Torunia przez Prusy idzie bardzo w niesmak Rosyi, ponieważ Prusy wyjdą w ten sposób na potęgę morską i staną się dla Rosyi bardzo niewygodnym współzawodnikiem, ale że mimo to w obecnym stanie rzeczy stypulacye podziałowe zmianie uledz nie mogą.

W ostatnich dniach niemal tego smutnego nad wszelki wyraz roku 1793 błąkały się w wymianie depesz między Thugutem we Wiedniu a Cobenzlem na jego petersburskiém stanowisku rozmaite pomysły co do Polski. W projekt tak zwanego „wiecznego przymierza" między Rosyą a Polską miała wchodzić stypulacya utwierdzenia Krakowa z prawem załogi austryackiéj, ile razy tego by była potrzeba, bez naruszenia politycznych praw Polski. Thugutowi pomysł ten się nie podoba jako niewynagradzający dostatecznie Austryi, ale mimo to nie każe go Cobenzlowi wręcz odrzucać. Inny raz pojawia się znów pomysł, aby wciągnąć okrojoną Polskę do przymierza przeciw Francyi i utrzymywać za subsydya rosyjskie korpus polski 10 do 12 tysięczny na teatrze wojny nadreńskiéj. Wszystko to jednakże pozostaje projektem a jedyną prawdą, jedyną smutną rzeczywistością, że Polska podzielona ponownie,—że Austrya upokorzona, zwyciężona bez walki, wychodzi z gołemi rękami, nie bez ujmy czci, wśród objawów lekceważenia i buty pruskiéj. List wyprawionego w nadzwyczajnéj misyi do Berlina radcy nadwornego Lehrbacha do Thuguta, z 30 grudnia 1793 skreśla podobnych usposobień pruskich w owéj chwili charakterystyczny obraz. „Polskie nabytki zmagnetyzowały tu jakoby wszystko, podniosły niesłychanie i ożywiły umysły. Piszę nie bez dowodów, ani przekonania... Prusy stały się dopiero przez te nabytki istotnie czemś wielkiém; za dwadzieścia lat powinniśmy się stać jeszcze większymi!" Otóż zwrotka, która się politycznemu agentowi bez przestannie w Berlinie o uszy odbija a którą on nie bez melancholijnego nastroju gabinetowi wiedeńskiemu komunikuje.

W takich okolicznościach rozpoczynał się pamiętny r. 1794. Co może najciekawszą cechą owego przesilenia starego roku na nowy, to widoczniejsze coraz więcéj rozdrażnienie gabinetu petersburskiego przeciw Prusom, których pożądliwość i buta i nad Newą poczęła się coraz mniéj podobać. Usposobienie podobne mężów stanu rosyjskich uwydatniło się przedewszystkiém w konferencyi, jaką Cobenzl odbył w pierwszych dniach roku 1794 z Markowem a z jakiéj zdaje sprawę Thugutowi 24 stycznia. „Gdyby król pruski,“ oświadczył Markow, „chciał kiedykolwiek obrócić broń swą przeciw wam (Austryakom), gdyby się pokusił dyktować wam warunki pokoju i przeszkadzać waszym zamiarom indemnizacyjnym, byłby to przypadek, w którym byśmy się posłużyli naszą siłą, aby mu w téj robocie przeszkodzić a z tego téż cesarzowa robi wyraźnie swą własną sprawę.“ Katarzyna pragnęła, według kategorycznego oświadczenia Markowa na pomienionéj konferencyi, utrzymać Polskę przy życiu taką, jaką pozostawiały ostatnie stypulacye grodzieńskie a w téj mierze właśnie odzywał się minister rosyjski dosłownie, jak następuje. „Pod tym względem winienem powtórzyć z wyraźnego rozkazu mojéj monarchini, co już oświadczyłem na samym wstępie, że z wyjątkiem Polski, którą j. c. mość uważa za rzecz swego interesu utrzymać w takim stanie, w jakim pozostaje obecnie, nie ma żadnego projektu powiększenia, jakibyście mogli powziąść, któregobyśmy nie popierali wszelkiemi siłami.“

Wśród takich to usposobień, wśród takiego rozdrażnienia panującego między gabinetami petersburskim a berlińskim, nastąpił znany wybuch Madalińskiego w okolicach Mławy, nastąpił tuż po nim wybuch powstania Kościuszki w Krakowie. Nie zawierając materyału zbyt ofitego i ciekawego do wewnętrznych dziejów i przebiegu samegoż tego powstania, zawiera czwarty tom obecnego wydawnictwa tém obfitszy i ciekawszy materyał do historyi stosunków, jakie się wyrobiły między gabinetem wiedeńskim i władzami austryackiemi w Galicyi a owém powstaniem, jakie nadto, powstanie owo wywołało między Austryą a obu innemi mocarstwami interesowanemi na ówczas w Polsce. Znając potroszę z powyższego opowiadania stan wzajemnych usposobień trzech mocarstw na wielkiéj widowni politycznéj, rozpatrzmy się w położeniu rzeczy, w jakiém krakowski wybuch z 24 marca 1794 zastał Galicyą. Co się tyczy siły zbrojnéj i władz austryackich tamże, znajdujemy w chwili wybuchu na stanowisku naczelnie dowodzącego wojskami austryackiemi tamże, nie przenoszącemi liczby 10,000 ludzi, feldmarszałka d'Harnoncourta we Lwowie, osobistość nieznaną w annalach w historyi wojennéj austryackiéj, doskonałéj mierności, usposobień dla społeczeństwa gali-

cyjskiego niechętnych. Gubernatorem cywilnym Galicyi jest naówczas hr. Brigido, którego przecież z niewiadomych powodów, w kilka tygodni po wybuchu powstania, zastąpił hr. Gallenberg, osobistość odpowiadająca aż do najdrobniejszych szczegółów na stanowisku cywilném wartości moralnéj i intelektualnéj d'Harnoncourta na stanowisku wojskowém. Podrzędne na pozór, ważne i wpływowe w rzeczywistości od samego początku stanowisko zajmował Myślenicki starosta, Antoni Baum, protoplasta dzisiaj spolszczonéj już zupełnie, zacnéj rodziny w zachodniéj Galicyi. Baum zajmuje, za pierwszą odebraną wiadomością o krakowskim wybuchu, stałe stanowisko na Podgórzu, wchodzi, o ile na to jego obowiązki urzędowe pozwalają, w stosunki z nowemi władzami w Krakowie, jest uważnym i bacznym obserwatorem wszystkiego, co się tutaj dzieje. Powoli zbiera się na Podgórzu kilka batalionów piechoty austryackiéj i kilka szwadronów jazdy. Dowództwo nad niemi ma kapitan inżynieryi Lanfrey, człowiek na skromném stosunkowo stanowisku wielkiéj technicznéj wiedzy, widocznéj zdolności, bystrego oka i niezaprzeczonéj energii. Gdyby akcya była powierzona ze strony gabinetu wiedeńskiego Baumowi i Lanfreyowi do dyskrecyi, można być przekonanym, żeby tu interesa Austryi były wzięły lepszy obrót. Zależne od konferencyi ministeryalnéj, od postanowień nadwornéj rady wojennéj w Wiedniu, powierzone w swoim kierownictwie na miejscu osobistościom, jak d'Harnoncourtowi i Gallenbergowi, mogły, jak się téż późniéj stało, zwłaszcza przy ówczesném niedomaganiu środków komunikacyjnych, skończyć tylko znów jeżeli nie zupełném bankructwem, to ciężkiém upokorzeniem. Zwracając się od tego krótkiego poglądu na machinę rządową galicyjską do społeczeństwa galicyjskiego, znajdujemy w dokumentach niniejszego wydawnictwa potwierdzenie chyba tylko znanéj prawdy, jak dalece społeczność ta cała była ożywiona niepodzielnym zapałem dla sprawy podjętego przez Kościuszkę przedsięwzięcia, jaką czcią mianowicie otaczała osobę samego naczelnika. Najwymowniejszém pod tym względem jest świadectwo samegoż d'Harnoncourta. Feldmarszałek d'Harnoncourt, zimny, ograniczony, zamykający się w obrębie swych obowiązków, wojskowy austryacki owéj epoki, spogląda niechętném, niekiedy surowém okiem na usposobienia galicyjskie dla powstania. „Co się tyczy—pisze on 29 kwietnia do Kolowrata—pojawienia się emisaryuszów polskich w Galicyi, jest tutaj cała szlachta emisaryuszem Kościuszki; ale cóż z tém począć? Można im tu i owdzie imponować, brać się do téj i owéj osobistości, napędzać im strachu, ale do całéj szlachty wziąć się trudno. Zaczepiłem księcia Sapiehę, który zaciągał całą szlachtę dla Kościuszki, tak mieszanego

poddaństwa, jak galicyjską. W dobréj czy złéj wierze twierdził, że popisowi należą do cesarza, a szlachta do saméj siebie. Jakkolwiek mu odsłoniłem niebezpieczeństwo, na jakie się naraża, znalazłem się w konieczności powtórnéj z nim rozmowy i poradzić mu, aby jeżeli nie jest już w jego usposobieniu zachowywać się spokojnie, uczyniłby najlepiéj, wyjeżdżając. Udał się do Krakowa; Kościuszko, któremu był także na zawadzie, pozbył go się również. Wrócił do Zamościa w Galicyi, skąd, jak przypuszczam, zamyśla udać się na Litwę. Zgromiłem słynną, starą a złą hrabinę Kossakowską. Byłem u niéj, kiedy się tamże znajdowało 30 osób; ponieważ mówi tylko po polsku, oświadczyłem jéj, że mam z nią do pomówienia i poprosiłem ją, aby się udała do pobocznego pokoju z zaufaną osobą, by się tamże wytłómaczyć. Powiedziałem, że przez uszanowanie, jakie wyznaję dla jéj wysokiego stanowiska, uznanie, jakie wszyscy mamy dla jéj zasług i dla wszystkiego dobrego, jakie ogółowi świadczy, chciałem ją ostrzedz, aby jéj oszczędzić wszelkich nieprzyjemności, że jest denuncyowaną o namawianie młodych ludzi dobrego rodu do brania służby pod Kościuszką i że im dostarcza pieniędzy. We dwa dni potém poszedłem do niéj na obiad; piliśmy nie źle w naszym kącie, a gdy po obiedzie podałem jéj rękę, aby przejść do drugiego pokoju, przechodząc obok portretu króla Poniatowskiego, pokazała mu pięść i wyszczerzyła nań zęby.... Sławny gruby adwokat tutejszy (prawdopodobnie Dzierzkowski), który niegdyś stał tutaj na czele konspiracyi podżeganéj przez Prusy, został zawezwany przezemnie. Powiedziałem mu, że między nami dość czterech słów, że na ten raz mam powód być zeń dość zadowolnionym, lecz znając zaufanie, jakie wszyscy mają do jego rozumu, jestem pewny, że się nim będzie posługiwał tylko dla kierowania tymi, którzy tego mają potrzebę w interesie własnego dobra i interesu. Odpowiedział mi: Na ten raz nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Zresztą najlepsze moje wiadomości są te, których mi dostarczają Polacy; trzeba jednakże wiele sztuki, aby wyróżnić prawdę z pomiędzy stu fałszów. Szczególny to naród. Jeżeli komu z nich powiedziało się przyjemną prawdę, uważa to za dowód przyjaźni i można mu potém powiedzieć dziesięć bardzo twardych prawd, które przyjmie z dobrém sercem, przynajmniéj w pierwszéj chwili, bo jeżeli tymczasem ktoś inaczéj myślący z nim mówił, staje się natychmiast innym człowiekiem. Na tymczasem sądzę, iż zaimponowałem dostatecznie Polakom i Rosyanom, rozbrajając wyżéj wspomniany oddział polski (część batalionu Wodzickiego na terytoryum galicyjskiém). De Caché pisał mi, że biedny Igelstroem objawił mu z tego powodu swoje zadowolnienie. Hrabia Brigido chciał do starostów okręgowych wydać rozkaz aresztowania (w razie przej-

ścia na terytoryum galicyjskie) Kościuszki i Madalińskiego. Zapobiegłem temu, bo do tego jeszcze dość czasu.“

Prócz tego nie zbywa Kościuszce i podjętéj przezeń sprawie na gorących zwolennikach i rzecznikach w samym Wiedniu wobec całego gabinetu cesarskiego i ministra Thuguta. Jeżeli Sapieha, jeżeli pani Kossakowska, jeżeli marszałek Ignacy Potocki konferując w mieszkaniu Bauma na Podgórzu z gubernatorem cywilnym Galicyi. hr. Gallenbergiem, służą ruchowi Kościuszki na miejscu, podejmuje jego sprawę w Wiedniu stale Sołtyk, podejmuje ją wobec Thuguta z wyraźnego polecenia Kościuszki w sposób jeszcze poważniejszy, Józef Ossoliński. Memoryał podany 1 maja przezeń Thugutowi jest mimo swéj obszerności zbyt ciekawy, jako akt odsłaniający wzajemny stosunek Austryi do ruchu Kościuszkowego, abyśmy go tu zamieścić nie mieli.

„Żałuję bardzo—pisze Ossoliński do Thuguta—że nie znalazłem W. E. w Wiedniu. Proszę przynajmniéj W. E. chcieć przyjąć niniejszy list jako wyraz uczuć uszanowania dla siebie, które zachowam niewzruszenie przez całe swe życie, a pośpieszam zakomunikować W. E. kilka objaśnień co do Polski, które odbieram od samychże patryotów. Oni to, uważając, że jest najważniejszym interesem Austryi, aby Polska zachowała byt ani tymczasowy, ani równający się nicości, ceniąc godność jéj polityki w tym samym stopniu, w jakim są oburzeni na podstępy i zdrady ..... i Prus; przekonywając się, że się znajduje w położeniu wytaczania im tychże samych zarzutów, pokładając tém więcéj ufności w osobie W. E., że główni z pomiędzy nich reprezentanci zachowują pamięć dawnych swych związków z W. E. i że jest rzeczą znaną publicznie, że od W. E. wstąpienia do ministerstwa, j. c. mość odmawiała stanowczo brać udział w nabytkach na Polsce,—nie życzą sobie niczego goręcéj, aniżeli zbliżenia się do naszego dworu. Równocześnie jednakże nie zatajają sobie. że położenie jego wymaga obecnie, aby się doń zbliżali w sposób niekompromitujący go wobec dwóch innych, a obawiając się nadto, aby nie powziął względem nich zgubnych uprzedzeń, są w wielkim kłopocie co do dróg, na jakichby się z dworem austryackim porozumieć można. Pan Kościuszko wyobrażając sobie, że długi pobyt mój w Wiedniu i dawny mój związek z W. E. mógłby mi dać sposobność znaleść w tym celu pewien środek i zakomunikowawszy mi jeszcze roku przeszłego w miesiącu wrześniu wiadomość co do ogólnego usposobienia narodu, aby otrząsnąć z siebie jarzmo ciemięzców, w którém to przedsięwzięciu chciano go mieć za naczelnika, doniósł mi w początku marca, że nie jest już w jego mocy odkładać dłużéj podjęcia się tego dzieła, a zaledwie podniósł sztandar

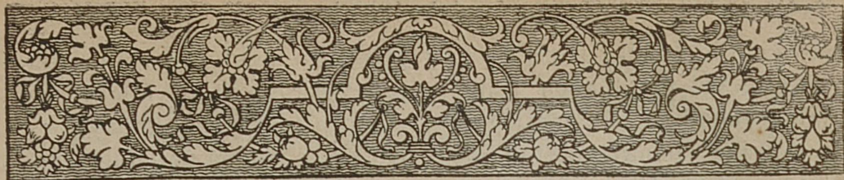
dnia 23 (marca), wyprawił do mnie natychmiast umyślnego posłańca. Ponieważ wtedy znajdowałem się we Lwowie, zajęty zupełnie spornemi sprawami moich przyjaciół, i ponieważ przedłużałem tamże mój pobyt na czas nieograniczony, tak, że dwa te listy jego, adresowane do Wiednia, tamże mnie nie zastały, przysłał do mnie człowieka zaufania, który mnie miał poszukać wszędzie, gdzieby mnie mógł tylko znaleść. Nie waham się zawiadomić W. E. o téj ostatniéj misyi. Sądziłem, że ponieważ mam własność ziemską w okolicy Krakowa, mogę się tamże udać bez zwrócenia uwagi i poddając się nibyto prądowi ogólnéj ciekawości. Po raz pierwszy wtedy zrobiłem znajomość generała Kościuszki w obozie jego pod Bosutowem, wsią o milę odległości od Krakowa. Jestto człowiek największéj prostoty i skromności w swych rozmowach, zwyczajach i ubiorze. Z największą determinacyą i zapałem dla sprawy, którą podjął, łączy wiele zimnnéj krwi i rozsądku. Zdaje się, że we wszystkiém, co czyni, jedynie ryzykownèm jest tylko przedsięwzięcie samo. Co się tyczy szczegółów wykonania, nie powierza nic przypadkowi; wszystko jest obliczone i skombinowane. Nie jest może umysłu ani dość wybujałego, ani dość przebiegłego dla polityki. Jego zdrowy rozum wystarcza mu do sprawiedliwego sądu o rzeczach i do decyzyi o wyborze najlepszych środków. Jest ożywiony miłością ojczyzny; nie objawia żadnéj innéj namiętności, którąby nim zdolna była owładnąć, prawość jego jest niezaprzeczoną. Zdaje się, że wziął sobie za zasadę zachowywać milczenie o wszystkiém, o czém być zbyt otwartym nie było rzeczą rozsądną. Skoro jednakże mówi, jest szczerym i dobréj wiary. Przypadek zrządził, że go zastałem przy stole; skoro tylko skończył obiad, skorzystał z chwili, aby się ze mną w cztery oczy rozmówić. Nie ukrywa przed sobą samym trudności i śmiałości swego przedsięwzięcia; a tłómaczy się, że w dziele tak niebezpiecznèm nie naraził ani kraju, ani współobywateli, ale że wezwany przez ogromną większość, byłby chyba tylko oszczędzał własną osobę, gdyby się był dłużéj opierał ich naleganiom, a to w chwili, którą Rosyanie uczynili stanowczą, przyśpieszając rozbrojenie wojska polskiego; oskarża nawet swą powolność, przez którą popsuł plan dość dobrze skombinowany, oderwany i przyśpieszony ruch Madalińskiego i powstałą ztąd trudność w zebraniu rozrzuconych różnych oddziałów wojska. Liczy bardzo na niezadowolnienie wszystkich warstw ludności i energią rozpaczy. Otóż dane, na których biorąc kraj tak, jakim był przed drugim podziałem, oblicza siłę ruchu, na jaki naród może się jeszcze zdobyć. Obiecuje sobie, że nawet, gdyby ten wysiłek nie miał być stanowczym, byle tylko mógł zrównoważyć represyą nieprzyjacielską, przedłużyć i rozszerzyć rewolucyą, nastąpi prawdopodobnie,

że z pomiędzy tylu mocarstw interesowanych w utrzymaniu bytu Polski i zapobieżeniu wzrostowi zbytniemu dwóch dworów, znajdzie się przecież to i owo, które mu przyjdzie z pomocą. Czego się obawia najwięcéj, to aby dworom owym nie udało się oszukać opinii europejskiéj co do natury rewolucyi polskiéj, przypisując jéj podobieństwo z francuską a nie mógł się dosyć wydziwić, jak mogły rozpowszechnić opinią, że ustawa 3 maja, która ustanawiając monarchią podobną angielskiéj, a silniejszą niźli ją kiedykolwiek Polska miała, zapobiegała właśnie niebezpieczeństwu, aby demokracya wzięła górę kiedykolwiek, ponieważ wprowadzała w szeregi szlacheckie mieszczan w miarę wzrastającego ich znaczenia, że podobna ustawa była co do zasad i co do form tą samą, co ówczesna rewolucya francuska, i że w następstwie tego też same mocarstwa mogły wykonać swe zaborcze plany przeciw Polsce pod zasłoną wieści rozpowszechnionéj podstępnie przez siebie i płonnego przypuszczenia, że tamże panuje niebezpieczny jakobinizm, którego propagować nie było nic tak zdolném, jak ich własne postępowanie. Zauważył, że postępowanie podobne znajduje się w sprzeczności ze stanem nicości, stępienia i małym stopniem cywilizacyi polskiego ludu, aby wierzyć, że posunie swe widoki i swoje pretensye tak daleko, jak Francuzi, a że niema wcale powodu wyobrażać sobie, aby powstanie, które ma swą przyczynę w obcym ucisku, a którego szlachta jest pierwszą sprawczynią, zamierzało zaprowadzić porządek rzeczy, niszczący jéj własną egzystencyą. Ogromna to przewaga sił nieprzyjacielskich uczyniła koniecznem uzbrojenie całéj masy włościan i zrobiła już środek tak niezbędny, że nigdy nie byłoby można pomyśléć o pochwyceniu oręża, gdyby z góry nie było postanowienia środkiem takowym się posłużyć, który zresztą praktykowany przez cesarza w Niderlandach i doradzany książętom Rzeszy, może być chyba nie pochwalonym tylko przez króla pruskiego, który zastosowaniu go w krajach Rzeszy opierał się jedynie dla tego, aby przedłużyć wojnę, która niszcząca dla Austryi, przyczynia się tak mocno do zamiarów jego własnego powiększenia. Jest faktem, że Kościuszko, daleki od ogłoszenia jakiegobądź dekretu darzącego wolnością poddanych, żądał dla tych, którzy się odznaczyli w dniu 4 (kwietnia, pod Racławicami), oswobodzenia od ich panów, że to dwory ściągają i odstawiają rekruta, którego widziałem na własne oczy dostawianego do obozu, że nikt nie usiłuje podburzać ludu (Kościuszko prowadził chłopów do boju z krucyfiksem w ręku), że wreszcie nie ma w Krakowie ani tych form, ani tych wybryków rewolucyjnych, o których mówi tyle gazet, tłumaczących słowami nowemi, a zdyskretowanemi stare instytucye. Istnieje tamże tylko komisya dobrego porządku, złożona

do połowy ze szlachty i mieszczan, jak została ustanowiona przez dawny sejm, i trybunał kryminalny sejmowy taki, jak ten, który zasiada w Warszawie, przed który Rosyanie kazali wzywać patryotów. Kluby zostały z góry i wyraźnie zabronione. Kościuszko nie robił wobec mnie tajemnicy, że stara się uzyskać pewien zasiłek pieniężny z Francyi, dodając, że byłoby niesprawiedliwością, aby dom austryacki się gniewał, że ktobądź usiluje skłaniać jego wyraźnych nieprzyjaciół do osłabiania jego nieprzyjaciół skrytych, którzy dla tego są tylko tém niebezpieczniejszymi, a przez położenie swe nawet naturalniejszymi; że pieniędzy, których szuka we Francyi, nie może się spodziewać znikąd; że ponieważ nikt nie oświadcza się za powstaniami, są zmuszeni kołatać do wszystkich drzwi, aby patrzéć, które im się otworzą; że wreszcie Francuzi nie śpieszą się tak bardzo z obsypywaniem ich swemi skarbami, zauważając, że cała korzyść, jaką im przedstawia powstanie polskie, ogranicza się na rodzaju dywersyi przeciw Rosyi i Prusom, z których pierwsza nie bierze żadnego bezpośredniego udziału w wojnie przeciw nim, a drugie nie prowadzą jéj wszystkiemi swemi zasobami. Czynił mi jak najżywsze przedstawienia, abym znalazł jakibądź sposób uspokojenia ministerstwa j. c. m. co do jego zamiarów, jakich wcale nie ma, wprowadzenia do swojéj ojczyzny anarchii francuskiéj, rozkiełznania prądów, któreby mogły zaalarmować rządy europejskie lub przedsięwzięcia czegobądź przeciw interesom j. c. mości. Czyniąc wszelkie usiłowania, aby mnie o tém przekonać, dał swoje słowo honoru z otwartością wojskowego niezdolnego podstępu a z samego postępowania jego widać, iż jest mocno przekonanym, że mu zależy na zapewnieniu sobie życzliwości naszego dworu. Od chwili, gdy objął dowództwo, wydał rozkazy, aby granice krajów j. c. mości, podobnie jak własność publiczna i prywatna poddanych j. c. mości były szanowane. Gdy zakazał wywozu towarów z Polski, uczynił wyjątek dla krajów monarchii austryackiéj. Świeżo co dopiero zdał jeszcze wyraźne oświadczenie, że ponieważ j. c. mość nie uszkodził w niczém ani obszaru, ani niepodległości, ani politycznych praw rzeczypospolitéj, należy koniecznie unikać dawania jéj powodu do skargi, a że nawet należy się powstrzymywać od brania i przyjmowania w służbę rzplitéj poddanych jéj różnych krajów. Co więcéj, nie omieszkuje nigdy zawiadamiać o najważniejszych swych przedsięwzięciach, nawet jeszcze przed ich wykonaniem, cesarskiéj komisyi urządzonéj na Podgórzu, a życzyłby sobie bardzo miéć jaką drogę pewną, aby powierzyć ministerstwu j. c. mości swe nieograniczone zaufanie i swoje postępowanie szczere i otwarte. Zdaje się być przykro dotkniętym, że wśród zamieszania pierwszego wybuchu, kiedy

nie było sposobu urządzenia jakiejś komunikacyi między naczelnikami różnych powstań cząstkowych, o których naprzód nie można było wiedzieć, kilka oddziałów usiłowało przejść do Galicyi i jest z tego tém więcéj zadowolniony, że uznaje konieczność nie narażania sobie dobrych usposobień naszego dworu z obawy, aby stając się przez to podejrzanym obu innym, nie był przez nie zmuszonym do większéj ostrożności i do postępowania przeciwnego rodzaju. Pragnąłby tylko 1) być formalnie pewnym korzystnych usposobień j. c. m. względem Polski; 2) cieszyć się rodzajem cichego przyzwolenia na zakupywanie pod ręką, bądź to za gotówkę, bądź na kredyt, w krajach j. c. m. amunicyi wojennéj i żywności uważanych za artykuł handlu; 3) mieć pewną przeprawę przez Galicyą dla swych listów i kuryerów do innych części Polski; 4) módz sobie pochlebiać, że j. c. mość przez wpływy i insynuacye tajemne, zechce wspierać słuszną sprawę rzplitéj u innych dworów. Gdy rozmowa nasza przeszła następnie na szczegóły dnia 4 kwietnia, opowiadał mi je z taką skromnością, jak gdyby tylko był ich świadkiem i jak gdyby honor dnia należał się komu innemu, aniżeli jemu. Co dowodzi, że jest wielka zapalczywość przeciw Rosyanom, to fakt, że wzięto tylko dwudziestu ludzi niewolnika na 2000 poległych, a że mianowicie wieśniacy nie pozwolili się skłonić do dawania pardonu. Ponieważ kawalerya narodowa się zachwiała, podzielił ją Kościuszko na dwa oddziały, rozłączając towarzyszów i luzaków, aby pobudzić honor jednych przez drugich. Od tego dnia nosi na wierzchu sukmanę chłopską, oświadczywszy, że kolejno będzie nosił mundur tego oddziału, który się najwięcéj odznaczy. Pozostawił zdobycz żołnierzowi i polecił wieśniakom odwieźć ją swym żonom, co spowodowało, że powrócili w większéj jeszcze liczbie. Drobne te szczegóły pokazują, że posiada tak niezbędną dla naczelnika wszelkiéj rewolucyi sztukę rozgrzewania i ożywiania swych ludzi. Zapał dla jego osoby w obozie i pośród narodu jest prawie nie do wiary. Co dowodzi jeszcze, że ma głowę równie zimną, lecz serce gorące, to że nie opiera się na rachubie czynionéj zwykle, jakoby, że wszystko zależy od pierwszego powodzenia, a że było rzeczą konieczną ożywić własnym swoim przykładem ludzi, których poraz pierwszy prowadził do boju. Ponieważ znajduje się w konieczności unikania, aby artylerya rozstrzygała o losie bitwy, a liczna kawalerya stawała się użyteczną, jest wogóle za używaniem broni siecznéj i chwali nadzwyczaj uderzający skutek, jaki sprawiły kosy postawione prosto na drzewie 7 łokci długie, przypisując go raczéj wartości, aniżeli nowości broni. Obóz jego nie jest podobny w niczém do żadnych obozów polskich. Nie praktykują się tam ani parady, ani fanfaronady, ani zbytek; pa-

nuje tamże ponure milczenie, wiele porządku, dyscypliny i subordynacyi. Wojsko, jakie wówczas zawierał, to jest między 19 a 23-cim kwietnia, mogło wynosić do 10,000 ludzi zaciągnionych w pułki. starego i nowego zaciągu. Jego artylerya wynosiła 30 dział. Kazał zwinąć namioty, jak się zdaje, aby nie można jednym rzutem oka zdaleka obliczyć jego sił. Nakazał już zebrać się wszystkim mieszkańcom okolicznym będącym w stanie broń nosić, a nie mówię już o wzmocnieniu, które powstanie zyskało przez wypadki późniejsze. Zdaje się tylko, że wyższe duchowieństwo okazuje się zimném. Wszyscy inni są zdeterminowani, jak tego więcéj żądać nie można. Wojska obce nie czyniąc różnicy między tymi, którzy są neutralnymi, a tymi, którzy chwycili za broń, lecz łupiąc jednych równie jak i drugich, łączą z sobą a popychają przeciw sobie wszystkich. Co przeszkadza, że powstanie nie stało się dotąd ogólném, to, że jest więcéj ludzi gotowych iść za jéj prądem, aniżeli ludzi przedsiębiorczych zdolnych stanąć na czele. Generał Kościuszko przedsięwziąwszy sobie utworzyć znaczny korpus, aby zeń uczynić centralne ognisko rewolucyi, ściąga do siebie wszystkie korpusy armii, wskutek czego dotąd nie ma punktu zbornego w każdym województwie z osobna. Obecnie rozszerzyło się podobno powstanie więcéj, aniżeli o tém mówią listy, których się zresztą nie odbiera wcale lub jakie się odbiera późno od strony Litwy. Nazwa *insurekcyi* została przyjęta ze względu, że konstytucya 3 maja znosi nazawsze konfederacye, że armia dała początek, a że teraz odbywa się ruch ogólny wszystkich mieszkańców kraju. Ponieważ byłem mocno zdziwiony, że w akcie powstania jest tylko mimochodem mowa o 3 maja, podobnie jak o patryotycznym sejmie, odpowiedziano mi, że nie uważano za rzecz stosowną kłaść przycisk na przedmiot, który byłby mógł wywołać różnicę zdań, a zdaje mi się téż jeszcze, że trzymano się polityki, aby nie zabezpieczać interesów elektora saskiego tak, iżby tenże pozostając w bezczynności nie mógł liczyć na to, iż mimo to zbierze owoce szczęśliwego wypadku. Marszalek Potocki trzyma się silnie téj konstytucyi, a nie ma powodu obawy, aby kiedybądź przestał być wyraźnym zwolennikiem umiarkowanéj monarchii. Kościuszko powiedział mi o Polakach zdanie podobne Tacyta o Rzymianach, że nie są zdolni znosić ani ostatecznéj niewoli, ani zupełnéj wolności. Ministerstwo powstania zdaje się być złożone z marszałka Potockiego, z podkanclerzego Kołłątaja, z posła Weissenhofa Generał Kościuszko ma wiadomość o wszystkiém, a nic nie dzieje się bez jego przyzwolenia. Czerpiąc odwagę w nieograniczoném zaufaniu narodu, obawiając się ducha partyi, czując jak ważną jest dlań rzeczą, aby plany jego wojskowe nie były rozgło-



KOTLINA PRYPECI I BŁOTA PIŃSKIE

POD WZGLĘDEM PRZYRODNICZYM.

II.

Jeżeli za zachodnią granicę Polesia przyjmiemy źródła Prypeci, która wypływa z grupy jezior Włodawskich, na wschodnim brzegu rzeki Bugu położonych, to długość całéj zapadłości poleskiéj wyniesie 55 mil geograficznych, czyli 408 kilometrów. Największa jéj szerokość przypada na linię Mińsk-Zwiahel i wynosi w tym kierunku 45 mil geogr., czyli 333 kilometry. Ponieważ zapadłość ta nie jest ograniczona liniami prostemi, przeto po odliczeniu nierówności, powierzchnię jéj, a przedewszystkiém obszar zajmowany przez błota, można przyjąć na 1200 mil kwadratowych, czyli 66000 kwadratowych kilometrów (1), co się równa przeszło dwa razy powierzchni Belgii (29455 kil.), jest tylko o 12500 kilometrów mniejszém od Galicyi (78508 kilom.), a równa się prawie połowie Polski kongresowéj (127310 kil.).

Mówiliśmy już, że cała ta płaszczyzna pochyla się bardzo łagodnie i jednostajnie ku Dnieprowi; nieinniéj łagodnym jest i jéj spadek od północy i od południa ku Prypeci. W ogólności jednakże Polesie litewskie jest od wołyńskiego nieco wyżéj położone i silniéj nachylone, co się w upostaciowaniu tutejszych rzek przebija. Północne dopływy Prypeci (Jasiołda, Bobryk, Cna, Łań i Słucz) mają koryta więcéj ustalone i zmierzają prosto do celu, gdy przeciwnie południowe (Turia, Stochód, Styr, Horyń, Słucz, Stwiga, Uborć, Sławeczna i Usz) (2) różnią się od nich krętym biegiem, zmieniając czę-

(1) To wszystko według przybliżonego pomiaru planimetrycznego.

(2) Do pobieżnego obeznania się z topografią Polesia może posłużyć mapka téj okolicy, dołączona do pracy Choroszewskiego „Poszukiwania geologiczne, dokonane w ostat-

sto swój kierunek, dzielą się na ramiona, a niektóre z ich dopływów giną nawet na błotach i dopiero w bliskości Prypeci ponownie na jaw wychodzą. Nie ma wogóle w Europie drugiéj okolicy, w którejby sieć wodna była tak mało ustaloną, jak na południowém Polesiu. Płaskość gruntu jest tu powodem, że woda w rzekach wzbiera z łatwością, występuje z łożyska i toruje sobie nowe drogi. Zdarza się nieraz, że rzeka nie wraca już do starego koryta, które zamienia się w martwe ramie, nie obojętne nieraz dla miejscowéj komunikacyi. Wielką ilością takich ramion odznacza się przedewszystkiem okolica Pińska, gdzie Jasiołda, Prypeć, Stochód i Styr są połączone siatką kanałów, a podróż latem przeważnie wodą się odbywa. Jeżeli jeden albo drugi kanał ulegnie zamuleniu i związek między nim a właściwą rzeką zostanie przerwany. to zamienia się w jezioro. z utratą zaś wody, w moczar, a liczba takich jezior z moczarów, ciągnących się wzdłuż brzegów rzek poleskich nie da się prawie policzyć.

Powierzchnia ziemi na Polesiu jest prawie zupełnie równą; jest to nietylko nizina ale i płaszczyzna. Wzniesienia, na nazwę pagórków zasługujące, nikną tak na północy jak na południu nagle, na linii dającéj się dość ściśle wyznaczyć. Południowy teren pagórkowaty wrzyna się najdaléj — od strony Dniepru w obszar błot wzniesieniami Owrucza, których istnienie jest ściśle związane z geologiczną budową gleby. Daléj na zachodzie, na północ od Równego znalazłem granicę tego terenu we wsi Kustyniu. Jeszcze wyraźniéj występuje ona po stronie północnéj, np. po nad Jachlowiczami, gdzie krawędź litewskiego grzbietu wznosi się po nad poziom płaszczyzny na kilka metrów i robi wrażenie brzegów starego jeziora. Zresztą pagórki, tworzące wzniesienia samodzielne, znajdują się na obszarze Polesia tylko około Mozyrza, nad samą Prypecią, gdzie przedstawiają grupę zupełnie odosobnioną, jakby wyspę sterczącą z pośród morza błot, a znaczenie ich tém donioślejsze, że i budową geologiczną różnią się od reszty Polesia. Wspomniemy jeszcze o nich późniéj.

Zresztą gleba Polesia jest albo pokryta piaskiem, albo zajęta przez błota. Piasek rzadko przedstawia powierzchnię równą; tworzy on zazwyczaj pagórki dochodzące nieraz do kilku i kilkunastu me-

---

nich latach na Polesiu" w Pam. fizyogr. tom I, str. 115. Dokładniejszy pogląd na rzecz dają mapy austryackiego sztabu głównego „Uebersichtskarte v. Mittel-Europa" w rozmiarze $\frac{1}{75000}$ i „Generalkarte von Mittel-Europa" w rozmiarze $\frac{1}{300000}$. Z map rosyjskich zasługuje na szczególne polecenie mapa sztabu głównego wydana w rozmiarze $\frac{1}{125000}$.



ERNEST RENAN.

III.

Filozoficzne swe zapatrywania się na naturę świata i człowieka, na przeznaczenie i obowiązki ludzkiego życia, Renan wypowiedział w wielu miejscach krytycznych i historycznych dzieł swoich, lecz wyłącznie i najobszerniéj w książce, mającéj nazwę: Rozmowy i fragmenty filozoficzne (*Discours et fragments philosophiques*) i w trzech swych dramatach filozoficznych: „Burża“, „Kaliban“ i „Kapłan z Nemi“, które, według własnego jego orzeczenia, stanowią dalszy ciąg, dopełnienie niby albo zobrazowanie w akcyi dramatycznéj, dzieła poprzedzającego.

Rozmowy filozoficzne, toczone są przez kilku uczonych przyjaciół i podzielone na trzy części, z których pierwsza zawiera filozoficzne pewniki, (*certitudes*) druga, możliwości. (*probabilités*), trzecia, marzenia, (*rêves*). „Dwie rzeczy—pisze—wydają mi się pewnemi a jeżeli pewności téj nie zdołam przelać w innych, będzie to tylko dowodem, że nie potrafiłem ich należycie przedstawić.“ Pierwszym z tych pewników jest niezłomność praw naturalnych, światem rządzących i których przyczynowego biegu nie przerywa i nie łamie nigdy żadna zewnętrzna wola. Świat raz otrzymał prawodawstwo stałe, w którém każde zjawisko przedstawia sumę działań i wpływów innych zjawisk, każdy fakt jest następstwem poprzedzających go faktów. Ta logika działań i oddziaływań, ten łańcuch przyczynowości, nie ulegają nigdy zboczeniom, przeistoczeniom, przerwom, wskutek wdawania się nadprzyrodzoności w sprawy natury i ludzi. Nigdy takie zboczenia i przerwy nie zostały naukowo dowiedzionemi; nigdy działania nadziemskie nie spełniały się w obec jakiegoś zgromadzenia uczonych; wszyscy, którzy bywali ich świadkami, nie posiadali umysłowych narzędzi dla zgłębiania i rozbiorów zjawisk.

Daleka od świadczenia o bezpośredniém i co-chwilowém kierownictwie idealnéj dobroci i sprawiedliwości, natura jest przeciwnie niemoralną i okrutną: dobro nie budzi w niéj łaskawości, zło nie ściąga jéj gromów. Nigdy kamień żaden nie zatrzymał się w swéj drodze, aby nie spaść na głowę człowieka uczciwego; nigdy słońce nie zgasło, aby oślepić zbrodniarza; ziemia pije chciwie krew i łzy sprawiedliwego, zarówno jak grzesznika. Historya ludów, jak i dzieje jednostek, pełną jest niesłuszności. Narody najpobożniejsze zwyciężanemi bywają przez narody daleko mniéj religijne. Rasy wyższe i doskonalsze ulegają brutalnéj sile ras pierwotnych i krwiożerczych. Najkrwawsza z rozpaczy nie dźwignie z łoża śmierci rozkładającego się na atomy ciała. Najżarliwsza z modlitw nie sprowadzi deszczu z nieba wyiskrzonego pogodą. Najświętobliwsze ręce nie przywrócą swém dotknięciem, ciągłości i zdrowia myśli głowie waryata. Tak dzieje się w oczach i czasach naszych. Zapytuję: jakie mamy dowody, że po za wzrokiem i czasem naszym nie działo się inaczéj? Odpowiadamy: nie do nas należy dowodzić niemożliwości nadnaturalnych działań. Nadnaturalne działania dowodzić muszą same siebie przez objawienie się ludziom. Jakież mamy dowody, że syreny i centaury nie istniały nigdy? Jeden tylko, ten, że przez nikogo widzianemi nie były. Dla czego świat współczesny utracił wiarę w demonologią? Dla tego, że dowiedział się o przyczynach faktów i zjawisk, przypisywanych niegdyś działaniu szatanów.

Z tego jednak, że naprzyrodzoność nie wywiera na naturę i ludzkość działań oderwanych i łamiących łańcuch naturalnych konieczności. nie wypływa wniosek, że wszech świat jest niczém inném, tylko ślepą i bezcelową mieszaniną i grą materyi. Wszechświat posiada przed sobą cel, do którego dąży, przez niezmierzone przestrzenie czasu i niezliczone przemiany form. Jest w nim coś, co rozwija się mocą konieczności wewnętrznéj i bezwiednego instynktu, instynkt który porównanym być może do ruchów rośliny zwracającéj się ku wodzie lub światłu, do ślepych usiłowań płodu ku wyjściu z macicy, do potrzeby wewnętrznéj, która gąsiennicę wypycha z jéj powłoczki. Każda możliwość usiłuje stać się urzeczywistnioną, każda rzeczywistość dąży do samopoznania, każde niejasne samopoznanie pożąda uwyraźnić się i wyjaśnić. Wszelkie zorganizowane ciało wzrasta i przez działanie czegoś, co nazwać można ślepą siłą, zdobywa sobie potrzebne narzędzia. Wszelki typ czerpie z samego siebie wszystko, co potrzebném jest do jego indywidualnéj doskonałości. To samo co o organizmie zwierzęcym, powiedzieć można o ciałach zbiorowych, jakiemi są narody, państwa, kościoły. We wszystkiém daje się uczuwać dążenie, ku spełnieniu jednego ze szczegółów

jakiegoś powszechnego planu, do zapełnienia jakiejś formy. Mnóstwo czynności istot żyjących nie jest wynikiem indywidualnych obrachowań i nie zmierza ku indywidualnym celom. Tysiące faktów w ich życiu nie znajdują wytłómaczenia w interesie lub przyjemności. Natura zdaje się dopuszczać względem człowieka niezliczonych oszustw, którym jednak poddaje się on od początku wieków i od krańca do krańca ziemi. Człowieka porównać można do robotnika wyrabiającego gobeliny; tkał on je ze złéj strony, nie widząc wzorów, które okrywały dobrą. Robotnik ów pracował dla otrzymania pieniężnéj nagrody; my pracujemy dla nieznanego celu, ku któremu zmierza nietylko nasz glob rodzinny ale cały wszechświat. Jest to teorya celowości, lecz nie téj ciasnéj i samolubnéj, którą wytworzyły ciasnota i pycha człowieka i która wszechświat oddawała w poddaństwo ludzkich potrzeb i upodobań. Tu przeciwnie, człowiek ukazuje się sługą i robotnikiem niezmierzonego ogromu wszechistnienia i jedném z niezliczonych narzędzi, z których pomocą to wszechistnienie wypracowuje ostateczną i w nieobrachowanéj przyszłości urzeczywistnić się mającą formę swego bytu. Narzędzie to, czujące i myślące, nie jest jednak zdolném przeniknąć i ogarnąć planu roboty, w któréj przyjmuje udział i ostatecznéj formy, ku któréj ona zmierza. Żyje ono, pracuje, walczy, zawodzi się, cierpi, w mniemaniu że wszystko to czyni w interesach własnych. Olbrzymia omyłka! Nieprzeliczone zastępy ofiar, potém swym, krwią i łzami, popychających wóz wszechświata ku nieznanemu im kresowi, po drodze, któréj drobniutka tylko cząstka dostępną jest ich oku i pojmowaniu! To istnienie jakiegoś najwyższego, ostatecznego celu wszechświata i ten musowy udział, który przyjmuje człowiek w tém dążeniu, stanowi drugi z filozoficznych pewników Renana. Dotąd, nic w téj teoryi niema oryginalnego. Są to te same poglądy na ludzkość i jéj zadania, które Szopenhauera i jego szkołę przywiodły do najczarniejszego pesymizmu. Jesteśmy oszukani i wyzyskiwani, twierdzi Szopenhauer, pracujemy i cierpimy w skutek niepojętych rozporządzeń jakiejś woli na zewnątrz nas działającéj. Wyrzeczmy się z góry wszelkiéj radości i nadziei. Uczniowie ponurego filozofa niemieckiego zachodzą daléj jeszcze. Zbuntujmy się — wołają — przeciw téj woli despotycznéj i tajemniczéj! Usiłujmy niszczyć to życie, które nie daje nam żadnego źródła czystego i trwałego szczęścia, a zalewa nas morzem trudów, bólów i goryczy, niewiedziéć dla czego znoszonych!

Ku innym wcale wnioskom ta sama teorya przywodzi francuskiego myśliciela. Zarówno plemiennéj jak indywidualnéj jego naturze pesymizm wstrętnym jest i prawie niemożliwym. Szopenhauer, pozytywista, nie chcący znać nic innego nad to, co ukazują i czego

dowodzą spostrzeżenia i doświadczenia, wyznaje względem całokształtu i ostatecznego celu téj roboty, któréj człowiek jest ślepym i cierpiącym wyrobnikiem, nieświadomość całkowitą. Renan, idealista, stawia hypotezę, oderwanego i niejako osobnikowego istnienia idei, któréj materya służy za środek niezbędny urzeczywistniania się i działania. Idea czysta jest tylko możliwością ruchu; materya czysta jest nieruchomą. Idea czysta urzeczywistnia się tylko przez związki materyi, lecz ona to ożywia materyą i dążąc do urzeczywistnienia się, popycha ją ku różnym formom bytowania. Nie ma gmachu bez kamieni; niema muzyki bez strun i metalu; niema myśli bez masy nerwowéj. Ale w zamian, kamienie nie są gmachem, skrzypce nie są muzyką, mózg nie jest myślą. Wszystkie te związki materyi są warunkami, przez które ujawnia się idea. Bez pojęć dobra, prawdy i piękna, z kamieni nie powstałby gmach, skrzypce nie wygrałyby melodyi, mózg nie dokonałby odkryć i nie wytworzył by zasad, które stanowią sztukę i moralność, pojęcia dobra, prawdy, piękna, sprawiają wszystko, co góruje nad niezorganizowaną i nieruchomą materyą, materyą dźwigają ku coraz wyższym formom bytowania, w połączeniu swém tworzą ideał ku którego doskonałemu spełnieniu dąży wszechświat. Oto jest ów cel tajemniczy, dla którego pracujemy, cierpimy i walczymy i zarazem oto jest Bóg. Boskość czyli idea, popycha atomy materyi, ku formowaniu się w związki, przez które ujawnia się życie i w zorganizowanych już związkach pracuje wtedy, gdy niewiedząc dla czego i za co, ponoszą one trudy źle wynagradzane, pełnią cnoty, których częstokroć same stają się ofiarami, dokonywają czynności, nie dogadzających żadnemu z własnych ich interesów. Tym sposobem, zwiększa się coraz istniejąca we wszechświecie suma życia, samopoznania, rozumu i dobroci. Nieobliczone mnóstwo usiłowań i prób w tym kierunku, przepada marnie, lecz ilość ich tak jest niezmierną i dokonywują się one na tak niepojętym dla nas ogromie czasu i przestrzeni, że suma osiągniętych rezultatów musi istnieć i coraz się zwiększać. Polem bowiem prób tych i usiłowań jest nie tylko nasza ziemia, lecz wszystkie tak zwane ciała niebieskie, które stanowią spójną i zorganizowaną całość, ożywioną jednym ruchem i zmierzającą ku jednemu celowi. Być może, iż na ziemi, w skutek właściwości jéj materyi, zabraknie sposobów i czasu, do urzeczywistnienia ostatecznego wyniku téj powszechnéj pracy. Glob nasz jest także jednym z nieprzeliczonych pracowników i tak jak zamieszkujący go osobnik ludzki, zginąć może bez nagrody i ujrzenia całości wzorów, w których wytkaniu przyjmuje udział. Ale kiedyś i kędyś, może na globach, których urodziny odbywają się teraz w srebrném łonie mgławic, może przez istoty, których my, lu-

dzie, jesteśmy słabemi zaledwie zaczątkami, dosięgniętym zostanie ten cel wszystkich ruchów i wszelkiego życia, wszelkich trudów, cierpień, dochodzeń i ofiar; cel, którym jest powszechne i jak najwyższe urzeczywistnienie się idei, inaczéj jeszcze ideału samowiedzy, dobroci i rozumu, inaczéj jeszcze: boskości. Niema jednak dostatecznych przyczyn do stanowczego twierdzenia, że stać się to nie może na ziemi. Idea wiele już uczyniła w ludzkości. Nie tylko przewidziéć, ale nawet przypuścić nam niepodobna, w jakim stanie znajdować się będzie ludzkość za kilka milionów lat, przez które ziemi nic dobrze obrachowanego zniszczeniem nie grozi. Nie możemy tego przewidziéć teraz szczególniéj, gdy dzięki popędowi wywieranemu przez ideę prawdy, ludzkość posiadła oręż nauki, jako téż sposoby ciągłego i nieobliczonego jéj potęgowania. Idea prawdy, wzrastając dopomaga niezmiernie wzrostowi idei dobra. Działanie nauki sięga bardzo niedawnych czasów. Jakże oślepiające perspektywy gotuje ono dla przyszłości! Ileż wpływów na milionowéj przestrzeni czasu wywrzéć może takich, któreby dziś, dla nas, były niepodobnemi nawet do zrozumienia niespodziankami!

Z dojrzenia choćby możliwości takiego celu wszechistnienia, wynika pogląd na przeznaczenie i obowiązki człowieka wcale inny niż Szopenhauera i jego uczniów, czyli, wcale inne pojęcie moralności. Rozpacz zamienia się tu w nadzieję, upokorzenie oślepionego niewolnika w dumę dobrowolnego współdzialacza, gniewny bunt w rozumne poddanie się siły pojedyńczéj i drobnéj, planowi dokonywanemu przez siłę zbiorową i potężną. Jesteśmy w położeniu żołnierzy, którymby rozkazano walczyć i ginąć za sprawę nie swoję wprawdzie lecz wielką i piękną. W zależnych tych istotach zrodzićby się musiały usposobienia dwojakie: jedni, doświadczaliby uczuć buntu i nienawiści, drudzy, miłości, zapału i wdzięczności dla tego, kto ich pod sztandar swój zawezwał. Jedyną rzeczą niemoralną, któréj człowiek dokonać może, jest buntować się przeciw przeznaczeniu swemu; najwyższą jego cnotą, przyjąć je chętnie i z całéj siły dopomagać pracy powszechnéj. Tylko pigmeje buntować się mogą. Człowiek dobry, rozumny, wielki, nie może lepiéj użyć genjuszu serca, czy umysłu swego, jak współpracując z Bogiem, dopomagając mu w oszukiwaniu jednostek dla dobra powszechności, stając się giętkiem i chętném jego narzędziem, szerzącém dobro i prawdę śród ludzi, z których nie każdy otrzyma za nie osobistą nagrodę, tak jak wódz szerzy odwagę i zapał pośród żołnierzy, z których nie jeden zginie, bez zobaczenia zwycięztwa. Ludzie dobrzy i czyści, genialni i poświęceni, znajdźcie pociechę i uspokojenie w wierze i myśli, że wy to jesteście racyą bytu waszéj planety; że stanowicie dla niéj

okup Sodomski; że z waszych trudów niewynagrodzonych, serc poranionych i łez wypłakanych, powstaje Bóg! Wy to przybliżacie owo „królestwo Boże“ tak długo przez biedną ludzkość widziane w mgle przeczuć i bajek, a które będzie królestwem ideału, powszechném panowaniem dobroci, zgody, rozumu i sprawiedliwości!

W uszeregowaniu trzech ideałów dobra, prawdy i piękna, Renan naczelne miejsce wyznacza pierwszemu. W wielkim korowodzie świętych ludzkości, szereg pierwszy zajmują dobrzy. czyści, łagodni, przebaczający bez warunków i kochający bez granic; w szeregu drugim, postępują bohaterowie prawdy: uczeni, wynalazcy, reformatorzy; trzeci, napełniają przedstawiciele piękna: artystyczne i poetyczne geniusze. Im więcéj człowiek zawrze w sobie tych idealnych pierwiastków, tém więcéj boskości posiada w samym sobie. Kochać i czcić dobro, prawdę i piękno jest to kochać Boga; służyć im jest to służyć Bogu. Dla tego, pisze on w swych wspomnieniach, że na różny sposób można być kapłanem. Dla tego w jedném z dzieł swoich, nazywa Jezusa *człowiekiem boskim*. Orzeczenie to, ściągnęło nań ze strony nauki niemniejsze przygany, niż te, które go spotkały ze strony kościoła. Bez znajomości jego deistycznych poglądów jest ono niezrozumiałem i prawie deklamatorskiém. Lecz w ogólnym systemie jego myślenia, rozumiemy je wybornie. Wcielenie najwyższéj dobroci, miłości, słodyczy i czystości, jest dla niego wcieleniem bóstwa, a człowiek będący tém wcieleniem, człowiekiem boskim. Franciszek z Asyżu, dobrowolny nędzarz, poeta kochający i opiewający wszystko co istnieje, posiadał według niego ducha najwyższéj religijności. O miejscu, w którém żył Spinoza, o tyle łagodny i cichy o ile głęboki i szczery myśliciel, utrzymuje, że jest to miejsce, z którego może najbliżéj oko ludzkie widziało Boga.

Przedmowę do ostatniego dramatu swego *Kapłan z Nemi*, Renan zaczyna od wyznania, że myślą jego nie było stworzenie dzieła sztuki, ale przedstawienie filozoficznych i społecznych teoryi, za pomocą dyalogu. Dla wlania w ten dyalog akcyi, któraby drogą wyobraźni do przekonania czytelników łacniéj trafiała, użył on jednego z tych historycznych faktów, które „materyalnie nie spełniały się nigdy, ale idealnie działy się po tysiąc razy.“ Osoby i wypadki są tu zmyśleniem, ale idea jest prawdą przenikającą wszystkie czasy i zarządzającą życiem ludzi i społeczeństw w taki sam sposób, w jaki to czyni z ludźmi i społeczeństwem przedstawionemi w dramacie. „Pragnąłem w tém dziele mojém rozwinąć myśl, podobną do hebrajskiego mesyanizmu, to jest wiarę w ostateczny tryumf postępu religijnego i moralnego, który dokonywać się musi, pomimo licznych tryumfów

głupoty i złości. Spróbowałem tu przedstawić, jak sprawa dobra toruje sobie drogę śród spływających na nią goryczy i niepowodzeń, pomimo nawet upadków i błędów własnych swych męczenników i krzewicieli. Chciałem nakoniec uwydatnić tę sieć prawd ludzkich, której punktem środkowym jest to żelazne prawo, iż w dziedzinie polityki, zbrodnia bywa pospolicie wynagradzaną a cnota karaną. Wynika z tego obraz pełen smutku, bo na plan pierwszy występuje tu samolubstwo możnych, głupota ludu, niemoc ludzi rozumnych, podłość kłamliwego a słabość wolnomyślnego duchowieństwa, upadki patryotyzmu, złudzenia wolnomyślności, nieuleczalna nikczemność łotrów. Pomimo to, mn emam, że dzieło moje jest zdrowém, bo rozpacz uczuwaną na widok chwiejnych ruchów ludzkości, usuwa przez nadzieję zwycięstwa prawdy i dobra, które ostatecznie wzbić się muszą nad to okropne bagnisko, gdzie wylęgają się i skrzeczą wszystkie głupoty, brutalstwa i brudy.“

Nie należy przecież tracić z pamięci, że to idealistyczne określenie ostatecznego przeznaczenia ludzkości należy w filozofii Renana nie do rzędu pewników ale do rzędu możliwości. Do hipotezy téj przywiązuje się on całą siłą ducha, spragnionego idealnych czci i nadziei, wynikającą z niéj moralną doktrynę stosuje we własném życiu i znać, że pragnie uczynić z niéj pociechę i wparcie ludzkości. Jednak wykład pocieszającéj i wzmacniającéj téj możliwości, kończy słowami: „Zresztą wszystko to może nie jest prawdziwem!“

Z wielką siłą i po wiele razy Renan odpierał w dziełach swoich, przypisywane mu nazwy ateusza i materyalisty. Istotnie, zła wola tylko, któréj wiele przeciw sobie obudził, mogła te nazwy do niego stosować. Ateizm i materyalizm mają stanowcze przeczenia i twierdzenia; z nieistnienia Boga i jedynego istnienia materyi, czynią nieodwołalne i ostatecznie rozstrzygające pewniki. Ateizm i materyalizm tak jak zorganizowane religie tworzą dogmaty i ofiarowują ludzkości wziętą na odwrót wiarę. Umysł Renana cofa się przed dogmatami materyalizmu zarówno jak i spirytualizmu. Mniema on, że natura przemawia do człowieka tylko symbolami, zarówno jak wiara; że siły naturalne nie są poznane same w sobie, tak jak poznanemi być nie mogą nadnaturalne. Nie przenikamy źródła i istoty siły ciążenia, wiążącéj wszechświat w spoistą całość; nie znamy postaci i przymiotów rzeczy, po za granicami naszych zmysłowych wrażeń. Wszystko jest dla człowieka tajemnicą i symbolem. Symbole wiążące w sobie ducha nieskończoności, opierają się wiecznie rozumowi ludzkiemu, który pragnie zgłębić je i przeniknąć; nawzajem rozum ludzki walczy wiecznie z symbolami, aby otrzymać od nich więcéj światła i powietrza. Powątpiewanie jest smokiem, po-

żerającym owoc ludzkiéj myśli; jest ono także niepozbytym towarzyszem mędrca. Jak według słów Pisma św. najcnotliwszy grzeszyć musi siedm razy na dzień, tak wobec krytycyzmu umysłowego, najmędrszy po wiele razy codziennie, wątpi. O, otchłani byłoż kiedy oko, które dosięgło twych głębi! Nieskończoności, czy mózg jakikolwiek zdoła kiedy rozwiązać twoje zagadki i zmieścić w sobie twój ogrom!

Renan nie jest ani ateuszem, ani materyalistą. Jest on sceptykiem. Sceptycyzm znajduje w nim ostatni swój wyraz. Sam o sobie opowiada, że wiecznie wątpi o tém, co kocha; że pożera go niespokojność ducha, która, gdy prawda wydaje się już znalezioną, każe mu ją ścigać coraz daléj i daléj; że jest łupem fantazyi, która pomimo twierdzeń rozumu nie daje mu jednéj chwili uspokojenia. Te to niezmordowane ściganie prawdy, ta lotność fantazyi, głusząca głos rozumu i przenosząca go co chwilę z krainy wiedzy w krainę marzeń, stanowią główne piętno jego indywidualności i wyróżniają go z pomiędzy licznéj grupy współczesnych sceptyków. Nie zamyka się on w swém wątpieniu, niby w bezpiecznéj przystani. Wątpienie jego nie jest martwem jeziorem, ukazującém odmętowi wszechrzeczy obojętne i wiecznie błękitne oblicze, ale wzburzonym potokiem, który naprzemian z płaczem i śmiechem rzuca się w otchłanie i tryska ku niebu, szukając, pragnąc, wzywając prawdy. Szuka on i pragnie ideału. Potrzeba idealnych miłości, czci i nadziei jest najgłębszą i najgwałtowniejszą z potrzeb jego ducha. Dla tego stroną umysłowego widnokręgu, ku któréj najbardziéj przechyla się ten sceptyk—jest idealizm; dla tego ze wszystkich rzeczy ludzkich brzydzi się on najbardziéj życiem oddanem na posługi saméj materyi i w materyi czerpiącém jedyne swe uciechy; dla tego pociągają go nadewszystko postaci historyczne, najbardziéj oddalone od ziemskich zachodów i kłótni. Pokorny i poetyczny Franciszek z Assyżu jest mu sympatyczniejszym od genialnego ale zmuszonego do prowadzenia walk i sporów, dumnego w swéj indywidualnéj odrębności Pawła; kochająca i w cierpieniach serca więdnąca Krystyna Stomel pociąga go więcéj niż niejedna z wysokości tronu świecąca gwiazda świętości. Czystych męczenników i cichych kapłanów dobra wynosi on nad burzliwych i burzących bohaterów prawdy, nad dumne i najczęściéj oklaskiwane geniusze artyzmu.

Jak każdy sceptyk, Renan po wiele razy w dziełach swych zaprzeczył samemu sobie i po wiele razy pługiem swym krzyżował wyorywane przez siebie samego bruzdy. Bywa on czasem nieskończenie smutnym i cierpienie wydaje mu się jedyną dotykalną i niewątpliwą realnością życia. „Łzy wszystkich ludów są prawdziwe-

mi łzami; w myślach wszystkich mędrców mieści się cząstka prawdy.“ „Niezmierna rzeka zapomnienia unosi nas w otchłań bez nazwy. Wszystko jest tutaj symbolem tylko i snem. Bogowie tak jak i ludzie mijają!...“ Ale najczęściéj przybywają mu w pomoc ideały, dla których ma on więcéj miłości niż wiary, które odczuwa więcéj, niźli ich źródła i cel rozumie. „W piersiach własnych stwarzajmy królestwo Boże!... Słodycz, życzliwość, poszanowanie dla wszelkiéj istoty ludzkiéj, dobroć dla wszystkiego co żyje, przebaczenie własnych krzywd, niepamiętanie o własnych cierpieniach, oto są prawa pewne i niezawodzące nigdy.“ „Prawdy odkrywane przez naukę, wyższemi są zawsze nad marzenia, które nauka unicestwia.“ „Cel ludzkiego życia pozostanie nazawsze świętym. Jeżeli temu zaprzeczyć niepodobna, że wykształcenie umysłowe, nawet na niższych swych stopniach, coraz bardziéj odtąd wykluczać będzie wiarę w nadprzyrodzoność; niemniéj téż jest to prawdą, że najwyższa nawet nauka nie zniszczy nigdy religijności, w najwznioślejszém znaczeniu tego wyrazu....“

„...Modlimy się zawsze, ilekroć nie jesteśmy samolubami, a człowiek przecież nie zawsze bywa samolubem. Młodość ma swe modlitwy, które są jako strzały z dyamentowemi ostrzami, podobne do tej, którą Serafin przebił serce św. Teresy. Lecz nawet i w wieku, w którym osobną barwę podkreślać trzeba dnie wolne od cierpień, jest jeszcze marzenie, są resztki zapału, niewygasłe żary, świadczące że nawet noc głęboka, zalegająca dno oceanu, jak przekonali się o tém nowi odkrywcy, nie jest zupełnie bez ciepła i życia....“

„...Wszystko zważywszy, na rozległém polu istnienia, na powierzchni téj wielkiéj kuli żelaznéj, którą zowiemy planetą ziemską. nie wiele jest takich położeń, w którychby szale, ważące *Ma* i *Winien*, nie dawały pewnéj malutkiéj nadwyżki szczęścia. A tak się dzieje w okresie historyi świata, w którym Bóg, gdyby był autokratą, musiałby być uważanym za niedoskonale mądrego i niesprawiedliwego mocarza. Cóż będzie wtedy, gdy pierwiastek rozumu szerzéj rozleje się po wszechświecie, gdy zło stanie się słabszém a potężniejszém dobro; gdy liczba istot, którym życie jest ciężkiém brzemieniem i podarunkiem złowrogim, zmniejszy się prawie do zera. Natenczas każdy z głębin swojego serca głos swój połączy z samotnym dziś głosem księdza, śpiewającego pieśń mszalną: *Vere dignum et justum est, aequum et salutare nos tibi semper et ubique gratias agere* (1). Jak ptakom św. Franciszka, życie opłaci się każdemu, niezmierną

---

(1) Zaiste, godna i sprawiedliwa (rzecz jest) prawa i zbawienna, składać Ci dzięki zawsze i wszędzie.

nadwyżką miłości i wdzięczności. W zasmucające dogmaty nikt wierzyć nie zechce. Radość życia, zewsząd dziś przez cierpienie gaszona, wybuchnie wszędzie.... Nihilizm, płód téj niezmiernéj sumy zasmucenia, którą wieki gwałtów i okrucieństwa zgromadziły na starym naszym lądzie, zniknie, a raczéj przestanie mieć swoję racyą bytu. Gdy świat stanie się lepszym, kiedy wesele zapanuje w krajach dzisiaj najbardziéj przeniknionych mękami ucisku i bólu, niepotrzebnemi staną się także bohaterskie opory i śmierci; nikt już nie będzie ateuszem przez religijność, niszczycielem przez ducha sprawiedliwości, zbrodniarzem przez miłość dobra; najfanatyczniejsi zwolennicy nicości staną się najlepszymi żołnierzami ideału. Obyśmy przed śmiercią naszą ujrzéć mogli choćby jutrzenkę tych pięknych dni!“

Kochając prostotę życia i obyczajów, kocha on lud i w przyszłości jego pokłada wielkie nadzieje; z innéj jednak strony, jest przeciwnikiem przymusowéj edukacyi ludu. W zbawienność pierwiastkowéj nauki nie wierzy. Ideał prawdy, ma dla niego tę cenę, że dopomaga do wzrostu i zwycięstwa ideałowi dobra. Ale, skoro nauczanie, posunięte do najdalszych granic dzisiejszéj wiedzy, ukazuje tylko ułamki i mgliste migotanie prawdy, jakże udzielić jéj może ten zaczątek nauczania, który mieści się w szkołach pierwiastkowych? „Jeżeli możecie każdemu z obywateli Francyi udzielać nauki przez lat 15-cie albo 20-cia, urządźcie taką edukacyą powszechną. Lecz nauczanie tłumu sztuki czytania i pisania, danie mu drobniutkiego ułamku nauki, nadweręży w nim tylko zalety pochodzące z prostoty i naiwności, nie dając mu przez to cnót właściwych prawdziwéj mądrości.“ W twierdzeniu tém, myśliciel duński, Brandes, spostrzega ślady tego wstrętu, jakiego zawsze doświadczał kościół katolicki, względem rozpowszechniania wiadomości naukowych, pośród ludowych mas. Być może. Nie byłby to wypadek jedyny, w którym Renan zdradził niepozbyte piętna swéj edukacyi kościelnéj. Ale, mniemać téż można, iż jest to niepraktyczność bardzo zwyczajna śród idealistów, którzy, zapatrzeni w wysokie sfery pojęć i myśli, tracą z oka najkonieczniejsze warunki ziemskiego życia. W ścianach pracowni swéj, zajęty nieustannie wpatrywaniem się w rzeczy oddalone i wysokie, utracił on może zdolność spostrzegania tak blizkich i nizkich, jakiemi są względy ekonomii społecznéj i moralności codziennéj. Zapomniał, że edukacya powszechna, w pierwiastkowéj nawet swéj formie, stawia największą możliwie ilość ludzi, na drodze, po któréj idzie się ku prawdzie i umożliwia minimalne prace w jéj poszukiwaniu. Nie spostrzegł, że ta edukacya ułatwia warunki bytu materyalnego i zachowywanie prawideł moralności codziennéj tym właśnie, dla których uczuwa on najwyższy pociąg, za których cierpieli

i ginęli najmilsi mu bohaterowie historyi. Kochać maluczkich i zamykać przed nimi źródła oświaty, jest to jedna z tych licznych sprzeczności. które spotykać się muszą w myślach i dziełach sceptyków, takich szczególnéj, którzy jak Renan. są zarazem idealistami.

Sceptycyzmowi przypisać można i to także, iż w naukowych dziełach jego spotykają się nieustannie wyrażenia takie, jak: „być może; przypuśćmy; jeżeli to jest prawdą; wszystko to zresztą może być nieprawdą itp.“ Niektórzy, w téj chwiejności twierdzeń, w ostrożności i łagodności jego historycznych sądów, dostrzegali niedostatek pisarskiéj szczerości i odwagi. Było to niesprawiedliwością. Nikt nadeń nie posiada w wyższym stopniu tego, co nazwać można sumieniem pisarza. W zgromadzaniu materyałów dla prac swoich jest on niezmordowanym i najgorliwszym szperaczem; dla spadających nań przygan i potępień doświadcza obojętności zupełnéj. Kiedy go zapytano, czy nie czuje się znękanym walką, którą mu wytoczono za historyą początków Chrześcianizmu, odpowiedział poprostu: że na kazania, w których go wyklinają, nie uczęszcza i broszur, które okrywają go błotem, nie czytuje. Nie brak odwagi i szczerości, ale wiecznie prześladujący go brak zupełnéj pewności i wiary, czyni go często chwiejnym i ostrożnym w twierdzeniach i sądach. Z innéj jednak strony, łono sceptycyzmu pełném jest zawsze ironii. „Jestem dwoisty, pisze o sobie Renan, gdy jedna połowa duszy mojéj placze, druga śmieje się.“ To téż częstokroć, tam gdzie fantazya poety okrywa przedmiot książki splotami najpiękniejszych kwiatów, jeden iroaiczny uśmiech, krótki lecz wyostrzony jak sztylet, rozdziera kwieciste zasłony i ukazuje czytelnikowi, w całéj jego nagości, subtelnie i pracowicie dokonane anatomiczne studyum. Uśmiech ten mieści się w kilku słowach, w jednem niekiedy określeniu rzeczy i tam gdzieśmy mniemali widzieć tylko poetę i idealistę—ukazuje biegłego anatoma i nieubłaganego sceptyka.

Najmniéj może ze wszystkich myślicieli współczesnych, Renan przyrównanym być może do monolitowego kolosu. Jest to niewątpliwie kolos, ale złożony z wielu odłamów, których olśniewające migotanie utrudnia dokładne ogarnięcie okiem całości. Niedarmo słynny krytyk, studyum swe o nim zamknął w tomie, noszącym nazwę: *Duchy nawożytne* (*Moderne Geister*, *Brandes*). Jest to duch doskonale przedstawiający rodzinne swe stulecie,—stulecie niespokojne, szukające prawdy i wątpiące czy kiedykolwiek posiąść ją w pełni zdoła; przez miłość dla prawdy kruszące to, co kochały wieki, i przez wstręt do próżni, uciekające w krainy utopii i marzeń. Lecz taki ja-

kim jest: uczony i poeta, krytyk i wychowaniec kościoła, sceptyk i idealista, Ernest Renan przedstawia jedną z najoryginalniejszych i najciekawszych fizyognomii naszego czasu. Tak ze względu na szerokość jego wiedzy i myśli, jak na wspaniałość pisarskiego talentu i niepospolitą czystość życia i charakteru, poczytać go można za jednego z największych mężów, jakimi Francya obdarzyła cywilizacyą świata. Pismami swemi wywarł on na umysłowość współczesną wpływ bardzo rozległy; nie znać go, znaczy to nie znać jednego z potężnych czynników dzisiejszéj Europejskiéj oświaty.

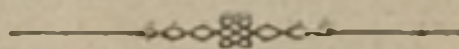
Eliza Orzeszkowa.



szone. lub nie doznały przeszkody w wykonaniu, będzie dokładał wszelkich usiłowań, aby wykonywać we własnéj osobie ową pełnią władzy, jaką go akt powstania przyodział. Generał Zajączek, o którym tak często mówiłem waszéj ekscelencyi, człowiek rzadkiéj zasługi przez swoje talenta wojskowe i wiadomości polityczne, zajmuje po nim drugie miejsce w obozie. Marszałek Potocki szukał zanadto spotkania ze mną, abym się z nim nie był zobaczył. W długich rozmowach o naturalnym związku interesów Austryi i Polski, dawałem właściwie tylko początek własnym jego spostrzeżeniom, według których jest rzeczą niemożliwą, aby Austrya nie miała chcieć dobra Polski, że jednakże być może, iż wskutek właśnie tego samego interesu. nie jest zadowolniona z wyboru chwili, a że ze względu na okoliczności czasowe, podejrzywa środki, jakiemi się powstańcy posługują. To co mi przedstawiał w formie odpowiedzi, zgadzało się zupełnie z tém, co mi poprzednio mówił Kościuszko. Ma dla waszéj ekscelencyi najwyższy szacunek i zachowuje dla niéj uczucia dawnéj i najszczerszéj przyjaźni, będąc przekonanym, że w waszéj ekscelencyi uczucia prywatnego człowieka nie mogą być rozróżnione od postępowania człowieka publicznego, a że w. ekscelencya możesz u niego liczyć na wzajemność. Pragnąłby bardzo rozmówić się z w. ekscelencyą gdziekolwiekbądź w jak największéj o ile możności tajemnicy. Podjąłby w tym celu najdłuższą podróż, a przybył by na miejsce i w sposób, jakibyś w. ekscelencya wskazała. Powiedziałem mu, że razu pewnego stosownie do prośby jego, podsunąłem w. ekscelencyi myśl podobnego spotkania, a że przypuszczałem, iż gdyby z Rosyanami był pogodzony choćby tylko pozornie, w. ekscelencya mogłaby go widzieć bez zwrócenia na siebie podejrzenia i że go zawsze będzie widziała z zadowolnieniem. Oświadczył mi, że obecnie ma powody ważniejsze niż kiedykolwiek, aby się starać o podobne spotkanie. Jeżeli zapatrując się na rzeczy ze stanowiska, które tylko może uderzać ogromną przewagą sił obu dworów, przeciw którym powstańcy ośmielili się broń podnieść, nie można sobie zataić, że ich usiłowanie jest zbyt śmiałe, że może być tylko bezowocném i nadaremném; zważywszy jednakże zdolność i determinacyą dowódców, zapał ludu, rozdraźnienie ogólne przeciw dwom mocarstwom... kłopot, w jakim się znajdą, aby się miéc na baczności przeciw swym własnym żołnierzom, poddanym polskim a niezadowolnionym, konieczność, w jakiéj się znajdą, rozpraszania swych sił, aby utrzymać w posłuszeństwie okolice, w których im się uda uciszyć lub powstrzymać powstanie, interes nakoniec, jaki z czasem obudzi się na rzecz Polski ze strony mocarstw, które mają powód do obawy, aby nie być wystawionemi na jéj los, a które przedsiębiorcza... i mało

powściągliwa chciwość Prus utrzymują zawsze w potrzebie czujności, należy przypuszczać, że pożar, który wybuchnął, nie będzie ogniem słomianym. Już wzięcie Warszawy, zwycięstwo odniesione przez oddział nowego zaciągu nad wojskiem silniejszém dwa razy, pogoń za nieprzyjacielem po całym kraju, podniosły znaczenie przedsięwzięcia, które z początku robiło wrażenie wybuchu rozpaczy. Oba dwory posługiwały się zbyt często podstępstwem i zwodnictwem wobec Polaków, aby można przypuszczać, że te środki odkryte, znane a znienawidzone powstrzymają zaciętą walkę między niemi a narodem, któremu długie nieszczęścia a szybkie powodzenia zalecają energią. Być może, że byłoby dobrze, aby nasz dwór zastrzegł sobie zawczasu wpływ w téj sprawie. Usposobienia tak naczelników, jak ducha publicznego są tak odpowiadające temu celowi, że nie będzie miał do zwalczania ani jakiejbądź rywalizacyi, ani trudności do przezwyciężania. Może zachowywać pewne stopniowanie w swém postępowaniu, podobnie jak w rozciągłości swojego wpływu. Jest moim obowiązkiem uprzedzić w. eksc., że małoduszność niektórych urzędników galicyjskich nakazuje im patrzéć okiem zbyt pośpieszném i zbyt zaniepokojoném na te pierwsze usiłowania Polaków, jako mogące być hasłem wybuchu dla Galicyan. Ich obawa nie ma żadnéj podstawy, czyli raczéj jest zdolną wywołać na dwie strony, jak najzgubniejsze wrażenia. Spostrzeżenie to może nie być bez pewnéj użyteczności dla w. eksc., aby ocenić rozmaite sprawozdania. Wpływ, jaki dom austryacki mógłby łatwo a skrycie zyskać na Polaków, wywołałby dwa następstwa: pierwszy, żeby go uwolnił od jego obaw, dając jemu samemu możność kierowania i powodowania ich energią, drugi, żeby zasłaniał najważniejsze jego interesa, czyniąc prawdopodobném przez przywrócenie Polski, wzniesienie zapory między jego a dwóch współzawodników krajami.“

Kazimierz Jarochowski.



trów wysokości. Występują one niekiedy gromadnie, a zmieniając pod wpływem wiatrów swą postać, tworzą to, co nazywamy wydmami. Wydmy rozwinęły się na wielkie rozmiary w wielu miejscach, szczególniéj nad Słuczą i Horyniem, w okolicy Dąbrowicy, u połączenia się tych rzek. Cały kąt pomiędzy niemi, na północ od Luchczy i Treskini, jest zajęty przez wydmy, które pokrywają tutaj co najmniéj 40 kilometrów kwadratowych i spiętrzyły się wysoko nad poziomem Słuczy i Horynia. Znaczna ich część nie nadaje się zupełnie do uprawy, a ogołocone z wszelkiéj roślinności robią najposępniejsze wrażenie i przez okolicznych mieszkańców polską Saharą nazywane bywają. Pagórki te nie tylko zmieniają pod wpływem wiatrów swą postać, lecz posuwają się ku południowemu wschodowi, ten ruch ich jest jednakże bardzo powolny. Miałem sposobność badania go w blizkości wsi Kołki, gdzie wydmy spadają nagle ku płaszczyznie moczarowatéj nad Słuczą położonéj i zasypują zarost drzewiasty, ten moczar okalający. Ze stoku piaszczystego pagórka sterczą tu zielone wierzchołki wierzb, które mieszkańcy sąsiedniéj wioski obserwują od lat kilku, nie mogąc doczekać się zupełnego ich zniknięcia. Pomimo to sąsiedztwo tych wydm jest dla ziemian bardzo niemiłe, bo piasek unoszony z nich wczasie silniejszych wiatrów zasypuje glebę uprawną i obniża jéj wartość, a niekiedy czyni ją nawet dla uprawy nieprzydatną.

Wydmy istnieją tylko tam, gdzie pagórki piaszczyste z powodu swéj wyniosłości łatwiéj obsychają, a piasek traci swą spoistość. Gdzie gleba jest wilgotniejsza, tam pokrywa się roślinnością i ustala. Pagórki występujące nieraz gromadnie w pośród lasów wypada uważać za wydmy ustalone. W okolicach moczarowatych tworzą one niekiedy długie a wąskie wały, różnéj wysokości i oddzielają zazwyczaj zagłębienia, obfitujące w mniejsze albo większe zasoby wody. Takie wały bywają tutaj nazwą grzęd oznaczone. Można uważać za rzecz pewną, że wszystkie te zagłębienia posiadały niegdyś większy zasób wody, że były jeziorami, a grzędy zawdzięczają swoją szczególną postać działaniu wody. Woda poruszana wiatrem, uderzając bezustannie o piaszczysty brzeg, niszczyła go, a piasek z niego pochodzący, roznoszony falą, zasypywał dno jeziorka. W ten sposób pagórek, rozdzielający dwa sąsiednie jeziorka, tracił bezustannie na szerokości, a boki jego stawały się coraz stromsze; równocześnie podnosiło się dno jeziorka a zmniejszał się zasób jego wody, wskutek czego zamieniało się ono z czasem w moczar, następnie w torfowisko. Zdarza się nieraz, że poziom dwóch zagłębień, grzędą, zaledwie na kilkanaście metrów szeroką, od siebie oddzielonych, jest bardzo różnym. Powierzchnia takich zagłębień, nawet zupełnie osuszonych,

bywa równa, jak gdyby zniwelowana. Ale czasami sterczy po nad tym poziomem jeden albo drugi odosobniony pagórek piaszczysty, który był wyspą, gdy zagłębienie posiadało wodę.

Gleba sucha na Polesiu jest przeważnie pokryta lasami, a mała jéj część znajduje się w stanie uprawy. Ale obszary suche zajmują zaledwie mniejszą połowę powierzchni Polesia; jest ona przeważnie pokryta moczarami i bagniskami, w tamtych stronach wogólności nazwą błot oznaczanemi. Na obszarach leśnych są błota bardzo pospolitém zjawiskiem i wypełniają wszystkie miejsca niskie: ale że gleba leśna rzadko tylko jest równą, a miejsca niskie są prawie zawsze zamknięte pagórkami i grzędami, przeto i rozmiary błot leśnych bywają mniejsze. Postać błot leśnych zależy od roślinności, jaka się na nich rozwinęła, a ta od zasobu i stanu wody. W każdym razie błota te są torfowiskami, a zasób torfu wzmaga się na nich bezustannie, powodując z biegiem czasu podnoszenie się dna moczaru i jego częściowe osuszenie. Te przeobrażenia zostają w najściślejszym związku z przeobrażeniami roślinności tych błot i dlatego wspomnimy o nich w jednym z dalszych ustępów, gdzie będzie mowa o roślinności Polesia.

Im bardziéj zbliżamy się do środka zapadłości poleskiéj, tém gleba staje się równiejszą, pagórki i grzędy nikną, a rozmiary błot rosną. Mniejsze błota łączą się z razu z sobą, tworząc torfowiska, które pokryte skarłowaciałym zarostem leśnym, nie różnią się niczém od torfowisk, występujących nie mniéj obficie po nizinach innych krajów środkowéj i północnéj Europy. Ale bliżéj Prypeci powierzchowność tych błot zmienia się nagle wskutek zupełnego i nagłego zniknięcia drzew leśnych, a właściwie błota pińskie robią wrażenie nieprzejrzanych łąk moczarowatych, porosłych zrzadka i to nie wszędzie, łozami i rokitami. Takie błota bywają na Polesiu halami czyli gołemi nazywane. Hala zaczynają się już w niewielkiéj odległości od Bugu, za Brześciem i Kamieńcem litewskim, w nizinach nad Piną i Jasiołdą; ale ku wschodowi i ilość i obszary ich coraz się bardziéj wzmagają tak, że daléj na wschodzie tworzą po obu stronach Prypeci system moczarów, zaledwie skromnemi obszarami gleby leśnéj od siebie pooddzielanych. Najpotężniéj rozwinęły się hała na południowym brzegu Prypeci, pomiędzy Słuczą a Uborciem i bezwątpienia od wsi Rokitno, na samym ich brzegu położonéj, w literaturze niemieckiéj nazwę moczarów Rokitniańskich (Rokitno-Sümpfe) otrzymały. Francuzi nazywają je błotami pińskiemi (les marais de Pinsk) (1).

(1) Porównaj: E. Reclus, Nouvelle Geographie universelle, tom V, str. 449.

Powierzchnia hał jest równa, lecz kierunek jéj nie jest poziomy; przeciwnie, dawniejsze przypuszczenia, rozpowszechnione na Polesiu, jakoby osuszenie niektórych błot dla braku spadku było niemożebném, jakoby poziom ich był w kilku miejscach nawet niższym od poziomu wody w Prypeci, zostało przy pomocy prac niwelacyjnych (1), dokonanych przez jenerała Józefa Żylińskiego i towarzyszy, obalonem, bo przekonano się, że wszystkie błota Polesia nietylko leżą wyżéj od poziomu Prypeci, lecz że i silnie ku niéj się nachylają. Tak np. błota na północ od Petrykowa w powiecie Mozyrskim, tylko na 100 kilometrów od Prypeci oddalone, leżą o 42 metry wyżéj od poziomu tejże rzeki, a spadek ten wyda nam się bardzo znacznym, jeśli przypomnimy sobie, że spadek saméj Prypeci między Pińskiem i jéj ujściem do Dniepru, na linii 400 kilometrów długiéj, zaledwie 37 metrów wynosi. Tak samo i jezioro Kniaź, o którém przypuszczano, że leży niżéj od Prypeci, jest na 17 metrów nad jéj poziom wzniesione.

Wszystkie osady, na obszarze hał się znajdujące, leżą na wyspach, tutaj ostrowami nazywanych, a ostrowy te są z wyjątkiem okolicy Mozyrskiéj, piaszczystemi nasypami. Ilość, rozmiary i wysokość tych ostrowów są różne. Na wielkich hałach wschodniego i południowego Polesia zdarzają się one bardzo rzadko; na wyższém Polesiu, w stronie zachodniéj, jest ich bardzo wiele. Ostrowy większe, zamieszkałe, są płaskiemi, słabo tylko nad poziom hał wzniesionemi wyspami; mniejsze tworzą pagórki na kilka i kilkanaście metrów wysokie. Niektóre z nich odpowiadają swym kształtem najzupełniéj grzędom wśródleśnym. Rozmiary wszystkich uległy bez wątpienia, gdy obszar błot jeszcze był wodą pokryty, znacznemu przez fale zmiejszeniu. Niektóre z nich są tak ze wszech stron głębokiemi zamknięte hałami, że mieszkańcy ich tylko w zimie, po śniegu, oddalić się z nich mogą. Inne, chociaż nie zamieszkane stale, bywają uprawiane. Ich właściciele przeprowadzają z wiosną konie, objuczone pługiem i broną, dobrze znanemi szlakami przez błota, w celu obrobienia ziemi; plon zebrany zostawiają na ostrowie i zimą sprowadzają go do domu. Największą liczbę ostrowów znalazłem na dziale wodnym między Szczarą i Jasiołdą; hała na północ od jeziora Bobrowieckiego położone, są niemi zarzucone, a widok tak licznych małych i wielkich grzęd i pagórków, pokrytych ciemnym borem sosnowym, sterczących po nad zieloną płaszczyzną błot, jest najoryginalniejszym rysem téj okolicy.

---

(2) Cenne szczegóły o tych pracach znajdzie czytelnik w I-m tomie Pam. fizyogr. na str. 75 i nast.

Cała powierzchnia hał jest pokryta zielonym trawnikiem roślin moczarowatych. Rzadko tylko wiją się wpośród téj zieleni wody leśnéj strugi, która walczy z glebą i roślinnością i prędzéj lub późniéj traci swój żywot, czasem bezpowrotnie, w pośród chaosu błot. Miejsca, nie zajęte przez roślinność, są na obszarze błot bardzo rzadkie i tworzą zazwyczaj zagłębienia, otoczone wieńcem wysokich szuwarów, w pośród którego prześwieca zwierciadło czystéj wody, ulubiona siedziba ptastwa wodnego. Zagłębienia owe lud poleski nazywa oknami, a mają znajdować się między niemi i takie, które w zimie nigdy nie zamarzają i z których wydobywa się żywa źródlana woda. Większe jeziora Polesia ani nie są wyłącznie do błot przywiązane, ani nie odpowiadają największéj ich głębokości. Przeciwnie, na niższém, wołyńskiém Polesiu i liczba ich i ich rozmiary są bardzo ograniczone i największe, jak Kniaź, Wygonosz, Bobrowieckie, Czarne, Sporowskie i Białe leżą na Polesiu litewskiem, na północ od Prypeci, w znacznie wyższym od niéj poziomie, a najsilniejsze ich nagromadzenie znajduje się na dziale wodnym między Bugiem i Prypecią.

Rozpowszechnioném jest na Polesiu mniemanie jakoby błota tutejsze były bardzo głębokie, prawie niezgruntowane; lud poleski wierzy, że zostają one w podziemném połączeniu z morzem a nawet wykształceńsi mieszkańcy tych stron uważają za rzecz pewną, że roślinność pokrywająca hala tworzy darnistą tkaninę, pływającą albo unoszącą się na powierzchni wód głębokich. Wszystko to wypada uważać za przesadę nie trudną do usprawiedliwienia, jeśli zważymy, że im bardziéj zjawisko jakieś jest niedostępném i zagadkowém, tém téż silniéj na fantazyą człowieka oddziaływa. Błota pińskie pokrywają się corocznie z wiosną, w skutek topnienia śniegów i wezbrania rzek, wodą, która stoi na ich powierzchni do kilku tygodni. Gdyby darń roślinna pływała na powierzchni wody, to z jéj przybytkiem podnosiłaby się w górę, a zalanie jéj zupełne byłoby niemożebném; tymczasem i podczas powodzi zostaje ona w tymże samym poziomie, z téj prostéj przyczyny, że rośliny są korzeniami do ziemi przyczepione. Nie ma tu pomiędzy niemi ani jednéj, któraby się obchodziła bez części ziemnych. Nie można tego przedewszystkiém powiedzieć o rokitach i łozach. Gdzie te nikną zupełnie, tam moczar jest bezwątpienia głębszym, ale i tam rośliny tworzące darń należą, jak to późniéj zobaczymy, do najpospolitszych form, które trzymają się zawsze brzegów moczarów, właśnie dla tego, że bez przyczepienia do ziemi obejść się nie zdołają. Zdarza się czasem, że strugi przecinające moczary urwą w czasie powodzi kawał darniny i uniosą go w znaczną odległość; to udaje im się jednakże tylko wtenczas,

gdy wskutek silniejszego prądu wody, skierowanego w jedną stronę, jéj brzeg z tejże strony podmulonym zostanie. Gdy człowiek albo bydło kroczy po moczarze, to darń się chwieje i zagłębia a zagłębienie napełnia się wodą, co jednakże tylko do pewnego odbywa się stopnia, a o stracie w ludziach albo bydle przy takiéj sposobności nie wiele słyszałem. Okna tutejsze, według wiary ludu niezgruntowane, są niekiedy całe jeziornym szuwarem (1) pokryte; rzadziéj szuwar okala wieńcem ich brzegi, zostawiając w środku wolne miejsca, ale i wtenczas pływają po powierzchni wody rośliny, których korzenie grzęzną głęboko w mule (2). Płynąc rzeką Lwą, która za Sechami wpada na błota a ginie w nich za Tuchowskim ostrowem, mierzyłem jéj głębokość na przestrzeni 20 kilometrów; żerdź długa na 4 metry dotykała w kilku miejscach dna; a chociaż gdzieindziéj głębokość rzeki była znacznie większa, to ma ona koryto wszędzie jak najściślej darnistym brzegiem ograniczone a głębokość jéj jest wszędzie większa od głębokości okalających ją moczarów.

Że ogólnie w tych stronach rozpowszechnione wyobrażenie o nadzwyczajnéj głębokości hał nie zgadza się z rzeczywistością, tego najwymowniéj dowodzą owe okna i jeziora w sąsiedztwie błot napotykane i z niemi się łączące. Gdyby darń błotna mogła się rozwinąć na głębszéj wodzie i unosiła się rzeczywiście na jéj powierzchni, to wszystkie okna byłyby już dawno z obszarów hał znikły; tymczasem istnieją one tu od wieków a rozmiary ich bynajmniéj się nie zmieniają. Gdzie jezioro łączy się z błotami, tam bez względu na to, że dno jego bardzo łagodnie się podnosi granica roślinności błotnéj bywa bardzo wyraźnie naznaczoną, ginie ona nagle, jedynie dlatego, iż dalszy jéj rozwój staje się wskutek wielkiéj głębokości wody niemożebnym. Rośliny zajmujące pas graniczny między błotem a jeziorem pozwalają nawet wnosić na pewne o głębokości wody. Najprzód ginie roślinność moczarowa, złożona z pospolitych traw i turzyc i kilku ziół moczarowatych (3) tworząca jednostajną darń błotną, a jéj miejsce zajmują rozrzucone kępy szuwarów przybrzeżnych (4); po tych dopiero idą trzciny i pałki wodne (5), zamykając wieniec roślin sterczących łodygami nad powierzchnią wody. Wię-

---

(1) Phragnites communis, Scirpus lacustris, Typha latifolia i T. angustifolia.

(2) Nymphaea alba, Nuphar luteum, Potamogeton natans, Myriophyllium spicatum.

(3) Aspidium Thelypteris, Eynisetum limosum, Phalaris arundinacea, Glyceria aquatica, Carex vulgaris, Scirpus palustris, Stachys palustris, Ranunculus Lingua etc.

(4) Glyceria spectabilis, Scirpus lacustris, Carex riparia, Rumex Hydrolapathum i inne.

(5) Phragnites communis, Typha latifolia i angustifolia.

ksze głębie zajmują rośliny o liściu pływającym (1), ale i te trzymają się brzegów jeziora; z rosnącą głębokością ustępują one miejsca ramienicom (Chara) pokrywającym dno jeziora, a gdzie głębokość jego jest bardzo znaczna, tam i dno i powierzchnia wody są zupełnie czyste. Ale wymienione formacye ukazują się nie raz i z dala od brzegów, w postaci wysp zielonych, gdy głębokość jeziora się zmniejszy i pozwoli roślinom zapuścić korzenie w muł denny, bez którego obejść się nie mogą.

III.

Geologiczne stosunki miejscowości tak ze wszech miar zajmującéj, jak Polesie, budziły od dawna ciekawość uczonych i to tém więcéj, że ich zbadanie miało właśnie tutaj niepospolite trudności do zwalczenia. Jakoż przezwyciężenie tych trudności powiodło się dopiero w ostatnim dziesiątku lat, a największa zasługa pod tym względem należy się owéj komisyi, któréj zadanie polegało w zbadaniu terenu dla właściwych prac, mających na celu odwodnienie Polesia i osuszenie bezpożytecznych i odłogiem leżących jego obszarów. Zadanie to zostało spełnioném przy pomocy wiercenia, które pozwoliło zapuścić się na kilkadziesiąt metrów wgłąb ziemi. Obszerniejszą wiadomość o tych pracach znajdzie czytelnik w sprawozdaniu W. Choroszewskiego, wydrukowaném w 1-szym tomie Pamiętnika fizyograficznego (2). Tutaj podajemy tylko krótki pogląd na budowę gleby Polesia, o ile on jest potrzebny do zrozumienia historyi rozwoju całéj téj krainy.

Gleba Polesia jest, jakeśmy to już widzieli, przeważnie pokryta piaskami, których falista, albo pagórkowata powierzchnia zawdzięcza swą postać działaniu wiatrów, a jéj rozwój wypada odnieść do epoki, w któréj Polesie nie było jeszcze porosłe lasami. Lasy nie pokryły tu tylko tych miejscowości, po których piasek, wskutek większego nagromadzenia, przybrał postać wysokich, łatwo obsypujących pagórków i gdzie i teraz podlega działaniu wiatrów, które, chociaż powoli, zmieniają jeszcze bezustannie jego powierzchnię. Te

(1) Nymphaea, Nuphar, Potamogeton, Ranunculus aquaticus.

(2) Poszukiwania geologiczne dokonane w ostatnich latach na Polesiu, str. 115—132 z mapką. Praca ta zawiera, pomimo nieco przestarzałych poglądów na rozwój loessu i na przebieg epoki lodowéj, wiele cennych szczegółów geologicznych i bylibyśmy wielce autorowi obowiązani, gdyby znalazł się w krótce w możności spełnienia uczynionego w niéj przyrzeczenia i ogłosił drukiem spostrzeżenia zrobione w okolicy Owrucza.

powierzchowne piaski są prawie zupełnie czyste, wskutek przewiania wolne od domieszki skał obcych. Ale czasami znajduje się na ich powierzchni wielka ilość krzemienia, jak np. na Tuchowskim ostrowie, sterczącym z błót, które przepływa rzeka Lwa (1), w Karpiłowie nad Słuczą i w kilku miejscowościach pomiędzy rzekami Słuczą i Stubłem, na linii Dąbrowica-Serniki położonych. To nagromadzenie krzemieni każe się domyślać, że w miejscach takich znaczna ilość piasku powierzchnego przez wiatry uniesioną została. Grubość pokładów piasku może być różna. Po brzegach błot między Rokitnem i Owruczem bywa go tak mało, że starsze skały miejscowe, jak granity i kwarcyty powychodziły na powierzchnię ziemi; gdzie indziéj pokłady jego dochodzą do niepospolitéj grubości, bo według świadectwa Choroszewskiego, wiercono na Wołyńskiém Polesiu do 60 stóp głębokości w piasku, nie przebiwszy jeszcze całéj jego miąższości.

Piasek w głębi ziemi zmienia swoje własności. Przedewszystkiém zabarwienie jego bywa ciemniejsze, szare, żółtawe, zielone, lub czerwonawe, za ziarno grubsze i niejednakowych rozmiarów; następnie ukazują się w nim ślady skał dyluwialnych, już to w postaci drobnego zwiru, już jako grubsze okruchy, im głębiéj, tém obficiéj. Ziarna jego są niekiedy spojone gliniastém zlepiszczem, wskutek czego piasek przechodzi w miękki piaskowiec. Gdzie indziéj występuje w nim glina w postaci warstw, jednéj albo kilku, różnéj grubości, na przemian z pokładami piasku. Po miejscach niskich, wilgotnych, pokrytych roślinnością, leżą na piaskach pod ziemią rodzajną, rudy żelazne, odróżniane jako rudy błotne, w pokładach nie dochodzących do pół metra grubości. Chociaż żelazo, jakie wydają, jest kruche i pośledniejszego gatunku, były one niegdyś pilnie wyzyskiwane a niezliczone miejsca wśród lasów, po dziśdzień nazwą „Rudni“ oznaczane, obecnie opuszczone, świadczą o ważności, jaką miała swojego czasu ta gałąź przemysłu dla Polesia. Z olbrzymich stosów zuzli, nagromadzonych dokoła rudni można wnosić o ilości wydobytego z tutejszéj ziemi metalu. Wydobywaniem jego trudnili się przeważnie robotnicy sprowadzeni z nad Wisły, obdarzeni osobnemi przywilejami. Przemysł ten podupadł wskutek współzawodnictwa z fabrykami zagranicznemi, ale utrzymuje się podobno jeszcze i teraz w kilku miejscowościach południowo-wschodniego Polesia.

O pokładach torfu, pokrywających znaczną część gleby Polesia, wspomnimy, jako o przedmiocie roślinnym, w jednym z dalszych

---

(1) Na tychże samych błotach znajduje się i inny nie zwiedzany przezemnie ostrów, z powodu wielkiéj mnogości krzemieni „Krzemiennym Ostrowem“ nazywany.

ustępów. Tu zasługują jeszcze na wzmiankę odłamki skamieniałych drzew, ślady węgla brunatnego i bursztynu, napotykane miejscami w piasku. Bryły bursztynu zdarzają się dość często w okolicy Dąbrowicy nad Słuczą; piękny zbiór tego minerału widzieliśmy w posiadaniu hr. Wiktora Platera. Minerały te, tak samo jak i głazy narzutowe, nie należą do formacyi miejscowych, lecz zostały razem z piaskiem, przez wodę z południa przyniesione.

Ułożenie głębszych pokładów piasku na południowém Polesiu, gdzie formacya ta jest o wiele silniéj rozwinięta a przedewszystkiém stosunek jego do glin, jak najściśléj z nim złączonych, każe się domyślać, że tak piaski jak i gliny, zostały przyniesione w te strony z dali i osadziły się z wody, która pokrywała niegdyś tutejszą zapadłość, że są utworem, słodkowodnym, jeziornym. Na północném, litewskiém Polesiu pokłady piasku są o wiele słabsze i z wyjątkiem wydm, czyto ruchomych, czy ustalonych, prawie wszędzie zmieszane ze skałami dyluwialnemi, a leżą przeważnie na glinach, obfitujących również w odłamy skał północnych, co wszystko odpowiada więcéj materyałowi morenowemu, robi wrażenie takie, jak gdyby te utwory bezpośrednio po stopnieniu lodów północnych na miejscu osiadły.

W pośród obszarów pokrytych piaskami ukazują się tu i owdzie niezależnie od nich gliny, których pochodzenie może być rozmaite. Na Polesiu litewskiém można widzieć w kilku miejscach na powierzchni ziemi zbite, plastyczne iły z głazami narzutowemi; są one utworem morenowym, spodniém ogniwem dyluwialném, które wyszło na jaw w ten sposób, że piasek dyluwialny z ich powierzchni przez wiatry lub wodę usuniętym został. Na wołyńskiém Polesiu odpowiadają im lekkie, przeważnie z silnie rozmielonéj krzemionki złożone gliny (np. na zachodnim brzegu Słuczy w sąsiedztwie Dąbrowicy) a zwracają tu na siebie uwagę z powodu spoczywających na nich olbrzymich głazów narzutowych, które w tych stronach zazwyczaj w głębi piasków są ukryte. Młodszym od tych glin utworem jest loess z okolicy Mozyrza i Owrucza. Występują nakoniec obficie lekkie, warstwowe, zazwyczaj silnie z piaskiem zmieszane lub na przemian z nim ułożone gliny w sąsiedztwie rzek tutejszych, nadając gruntom nadbrzeżnym z powodu większéj urodzajności niezwykłą wartość; te gliny osadziły się z wód podczas powodzi i sięgają tak daleko, jak daleko zachodzi woda opuszczająca koryto rzeki; są one utworem najmłodszym, aluwialnym a rozwój ich odbywa się jeszcze obecnie bezustannie, ile razy rzeki tutujsze wyleją.

Opisane powyżéj piaski muszą być uważane razem z glinami, jakie je przegradzają, za jeden utwór, poczęści współczesny epoce lo-

dowéj, a zatém dyluwialny, po części młodszy od niéj, czyli aluwialny a sięga on w głąb ziemi tak głęboko, jak głęboko jeszcze głazy północne bywają napotykane. Cały ten utwór spoczywa we wschodniéj części Polesia na glinach starszych a w części zachodniéj na kredzie. Istnienie takich glin (starszych) zostało we wschodniéj części Polesia dopiero przy pomocy wiercenia wykazane. Znaleziono je wszędzie pod piaskiem, gdzie jego przebicie dokonanem zostało. Grubość pokładów gliny jest znaczna, bo wiercono w niéj, według Choroszewskiego, do 30 stóp, nie przebiwszy całéj jéj grubości. Odznaczają się one przedewszystkiem rozmaitością barw, bo bywają pomiędzy niemi bardzo jasne, prawie białe, daléj żółtawe, niebieskawe, brunatne a nawet czarne, następnie wysokim stopniem spoistości a niekiedy układem warstwowym. Mechaniczny rozbiór wykazał, że gliny te są mieszaniną nader drobnego piasku z gliną, w różnym stosunku, że ilość piasku dochodzi do 83 a gliny do 23 na 100. W skutek tego nie są to czyste gliny, lecz piaszczyste, a wysoki stopień swéj spoistości zawdzięczają nadzwyczajnemu rozdrobnieniu ziarnek piasku. Ich zabarwienie zależy po części od stosunku tych składników a po części od domieszki ciał obcych; wapno nadaje im jasną, prawie białą, a części organiczne ciemną barwę. Ilość części organicznych dochodzi w nich niekiedy do 27 na 100. Skamieniałości, któreby pozwoliły oznaczyć wiek tych glin, dotąd w nich nieznaleziono.

Gliny te rozwinęły się we wschodniéj części Polesia, po obu stronach Prypeci. Na Polesiu zachodniém, jak nie mniéj na północnym i południowym jego obwodzie leży dyluwium na utworach formacyi kredowéj. Czysta kreda, jako opoka albo margle kredowe, jest tu ukryta w większéj głębokości a oddziela ją zazwyczaj od glin i piasków dyluwialnych pokład, przedstawiający mieszaninę utworów kredowych i dyluwialnych. Ślady opoki lub marglów kredowych można widzieć niekiedy w postaci drobnych odłamków już w piaskach na powierzchni ziemi, gdzie jednakże ilość ich nie jest zbyt wielką; o wiele wyraźniéj występują one w pośród gliny dyluwialnéj pomieszane z odłamkami skał północnych, niekiedy z połupanemi krzemieniami, a znaleziono nawet w kilku miejscach skamieniałości formacyi kredowéj. Bezładny stan, w jakim się wszystkie te utwory znajdują, każe się domyślać że pomieszanie ich jest bezpośredniém następstwem ciśnienia, jakie lodowiec północny wywierał na powierzchnię ziemi, i jego bezustannego sunięcia się; w skutek tego ruchu zniszczył on znaczną część pokładów kredowych a roztarte ich resztki pomieszane z gliną i głazami dyluwialnemi, jakiemi sam był przepełniony, przeniósł nieraz na znaczną odległość. Nie jest rzeczą nieprawdopodobną, że takiemu samemu zniszczeniu uległy i miękkie skały formacyi trzeciorzędnych, jakie tu

bezwątpienia na kredzie leżały i że znaczna część piasków zalegających Polesie ze zniszczenia tych skał powstała.

Starsze gliny, na których leżą utwory dyluwialne wschodniego Polesia spoczywają na kwarcytach trzeciorzędnych i granitach. Pokład glin starych jest jednakże na południowéj granicy błot poleskich czasami bardzo cienki, a niekiedy brakuje go zupełnie; granit albo sterczy na powierzchni ziemi, albo jest zlekka piaskiem przysypany, co mogło dać dawniejszym badaczom powód do przypuszczenia, że błota pińskie leżą bezpośrednio na formacyi granitowéj (1). Samo występowanie skał formacyi granitowéj jest w tych stronach, z powodu zupełnego braku głębszych przekrojów, tak niewyraźnem, że w wielu razach może zostawić wątpliwość, czy mamy do czynienia ze skałą rodzimą, czy z głazem narzutowym. Nie udało mi się tutaj nigdzie odkryć litego pokładu granitowego, leży on zazwyczaj (Borowe, Bobrowa Rudnia, Karpatówka, Kisyrycze, Rokitno, Staryki, Kręta Słobódka) na powierzchni ziemi w postaci olbrzymich odłamów, które tylko swą postacią od głazów narzutowych się odróżniają; gdy bowiem te ostatnie występują jako bryły wieloboczne o powierzchni gładkiéj a bokach zaokrąglonych, to granit rodzimy przedstawia większą rozmaitość form, między któremi wpadają w oko szczególniéj odłamy płytowe, bryły zaś jego mają zawsze powierzchnią chropowatą a kanty ostre. Oprócz tego leżą głazy narzutowe większych rozmiarów zazwyczaj pojedyńczo, w odosobnieniu, gdy przeciwnie odłamy granitu swojskiego występują gromadnie i stykają się z sobą małe i wielkie tak, jak gdyby powstały przez popękanie większéj płyty granitowéj. Nader pouczający przykład znalazłem w Rudni pod Rokitnem. Na uroczysku nazywanem „Na glinkach“ znajduje się wśród lasu pagórkowate wzniesienie, zlekka pogięte, z którego sterczą skałki granitowe, dochodzące do 10 metrów średnicy; postać ich rozmaita: płaskie leżą na ziemi, a inne, prawie wieloboczne, sterczą nad nią, od spodu zwirem przysypane, a kilka innych brył podłużnych, stoi na sztorc. Jest tu kilka głazów odosobnionych, lecz inne kupią się w cztery wyraźne grupy. Gleba na całym wzniesieniu gliniasta, ale w pośród skałek tworzy ją drobny zwir z rozkładu granitów powstały. Według twierdzenia rządcy tutejszego majątku, wiercenie, dokonane na tém wziesieniu przez p. Stawroskiego wykazało, że pod gliną znajduje się wszędzie lita skała granitowa.

W podobny sposób występują tutaj i kwarcyty, chociaż odróżnienie swojskich od narzutowych jest o tyle łatwiejsze, że pierwsze

---

(1) Porównaj rozprawę Choroszewskiego str. 130.

należą do nader drobnoziarnistéj odmiany, białéj barwy, gdy przeciwnie narzutowe odznaczają się barwą czerwoną, niekiedy prążkowaną, a bryły ich, wogóle drobniejsze są silnie zaokrąglone i zbliżają się więcéj do otoczków, jakie w dolinach górskich wypełniają koryta rzek i potoków. Około Kisyrycz, Rokitna, Klesowa i Tomaszgroda (v. Sechy) leżą po polach odłamy swojskiego kwarcytu wielkich rozmiarów, o bokach ostrych, jak gdyby porzucone; ale między Ośnikiem a Tomaszgrodem znajduje się przy drodze pagórek porosły lasem, którego gleba jest pokryta mnóstwem drobnych skałek kwarcytowych, jak gdyby wrosłych w ziemię, z czego wnoszę, że tutaj lita skała kwarcytowa musi znajdować się w niewielkiéj głębokości. Gneiss na południowéj granicy hał tutejszych o wiele rzadszy, znajdowałem tylko po polach (Bobrowa Rudnia, Kisyrycze) w stanie silnego rozdrobnienia.

Skała wybuchowa młodszego wieku ukazała się na Polesiu tylko w jedném miejscu, po prawym brzegu Horynia, a budzi tém większe zajęcie, że jest to jedyny przypadek tego rodzaju na całym niżu wschodniéj Europy. Należy ona do grupy bazaltów, odmiany zbitéj i drobnoziarnistéj, nazywanéj anamesitem. Ten anamesit pokrywa tu kilka kilometrów kwadratowych ziemi, pomiędzy Karczynem, Hołowinem i Maszczą. Gleba jest w tém miejscu tak równą, że trudnoby się było po jéj postaci domyśléć istnienia w jéj wnętrzu tak ciekawego zjawiska, a to tém więcéj, że cała ta płyta anamesitowa jest pokryta piaskami, porosłemi bujnym lasem sosnowym. Ale w piaskach tych znajdują się bryłki kredy, a nawet skamieniałości krédowe, z czego wyprowadzono wniosek, że ta skała wydobyła się z ziemi w epoce krédowéj, bezwątpienia w stanie tak płynnym, iż rozlawszy się po powierzchni ziemi, zamieniła się po zastygnięciu w płytę o powierzchni zupełnie równéj. Płaszczyznę tę odwadnia rzeczka Kropiwnica, nad którą leży wioska Berestowiec, gdzie skała bywa wydobywaną. Anamesit posiada układ filarowy, właściwy wszystkim bazaltom. Gdzie we wnętrzu téj skały porobiono głębsze otwory, tam można się przekonać, że składa się nawskróś z sześciobocznych filarów, grubych na $^2/_3$ metra, pionowo tak poustawianych, że płaskie ich ściany stykają się ściśle z sobą nie pozostawiając miejsc wolnych. Ale filary te są pod powierzchnią ziemi poprzerywane szeregami olbrzymich buł, kulistéj postaci, jednakowych rozmiarów. Ten układ anamesitu, jak wogóle wszystkich bazaltów, ułatwia nadzwyczaj wydobywanie skały. Bazalty nad Renem, w górach Siebengebirge, niosą właścicielom znaczny dochód, bo ładowane na płaskie łodzie idą Renem do Holandyi, gdzie służą do wzmocnienia brzegów morskich i chronią niskie okolice nadmorskie

przed zalewem i zniszczeniem. Anamesit z Berestowca bywa rozwożonym po południowém Polesiu i po Wołyniu, gdzie służy do budowy i poprawiania dróg.

Gdybyśmy na podstawie tych danych chcieli rozwinąć dzieje fizycznego rozwoju zapadłości poleskiéj, to początek jéj wypadałoby odnieść do epoki trzeciorzędnéj. O tém wszystkiém, co tę epokę poprzedziło można tylko tyle powiedziéć, że granitowa formacya musiała tu przez dłuższy przeciąg czasu tworzyć ląd stały, wskutek czego rozwój formacyi osadowych starszych albo nie przyszedł wcale do skutku, albo utwory tych formacyi uległy zupełnemu zniszczeniu. Sama kotlina Prypeci odpowiada lokalnemu, nieco silniejszemu zagłębieniu dna trzeciorzędnego morza. Gdy wskutek stopniowego obniżania się poziomu wód tegoż morza ląd téj części Europy począł osychać, wystąpiły na jaw nabrzmienia, okalające to zagłębienie, ale sama kotlina pozostała przez dłuższy przeciąg czasu zalana wodą, tworząc jezioro, którego wody, zasilane opadami powietrznemi, torowały sobie drogę ku południowi, w kierunku dzisiejszego Dniepru. Równocześnie wody atmosferyczne rozpoczęły dzieło erozyi na obnażonéj powierzchni ziemi, a to tém silniéj, że nie była ona jeszcze pokryta roślinnością. Woda ściekająca po pochyłościach zabierała z łatwością cząstki ziemne, a potoki poczęły żłobić jary i zagłębienia. Wskutek téj pracy zmieniała się bezustannie postać nadbrzeżnych wyniosłości i zmniejszała się ich wysokość, a wody rzek pierwotnych, spływające do tego jeziora niosły do niego materyał z roztartych i przepłukanych skał pochodzący, osadzając go, stosownie do jego cieżkości i prądu wody, bliżéj albo daléj od brzegu. Zwiry i grubsze piaski osiadały przy brzegu, tworząc nasypy, posuwające się coraz bardziéj ku środkowi; nasypy te powodowały zarazem bezustanną zmianę kierunku rzek przy ich ujściu, wskutek czego i materyał przez nie niesiony uległ jednostajnemu rozpostarciu dokoła jeziora i utrzymał się w jednakowym poziomie, zupełnie tak, jak to się i teraz jeszcze dzieje przy ujściu rzek, wytwarzających delty. W ten sposób skały twardsze, które stawiały silniejszy opór zniszczeniu, a zatém zwiry, krzemienie, odłamki skamieniałego drzewa, bursztyn, a nawet i muszle trzeciorzędne przybywały bezustannie i osiadały przy brzegach owego jeziora. Materyał silniéj rozdrobniony zachodził z wodami rzek daléj, osiadał na środku, w wodzie spokojnéj i utworzył owe gliny i iły starsze, o których wyżéj była mowa. Z tego powodu gliny te pomimo swego podobieństwa do iłów trzeciorzędnych, na równi z niemi stawiane być nie mogą. Wskutek bezustannego przybywania części ziemnych, podnosiło się powoli dno jeziora a zmniejszała głębokość pierwotnéj zapadłości. Równocześnie

i wody spływające ku morzu Czarnemu wrzynały się coraz to głębiéj w ziemię, pracując nad wytworzeniem koryta dzisiejszego Dniepru, wskutek czego i poziom wód w naszém jeziorze stopniowo się obniżał i rozmiary jego coraz to bardziéj się zmniejszały, a pierwotne nabrzmienia dna poczęły wychodzić z wody w postaci wysp odosobnionych. Takie wyspy tworzyły niezawodnie okolice Mozyrza i Owrucza, a może i kilka innych miejscowości, które późniéj znacznemu mogły uledz obniżeniu.

W toku tych przeobrażeń nastała epoka lodowa. Cały półwysep skandynawski wraz z Laponią i Finlandyą pokrył się lodami, które według przypuszczenia najznakomitszych badaczy, musiały dochodzić do grubości 2000 metrów. Lody te obsuwając się ku południowi przebyły morza, zamykające niż sarmacki od północy i pokryły północno-zachodnią część Europy kontynentalnéj, jak niemniéj wyspy Wielkiéj Brytanii, a obszar ziemi i mórz zajętych przez nie musiał wynosić z górą 40 tysięcy mil kwadratowych. Rozcierając wskutek swego ciężaru i ruchu pokłady ziemi, zabierały te lody powstałą z roztarcia glinę, piasek, muszle skamieniałe i odłamy skał i niosły je bezustannie na południe. W ten sposób zostały zniszczone pokłady trzeciorzędne na grzbiecie baltyckim, a zniszczenie to sięgło miejscami aż do skał formacyi krédowéj. Pierwotne wyniosłości ziemi zostały wyrównane, a ślady tarcia można i dziś jeszcze widziéć w szramach, jakie się na twardszych skałach prowincyi nadbaltyckich przechowały, a nawet i na uniesionych w dal odłamach krédy północnéj, które i u nas się zdarzają. Również i głazy znajdujące się pod spodem lodów musiały wskutek bezustannego toczenia się, uledz obtarciu i ogładzeniu, co nadało im ich charakterystyczną postać.

Nie trudno wyobrazić sobie i zrozumiéć niszczące działanie lodów w czasie ich pochodu ku południowi, jeśli się ma na względzie ciśnienie, jakie wywierały na powierzchnię ziemi i ich bezustanny ruch; ale wytłómaczenie działania wręcz przeciwnego, to jest osadzenia materyału z roztarcia gleby pochodzącego, wydaje się w pierwszéj chwili nieco zagadkowém. Nagromadzenie takiego materyału pod spodem lodowców alpejskich, dające początek morenom, nazywanym spodniemi, czyli gruntowemi, nie zmniejsza trudności, bo te powstają w dolinach alpejskich tylko tam, gdzie grunt jest nierówny, za zaporami, które ciśnienie lodowca na podstawę lokalnie zmniejszają. Takich nierówności lodowiec północny na swéj drodze nie napotykał, a pomimo to cały obszar ziem, przezeń niegdyś zajmowanych jest materyałem morenowym pokryty nawet tam, gdzie starsze pokłady największemu uległy zniszczeniu, a zatém gdzie i ciśnie-

nie i tarcie było najsilniejsze. Wypadałoby przypuścić, że większa część tego materyału osiadła na powierzchni ziemi dopiero po rozpuszczeniu się i zniknięciu samego lodowca. Przemawia za tém postać pagórków piaszczystych na grzbiecie baltyckim, odpowiadająca morenom końcowym, to jest nasypom, jakie wytwarzają się na końcu lodowców, gdy te wskutek silniejszego topnienia cofać się poczynają. Geolog Keilhack zwiedzał nie dawniéj, jak w przeszłym roku Islandyą i przekonał się, że utwory morenowe, powstające pod wpływem tamtejszych lodowców, są bardzo podobne do naszego dyluwium północnego. Po zagłębieniach, w których gromadzi się woda ściekająca z lodowców, osadzają się tam gliny, przepełnione odłamami skał miejscowych, zaś po wzniesieniach, po których woda lodowa snadniéj ścieka, powstają nasypy piaszczyste, obfitujące w zwiry i okruchy takichże skal; pierwsze odpowiadają zupełnie naszym spodnim glinom dyluwialnym, zajmującym w zasadzie niższy poziom, drugie piaskom i szutrom, leżącym na tych glinach. W nieco odmienny sposób musiał rozwinąć się materyał lodowy na średnim obszarze poleskiéj zapadłości, na ówczesném jeziorze poleskiém, bo lodowiec północny musiał się głęboko w jego wodzie zanurzyć, a ziemie i skały przez niego niesione dostawały się do wody i osiadały na dnie jeziora. Wskutek tego głazy i zwiry zajęły, jako cięższe, poziom najniższy, kiedy piaski i gliny, jako lżejsze, dłużéj unosiły się w wodzie, wolniéj opadały, osiadły w wyższym poziomie i przybrały układ warstwowy.

Trwanie epoki lodowéj zostało przerwane zmianą klimatu północnéj półkuli ziemi. Zwiększenie się ciepłoty powietrza nietylko położyło kres dalszemu rozwojowi lodów, lecz poczęło zmniejszać ich rozmiary, a ubytek ten spowodował ich cofanie się ku północy. Ale że to ocieplenie powietrza odbywało się bardzo powoli, przeto i powrót lodowców ku północy musiał trwać bardzo długo. Do tego peryodu cofania się lodów wypada odnieść jeszcze dwa inne zjawiska, mianowicie powstanie jezior, nie tylko na grzbiecie baltyckim, lecz i wogóle na całym obszarze ziem, zajmowanym pierwotnie przez lody, a zatém w Finlandyi, Laponii i na wyżynie Skandynawskiéj i wytworzeniu się pokładów loessu.

Co do jezior, to materyał morenowy, osiadający na krawędzi topniejącego lodowca, musiał przybierać postać wału, który tamował odpływ wód z topnienia lodowca pochodzących. Wody te spływając obficie, zapewne w postaci potoków i strumieni, po całéj lodów powierzchni, dążyły ku miejscom niższym, a uderzając o powierzchnię ziemi, tworzyły w niéj zagłębienia, tém łatwiéj, że gleba była pokryta rozmokłemi glinami i piaskami. W ten sposób musiały

powstawać na całéj krawędzi cofającego się lodowca liczne zagłębienia, które wypełnione wodą zamieniły się w jeziora i jako jeziora do dni naszych się przechowały (1). Berendt przypuszcza, że i owe poprzeczne przełomy na grzbiecie baltyckim, za pośrednictwem których Niemen, Wisła i Odra uchodzą do morza, powstały dopiero w czasie epoki lodowéj i zostały również przez wody ze stopnienia lodowca północnego pochodzące wyżłobione (2).

Co do loessu, to wypada przedewszystkiém zaznaczyć, że klimat północnéj Europy musiał być w porze, gdy powierzchnia jéj lodami była pokryta, nadzwyczaj suchy. Lód chłonie z niezwykłą chciwością wilgoć z powietrza, a woda w niém zawarta skrapla się bezustannie na lodu powierzchni. Z tego powodu i powietrze w sąsiedztwie płaszczyzn lodowych bywa suche. Francuscy fizycy Dufour i Forel przekonali się, że gdy nad lodowcem Rodanu, w jednym metrze sześciennym powietrza, znajdowało się 5 i ½ grama pary wodnéj, to około hotelu tylko na 900 metrów od lodowca oddalonego, było jéj 3 gramy. Bryła lodu, któréj powierzchnia wynosiła jeden metr kwadratowy, skropliła w ciągu godziny 410 gramów wody, co na milę kwadratową dałoby 22550 metrów kubicznych w jednéj godzinie. Tak dzieje się, gdy ciepłota powietrza jest wysoka a zasób zawieszonéj w niém wody znaczny. Ale wzmiankowani badacze robili doświadczenie na brzegu lodowca Rodanu i przekonali się, że nawet przy ciepłocie powietrza 4 do 11 stopni Celsiusza (3) bryła lodu o powierzchni jednego metra kwadratowego skraplała w godzinie 50 do 360 gramów wody; gdybyśmy przyjęli na godzinę tylko 150 gramów, to lodowiec, którego powierzchnia wynosi jedną milę kwadratową, odebrałby powietrzu w jednéj godzinie 8250 gramów wody, a że powierzchnia lodów u źródeł Rodanu zajmuje 18 mil kwadratowych, przeto mogą one odbierać powietrzu w ciągu godziny 150000 metrów kubicznych wody, czyli przeszło 3 i pół miliona takichże metrów na dobę. Nie trudno byłoby obliczyć, ile wody musiała odbierać powietrzu płaszczyzna lodowca, któréj powierzchnia około 40 tysięcy mil kwadratowych wynosiła. Wobec tego wszystkiego byłoby rzeczą zupełnie zbyteczną dowodzić, że klimat okolic, sąsiadujących z lodowcem, musiał być nadzwyczaj suchy i że rozwój loessu, który, jakeśmy widzieli, leży na utworach dyluwialnych i jest od nich młodszym, tylko do téj epoki odnieść wypada. Powierzchnia ziemi, wyłaniająca się stopniowo z pod pokrywy lodowéj, musiała bardzo szybko osychać, a rozsypujące się dla

(1) Porównaj Loewla: Ueber Thalbildung, str. 130 i następne.
(2) Berendt, jak wyżéj, str. 13, 14, 17.
(3) Woda zawarta w powietrzu ulegała skropleniu przy ciepłocie 0·6 do 3·5°C.

braku wilgoci, piaski i gliny stały się igraszką wiatrów. Grubsze zwiry pozostały na miejscu, piasek przerzucany na mniejszą odległość utworzył wydmy, a pył gliniasty zachodził, jako najlżejszy, najdaléj ku południowi i osiadł po stokach wzniesień w postaci loessu. Rozwój jego trwał dopóty, dopóki nie zwiększyła się wilgotność powietrza, a z nią i ilość opadów wodnych, wskutek czego i gleba, pokrywszy się roślinnością, utraciła charakter pustyni.

Dalszy rozwój powierzchni tego kraju odbywał się już spokojnie, postępując stale w wytkniętym kierunku. Po ustąpieniu lodów zapadłość poleska przybrała napowrót postać jeziora. Opady wodne poczęły znosić osady dyluwialne w doliny i zmieniły wielokrotnie tak ich pierwotną postać, jak i rozmieszczenie. Stare rzeki sarmackie wróciły w swe dawne koryta, a prowadząc daléj przerwane dzieło erozyi, oczyściły je z nasypów dyluwialnych, a płaszczyzny poleskie i dno tutejszego jeziora pokryły świeżym pokładem zwirów i piasków. Wskutek bezustannego pogłębiania się koryta Dniepru, poziom wód w jeziorze począł się obniżać, a wypukłości dna jego wyszły na jaw w postaci licznych wysp; następnie podzieliło się i jednolite dotąd zwierciadło wody na liczne drobne jeziorka, których fale, gnane wiatrami przekształcały brzegi, przyczém wysokość pagórków się zmniejszała, a dno jeziorek się podnosiło. Ponieważ gleba tak przepuszczalna, jak piaski i zwiry, ułatwiała podziemny odpływ wodom, przeto i jeziorka te traciły ją coraz bardziéj i jedynie opady atmosferyczne i powodzie wiosenne chroniły je przed zupełném wyschnięciem. Po brzegach tych jezior i po mieliznach poczęła się rozwijać roślinność moczarowata i zajęła w wielu razach całą ich powierzchnię, wskutek czego zamieniły się one z czasem w obecne błota poleskie. Woda przechowała się tylko tam, gdzie głębokość jéj była znaczna, albo gdzie gleba nieprzepuszczalna (gliny, iły) zupełny jéj odpływ uniemożebniała, co zapewniło byt dzisiejszym jeziorom Polesia.

Tak tedy położenie i rozmiary poleskiéj zapadłości były z góry budową dna trzeciorzędnego morza wyznaczone, ale właściwą sobie postać zawdzięcza ona działaniu wód atmosferycznych, które i powierzchowność zamykających ją do koła wyniosłości zmieniły i pierwotną jéj głębokość zmniejszyły. Dzieło erozyi zostało tu tylko chwilowo przez epokę lodową przerwane, lody północne zmieniły lokalnie postać gleby, ale główne jéj zarysy pozostały te same. Dyluwium północne osiadło tutaj w różnéj wysokości, zkąd można wnosić, że postać okolicy przed jego wytworzeniem się, a tém samém i przed przybyciem lodów z północy, była w głównych zarysach wykończoną i nie wiele różniła się od obecnéj. *Dr. Antoni Rehman.*



Z DZIEDZINY HYGIENY.

JAK ZAPOBIEGAĆ CHOROBOM NERWOWYM?

Lekarze i hygieniści, badający stan sanitarny społeczeństw, konstatują zwiększającą się z każdym rokiem liczbę chorób nerwowych. Są to przedewszystkiém zaburzenia „funkcyonalne" tj. cierpienia systemu nerwowego, w których anatomia patologiczna nie zdołała dotąd wykryć odpowiednich zmian w budowie i utkaniu cząstek. Występują w téj grupie chorób na plan pierwszy rozdraźnienie nerwowe, czyli tak zwana obecnie „*neurasthenia*"; fałszywe tłómaczenie i potęgowanie chorobliwe wrażeń otrzymywanych z własnego ciała, czyli „*hypochondrya*"; u kobiet znowu najczęściéj zdarza się anormalne zwichnięcie siły woli, zupełna utrata panowania nad popędami, co sprowadza szereg najrozmaitszych zaburzeń nerwowych, znanych od dawna w nauce pod imieniem „*histeryi*." Tę słabość systemu nerwowego możemy już u najmłodszego obserwować pokolenia. Żyjemy prędko, pochłaniani przez tysiące różnorodnych wrażeń, w ciągłém ubieganiu się za wstrząsającemi wzruszeniami, bez których życie wydaje się nam nudném i pustém. Z jednéj strony wytężamy wszystkie siły umysłowe i fizyczne, by w „walce o byt" nie dać się uprzedzić lepiéj uzbrojonemu współzawodnikowi, z drugiéj—wszelka przyjemność życiowa, nie pobudzająca nerwów i nie wzburzająca krwi, przestaje być przyjemnością. Tak więc nasz system nerwowy, jak i organ inteligencyi t. j. mózg rzadko kiedy mają chwilę spokoju, wytchnienia, tak koniecznego dla ich normalnego funkcyonowania.

Żyjemy więc prędko, ale starzejemy się też jeszcze prędzéj. U młodzieży naszéj wyblakłéj, zdenerwowanéj, już w 20-tym roku życia szukającéj pomocy na osłabienie nerwowe w różnych zakładach wodoleczniczych, przesyt, znudzenie i apatya występują na

plan pierwszy. Przy osłabioném ciele, przy widokach krótkiego tylko życia, epikurejskie skłonności, żądza używania za jaką bądź cenę stanowią zwykły program doczesnéj pielgrzymki. Nauka dla nauki mało u nas znajduje kapłanów i praca ogranicza się jedynie do pracy dla chleba, do zdobycia dyplomu otwierającego drogę do karjery i praktycznego stanowiska. Po za pracą fachową, ogólno-cywilizacyjne zdobycze ludzkości interesują małą tylko garstkę wyborowych umysłów; nie może więc dziwić i mały stopień zainteresowania się ogółu publikacyami naukowemi i wyższe cenienie materyalnego powodzenia, zewnętrznego blasku, nad cichą, gruntowną i wytrwałą pracę dla pożytku i prawdziwego postępu społeczeństwa.

Wszyscy głębiéj myślący lekarze zgadzają się téż na to, iż żądza prędkiego rozgłosu, sławy i bogactwa, ogarniająca coraz bardziéj wszystkich, żądza używania i, co za tém idzie, nadmierne wytężanie mózgu we współczesnéj „walce o byt“ jest w znacznéj części źródłem nerwowéj słabości naszego pokolenia. Nic téż dziwnego, że każdy sięga po to, co najwyżéj jest cenioném, tj. po zaszczyty i bogactwo, bez którego coraz mniejsza ilość ludzi umie oceniać i moralną wartość człowieka.

„Smutnym objawem naszego wieku nerwowego, mówi prof. Krafft Ebing, jest fakt coraz rzadszego ukazywania się wielkich dzieł na polu filozofii i nauki, a prace współczesnych autorów zdradzają téż samą nerwowość naszych czasów.“ Tak np. w medycynie panują wszechwładnie tak zwane „doniesienia tymczasowe“ (Vorläufige Mittheilungen), które jednego dnia podane, już za dni kilka tracą wszelką wartość, gdyż okazują się płodem prędkiéj, a niedostatecznéj obserwacyi, przedwczesnych wniosków i mylnie ugrupowanych faktów. Tak np. przypomną sobie czytelnicy, jakiéj wrzawy przed laty paru narobiła wiadomość prof. dra Rokitańskiego z Grazu o nowym środku bendźwinianie sodu przeciwko suchotom; niestety, radość suchotników była przedwczesną! Dokładniejsze obserwacye bowiem i doświadczenia ścisłe wielu innych lekarzy wykazały, że sławny bendźwinian sodu wcale nie znosi głównych objawów suchot płucnych, że więc specyfik dra Rokitańskiego jest czystém złudzeniem. I tak się dzieje z wielu innemi obserwacyami. Istnieje przytém wyraźna skłonność w obecnym kierunku naukowym do podawania hypotez za *fakty* i wyciągania przedwczesnych wniosków.

Równolegle do zwiększającéj się liczby chorób nerwowych i umysłowych, wzrasta téż potężnie i liczba samobójstw. Nie ulega najmniejszéj wątpliwości, iż zdenerwowanie, rozstrój fizyczny i brak wszelkich podstaw etycznych są główną tego faktu przyczyną; słusznie téż twierdzi w swych publicznych wykładach prof. Rudolf Vir-

chow, jeden z najgenialniejszych myślicieli i uczonych naszego wieku, że współczesny pozytywizm, który jako metoda ścisłego doświadczalnego badania jedynie w nauce prowadzi do celu, w obec którego wszelkie wnioskowanie *à priori* staje się bezpożyteczném, bo nie wiodącém do celu, w praktyczném życiu, szczególniéj w mało wykształconych filozoficznie i humanitarnie umysłach, prowadzi do pesymizmu, rodzi ów beznadziejny pogląd na świat, którego wynikiem jest samobójstwo.

Nie należałoby również popularyzować hypótez, mających znaczenie tylko dla uczonych i podawać je za naukowe fakty; hypotezy Haeckla są dotąd hypotezami, jak się dowcipnie wyraził prof. Dubois-Reymond „wcale nie zabawnym romansem," a kto je przedwcześnie popularyzuje i przedstawia za fakty, przynosi ogromną szkodę społeczeństwu.

Rozwijające się u nas życie umysłowe pochłonięte jest dotąd prawie zupełnie przez teatr, dziennikarstwo i beletrystykę; one téż noszą na sobie w zupełności ów nerwowy charakter chwili obecnéj.

Pismo, nie schlebiające gustowi czytelników, nie pobudzające ich nerwów opisami skandalów, plotek, wstrząsających wiadomości itd. na małą tylko liczbę abonentów rachować może, a teatrowi ta sztuka robi „pełną kasę," w któréj jaskrawemi barwami odmalowana niewiara małżeńska, lub skandaliczny proces rozwodowy grają na nerwach słuchaczy, (Krafft-Ebing). A przecież teatr winien być świątynią moralności; a pisma przeznaczone dla każdego wieku i stanu nie powinny szerzyć moralnego rozkładu i zgnilizny.

Nadto, współczesne społeczeństwo grzeszy niepomiernie tém, iż tak mało dba o własne zdrowie. Wszak wtedy, gdy choroba przyjdzie, dość jest wezwać lekarza a ten jedną receptą powinien zniszczyć wpływ kilkunastu lat nie hygienicznego życia! W zabiegach życiowych hygiena duszy i ciała na ostatnim stoi planie, dopiero gdy przyjdzie nieuleczalna choroba, każdy widzi, jak wiele zbłądził.

Ten brak pojmowania najprostszych zasad hygieny w codziennych objawia się faktach. Dla tego téż uważamy za konieczne streścić nowsze wymagania hygieny pod tym względem i podać wszelkie, choćby najbardziéj idealne jéj postulaty.

Po całodziennych trudach fachowéj pracy, która mało nawet czasu zostawia na spokojne zjedzenie obiadu, na konieczny po nim odpoczynek, zamiast wieczór poświęcić innéj dziedzinie nauki lub sztuce pięknéj, wznoszącéj nas w krainę ideału i odrywającéj od trosk i kłopotów życia codziennego, cały wieczór poświęcamy grze w karty w zadymionym pokoju lub denerwującéj lekturze jednego ze współczesnych apostołów naturalizmu! Wskutek wadliwego ustosunko-

wania pracy do odpoczynku, wskutek braku ruchu, świeżego powietrza i ciągłych wstrząsających wzruszeń, system nerwowy nawet u zdrowych z natury indywiduów cierpieć musi; nadto, gwałtowne wytężenie mózgu już od najwcześniejszego zaczyna się dzieciństwa. Wogóle cały kierunek współczesnego wychowania robi wrażenie na hygieniście, jakby gwałtem usiłowano zniszczyć wszelki fizyczny rozwój organizmu. Ogół dba przedewszystkiém o umysłowy rozwój dziecka; to téż już przed skończonymi laty siedmiu zaczynamy go obarczać uciążliwą dla jego wieku pracą, nie pomni na to, że organ inteligencyi tj. mózg w tym czasie jeszcze nie doszedł stopnia zupełnego rozwoju, że wskutek jednostronnych ćwiczeń umysłowych rozwój ciała nie postępuje należycie. Nadmierny umysłowy wysiłek ze szkodą normalego rozwoju ciała ciągnie się przez cały czas kursu gimnazyalnego: te kilka godzin odpoczynku biednego ucznia kradniemy jeszcze na naukę obcych języków, muzyki z zupełném zaniedbaniem ćwiczeń cielesnych, jak pływania, szermierki, gimnastyki. I cóż ztąd za rezultat? Oto suchoty płucne, wycieńczenie organizmu w 7-méj lub 8-méj klasie, kończące się śmiercią, lub w najlepszym razie tj. przy silnym organizmie słabowitość na całe życie. O tych smutnych skutkach współczesnego nauczania szkolnego wiedzą dobrze lekarze gimnazyalni, którzy zbiorowém działaniem i uzasadnionymi protestami raz powinni położyć koniec naigrawaniu się z wszelkich prawideł hygieny.

Pozwolimy sobie również zrobić tutaj uwagę, iż nauka gimnazyalna, składająca się prawie wyłącznie ze studyowania suchych form gramatycznych starożytnych pisarzy, nader zniechęcająco do studyów klasycznych oddziaływa na młodzież. To téż i rezultaty w tym kierunku są nader słabe, zaledwie po złożeniu egzaminu *maturitatis* młodzież zapomina całą grekę i łacinę. Wszak nawet w klasycznych Niemczech prof. Dubois-Reymond skarży się, iż studenci przy egzaminach wykazują nadzwyczaj małą znajomość słów greckich i łacińskich zdarzających się w terminologii lekarskiéj i robi słuszną uwagę, iż główny cel klasycznych studyów tj. przyswojenie sobie starożytnych form piękna, greckich i rzymskich ideałów, osiągniętym być może bez uciążliwéj pracy nad zapamiętaniem form i reguł gramatycznych."

Hołdowanie na każdym kroku pozorowi i stawianie go wyżéj nad istotę rzeczy stawia istotne przeszkody zachowywaniu prawideł hygieny. Rodzina skromne zaledwie posiadająca dochody musi mieć duży salon na przyjmowanie gości, ale dziecinny i sypialny pokój mogą być małe i ciemne, bo tam się gościa nie prowadzi, ale jakże cierpi na tém zdrowie dzieci! Wszak nieczyste, kwasem węglo-

wym nasycone powietrze jest trucizną dla płuc, a w wieku dziecięcym stanowi istotną przyczynę kaszlu i upartych katarów oskrzeli, wymagających długiéj i racyonalnéj pomocy lekarskiéj.

Również i przy zawieraniu małżeństw liczymy się tylko z materjalnymi warunkami ludzkiéj egzystencyi, uważając je za pierwszą podstawę szczęścia. Miłość, ów główny motor małżeńskich związków, na ostatnim niestety stoi planie! W życiu umysłowém kobiety miłość gra bardzo ważną rolę, często zawiedzione uczucie prowadzi do ciężkich chorób somatycznych, jak rozdrażnienia nerwowego, blednicy itd. a nieharmonijne pożycie małżeńskie daje często przyczynę do rozwinięcia się u kobiet jednéj z najcięższych chorób nerwowych tj. histeryi. Możemy również często obserwować, iż szczęśliwe pożycie małżeńskie jest najskuteczniejszém lekarstwem dla kobiet na wiele dolegliwości nerwowych, lekarstwem, sprawiającém korzystną zmianę konstytucyi, całego ustroju. Trzeba również dodać, iż ciągłe przymuszanie się do niesympatycznéj istoty denerwująco oddziaływać musi: przecież nie rzadko zdarza się, iż młoda 18-letnia dziewczyna poślubia 60-letniego schorowanego, zniedołężniałego, byle bogatego starca! I cóż dziwnego, że ten płodzi osłabione, nerwowe i skrofuliczne potomstwo; a że takie nie równe wiekiem małżeństwo nie przynosi zobopólnie szczęścia a rujnuje zdrowie, stając się u kobiety źródłem licznych dolegliwości nerwowych, rzecz to jasna i nie wymagająca dowodzenia.

Czyż zresztą w obec dzisiejszych warunków życiowych, rodzice mają czas poświęcić się wychowaniu dzieci? Słuszną uwagę robi w téj kwestyi znakomity psychjatra prof. Krafft-Ebing, iż ojciec natęża wszystkie fizyczne i umysłowe siły by zadość uczynić ciągle wzrastającym potrzebom domu, matka zaś myśli jedynie o postawieniu go na odpowiedniéj stopie zewnętrznego blasku i komfortu, bez którego nie pojmuje szczęścia i egzystencyi.

Najpierwszą przyczyną wszystkich chorób nerwowych jest *dziedziczność*, obok niéj wpływy czysto *psychiczne* w powstawaniu chorób nerwowych również ważną grają rolę.

U kobiet oprócz wpływów czysto psychicznych i odziedziczonéj skłonności, cierpienia *sfery płciowéj* przyczyniają się do powstawania chorób nerwowych.

U kobiet sfer niższych zbyt częste porody, nadmierna i przeciwna zdrowiu praca w fabrykach, dająca najczęściéj powód do moralnego zepsucia i przedwczesnych stosunków płciowych, jak również nieoszczędzanie się należyte w czasie ciąży i połogu są niewyczerpaném źródłem cierpień nerwowych.

Jak już wyżéj zaznaczyliśmy, cierpienia nerwowe i umysłowe są w większéj liczbie wypadków *odziedziczone*, rozdrażnienie nerwowe u ojca potęguje się u syna i może stanowić istotną przyczynę ciężkich chorób nerwowych, jak padaczki (epilepsyi) i chorób mózgu. Prowadzi to nas do ważnego wniosku, iż z powodu stwierdzonéj dziedziczności chorób nerwowych, osoby obarczone chociażby najlżejszém cierpieniem nerwowém nie powinny zawierać związków małżeńskich.

Wprawdzie zdanie powyżéj wyrażone zostanie zawsze tylko pobożném życzeniem, gdyż stawianie przeszkód pod tym względem byłoby uważane jako ograniczenie ludzkiéj wolności, sądzimy jednak, iż byłoby to tylko położeniem granicy egoizmowi ludzkiemu, nie dbającemu o zdrowie, a ztąd i szczęście potomstwa.

Uważalibyśmy również za pożyteczne dla ogółu, by rada domowego lekarza, o ile stan zdrowia pozwala na zawarcie małżeństwa, częściéj uwzględnianą była; bez niéj jakże często udziela się choroby najbliższym osobom, a następnie i dzieci pokutują za okrutny egoizm i błędy rodziców. Zawieranie małżeństw między osobami połączonemi węzłem familijnym również nie jest właściwém; małżeństwa takie są albo bezpotomne, albo téż potomstwo przychodzi na świat ze skłonnością do rozmaitych chorób nerwowych i umysłowych. Jest np. faktem stwierdzonym przez wszystkich poważnych badaczy, że padaczka (epilepsya) rozwija się bardzo często u dzieci, pochodzących z małżeństw, zawieranych w bliskiém pokrewieństwie.

Przy wybieraniu zawodu u osób pochodzących z rodziny nerwowéj, lekarz domowy ma głos decydujący; jedyném odpowiedniém zajęciem dla takich osób będą ogrodnictwo, gospodarstwo rolne, leśnictwo i rybołówstwo, jako połączone z ruchem, z akcyą mięśni na świeżem powietrzu. *Wyczerpujące zajęcia umysłowe w dużem mieście są dla osób nerwowych najczęściéj szkodliwe.*

Z przyczyn somatycznych chorób nerwowych zasługują na podniesienie ciężkie choroby ogólne jak tyfus, przymiot (*syphilis*), powodujące bezkrwistość i osłabienie organizmu; również obowiązkowy *celibat* prowadzi często do niepokoju i rozdraźnienia psychicznego.

Oprócz dziedziczności i wyszczególnionych przyczyn somatycznych, nadmierny fizyczny i umysłowy wysiłek, wszelkiego rodzaju nadużycia i wzruszenia moralne mogą dać powód do rozwinięcia się chorób nerwowych. Często nerwowość rozwija się w gwałtowny sposób po stracie drogiéj osoby, nie ziszczeniu się gorących nadziei, stracie materyalnéj i t. d. u osób nieobciążonych dziedzicznie i zresztą zupełnie zdrowych.

O ile nadmierny umysłowy wysiłek może stać się nawet przyczyną utraty sił psychicznych, tego dowodzą następujące fakta. Louyer-Villermay (1) cytuje jednego sławnego prawnika, który stracił zupełnie pamięć wskutek długiéj umysłowéj pracy. Moreau de le Sarthe przytacza taki sam przykład co do jednego z niemieckich uczonych. „Któż w rzeczy saméj nie wié — mówi w cytowaném dziele J. Luys — jak wielką jest liczba ludzi, którzy nabyli zarodek chorób umysłowych przez wyłamywanie się od tak prostych hygienicznych prawideł, i którzy w swoich zbyt często powtarzanych pracach, w *przesadzonych umysłowych czynnościach* przeszli po za fizyologiczne granice swych zasobów i więcéj trwonili niż nabywali.“ Wzruszenia moralne są również wtedy najzgubniejszemi, kiedy łączą się z nadmiernym umysłowym wysiłkiem; niektóre jednak powołania są nieodzownie z nimi połączone. W ciągłém naprężeniu znajduje się system nerwowy u spekulanta, który cały majątek w jednéj chwili stawia na kartę, lub u uczonego, myślącego dzień i noc nad swém dziełem.

Ten szkodliwy wpływ wzruszeń moralnych i wysiłków umysłowych łatwo zrozumiemy, przywoławszy na pomoc nowsze prace z dziedziny fizyologii mózgu. Psychologia cały swój postęp zawdzięcza metodzie eksperymentalnéj; obecnie wiemy już doskonale, że najpierwszym warunkiem świadomości jest dopływ krwi tętniczéj, t. j. bogatéj w tlen do mózgu. Z ustaniem téj czynności kończą się wszelkie akty psychiczne. Nadto podczas pracy umysłowéj odbywa się w mózgu szybka przemiana materyi, kiedy myślimy, mówi znakomity fizyolog francuski Gavarret (2), wówczas komórki mózgowe odbierają krwi tętniczéj tlen, t. j. przy procesie myślenia krew tętnicza staje się żylną. Myśl nasza jest niemożliwą bez pracy komórek mózgowych, a do normalnéj działalności wszelkich komórek organicznych potrzebnym jest dopływ krwi tętniczéj; nie ma zaś organu drażliwszego na brak krwi, jak mózg. Dziś nawet na zasadzie prawa o jedności sił (współczesna nauka redukuje wszystkie zjawiska do jednego, t. j. do ruchu) i przechodzeniu jednéj siły w drugą, możemy iść w naszych wnioskach o krok daléj; gdyż jeżeli w mózgu podczas myślenia następuje szybki dopływ krwi tętniczéj i bystra przemiana materyi, musi się oswobadzać przytém towarzysz wszelkich związków i rozkładów chemicznych, to jest *ciepło*. Niewątpliwie więc myślenie podnosi temperaturę mózgu. Na poparcie tego rozumo-

---

(1) Cytowane w dziele J. Luys'a: Mózg i jego czynności, w tłóm. Dunina str. 80.

(2) Gavarret: Les phénomenes physiques de la vie. Annales medico-physiol. 1870, rozdział 347.

mowania mamy już i eksperymentalne dane, zyskane dla nauki przez dra Lombard'a z Bostonu, a rozwinięte przez znakomitego fizyologa Schiff'a. Otóż według Lombard'a (1) podwyżka temperatury przy czynném zajęciu się mózgu wynosi $0{,}05^0$ C. Doświadczenia te jednak odnosiły się tylko do wpływu myślenia na temperaturę zewnętrznéj powierzchni głowy, t. j. jéj skóry; samego mózgu Lombard pod tym względem jeszcze nie zbadał. Dopiero genialny Schiff oznaczył wpływ procesów duchowych na temperaturę samego mózgu. Za pomocą bardzo dokładnych termometrycznych przyrządów przeniknął on do wnętrza mózgu w chwili, kiedy dochodzą do niego wrażenia ze świata zewnętrznego. Otóż drogą podobnych doświadczeń Schiff się przekonał, że kiedy wrażenie odczutém zostaje w mózgu, wtedy tu rozwija się ciepłota. Wyższy jednak stopień ciepłoty tworzy się mianowicie wtedy, kiedy wrażenia zmysłowe ~~przerabiają się~~ w komórkach mózgowych na pojęcia.

Byassonowi znowu, znakomitemu lekarzowi francuskiemu i fizyologowi, udało się dowieść, że komórki mózgowe zużywają podczas swéj czynności fosforany. Organizm więc na potrzeby mózgu musi dostarczać znacznéj ilości fosforu i w tém to znaczeniu a nie w innéj należy rozumieć znany aforyzm znakomitego badacza Moleschott'a, tak ośmieszany przez niekompetentnych: „Bez fosforu nie ma myśli."

Z tych fizyologicznych danych następujący dla naszéj kwestyi wyciągamy wniosek.

Ponieważ silne wzruszenia moralne i praca umysłowa dużo krwi zużywają, wywołując gwałtowny dopływ jéj do mózgu, czyli przekrwienie jego, należy więc dla zachowania równowagi i przywrócenia normalnego krążenia krwi w mózgu, pracować z odpoczynkami, pamiętając o tém, że zbytnia praca umysłowa pociąga za sobą zboczenia w odżywianiu mózgu. Słusznie téż mówi w téj kwestyi Calmeil: wszystkie wpływy tak zwane moralne, czy to będzie długi smutek, boleść, czy przybiera formę zazdrości, nienawiści, zawodów, mogą sprowadzić chorobliwe przepełnienie naczyń mózgowych krwią.

Wogóle osobom nerwowym nie radzilibyśmy dłużéj pracować umysłowo nad *dwie godziny zrzędu;* każda dłuższa praca umysłowa pociągnie u nich za sobą ból i ociężałość głowy, osłabienie i rozstrój nerwowy. Według badań wspomnianego już fizyologa Schiffa, trzygodzinna praca umysłowa tyle krwi używa, ile dwunastogodzinna praca fizyczna.

---

(3) Dr. J. S. Lombard. Doświadczenia nad wpływem pracy umysłowéj na temperaturę głowy. Archives de physiologie normale et pathologique. 1869, rozdział 670.

Z afektów psychicznych, *gwałtowny przestrach*, *gniew i smutek* najbardziéj przyczyniają się do powstawania chorób nerwowych; skonstatowanym przez wszystkich badaczy faktem jest powstawanie padaczki (epilepsyi) pod wpływem przestrachu. Według dokładnych obliczeń Monneret'a, na 381 wypadków padaczki, 191 razy napady jéj trzeba przypisać gwałtownemu przestrachowi. Widzimy więc z tego, jak nierozsądnie postępują rodzice, którzy straszą dzieci dziadami, strachami, wędrującemi duszami zmarłych i t. d. nie tylko bowiem uczą je tchórzliwości, ale mogą jeszcze je przyprawić o gwałtowną chorobę. Rodzicom wiedziéć należy, iż nawet mleko mamek gwałtownie rozdrażnionych lub rozgniewanych jest dla niemowląt bardzo szkodliwém; znakomity lekarz Boerhave opisuje wypadek, w którym dziecko zaraz po nakarmieniu dostało napadu epileptycznego i miewało je przez całe życie. Z przyczyn czysto fizycznych zaznaczyć należy, iż ciężkie choroby nerwowe rozwijają się po obrażeniu nerwów czuciowych skóry, a szczególniéj nerwu kulszowego i trójdzielnego. Również przedwczesne stosunki płciowe, nadużycie lub anormalne zaspokajanie popędu płciowego są często przyczyną ciężkich chorób nerwowych. Szczególniéj *padaczka*, *wiąd* (schnięcie) mlecza pacierzowego są częstym rezultatem samogwałtu (onanizmu), o smutnych skutkach którego nigdy dosyć przestrzegać nie można.

O ile nadużywanie tytoniu nawet najzdrowszym osobom jest szkodliwém, *o tyle osoby nerwowe powinny zupełnie wstrzymać się od palenia.* Szczególniéj zabójczo działa palenie w dziecinnym wieku; słusznie téż powiada prof. Szokalski, iż palenie do 18-go roku życia surowo potępione być winno. Niestety, ogół uważa palenie za niewinną jakoby rozrywkę, nie wiedząc o tém, iż palenie tytoniów mocnych i szczególniéj *naczczo* prowadzi do poważnych zboczeń nerwowych. Nikotyna pobudza mózg i mlecz pacierzowy, jak inne alkaloidy, działając wprost na substancyę nerwową; po dawkach większych zjawia się wkrótce porażenie mózgu i utrata przytomności (1). Nieregularne bicie serca, podniesienie wrażliwości psychicznéj i hypochondryczny nastrój umysłu, oto skutki nadużywania tytoniu. Również musimy stanowczo potępić używanie w dużych ilościach i mocnéj kawy i herbaty; obie są napojami towarzyskimi *par-excellence* i dla tego tak łatwo użycie ich przechodzi w nadużycie. Dawane od najwcześniejszego dzieciństwa, jak się to często u nas dzieje, mogą się również przyczynić do rozwinięcia neuropatycznego usposobienia. „Zupełnie tak samo uważamy — mówi w cytowaném dziele Nothnagel, znakomity profesor wszechnicy wiedeńskiéj — iż

---

(1) Nothnagel i Rossbach: Farmakologia str. 712.

nie można pozwolić na używanie kawy osobom dorosłym, mającym usposobienie neuropatyczne, *nerwowość*, albo jakieś wyraźne cierpienie nerwowe, szczególniéj tak zwane funkcyonalne. Epileptycy, histeryczki, cierpiący na ciężkie przewlekłe nerwobóle powinni zupełnie wstrzymać się od kawy." Stanowczo nie należy dawać kawy ani mocnéj herbaty dzieciom, t. j. w epoce największéj wrażliwości mózgu, kiedy kongestye do głowy, a nawet zapalenia mózgu i błon mózgowych są na porządku dziennym. Większość poważnych uczonych jest zdania, że *żadne dziecko przed dojściem do 10 lat życia nie powinno znać kawy ani herbaty.* Mleko, kleiste zupy, bawarka, na wieczerzę talerz kaszki — oto najodpowiedniejsze pożywienie dla wieku dziecinnego.

Osoby nerwowe, u których nałóg stał się drugą naturą i nie znajdują w sobie dostatecznéj siły woli dla odzwyczajenia się od kawy i herbaty, powinny je przynajmniéj używać pół napół z mlekiem.

Co do napojów alkoholicznych, to te u nerwowych działają chwilowo bardzo pomyślnie, ale powtarzamy, tylko chwilowo. „Alkohol i morfina — mówi Gerhardt, znakomity następca Frerichsa na uniwersytecie berlińskim — są dla osób nerwowych nie środkami lekarskimi, ale raczéj trucizną" (1).

Nadużywanie napojów alkoholicznych prowadzi wprost do chorób umysłowych. Nie tylko nadużywanie wódki, ale i wina prowadzi do obłędu pijackiego (*delirium tremens*), manii i padaczki. Według prof. Westphal'a z Berlina, chroniczny alkoholizm jest jedną z najczęstszych przyczyn padaczki (epilepsyi); również i potomstwo pijaka przychodzi na świat ze skłonnością do chorób nerwowych i umysłowych i rzadko kiedy odznacza się normalném umysłowem rozwinięciem (2). W większéj ilości alkohol stanowczo uważany być winien za truciznę; straszliwy nałóg mści się nie tylko na pijaku, ale i dzieci jego piętnuje znamieniem fizycznéj i umysłowéj karłowatości i idyotyzmem.

Musimy tu również zaznaczyć, że wchodzi u nas w modę, nie w tym wprawdzie stopniu co we Francyi, dosyć jednak groźnie, nadużywanie morfiny. Nadużywanie tego najważniejszego z arsenału środków lekarskich rozpoczęło się od chwili rozpowszechnienia *podskórnych wstrzykiwań*, szczególniéj używanych przy newralgiach. Trafnie użyta morfina, to środek najpewniejszy i iście cudowny: uspokaja ból, sprowadza upragniony sen, nieszczęśliwemu przynosi nadzieję, i chociaż chwilowe szczęście i zapomnienie ziemskiego czyść-

---

(1) Gerhardt: „Ueber einige Angioneurosen." Sammlung klinis. Vortraege str. 17.

(2) Dr. W. Chodecki: „O pijaństwie". Studyum hygieniczne. 1885 r.

ca... Ale biada temu, kto się zbyt często do tego cudownego ucieka środka; upadek sił, newralgie, drżenie rąk i nóg, bicie serca, zupełny brak apetytu, bezsenność i przywidzenia są dostateczną karą za nadużycie. U nas bardzo często się tak dzieje, iż raz przez lekarza zapisana morfina używaną bywa bez jego wiedzy za najmniejszą przyczyną, za lada bólikiem, nie wymagającym wcale tak energicznego środka. U niektórych pań zastrzykiwanie morfiny stało się istnym nałogiem, tak, iż same sobie ją zastrzykują. Przy odzwyczajaniu się najlepiéj od razu środek ten zarzucić, a w razie potrzeby gwałtownéj uciec się do innego środka uspokajającego lub nasennego, np. belladonny albo chloralu.

Z przyczyn wywołujących choroby nerwowe *zaziębieniu* ważną należy przypisać rolę. Zaziębienie przy spoconém ciele wywołuje newralgie, zapalenie błon mlecza pacierzowego, a nawet i saméj jego substancyi. Lekarz kowieński dr. Fejnberg swemi doświadczeniami na zwierzętach wykazał, iż przez silne ochłodzenie mlecza pacierzowego można wywołać jego zapalenie (1).

Błędy w wychowaniu, zbyteczne rozwinięcie czułostkowości i fantazyi, zaniedbanie wyrobienia siły woli są również potężnymi czynnikami neuropatycznego usposobienia. „Szczególniéj— jak mówi znakomity neuropatolog prof. Erb (2) — należy się obawiać fałszywego wychowania w pojęciach religijnych, każdego przygnębienia ducha przez skierowanie fantazyi na nienaturalne drogi, lub téż przez przymusowe zajęcie umysłu nadprzyrodzonemi rzeczami w celu zagłuszenia i przytłumienia naturalnych popędów zdrowego ciała. Najczęstszym tego skutkiem bywa chorobliwa drażliwość i słabość systemu nerwowego, prowadzące przy sposobności do ciężkich chorób nerwowych.“

Rozwijanie siły woli, nauczanie poprzestawania na małém, poskramianie zbytniéj pychy i próżności; wskazywanie na każdym kroku wyższych celów i ideałów w życiu obok objaśnienia, że człowiek wiele znieść musi i powinien, są najkardynalniejszymi warunkami dobrego wychowania. Tak wychowany młodzieniec zachowa pogodę i spokój ducha wobec możliwych burz i kataklizmów życiowych, zniesie bez skargi i nie upadnie pod ciężkimi razami losu.

Dla zdrowia i dostatecznéj energii systemu nerwowego długi sen jest koniecznym. Powinno się sypiać 8—9 godzin dziennie. Anstie, znakomity lekarz amerykański, nawet 10 godzin snu dziennie

---

(1) Cyt. w dziele prof. M. Rosenthal'a: „Klinik der Nervenkrankheiten“ str. 304.

(2) Choroby układu nerwowego. Tom drugi prof. Erb'a str. 22.

szczególniéj dla osób nerwowych nie uważa za zbytek. Starzec potrzebuje tylko 5 godzin snu. Po obiedzie można nerwowym osobom pozwolić przespać się z pół godziny. Dłuższy poobiedni sen zanadto narusza funkcye trawienia.

Bezsenne nocy, nieregularne udawanie się na spoczynek, są dla osób nerwowych zabójcze; prawdziwym specyfikiem dla nich jest regularne, pod każdym względem systematyczne życie.

W hygienie duszy, w szczęściu i zadowoleniu ważną gra rolę zamiłowanie wykonywanéj pracy. Kto tylko z musu, kto z konieczności wykonywa pracę swoją, komu ona nie przynosi prawdziwego zadowolenia, kto nie umiłował wyższych celów i ideałów w życiu, ten prędko stanie się pastwą przesytu, nudów i rozstroju nerwowego. Kto nie wybrał sobie odpowiedniego dla swego usposobienia i zdolności zawodu, dla tego życie traci cały urok, stając się w końcu bezcelowém.

Słusznie zwraca uwagę prof. Krafft-Ebing w najnowszéj broszurze (1) uwagę na to, iż dla zdrowia naszego umysłu niezbędną jest *rozmaitość pracy*. Na nasze życie umysłowe składają się rozmaite wrażenia zmysłowe i rozmaite urobione z nich pojęcia, umysł nasz musimy więc karmić różnorodnemi zajęciami już i z tego powodu, by kolejno wprawiać w czynność wszystkie części mózgowia. Poświęcając się tylko jednemu rodzajowi zajęć umysłowych, działamy jedynie ograniczoną częścią mózgu. To samo mówi w tym przedmiocie i Luys, znakomity badacz fizyologii mózgu.

Wogóle osoby nerwowe, chociażby wyglądające zdrowo i czerstwo, winny unikać nadmiernych, fizycznych i umysłowych wysiłków; właściwemi są dla nich tylko lekkie zajęcia: zajmująca lektura podnioślejszych utworów beletrystycznych, zajęcie na powietrzu połączone z ruchem i akcyą mięśni.

Dla mieszkańców większych miast koniecznym jest wyjazd w porze letniéj i to na czas dłuższy na świeże powietrze; taki umysłowy odpoczynek jest *conditio sine qua non* zdrowia i wytrwałych sił do pracy. Wyznajmy prawdę, iż już samo życie w wielkiém mieście denerwuje i osłabia nawet obdarzonego najzdrowszą konstytucyą. Dwa miesiące obcowania z naturą, świeże powietrze, kąpiele rzeczne, jazda konna, oderwanie się od pracy, materyalnych trosk i burzliwych wstrząśnień życiowych, nadadzą nerwom nową siłę i energię. Wydane pieniądze zwrócą sowicie zwiększona energia pracy i odzyskana siła i zdrowie.

---

(1) Prof. Krafft Ebing: „Nasz wiek nerwowy" str. 68.

Czas więc wakacyjny należy spędzić istotnie hygienicznie, t. j. w spokoju ducha i ciała, by odnieść korzyść dla zdrowia. Kto nie rozumie tego najprostszego prawidła hygienicznego, kto czas letni poświęca męczącym podróżom, zwiedzaniu wielkich stolic, gdzie zwykle powietrze w lecie jest okropném, uczęszczaniu na kongresy naukowe, zwiedzaniu muzeów, teatrów i wszystkim innym gwarnym uciechom wielkich miast, ten nie wzmocni swego systemu nerwowego, nie odzyska sił i czerstwości. Nic tak nie przywraca do równowagi naszego fizycznego i umysłowego ustroju, jak obcowanie z naturą. Piękny widok sielski, malownicza miejscowość, szeroki horyzont i cudny lazur nieba każą zapominać o troskach i kłopotach życia codziennego, wlewają w nas nowe chęci i nadzieje i są balsamem na wszelkie przejścia i rany życiowe, a już sama zmiana trybu życia jest najskuteczniejszém lekarstwem na wiele chorób nerwowych.

Musimy w tém miejscu zrobić pewną uwagę co do prawideł hygienicznych codziennego życia, nie zważając na to, iż może ściągniemy na siebie gniew zwolenników gry w karty. Kto po całodziennéj siedzącéj pracy, wieczorem zasiada do kart, szachów i do innych zabaw połączonych z umysłowym wysiłkiem, ten ciężki uszczerbek przynosi swemu zdrowiu.... Wszak to ciągłe siedzenie jest przyczyną hemoroidów, kongestyi krwi do głowy, zaburzeń krążenia krwi w jamie brzusznéj i tym podobnych cierpień ciągnących się nieraz przez całe życie. Kto cały dzień ciężko pracuje, temu wieczorem potrzeba rozrywki, ale połączonéj z ruchem i ze swobodą umysłową. Po parogodzinnéj przechadzce gra w bilard, swobodna rozmowa z przyjaciołmi, podnosząca wesoły nastrój ducha, są odpowiedniejszemi dla spracowanego umysłu, niż wszelkie gry natężające umysł i wzburzające krew.

Ponieważ osoby nerwowe odznaczają się zwykle słabém trawieniem, należy więc zachować ogromną ostrożność w wyborze pokarmów. Wogóle sposób żywienia się powinien być posilny, łatwo strawny a nie wyszukany; mięso, chléb, mleko i owoce stanowią najodpowiedniejsze pożywienie. Za regułę przyjąć należy, iż osoby nerwowe winny jadać mało na raz a często, w odstępach 3-godzinnych; kolacyę zaś bardzo lekką przyjmować należy przynajmniéj na 2 godziny przed udaniem się na spoczynek. Obiad najzdrowiéj jest spożywać w środku dnia: zupa, kawałek pieczonego mięsa z kompotem i kieliszek francuskiego wina, oto najwłaściwsze menu obiadowe.

Zbawiennym dla osób nerwowych jest ruch na świeżem powietrzu; ciągłe przebywanie na świeżem powietrzu — mówi dr. Rhein-

staedter (1), jest najnaturalniejszém i najlepszém *nervinum* (środkiem uspakajającym nerwy). Gimnastyka, szermierka, pływanie niezmiernie przyczyniają się do wzmocnienia systemu nerwowego. Często paromiesięczny pobyt w górach, albo nad brzegiem morza lub nareście dla osób, dla których wyjazd za granicę jest niemożliwym, pobyt na wsi, gdzie cierpiący może cały dzień przepędzać na powietrzu, często cudów dokazuje.

Obchodzenie się z nerwowo chorym powinno być trafném, systematyczném i pełném taktu; zapewnienie go, że choroba mimo pozornie groźnych symptomów, jest mało znaczącą, że wkrótce przejdzie bez śladu, dodanie mu jedném słowem otuchy i nadziei, działa często skuteczniéj niż całe flaszki lekarstw. Żarty i lekkie traktowanie cierpiącego jest w wysokim stopniu niewłaściwe.

Nie potrzebujemy szczegółowo rozwodzić się nad tém, iż odpowiednia do stanu chorego rozrywka, wesołe sympatyczne towarzystwo, są dla niego prawdziwymi specyfikami.

Zwyczajną skargą osób nerwowych jest *bezsenność*; i tutaj właściwe hygieniczne zachowanie się może wiele dobrego zdziałać. Najprzód nie należy udawać się na spoczynek z pełnym żołądkiem i pić dużo mocnéj herbaty, jedna szklanka lekkiéj herbaty jest dla osoby nerwowéj zupełnie wystarczającą. Wszelkie gorące dysputy, czytanie pobudzających wyobraźnię książek, palenie tytoniu winno być zaniechaném; przeciwnie jakaś zabawa połączona z akcyą mięśni, wesoła pogadanka działają bardzo pomyślnie. Jako domowy środek nasenny gorąco polecamy dobre a lekkie piwo w ilości jednéj butelki na noc; prawie wszyscy psychiatrzy zachwalają lekkie piwo nawet u osób z maniakalném pobudzeniem jako doskonały środek uspokajający. Środki narkotyczne nie zawsze są nawet skuteczne a wywierają zgubny wpływ na cały organizm. Doskonale działa również $\frac{1}{2}$ godzinna kąpiel temperatury 27°—28°R. lub opaska Priessnitz'a na brzuch i na łydki. Dr. Gellhorn (2) poleca następujący bardzo praktyczny sposób: bierze się kawałek płótna długi na $2\frac{1}{2}$ metrów, szerokości chustki od nosa, $^1/_3$ długości jego macza się w zimnéj wodzie, wyżyma, obwija się następnie goleń najprzód wilgotną częścią na którą kładzie się ceratkę i następnie pokrywa kilkoma warstwami suchego kawałka płótna. Na to można nałożyć jeszcze bandaż flanelowy lub pończochy. Opaska taka nakłada się wieczorem na noc.

---

(1) Dr. August Rheinstaedter: „Ueber weibliche Nervosität." Sammlung klinischer Vortraege von Richard Volkmann str. 14.

(2) Medycyna Nr. 4 str. 54.

Przy skłonności do przypływów krwi do głowy i bezsenności opaska taka działa doskonale.

Ze środków aptecznych stosunkowo najniewinniejszym jest jeszcze *bromek potasu*, który szczególniéj u ludzi osłabionych i mało krwistych z powodu nadmiernéj pracy umysłowéj i pobudzeń psychicznych sprowadza upragniony sen. Najlepiéj jest przyjmować na noc skrupuł bromku potasu. rozpuszczonego w wodzie; zbyt długie jednak używanie tego środka sprowadza różne przykre następstwa: jak wyrzuty, rozwolnienie itd.

Zbawiennemi dla osób nerwowych są nacierania rano na czczo zimną wodą; zimą należy je robić w ogrzanym pokoju. Zawsze jednak należy zaczynać od temperatury 24° 23° by uniknąć możliwego zaziębienia i wynikającego ztąd kataru oskrzeli, zapalenia gardła i t. d. Po obmyciu ciała gąbką, następuje wytarcie do sucha flanelą lub grubym ręcznikiem, a następnie ruch z godzinę na świeżem powietrzu. Pobudzony apetyt, towarzyszy śniadaniu, które powinno się składać ze szklanki lekkiéj herbaty, 2-ch jajek na miękko lub téż szklanki mleka z 2-ma 3-ma sucharkami. Przy wszystkich manipulacyach hydropatycznych należy w ogóle wystrzegać się zbyt zimnéj wody, bo ta zamiast uspokajać, rozdrażnia jeszcze bardziéj.

Często jedno zbyt zimne natarcie psuje skutek długiéj kuracyi. Również wielce pomocnemi dla osób nerwowych są połowiczne kąpiele od 26°R, trwające 3—5 minut z oblewaniami na głowę i krzyż chłodniejszemi o 1°. Codzień trzeba zniżać temperaturę kąpieli jak i oblewania o 1°, można jednak dojść tylko do 16°. Niższe temperatury nie są w ogóle dla nerwowych właściwe, zamiast uspokoić bowiem rozdrażniają do wysokiego stopnia system nerwowy, wywołując bezsenność, niepokój, drgania mięśni itd. Również ostrożnym należy być w używaniu prysznica. Na niestrawność, osłabienie żołądka itd. znakomite usługi oddaje opaska Priessnitzowska na żołądek, którą 2 razy dziennie, tj. rano i wieczór zmieniać trzeba.

Jakeśmy już wyżéj nadmienili, powietrze górskie nie zbyt pobudzające lub morskie jest dla osób nerwowych najwłaściwszym środkiem; leczenie powietrzem można w lecie połączyć z kuracyą wodną w jakim zakładzie wodoleczniczym. Należy tylko na tego rodzaju kuracye poświęcić co najmniéj 2 miesiące; krótsza kuracya nie przyniesie żadnego pożytku. Kto więc nie może poświęcić tyle czasu, ani nie ma odpowiednich na to funduszów, to lecząc się krótko straci czas i pieniądze a nie odzyska zdrowia. Również i wybór zakładu wodoleczniczego nie jest bez wielkiéj wagi dla chorego; na czele zakładu dla chorych nerwowych musi stać lekarz posiadający nie tyl-

ko znajomość swojego fachu ale będący i bystrym psychologiem. Wpływ bowiem psychiczny na chorego nerwowo, jak to już wyżéj zaznaczyliśmy, jest najważniejszy. Lekarz swojém postępowaniem winien nie straszyć chorego ale dodawać mu otuchy i nadziei. U nas kuracya hydropatyczna jest niestety zbyt drogą a przeto przystępną tylko dla zamożniejszych warstw społeczeństwa.

Zasłużoną sławą przy nerwowości cieszą się *kąpiele morskie*; tylko używanie ich musi zostawać pod ścisłą kontrolą lekarza. W przeciwnym bowiem razie kąpiele morskie nawet zaszkodzić mogą. Zawartość soli jest mniéj więcéj ta sama w oceanie Atlantyckim, w morzu Niemieckiém, w morzu Śródziemném (około 2—3%), znacznie mniejsza (niżéj 1%) w morzu Baltyckiém. Południowe kąpiele morskie są przecięciowo o 3°C. cieplejsze, aniżeli północne. Co do wpływu leczniczego, to wielkie znaczenie ma siła bałwanów morskich, która naturalnie zmienną jest stosownie do położenia miejsca kąpielowego i kierunku wiatru, panującego w porze kąpielowéj. W ogóle przy wyborze miejsca kąpielowego morskiego, należy wybierać położone na wyspie.

Dla nerwowych bezkrwistych, anemicznych najlepszemi są źródła żelaziste jak u nas Krynica, w Niemczech Pyrmont, Elster, Kudowa itd. W zimie zaś należy brać żelazo w przetworach aptecznych; jest-to środek, który w odpowiednich przypadkach użyty najlepsze oddaje usługi.

Bicie serca, tak częste u nerwowych, ustępuje przy użyciu zimnych okładów na lewą stronę klatki piersiowéj; ze środków aptecznych można polecić wodę wawrzyno-śliwową, walerianę, castoreum itd. Dobrze również działają środki odwodzące jak np. synapizma na okolicę serca.

Przeciwko newralgiom, kurczom i spazmom są pożytecznemi: niedawno weszły w użycie dzięki inicyatywie dra Zabłudowskiego z Berlina *massaż* (miesienie), który często nawet w zastarzałych wypadkach przynosi polepszenie. Nie należy tylko powierzać go niewykształconym felczerom lub posługaczom szpitalnym, dokładna bowiem znajomość przebiegu nerwów i mięśni jest dla dokładnego wykonywania miesienia niezbędną. Musimy tu jednak zaraz dodać, iż massażu nie można znowu uważać jako specyfiku na wszelkie dolegliwości nerwowe, iż tylko przy ściśle określonych wskazaniach do jego użycia, może być skutecznym. Wszak nie posiadamy środków uniwersalnych na wszelkiego rodzaju choroby, ścisłe indywidualizowanie jest koniecznem.

Elektryczność a szczególniéj *prąd galwaniczny* pomagają zazwyczaj przy nerwobólach; w najnowszych czasach tak zwana „metalo-

terapia“ wchodzi w użycie, jako środek mający czasem pomagać w pewnych formach zaburzeń nerwowych szczególniéj u *histeryczek*. Doświadczenia prof. Nothnagel'a wykazały, że w pewnych wypadkach *znieczulenia* (*anesłezyi*) u histeryczek, po zastosowaniu na nieczułe miejsce krążka metalicznego, czucie na pewien czas powraca, chociaż znowu w wielu wypadkach doświadczenie to się nie udaje.

Dla wytłómaczenia tych ciekawych w każdym razie, a tak tajemniczo wyglądających objawów, przypuszczano powstawanie minimalnych prądów elektrycznych. Objaśnienie to jednak upada w obec wielokrotnie stwierdzonego faktu, iż takie same objawy jakie występują po przyłożeniu krążków metalicznych, można wywołać stosując krążki drewniane lub kościane, jako téż gorczyczniki. I tu więc głównie działa wpływ psychiczny.

Na bóle głowy, migreny tak częste i dokuczliwe szczególniéj u nerwowych kobiet, zalecamy alkaloid *koffeinę*, zawarty w kawie, można go używać w ilości 3—4 granów dziennie. Paniom cierpiącym na migrenę zalecamy gorąco ten środek.

W ogóle wszystkich środków lekarskich używać należy w małych ilościach i pewnych odstępach czasu. Przeładowanie lekarstwami jest dla osób nerwowych zgubném; ze środków aptecznych skutecznemi są w małych dawkach: chinina, arszenik, bromek potasu, waleriana.

Ciągła pogoń za specyfikami, szpéranie w popularnych książkach lekarskich i ustawiczna zmiana lekarzy do najgorszych doprowadzić może rezultatów. Ścisłe wypełnianie przepisów lekarza i bezgraniczne doń zaufanie jest warunkiem *sine qua non* pomyślnego wyniku kuracyi. Z lekarzem, ale téż tylko z nim, należy rozmawiać o swych dolegliwościach. Opowiadanie bowiem własnéj choroby ludziom niekompetentnym wywołuje z ich strony uwagi i rady niewłaściwe, często nawet szkodliwe. Również unikać należy nerwowemu obcowania z podobnie cierpiącymi i ciągłego zastanawiania się nad swymi symptomami, wszystko to bowiem jeszcze bardziéj rozdrażnia ducha i niepokoi fantazyę.

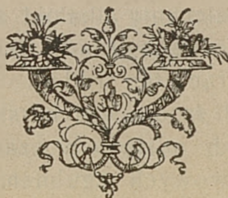
Nerwowym kobietom, byleby nie zbyt osłabionym, można poradzić za-mąż-pójście; często bowiem ciąża i macierzyństwo sprawia korzystną przemianę w całéj konstytucyi i widoczny zwrot ku lepszemu.

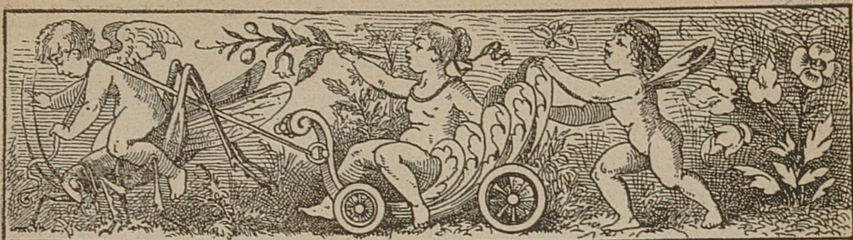
Oprócz tego kobiety oddane same sobie często stają się pastwą nerwowego rozstroju; stare panny, nie znajdując zadowolenia i celu w życiu, stają się często nerwowemi.

Przy wyborze małżonka pierwszeństwo oddać należy charakterowi spokojnemu, silnemu, umiejącemu zapanować nad możliwemi burzami i wstrząśnieniami życiowemi. Zbyt wczesne zawieranie małżeństw, tj. przed 19 rokiem dla kobiety a przed 25 dla mężczyzny, nie jest pod wieloma fizyologicznemi względami właściwém.

Temperatura dla osób nerwowych odpowiedniejszą jest chłodna niż ciepła; zbyteczne bowiem ciepło zwiększa nerwowość, osłabia; dowiedzioną zresztą jest rzeczą, iż osoby nerwowe w chłodnéj temperaturze czują się najlepiéj.

Dr. Władysław Chodecki.





O ZNACZENIU PRZENOŚNI W KRAKOWIAKACH.

Odpowiedź na pytanie, czém jest *literatura ludowa*, jako też zebranie jéj tworów, stało się kwestyą bieżącą naszego romantyzmu. To też chcąc przedstawić cały zasób poglądów i zastosowań w téj mierze dokonanych, musielibyśmy skreślić prawie-że cały obraz tego ruchu umysłowego, w którym przerwany na innych polach rozwój społeczeństwa wyraził się i skrystalizował. Szczuplejszym jest zakres niniejszéj pogawędki. Nie chodzi nam o krytyczne przedstawienie tego, co do téj pory zrobiono lub chciano zrobić, lecz właściwie pragnęlibyśmy skreślić chociażby najogólniejszy kontur tego, co poezya i proza ludu naszego, zebrana przez Oskara Kolberga, Wacława z Oleska, Żegotę Paulego, W. K. Wójcickiego, Glogera, Konopkę, Rogera i wielu, wielu innych, zawiéra w sobie. Mianowicie chcielibyśmy okazać różnorodną a bogatą treść téj literatury ludowéj, ułożoną według pewnego schematu, i przez jego klasyfikacyą wyjaśnioną.

Schemat ów, o ile nam się zdaje, wynika z saméj istoty rzeczy, gdyż nie jest łożem Prokrusta, do którego nieodpowiednia wielkość się przypasuje, a któreby przygotował pogląd apryorystyczny, ale właściwie jestto rezultat sumiennego zestawienia materyałów: literackiego, to jest słownego, i obrzędowego, ludowi naszemu właściwych. Właśnie to zestawienie jest pierwszym kluczem do zbadania tajemnic naszéj literatury ludowéj. Ten zaś klucz nie był umyślnie wykuty w żadnéj pracowni teoretycznéj. Każdy go może podjąć, każdy go może użyć i sprawdzić jego właściwości, bo on tkwi w powszechnie znanéj trójpostaciowości naszego krakowiaka, który przedewszystkiém dla tego nadaje się na punkt wyjścia do badań, że jest niewątpliwie bardzo starożytny.

Słowo, melodya i taniec, oto trzy składowe części zjawiska, które nad brzegami Wisły do dziś dnia odtwarza związek najdawniejszy tychże samych sztuk w świecie starożytnym. Przypomnijmy sobie owe uroczystości greckie na cześć Dyonizosa-Bachusa odbywane, a jako zawiązek całéj w przyszłości dramaturgii, będące kombinacyą słów, muzyki i umówionych ruchów ciała. Pieśń rzymskich „braci rolnych", sięgająca niepamiętnych czasów, przedstawia się także jako rzecz chóralna, przepleciona solem, a w treści zawiera jasne wskazówki skoków obrzędowych (1). Nie mnożąc więcéj cytat, możemy krakowiaka obok tamtych przykładów narówni postawić, i z tożsamości składu wyciągnąć wniosek na korzyść bardzo dawnego istnienia tego naszego tańco-śpiewu.

Tak zaznaczywszy starożytność krakowiaka, widną w trzech stronach jego pojawu, zwracamy uwagę na formy wiersza, język i przedmioty, jakiemi krakowiak posługuje się i zajmuje, a w których nowa mu cecha starodawności przybywa. Dwuwiersz (mniejsza, że 12-zgłoskowy), znamionujący naszego krakowiaka, cechuje też grecki *dystych elegiczny*, który jest połączeniem heksametru z pentametrem, odnajduje się w *slokach* indyjskiéj poezyi bohaterskiéj, w *bejtach* epopei Zendów.... Jak widzimy, parentelą rozległą i daleko w przeszłość sięgającą cieszy się nasz krakowiak, i za świeżego parweniusza nie można go uważać. Z kolei dotykając kwestyi języka, czyli przenośni i przedmiotów właściwych krakowiakom, chętnie przyjmujemy wyrażenie się J. I. Kraszewskiego w téj materyi: „Prawie zawsze pierwszy wiersz daleko odbiega od drugiego w lasy i góry, jakby żartował ze słuchacza; drugi zato tém żywiéj pada na serce, bo już też z serca jest wzięty.... To splątanie, jakby dwu gałęzi różnych w śpiewie krakowiaka, ta wiązanka nieustanna dwu różnobarwnych wstążek stanowi jego oryginalność i piękność...; wszystko przemawia zatém, że jest to forma bardzo dawna" (2). Dodamy tylko do tych słów nestora, popierających naszą uwagę o dawności krakowiaka, bardzo cenne, a dotąd niespożytkowane spostrzeżenie Kornela Kozłowskiego (3), komentujące dawniejszy sąd Adama Czarnockiego, pierwszego teoretyka naszego w zakresie badań nad literaturą ludową. Czarnocki widział w języku ludowym „nałóg wyrażania czci dla bóstw wielorakich i obfitość tych przenośni, przysłów i wzorów przyrodzonych, które stanowiły śpiewy obrzędowe, igrzyska, potoczną mowę ludu, i zawsze tchnęły wiarą tego

---

(1) Tu też należy kretyjski *Pirrych*, może semickiego początku.

(2) *Odczyty o cywilizacyi w Polsce*; 1861, str. 22—23.

(3) *Lud z Czerskiego* str. 17; *O Słowiańszczyźnie przedchrześcijańskiéj*, str. 3.

ludu.“ Kozłowski objaśniając to, powiedział nader słusznie, że pieśniami najdawniejszémi są te, które używają metamorfoz takich, o jakich lud (tém bardziéj zaś klasa wykształcona, a w jéj liczbie sami badacze) dziś zapomnieli, a do odgadnięcia których znajdujemy klucz w religijnych pojęciach dawnych Słowian.

Myśl tak prosta jest niezmiernie ważną przy klasyfikacyi pieśni, pod względem ich wartości i użyteczności w dalszych studyach. Dotąd bardzo często zbieracze tworzyli osobne grupy „dziwów, igraszek“, do których zaliczali utwory niezrozumiałe. A wielekroć konstatując dziwactwa wyrażeń, szczególność przenośni i porównań, bądź na tém poprzestają, bądź téż źródła dziwactwa szukają w skażeniu języka lub płochéj igraszce śpiewaków. Kozłowski słusznie daje do zrozumienia, że to myśmy tylko zapomnieli klucza do ludowych symbolik, i że jeżeli właśnie ciemność téj symboliki jest gwarancyą jéj starożytności, to rozjaśnić ją tylko można równie starożytnym materyałem. Z jednéj strony tym materyałem jest sama literatura ludowa, z drugiéj zaś kronikarskie, krytycznie stwierdzone podania o najdawniejszéj wierze Słowian, a w szczególności Lachów, to jest bezpośrednich naszych przodków.

To założywszy, wracamy do krakowiaka, którego starożytność probowaliśmy wywieść najprzód z jego trójjedni składowéj (słowo, melodya, taniec) i dwuwierszowości, którą-to starożytność obecnie chcemy poprzéć dowodem poczerpniętym z dziwacznego stosunku treści dwu jego wierszy. Przyznajemy, że związek pierwszego wiersza krakowiaka, malującego jakiś obraz z przyrody, gdy drugi jakąś kwestyą psychologiczną rozwija, niekiedy się przedstawia niezrozumiale, urągać się zdaje loice, nawet zdrowéj fantazyi. Atoli pomnąc na to, że jestto utwór bardzo dawny, i że my nań się patrzymy dzisiejszémi oczyma, że sądzimy go dzisiejszémi pojęciami i uczuciami; to już sobie utorujemy drogę do zrozumienia rzeczy, bo pokusimy się o zestawienie krakowiaka o danym związku obrazów i uczuć z krakowiakami i utworami treści analogicznéj. W takiéj klasyfikacyi dystychów naszych, przedewszystkiém wedle przedmiotów, treść pierwszego wiersza stanowiących, nic subiektywnego niéma. Jestto metoda czysto aposteryoryczna, od szczegółów idąca przez porównanie do ogółu. Zastosowaliśmy ją na kilku przykładach.

I oto mamy następne klasy krakowiaków, które nazwiemy od podstawy pierwszego wiersza krakowiakami typu konia, pasienia, cembrzyny (studni), wody, topienia i tonięcia, deszczu i kamienia. Geneza tych typów czysto obiektywna. Po licznych próbach i doświadczeniu przekonywamy się, które szczegóły na to miano „typu“ zasługują, jako stałe, stanowiące niby jądro stylowych przekształceń, wyrażające symbolicznie rzecz ważną.

I.

Rozpatrzmy się w typie „konia“, najprędzéj swoją tajemnicę wykrywającym.

W liczbie krakowiaków, które w pierwszym wierszu koniem się zajmują, jedne zdają się mieć sens tak realny, że poszukiwanie w nich głębszéj, starożytnéj myśli, prawie naraża badacza na śmieszność. Któż naprzykład uwierzy, by mogła cośkolwiek wiedza poważna zdobyć z takich dwuwierszy: *Na koniczka siadam, już nóżka w strzemieniu— Pamiętaj dziewczyno o mojém imieniu*, — albo: *Powiadają ludzie, że ja konie wodzę — A ja do dziewczyny na umizgi chodzę*,— albo: *Ach widać z daleka siwego konika—Kochanek mój jedzie, serce mie przenika* (1). Myśl pieśniarza tak zdaje się chodzić po ziemi, tak wyraźnie się wypowiada, że rzeczywiście z takiémi tylko dowodami literatury ludowéj w ręku, trzebaby się zgodzić na sąd d-ra Chmielowskiego, na zjeździe Kochanowskiego w Krakowie, przeszłego roku wypowiedziany, że ta literatura ma tylko o tyle znaczenie i miejsce usprawiedliwione w ogólnym obrazie naszego życia umysłowego, o ile stanowi przedmiot zajęcia autorów okresu romantycznego. Związek konia z miłością (jeżeli wogóle wyraz ostatni może być zawsze zastosowany), prawie że koniecznie nastręcza wykłady w tym rodzaju: jak prośba o pamięć, rysy z życia wiejskich pastuchów, przeczucie kochanki i t. d.

Tak w swych klasyfikacyach poczynali zbieracze: tak i z katedry prelegenta rzecz wyjaśniała pani Stefania Jurkowska.

Przy innych krakowiakach tegoż samego (jak i innych typów), spotykamy się z realizmem, którego by się może nie zaparł Zola francuski. Już w Wacławie z Oleska wzbudził on myśl motywowania, czemu chociaż „nieskromne“, a nawet „sprośne“ w swym zbiorze pomieścił, potrzebą poznania wszystkiego, co lud nasz śpiewa (2). Majorkiewicz znowu w swéj *Literaturze polskiéj* (3) zaznaczywszy różnicę między konwenansem, przystojnością i gustem sfer wyższych a bezpośrednią szczerotą uczuć i czynów ludu wiejskiego; bądź w téj różnicy szuka wyjaśnienia rażącéj nas jaskrawości moralnéj i realistycznéj pieśni ludowych, bądź też w następném przypuszczeniu. Mniema on, że utwory „sprośne“ (jakoteż zbrodnicze i in.), jako wyznanie grzechów życia potocznego przez lud prosty w jego pieśniach,

---

(1) Wacław z Oleska: *Pieśni ludu galicyjskiego* str. 127, N. 192; str. 131, N. 229; str. 112, N. 45. Do N. 229 por. str. 173, N. 645: Hajże ino po nasemu,—dalaś gęby koniuszemu etc. — (2) *Pieśni ludu galic.* str. XXXIX i LI; Zajszner: *Pieśni ludu Podhalan* wiele „nieprzystojnych“ opuścił (str. 37). — (3) Tom I, str. 52—54, 56, 64—65.

stanowią jego oczyszczenie, są wylaniem na zewnątrz, obcych mu zasadowo, wyrzutów, wrzodów, szpetot wewnętrznych. Wziąwszy z téj kategoryi taki dwuśpiew: *Siwy koń, siwy jabkowity — Dała gęby Kaśka, dajże Maryś i ty*,— uzupełniany także w ten sposób: *Byłbym dawno mnichem, gdyby nie kobiety* (1),—moglibyśmy go śmiało zaliczyć do kategoryi *Fraszek* Kochanowskiego lub *Figlików* Reja, folgujących przy winie wesołéj myśli o „podwice."

Jeżeli jednak tego rodzaju tłómaczenia nie zaspakajają naszéj ciekawości, czemu koń tak stale łączy się z miłością lub nawet z jéj zboczeniami w powyższych przykładach, to jeszcze mniéj do tego celu służyć mogą w następnych: *Siwy koń, siwy, zielone popręgi—Kochajcie mnie panny, bo ja chłopiec tęgi* (2), — albo: *Siwy koń, siwy koń, siodełeczko szare — Jakże cię mam pocałować, kiedyś babsko stare?* (3),— albo: *U méj siwéj klaczy podkowa kołacze — Nie chciała mnie Maryś, teraz za mną płacze* (4). W pierwszéj chwili zastanowienia, już nastręczają się do wykładu różnic w treści drugiego wiersza, pewne modyfikacye w osnowie pierwszego, który, prócz konia, wprowadza jakieś dodatkowe szczegóły, wzięte z uprzęży. Ważność modyfikująca tych dodatków wzmaga się przy następnych krakowiakach, już coraz większy nacisk kładących na nie, jak gdyby na rzecz główną: *Uderzył mój konik podkową we wrota — Każ otworzyć, pani, bo mnie bije słota* (5),— skąd wysnuł się nowy krakowiak przez asocyacyą pojęć: *Podkówki u butów, trzy grosze w kieszeni — Tento najszczęśliwszy, który się ożeni* (N. 237),— już tylko wzmianką podkowy połączony z typem konia.

Kojarzenie pojęć jest tu tak ważnym momentem, że najdziwaczniejsze krakowiaki tą drogą można odnieść do pierwotnego typu i wraz z nim wyjaśnić (6). Nie dając się nią przecie omamić, w komen-

---

(1) *Pieśni ludu galic.* str. 173, N. 646; por. str. 159, N. 513. — (2) Tamże str. 161, N. 530. — (3) Tamże str. 169, N. 612. — (4) Tamże str. 118, N. 101; por. str. 132, N. 241 z waryantami: „niechciała mnie jedna, dziesięć za mną płacze", także kołomyjka ruska str. 184, N. 21 i wielkopolska. *Lud* XIII, str. 100, N. 193. — (5) Tamże str. 143, N. 349.
(6) Za przykład może służyć powyższy o podkówkach u butów (*Pieśni ludu gal.* str. 132, N. 237), który przez podkówkę zahacza się jeszcze o konia, ale łączy się także i z obuwiem. Skoro mowa jest o obuwiu, czyli o stroju nogi, już w krakowiaku następnym występuje tylko sam strój korpusu, tułowia (str. 131, N. 226): *Granatowy surdut, kieszenia u boku* (albo: *z boku zapinany*)—*powiedz mi, czy będziesz moją tego roku* (albo: *p. m. dziewczyno, czy będę kochany*). Z krakowiaka (N. 349) o uderzaniu podkową we wrota powstał nowy, chwytający się faktu uderzenia: *Uderzył koniczek nóżką o cembrzynę—Pamiętaj dziewczyno, że ja cię nie minę* (str. 127, N. 191),—albo: *Uderzył koniczek nóżką o podłogę—Tyś mnie zapomniała, ja ciebie nie mogę* (N. 554). Z wyobrażeniem konia łączące się pojęcie ruchu wytwarza cały szereg nowych dystychów: *Bieży konik, bieży—trawka pod nim leży* (albo: *grzywa mu się jeży*)—*Biedny ten chłopczyna co dziewczynie wierzy* (albo: *Szczęśliwy ten chł*

tarzu najpierwotniejszego zestawienia konia i miłości, będziemy się w tym komentarzu powodowali inną zasadą. Mianowicie, dobrze wyraził się Wacław z Oleska, że krakowiak w swym układzie nosi piętno pośpiechu. Nie sięgamy tak daleko, jak on, po przyczyny tego pośpiechu, po przyczyny historyczno-społeczne, ale zgadzamy się na to, że „gdy się w naszym wieśniaku czucia przebrało, gdy pomysł poetycki duszę jego rozpierał; czucie to, ten pomysł wydał na prędce, jak gdyby bojąc się przerwy, w kilku tylko słowach, ażeby choć jedném głębokiém westchnieniem piersiom swoim ulżyć, i tak pierwszy pojawił się krakowiak“ (1). Dodajmy jednak, że bez względu na pomysły i uczucia, jakie wyda wieśniak, a raczéj każdy śpiewak dawny naszéj ziemi, to zawsze w ich zobrazowaniu użył stałych, znanych już sobie zwrotów, przenośni, obrazów; użył tych, jakiémi ciągle się w życiu posługiwał, jakie miały dla niego jasne bardzo i odpowiednie znaczenie.

Dla tego téż: zestawiał konia z miłością w krakowiaku, w sposób dziś dla nas nawet w zasadzie zagadkowy, bo ta bliskość zwierzęcia i uczucia była mu rzeczą pospolitą, naoczną, codzienną, czém dziś dla nas nie jest. I tak: mamy zwrot następny, z pod Kobylina, w Poznańskiém, podchwycony (2):

Dziewucho moja trzymaj mi konia.
Nie będę trzymała, nie twojam żona.
Chociaż nie żona, ale kochanka,
Potrzymaj mi dziewczę mego kasztanka.

Na razie możnaby sądzić, że pieśniarz chciał posługę przypadkową wyjaśnić zażyłością, i że postać konna mężczyzny jest tak przypadkową w obrazach słowiańskiéj miłości, jak to napozór wskazują już dotąd cytowane i jeszcze, bardzo niby wymowny, krakowiak następny: *Hulajcie dziewczęta, cudze a nie moje, — Ja osiodłam konie,*

---

co dz. wierzy, lub: *Niechaj żaden chłopiec panienkom nie wierzy*, str. 158, N. 498; str. 164, N. 504; str. 119, N. 100). — *Biegnie konik, biegnie, bo ma tęgie nogi — Nie żeń się chłopczyno, bo będziesz miał rogi* (str. 162, N. 546). — *Biegnie konik, biegnie, na nim czarna łatka—Pod pretekstem córki umizga się matka* (N. 548). Czasem wracają motywa dawne o uprzęży: *Biegnie konik, biegnie, o jedném puślisku—Pamiętaj panienko o mojém nazwisku* (N. 552). — *Biegnie konik, biegnie, o jedném strzemieniu — Pam. panienko o mojém imieniu* (N. 553). Krakowiak wspominający o koniu i cembrzynie jest łącznikiem typu „koń“ z typem „studnia“, czego tylko modyfikacyą jest kategorya krakowiaków, mówiąca o podłodze i t. p. Nad typem „studnia“ tu się bliżéj nie zastanawiamy dla tego, że łączy się, (i dla téj łączności razem go rozważemy) z typem „woda“, który stanowi grupę bardzo wybitnie różniącą się od typu „deszcz“ i zawierającą w sobie wiele cech starożytnych, potwierdzonych w zupełności przez źródła historyczne, pierwszorzędne, niepodejrzanéj wiarogodności w rzeczach słowiańskich.

(1) *Pieśni ludu gal.* str. XXXVIII. — (2) Kolberg: *Lud* XII, str. 62, N. 128.

pojadę po swoję (1). Z jednéj bowiem strony podróż konna dla wiejskich parobczaków na zaloty tak zdaje się łatwą i konieczną, przy miejscowych stosunkach, że domyślanie się w tém symboliki, mogłoby uchodzić za proste złudzenie. Z drugiéj znowu strony, postać żołnierza konnego, czy to po staropolsku husarzem, sołtysem, czy po nowożytnemu ułanem (2) zwanego, tak często występuje w pieśniach ludowych; tak zresztą znana jest pieśń „*stoi ułan na widecie:*“ że każden skłonny jest nie wierzyć ani symbolice ani starożytności tych postaci konnych, i jedynie widzi w nich odbłysk literacki tego uroku, jaki w życiu dziewczyn wywiera żołnierz wogóle. W Poznańskiém wyraźnie śpiewają:

Oj i gdzie żołnierz trzy dni zabawi,
Nie jednę pannę panią zostawi.
Honor jéj weźmie, cnotę jéj straci.
Żołnierz odjedzie, któż jéj zapłaci?
Ni z nim do księdza, ni do starszego,
Nigdzie nie dojdzie prawa do niego.

Skarga ta jednak łączy się z uwagą:

O i skornoć ja żołnierza zoczę,
Dusza mi zadrży, serce mi skocze,
Boć to żołnierze nie jednéj matki,
Jak się ubiorą, są gdyby kwiatki.

W Czerskiém zaś wyrażono zdanie, że:

Wojskowy, wojskowy, przyjaciel domowy
A gdy mąż na stronie, wojskowy przy żonie (3).

Tego rodzaju atoli pogląd jest *nec plus ultra* sceptycyzmu, jest kresem, do którego wykład na zasadzie tak zwanego zdrowego rozsądku może w rzeczach badań naukowych nad literaturą ludową podjętych, doprowadzić. I formułowaliśmy go téż poto tylko, by żadnéj, znanéj nam wątpliwości i zarzutu nie pominąć.

Tak jednak bezstronnie podając wszelkie zarzuty przeciw swéj teoryi, mamy prawo jéj bronić. i w celu owéj obrony, przytaczamy charakterystyczne wyrażenia pieśni ludowych, podobno decydujące w kwestyi, co oznacza dla ludu koń w jego poezyi i życiu. Śliczny powszechnie znany polonez, zaczynający się od słów:

Wezmę ja kontusz, wezmę ja żupan, szablę przypaszę,
Pójdę do dziewczyny, pójdę do jedynéj, tam się ucieszę—

---

(1) *Pieśni ludu galic.* str. 158 N. 501.—(2) Kolberg *Lud* (*Pieśni*) I, N. 16; Wóycicki: *Pieśni Białochrobatów* I str. 103—105; Ż. Pauli. *Pieśni ludu polskiego* str. 108 N. 14; Kozłowski: str. 87 N. 16, str. 88.— (3) Por. Kolberg *Lud* XII str. 262 N. 504; XII str. 26 N. 58—61, N. 119; Kozłowski, str. 117 N. 42.

zawiera w jednym waryancie, od pruskiego Grudziądza, taki zwrot ważny: *Niekażdy to je(st) kawaler, co na konia siada* (1). Inna pieśń czerska, opisująca spotkanie chłopca z dziewczyną miłosne, zakończone odebraniem jéj wianka, zawiera takie samo ważne określenie: Dziewczyna prosi, by jéj nie zdradził, to jest ożenił się, a on jéj odpowiada: „*Nie zdradzę, nie zdradzę, jak się Boga boję,— Widzisz-że dziewczyno, na koniku stoję*“ (2). Tu się jasno łączy kawalerstwo, to jest prawo mężczyzny do zalotów, do miłości i do ożenienia się, z jazdą konną, z dosiadaniem wierzchowca. W jednéj pieśni z Czerskiego (Kozłowski str. 110 N. 26) chłopiec, przez usta śpiewaka, odzywa się do dziewczyny: „*Dziewczyno moja, bądźże mi rada,—Puść że mi konia do twego sada*“ (3). Dalsza osnowa, bardzo niedwuznacznie wykazuje, że propozycya tego jeźdźca jest oświadczeniem miłosném bardzo realistycznéj natury; forma zaś tych oświadczyn (koń-sad) doskonale wyjaśnia właściwy sens tak cytowanych dawniéj zwrotów: *Dziewko moja, trzymaj mi konia*, (dających powód do kolejnych odpowiedzi dziewczyny, że nie jest żoną, i mężczyzny, że jest kochanką), jako też w zupełności godzi się z definicyą dopiero co podaną, że mężczyzna *tylko* „konny“ ma prawo do miłości dziewczyny.

Z tego stanowiska zapatrując się na wzmiankę jeźdźca w pieśniach, zgodnie z tém założeniem spostrzeżemy, że wszędzie taki jeździec jest zalotnikiem, starającym się o doraźne zyskanie miłości lub też karcącym jéj oddawanie się. Tak np. cykle pieśni, które Wójcicki ponazywał „Szatan,“ „Kara,“ „Wesele wodne,“ itp. (4) przy różnéj dalszéj treści, jeden mają początek. W „Szatanie“ pojawia się jeździec na koniku wronym, na siodełku czerwoném, i po tych znakach poznany, który zbrodniczą (niby) dziewczynę unosi konno do swego dworu (czyli piekła), i tam ją karze smołą za jéj miłość (5). W tak zwanéj „Karze“ (6), utopienie dziecka lub matki opowiadającéj, powieść zaczyna się prawie stale od obrazka:

Tam za (pod) { Krakowem / Toruniem / Warszawą itd. } na błoniu.

Wywija { Jasio / Stasio itd. } na koniu.

---

(1) Kolberg *Lud* I str. 11 N. 1, I. strofa 4.—(2) Kozłowski *Lud z Czerskiego* str. 93 N. 20.—(3) Por. Kozłowski str. 170 N. 33: *A ty Jasiu balamucie—Nie pas koni w mojéj rucie.*—(4) Używamy tych nazw by się zoryentować, nie by uznawać ich słuszność. (5) Wójcicki I str. 99, 292, II 302; *Pieśń ludu galic.* str. 411 N. 278; por. Erben *Prostonarodne česke Pisne* str. 505 N. 60 D'ablova nevesta.—(6) Wójcicki I 92—95, II 293, Kozłowski str. 44 N. 9, Kolberg I. N. 12, Żegota Pauli *Pieśni ludu ruskiego* I, str. 8—9 N. 6.

Anusla
Kasiunla } za nim chodziła.
Marysla itd.

Dziecię { na ręku
w fartuchu itd. } nosiła.

„Wesele wodne“ rozpoczyna się obrazem wianka lub dziewczyny tonących, którym ratunek daje jeździec. przyczém tonie, a wesele odbywa się pod wodą (1). „Wykradziona,“ „Uwiedziona“ itp. (2) snując rzecz o uprowadzeniu dziewczyny z domu rodzicielskiego, porywcę na koniu przedstawia. Dobitnie téż tę rzecz objaśnia pieśń, bardzo rozpowszechniona, w różnych waryantach, wystawiająca drzewo płonące (dodajemy dla zrozumiałości: sobótkowe), z którego skry sypią się na dziewczynę, a do niéj *konno* zjeżdżają się zalotnicy—możny pan, wdowiec, stary, młody... Użycie jéj przy pojawieniu się oblubieńca, przy rozplecinach itp. na Mazowsza (3) i gdzieindziéj dostatecznie charakteryzuje jéj znaczenie i związek z małżeństwem, pomijając już cały nastrój sobótkowy treści. Pieśń weselna w Wielkopolsce nuci (4): *Idzieć ona do kościoła—jako lilija—A Jasinek na koniku—przed nią wywija.* A drugi urywek (5) niedwuznacznie wyraża się jakby w „Wykradzionéj.“

Dacie mi jąm dacie, czy nie dacie?
Tę dziewczynę w { czerwonym
zielonym } kabacie

Na konika wpadnę
I wam ją ukradnę. albo: Na konika wsadzę,
Córeczkę ukradnę.

W innén miejscu (6) przytoczyliśmy pieśni, których treścią jest rzekome zdobywanie Krakowa, Lwowa, Mira, a w gruncie rzeczy, zwyczajny to bohater miłosny Jasio na koniu wywija, i pannę w końcu za okup dostaje. Przytoczyliśmy téż i podobną weselną, w któréj pan młody konno dobywa się na górę, kędy panna przebywa. Nareszcie zacytowaliśmy i klechdę Wóycickiego, p. t. *Szklanna góra*, w któréj młodzi zalotnicy konno po pannę młodę drą się na ową górę.

Przejrzane dopiero co pieśni i wiele im podobnych nie mogły bohatera inaczéj przedstawić jak konno, gdyż drobiazgowy rozbiór wszystkich szczegółów, w każdéj poruszonych, każe uważać je za

(1) Kolberg *Lud* I, N. 16. — (2) Wóyc. I, str. 78, Kolberg *Lud* I, N. 5.—(3) Por. zbiór p. t. t. Kolberga str. 231, N. 109; str. 294, N. 198. *Bibl. Warszawska* 1847 IV, str. 632, N. 99, 636, N. 105; II, 649, N. 46, str. 630, N. 144.—(4) *Lud* XII, N. 139.—(5) *Lud* XII, str. 35, N. 77, 78.—(6) *Epopeja ludowa o Chrobrym i Szczerbcu jego* 1882 r. str. 50 nast. por. str. 47.

beletrystyczną (że tak powiem) przeróbkę pojedynczych motywów obrządku weselnego, na drodze zwykłego kojarzenia pojęć lub systematycznych przenośni dokonaną (1). Pan młody zaś na weselu bez konia się nie obchodzi, jak to już Szymonowicz (1553—1624) w swéj sielance „Kołacze,“ wesele opisującéj, wyraźnie odtworzył z życia, językiem w téż same obfitującym przenośnie, co dzisiejsze, tylko ludowe pieśni. Ustęp ten tak brzmi:

Sroczka krzekce na płocie, pannie się raduje
Serduszko, bo miłego przyjaciela czuje.
Jedzie z swoją drużyną, panicz urodziwy,
Panicz z dalekiéj strony, pod nim koń chodziwy
Koń łysy, białonogi, rząd na nim ze złota,
Panno gotuj się witać, już wjeżdża we wrota,
Już z koni pozsiadali. wszystko się podworze
Rozśmiało, jako niebo od wesołéj zorze!

To jedno XVI-go, jeszcze, wieku sięgające świadectwo, starczyć może za liczny, z dzisiejszych wesel wiejskich zdobyty, poczet dowodów, że pan młody konno z drużbami występuje. Fakt zbliżony powtarza się w obrzędzie sobótek, które należy uważać za rodzaj prologu weselnego, jeżeli nie za część samego aktu ślubnego. Przy takiém znaczeniu sobótek, tém godniejszy jest uwagi związek koni lub wogóle wierzchowców parobczych z uczuciami dziewczyn dla ich jeźdźców, w pieśniach sobótkowych ujawniający się.

Z pieśni rusko-litewskich kupalnocnych widać, jak chłopcy przedrwiwają z dziewczyn w ten sposób, że wystawiają je niewyspanemi w noc tę świętojańską, wymieniając to Hanulę, to Parasię, to Petrywoczkę. Następnie stosownie do osoby nucono, że z płaczu łzy ocierając, moczą dziewczyny: to chustkę, to ogon koni; pędzą na paszę to konie, to woły; szukają sznurów to jedwabnych, to grubych, pętają niémi to konie wrone, to szczury polne (2). Podobną szykaną w wilią św. Jana, to jest przy ogniu sobótkowym, odpłacają się dziewczęta chłopcom, śpiewając że: *parobecek* (imię) *konie pętywa—jego koń kary* (*kasztan*, *wrony*),—a nielubianemu śpiewają: *parobecek* (np. *Felek*) *woły* (*byki*) *pętywa—jego wół gniady*, i nietylko gatunkiem stworzeń pętanych, ale maścią i gatunkiem wierzchowca stopień swéj przychylności dla kawalera znaczą (3). Podobnież wyraża się pieśń wielkopolska (4): *A urodnyć on urodny, jak koniczek jego—Jeszczem*

---

(1) Kolberg raz się wyraził, że lud przerabia dawniejsze na obrzędowe, niesłusznie, bo trzeba rzecz odwrócić (*Bibl. Warsz.* 1858 II 321). I Dulski (*l. c.*) źle sądzi.—(2) Gołębiowski, *Gry i Zabawy*, str. 300; *Powieści podolsko-ukraińskie* Grozy, 1842, II, str. 143.—(3) Kolberg: *Lud* II, str. 110, N. 139; (por. sobótkowe, w czerskiem: Kozłowski, str. 20, N. 3).—(4) XII, str. 17, N. 33.

ja też nie widziała chłopczyka takiego. Tu już niedwuznacznie urodę jeźdźca i konia zestawiono, poczém następują drwiny z samego jeźdźca: *Głowusinka okrągłuśka, gdyby u śledzia—Gębusinka drobniusinka, gdyby u niedźwiedzia,—Czoło ładnie uczesane, gdyby u prosięcia.—A jeszczem ci niewidziała takiego panięcia.* Pieśń nucona w Łukowskiém na weselu przy obiorze drużby, (1) uzupełnia tę pieśń wielkopolską co do wierzchowców. Mianowicie, wystawiwszy panny, jako idące rwać len, dalej wprowadza na ich spotkanie różnych jeźdźców. Ci zaś jadą kolejno na myszy, szczurze, psie, kocie, suce, świni, wieprzu, pliszce, wole, ośle, słoniu, smoku. Jedyny *Walek* (to jest pan młody) *jedzie na koniku, w granatowym żupaniku.*

Niepotrzeba wielkiego natężenia fantazyi, by zobaczyć widoczne pokrewieństwo myśli i obrazu w tych porównaniach jeźdźców z ich wierzchowcami, w tych określeniach wad lub zalet jednych przywarami lub przymiotami drugich, w pieśniach sobótkowych i weselnych. A to pokrewieństwo, jak jednocześnie widziemy, łączy się z użyciem konia w symbolice miłośnéj za synonim kochanka, za konieczne przynajmniéj akcesoryum stosunków serdecznych, między dwiema płciami.

Ponieważ gdzieindziéj zwróciliśmy uwagę na fakt, że u Słowian niemal wszystkie bogi występują konno (2), nie potrzebujemy tego punktu szerzéj tu rozwijać. Wskazujemy tylko na istnienie dwu szeregów powieści, z których jeden mówi o bogach, zazwyczaj do walki z swymi nieprzyjaciołmi, używających koni pod wierzch, a drugi mówi o mężczyznach, konno występujących w zabiegach swych o kobiety. Tym sposobem ujawnia się dziwna równoległość, którą jeszcze powiększa starodawna przenośnia, uważająca broń—jakoto miecz, włocznia, a w ludowych pieśniach większych i w krakowiakach topór lub siekiera,—za bardzo rubaszny dwuznacznik (3) znany już Gallusowi, kronikarzowi z XII wieku, *sicut porta ab ense percutitur, sic soror regis corrumpetur,*—oraz drugi *femoris ejus ensem in ipsum exercuit,*—gdzie miecz lędźwi oznacza syna (metonimia; tu: przyczyna za skutek).

Dwa te szeregi łatwo zleją się w jeden, jeżeli przypuścimy, że w dzisiejszéj literaturze ludowéj mężczyzna-kochanek zastępuje boga-wojownika, a kobieta zastępuje nieprzyjaciela tego boga. Co do tego pojęcia rzeczy, już tak zwana *Völkerpsychologie* zgodziła się na

---

(1) *Bibliot. Warsz.* 1849 I, str. 605—606, N. 150. Podobne wyliczenie szydercze wierzchowców koło Piątku i Kutna, przy zmówinach (*Bibl. Warsz.* 1847, II, str. 649, N. 30):—na myszy, szczurze, wole, koniku.—(2) *Epopeja ludowa*, str. 30—38.—(3) Tamże str. 56—59. Z zwrócono mi też uwagę na związek wyrazów: rąbać i porubca.

równania: kobieta to jest smok, woda, i dziś za odmiany jednego obrazu uważa walkę Apolina z Pytonem, Krakusa ze smokiem, Traetony z Çruvarą, oraz Samsona z Dalilą, Herkulesa z Omfalą, księcia Alemańskiego (Rytogara) z naszą Wandą.

My (ośmielamy się sądzić) — przez nasze badanie krakowiaków, zestawiających konia z miłością, wprowadziliśmy do owego równania mytycznego dodatek: akcesoryum z konia, rzadko wprawdzie spotykane w podaniach innych ludów, ale może charakterystyczne dla rozwoju tegoż samego mytu u Słowian.

Zdarza się jednak czasem i bohaterom greckim walczyć konno; tak naprzykład Belerofont dosiada skrzydlatego konia (1), Pegaza, i z niego zabija Chimerę. W powieści o walce Perseusza z Gorgonami, koń ów skrzydlaty jest dopiero skutkiem walki: po ucięciu głowy Gorgony, powstaje wraz z Chryzaorem, ojcem Geryona (co godne pamięci jak się okaże niżéj), ale w każdym razie, czy to Chimera czy Gorgony, są *zawsze kobietami*.

To stanowi, zdaje się, dość poważną paralelę dla naszéj hipotezy, o głębszém znaczeniu przenośni krakowiakowych: łączących konia z miłością, a następnie obrazów pieśni: nierozłączających męża lub kochanka od postaci konia.

II.

Wzmianka o podaniach innych ludów, łączących pojęcie walki mężczyzny z kobietą (potworem) z obrazem posiłkowego konia, pozwala nam odwrócić porządek rozważań drugiego typu krakowiaków. Zamiast mówić o takiéj np. przenośni, jak: *Z tamtéj strony wody płynie kaczor siwy—Chociaż niepozorny lecz jestem poczciwy* (W. z Oleska str. 118 N. 108),—albo: *Płynie kaczor, płynie, koło mego domu—Kogo kocham szczerze, niepowiem nikomu* (str. 161 N. 528),—albo: *Leciały żórawie, płynęły łabędzie—Pono już z kochania mego nic nie będzie* (str. 174 N. 655)—i zamiast drogą kolejnych rozważań i zestawień dochodzić do „pasienia koni,“ my rozpoczynamy od punktu wyjścia całéj téj przenośni. Jest nim mianowicie powieść Herodota o przygodzie Herkulesa w Scytyi (2). Przygoda zaś ta ma na celu

(1) Pod Wieluniem u nas jest Wideradz, koń „skrzydlaty“ (*Bibl. Warsz.* 1852 III, str. 376).—(2) Nie miejsce po temu wykazywać ślady Słowian w tym historyku greckim. Rzecz to osobnéj rozprawy. Tu cytujemy tylko na dowód, że przygoda Herkulesowa nie jest szczegółem jedynym z zakresu Słowiańszczyzny Herodotowéj, następne fakta: imiona trzech synów Targitaosa (ojca Scytów, wedle terminologii greckiéj): Lejpo-, ksais, Harpo-ksais, Kolak-ksais przypominają imiona patryarchów Słowian u Nestora Kozmasa, Konstantyna Porfirogenety itd. Libusza (Lobetos) Chrobat, Klukas.

wyjaśnić pochodzenie trzech plemion: Agatyrsów, Gelonów i Scytów, a dopina swego celu, w charakterystyczny sposób przekształcając powieść o Herkulesie, który z wyspy Erytryi miał ukraść krowy słoneczne Geryonowi. Herkules przybywa do Scytyi, i sam ległszy na spoczynek, wyprzęga klacze z wozu i puszcza je na pastwisko. Za obudzeniem się, nie znalazł już klaczy, a gdy ich szuka, znajduje je w posiadaniu dziwnego potworu, Echidną zwanego. Jest-to pół kobiety u góry, pół węża z dołu. Zobowiązuje się ta dziewa-wąż zwrócić klacze Herkulesowi, pod warunkiem, że się z nią ożeni, i właśnie z tego małżeństwa pochodzi trzech ojców owych plemion (1).

Co do kradzieży krów słonecznych przez Heraklesa, to znaleziono odpowiednie temu faktowi powieści u Indów (2), że Vritri (grecka Erytrya „ukrywacz“) kryje wody niebieskie w łonie czarnéj chmury. Ahi (wąż) porywa szumiące rzeki czyli (wedle pojęć indyjskich) mlekodajne krowy i zamyka w głębi gór. Czarną chmurę i górę rozbija Indra pociskiem ukutym dlań przez Tvashtrego, albo wedle innéj metafory, musi krowy niebieskie tj. chmury wydoić. U Greków np. Apollo pasie bydło u króla Admeta, a Merkury-Hermes go okrada z niego, czego pierwowzór znaleziono w trzodzie obłoków w niebie przez słońce pasionych, a przez Saramejasa zganianych. I w Rzymie znano porwanie krów słonecznych przez Herkulesa, i umiejscowiono całą przygodę przez opowieść, jakoby Kakus, syn Mulcybra, mieszkaniec Awentynu, odkradł je Herkulesowi (3).

Na pierwszy rzut oka już, nasza poezya ludowa dostarcza wyrażenia, które, stojąc w genetycznym związku z powyższą metaforą, świadczy: o możebności bezpośredniego zestawiania zasobów tejże naszéj poezyi z zabytkami literackiémi najdawniejszéj, najrealniejszéj w fantazyi, cywilizacyi indyjskiéj; o przechowaniu się w pierwszéj zasad i sposobów myślenia i mówienia drugiéj. Stwierdzenie takie głębszéj zasadowości w pomysłach poezyi ludowéj może tylko poprzéć słuszność naszego sposobu jéj badania i otrzymanych w niém rezultatów.

Znaném jest ludowo-meteorologiczne przysłowie: *Kiedy deszcz pada a słońce świeci,—Czarownica masło kleci* (4),—albo: *Dyabeł żonę*

---

(1) Herodot IV 8, 9.—(2) Por. Rigveda ed. Rosen I, str. 32 nast. „Na górze zabił (Indra) Ahi, wypuścił wody i rzeki z gór, jak cielęta do krów tak biegą wody do morza“... „Dobyłeś z obłoków wodę, złamałeś pęta zródeł i potoków; kiedyś Indro rozłupał wielką górę, wytrysł potok.“ — (3) Mommsen *Römische Geschichte*, 1865, I, str. 27, 18.—(4) Inna przenośnia brzmi: „królowa perska (panna, M. Boska) płacze.“ Czy *perska* = *Pairanyas* (*Indra pluvius*)? Zdają się należeć te metafory do innego szeregu pojęć,

bije.—Uprzedzeni przez obrazy metafor indyjskich, wystawiamy sobie blask słońca w postaci Indry, który przebija chmury dżdżyste (t. j. dyabeł żonę, np. smoka bije), i dobywa z tych krów niebieskich mleko niebieskie, czyli deszcz. Nasz lud nie zapomniał o ostatniém równaniu, skoro mówił, że z wody dżdżów można masło (jako z nabiału) robić (1).

Jeżeli tak szczęśliwie jedna przenośnia indyjska odnalazła się u naszego ludu, to jest wielka pokusa szukać, czy i druga, z zakresu tych samych faktów meteorologicznych, a już u Herodota sprowadzona na grunt „scytyjski", w formie powieści o klaczach Herkulesowych, z pastwiska przez dziwowęża zabranych, a tylko za cenę małżeństwa zwróconych — jeszcze się dzisiaj w poezyi ludowéj nie używa?

Odpowiedź niezmiernie łatwo nastręcza się. Najprzód zanotujemy pieśń haiłkową (na Wielkanoc): „*proso sijali*" (W. z Ol. str. 53, N. 5), w któréj len depczą konie; po zajęciu koni „jedwabnym niewodem", wykupują zajęte z razu ceną 100, późniéj 1000 rubli. Gdy tego okupu nieznany zaborca koni nie przyjmuje, dają mu „*diwyciu*" (2). Jestto niby podanie Herodota na opak. Ważna téż jest pieśń weselna przy wiciu rózgi (Kolberg II, 50), wedle któréj dziewczyna wije 3 wianki, *pasie* 4 *woły*, starosta (weselny) *zajmuje* je, a ją sadzą za stół; „*główka*" boli, „*dziewka*" mi się spodobała."

W liczbie pieśni weselnych (co warto pamiętać) z Żółkiewskiego i śpiewanych już po ślubie kościelnym, cytuje Wacław z Oleska następną:

Po za dunajom koni sywy i woronyji
Żuryw sia starostońko (weselny),
Komuby popłynuty, stadeńko powernuty?
Uczuła toje swaneńka, ne żurysia starosteńku
Położu ti mosty z biłoji ryby kosty,
Tudyi ty pejidesz, worone stado wernesz (3).

Widocznem tu jest, że w pamięci weselników kołacze się jakieś pasienie stada koni, ich zaguba, zabiegi o jego odzyskanie, a trud ten powierzony kierownikom obrzędowym wesela (zamiast państwu młodym). Toż samo wspomnienie (4) powtarza się w pieśni, którą

---

co jednak nie może obalać, naszém zdaniem, zasadności wykładu tamtéj metafory w ten sposób, jak mówiemy w tekście: jeden bowiem i ten sam fakt zmysłowy może być różnie w porównaniach wyrażony.

(1) Gołębiowski (*Lud* str. 163) mówi o analogicznem zbieraniu *rosy* przez czarownice w *skopek* (naczynie dla mleka przeznaczone). — (2) O wydaniu panny téż mówi lubo w innéj formie pieśń hailkowa (Woycicki, *Pieśni Białochrob.* II, str. 324): „*diwka na wydaniu*"; Gołębiowski: *Gry* str. 65. — (3) *Pieśni ludu galic.* str. 14, N. 36. — (4) Tamże str. 9, N. 21.

nucą przy rozplataniu warkocza do ślubnego stroju panny młodéj także w Żółkiewskiém, tylko że pasienie (bez zguby, co zgodne z czasem kiedy pieśń nucą) dotyka już bezpośrednio Maruneńkę, to jest oblubienicę:

Krasnaja Maruneńka zahanìała stadońka w horod na zìłonka,
Stado moje woronoje, wydopczy ty ziła moje, nechaj sìa nie zìstaje.

Pieśń, przez Woycickiego i innych zatytułowana *Nowina*, przedstawia całą przenośnię równie dokladnie. Tak np. na Kujawach, po oczepinach śpiewają, że Jasiowi konie zajęto do Torunia, tam „*dziewucha wrone konie pasła*", pasła je nad wodą, chełpiła się urodą,—„*Oj cóż to tam za uroda była, kiedy konie potopiła*". A po tém pasieniu koni zaraz następuje motyw weselny, że dziewczyna stoi na moście (po którym zwykle „cnota panieńska" ucieka i pan młody przyjeżdża), kłania się staroście (weselnemu, w pieśni z Żółkiewskiego zaganiającemu zgubione za rzeką stado koni), a ten jéj zwiastuje nowinę, to jest urodzenie dziecka (1). W innych pieśniach Jaś jedzie od Torunia i pędzi nie konie ale gąsiory, wygląda za nim maleńka (mileńka?) z komory, wywichnięcie nogi przez Jasia sprowadza go na łoże, rzecz się kończy urodzeniem syna (2). Z Czerskiego pieśń tak brzmi, ze zmianą roli osób: *Kąpała się Kasia w morzu, pasła koniki w zbożu— Wysed* (ł) *Jasieńko z zabora, pognał koniki do dwora.* (Zamiast więc coby, jak u Herodota smok-dziewica porywał konie, czyni to Jaś symboliczny): *Jak się Kasia wykąpała, za Jasieńkiem pobieżała....* Następuje potém opis schadzki, w kolorach niewierności małżeńskiéj (3).

Dzisiejszy sceptyk mógłby i w téj kwestyi walczyć z nami dowodem „dzisiejszości." Materyał, z którego korzystamy, i jemu może broni dostarczyć w téj mierze. Szczerość wyrażeń w pieśniach zdaje się nawet pozornie przeciw nam jemu dawać wygraną. Jednakże badacz—obyty z frazeologią literatury ludowéj—nigdy się na téj szczerości nie omyli. Jest pewna *myszka*, tkwiąca w akcesoryach, pewna woń archaiczna, która odrazu wykrywa rzecz autentyczną, utworzoną w duchu i z materyału starożytnego, odróżnia ją od późniejszych naleciałości, dla których nieraz czas można wskazać.

Tak oto krakowiak jeden (Wac. z Oleska str. 162, N. 543. 546) nuci: *Pod góreczkę jadę, ustali mi konie—Chodźcie chłopcy do mnie, mój mąż na kordonie.*" Drugi wyraża się: *Biegnie konik, biegnie, bo ma tęgie nogi.* Porównajmy z nim także ten (str. 153, N. 450): *Żona męża*

---

(1) Kolberg: *Lud.* Serya IV (Kujawy, część druga), str. 17, N. 133; str. 92, N. 180 i 181; str. 57, N. 17; Serya II, str. 131, N. 104.— (2) IV cz. 15, N. 129.— (3) Kozłowski: *Lud z Czerskiego* str. 49, N. 12.

swego pięknie oszukuje—Męża gdzie wyprawi, a z innym nocuje. — Otóż to miłości małżeńskiego stanu — Nie trzeba się żenić ni słudze, ni panu.

Obrazy w dwu pierwszych są dla nas zagadkowe, w trzecim nic tajnego niema. Tożsamość we wszystkich faktu jest widoczną. A jednak znawca nie weźmie ostatniego krakowiaka za autentyk archaiczny. Wprawdzie i wyraz „kordon“ określi pierwszy krakowiak za niezbyt dawny (1), po 1773--1795 r. Mimo to, włączenie do obrazu wzmianki koni przenosi nas w czasy... pogańskie, czego trzeci krakowiak nie zrobi; zbyt jest realistyczny w przedstawieniu, by był tamtym współczesny.

Weźmy drugi przykład. Oto jeden wieści: *Ja pijany byłem, a tyś wołki gnała — Ja o tém nie wiedział, coś ty wianek miała* (2). Drugi podobnie się wyraża (3): *W dębinie ja wołki pasła, onę nocka zasła— Ach mój Boże, co się dzieje, opadli mi skarb złodzieje — Trudno bronić skarbu tego, co każdy ma klucz do niego.* Trzeci mówi przenośnie (4): *Gnała pastereczka doliną, myśliweczek za nią z nowiną — Nowinę jéj powiedział, wianeczek jéj odebrał.* Niepodając w wątpliwość najmniejszą, że tu i tam jeden i ten sam fakt został opisany, w każdym razie zyskamy od każdego przeciwnika dobréj woli przyznanie drugiego faktu. to jest uznanie różnicy stylowéj w opisie jednego i tego samego wydarzenia. Ta właśnie różnica niewątpliwa w frazeologii, świadczy dostatecznie za słusznością naszéj hipotezy, że choć fakt fizycznéj miłości, opiewany w naszych pieśniach ludowych, jest zarazem i odwiecznym i spółczesnym, to przecie warunki, w jakich się dopełnia (pasienie koni, wołów....), nietylko są wynikiem dzisiejszego dopiero sposobu życia, ale téż istniały przedtém, miały racyą bytu już za Herodota.....

Użycie podobnych pieśni w obrzędzie małżeńskim wskazuje, że lud przywiązuje do nich znaczenie symboliczne, gdyż nowoczesny ślub kościelny i wesele nie mają nic wspólnego w akcesoryach ze scenami nocnych pasionek koni i bydła na wsi, a jeśli poezya zachowuje wspomnienie spółczesności podobnych wypadków, to chyba sięga czasów, kiedy fakt dokonany w podobnych warunkach był ślubem prawnym, to jest czasów pogańskich. O to téż tylko nam chodzi.

Widzieliśmy już w pieśniach weselnych spółrzędność pasienia koni, wołów, ze stratą wianka przez dziewczynę; znaleźliśmy w pieśni oczepinowéj wzmiankę o pędzeniu gąsiorów z częstemi (dziś) skutkami pasienia koni i wołów. Zupełnie w sferze tych samych przeno-

(1) Por. W. z Oleska N. 374, str. 145: *Nie będę się żenił w cesarskim kordonie— W bankocetlach posag i cóż mi po żonie?* — (2) Kozłowski, *Lud* str. 91, N. 19; Wacław z Oleska, *Pieśni ludu galic.* str. 456, N. 348. — (3) Kolberg. *Lud* IV, str. 46, N. 205.— (4) Tamże I, str. 224, N. 21.

śni obraca się pieśń sandomierska „Gąsior“ (1), którą w całym kraju znajdujemy:

Z tamtéj strony jeziora
Jechunder mach cumber
Jaworowy Wojtek, zaborowy jeziora,
Pasła Kasia gąsiora, pasła Kasia jechunder etc.

Pasienie ma smutny dla Kasi koniec, bo ją gąsior, jak starożytny Zeus przemieniony w łabędzia, o tęż samą dolę, co Ledę przyprawia „ukąszeniem w brzuszek.“ Zato zgodny z rezultatem pasienia koni i wołów. Inna pieśń ma pawia w roli gąsiora, a przygodę całą snuje językiem nie dzisiejszéj epoki, a w swéj symbolice bardzo znanym i jasnym (2): *Tam na morzu Czerwoném rybacy siatki rzucają — Coś dobrego ułowiono? złoty pierścień ułowiono — Przez ten pierścień woda bieży, pod tą wodą trawa leży.* (Cały ten ustęp, dla nieobeznanego z frazeologią ludową, okaże się bardzo ciemnym. To gwarantuje jego autentyczność i starożytne pochodzenie. Wszystkie zaś przenośnie pojawiają się w utworach treści erotycznéj, co tylko stwierdza znaczenie części następnéj): *Po téj trawie chodzą pawie, a te pawie panna pasie — Panna pasie, piórka zbiéra, piórka zbiéra, wianki wije — Wianki wije, złotem szyje, dary słała komu chciała — Otóż tobie panny dary, fartuszek wyszywany — Fartuszek, koszuleczkę, otóż tobie i chusteczkę.*

Pieśń szląska (3) opowiada toż samo w innym porządku rzeczy:

Przy tym rudzkim dworze zieleni się trawka,
Pasła tam dzieweczka maleńkiego pawka;
Ten maleńki pawek bardzo rozpuszczony.
Potargał dzieweczce fartuszek czerwony (4).

Co niżéj ona sama objaśnia:

Utraciłam wianek z samego złota,
Pójdę ja ci pójdę drobnych rybek pytać,
Jeśli nie widziały mego wianka pływać.

Pieśń weselna sandomierska wspomina o dziewczętach, co pasą gołębie i wołają je do siebie, gdy się rozbiegały (5), co niewątpliwie daje równanie paw = gołąb' (6), jak już poprzednio otrzymaliśmy równoważne symbole: koń = wół = gąsior = paw'.

---

(1) Kolberg, *Lud.* II, N. 180, str. 148; Woycicki, *Pieśni l. Białochrobatów* I, str. 167; Żegota Pauli, *Pieśni l. polsk.* str. 120, N. 25; Konopka, *Pieśni l. krak.* str. 112, N. 13.— (2) Woycicki I, str. 170; por. Kolendy podolskie Dulskiego (Bibl. Warsz. 1858, III, 313. (3) Roger, *Pieśni l. szląsk.* str. 49, N. 88; por. Kozłowski str. 107, N. 32.— (4) Co do znaczenia fartuszka por. pieśń oczepinowa (Kolberg II, str. 90, N. 123). — (5) Kolberg, *Lud* II, str. 47, N. 43; por. I, *Pieśni* N. 10. — (6) Pieśń kujawska weselna (Kolb. III, str. 270, N. 32) istotnie toż samo mówi o pawiu.

Te równania tłómaczą nam znaczenie takich zestawień w krakowiakach: *Siwy gołąbeczek śród dębu siedział—Dałabym ci gęby, alebyś powiedział* (Woycicki II, str. 105, 375). — *Z tamtéj strony wody lata gołąbeczek — Nie widać, nie słychać, gdzie mój kochaneczek* (Wac. z Oleska str. 161, N. 529).

Ponieważ pieśń weselna kujawska (1) podstawiła za konie pasione „kaczyce“, ze wszystkiémi skutkami pasienia; zjawiły się więc krakowiaki: *Po głębokiéj wodzie płynie kaczor siwy — Jaki taki wesół, a ja nieszczęśliwy* (W. z Oleska str. 105, N. 8). — *Na wodzie, na Wiśle płynie cyraneczka — Niewidać, niesłychać mego kochaneczka* (str. 174, N. 654) (2).

Zamiast kaczora, pojawia się gęś i inne ptastwo: *Płyną gąski po Dunaju — Ach mój Boże złączże nas ju* (Kolberg I, N. 332, str. 408).— *W zielonym gaiku dziobała kokoszka — Tę panienkę kocham, co dziobała troszka* (W. z Ol. str. 163, N. 555).

Tu téż należy sławna pieśń i przy weselu i w mazurze śpiewana: *Uciekła mi przepióreczka w proso*,—z któréj powstał krakowiak (Wac. z Ol. str. 151, N. 433): *Przepióreczka w proso, a kos na drzewinę—Dopierom ja poznał filutkę dziewczynę.*

Z drugiéj strony, kombinacya ptaków wodnych i powietrznych stworzyła krakowiak: *Leciały żórawie, płynęły łabędzie — Ponoć już z kochania mego nic nie będzie* (W. z Ol. str. 143, N. 350; por. str. 174, N. 655) — i drugi: *Latali gołębie, pływali karasie — Kiedy jeden kocha, to drugiemu zasie.*

Że pamięć tych podstawień do dziś dnia trwa i nie jest czczą hipotezą ich zasada, dowodzą następne pieśni szląskie. Jedna brzmi: *Po tych pszyńskich stawach biały łabęt pływał — Ten mój kochaneczek już o mnie zapomniał* (Roger str. 99, N. 180). Druga uzupełnia przenośnią wyraźném twierdzeniem tożsamości (Roger str. 104, N. 194):

Siałem *proso* na zawrocie, nie będę go żąć;
Piękne dziewczę miłowałem, nie będę go mieć.
....*tylko jako łabęt byłem,*
wieczorem jéj grawał....
W nocy nie spałem, przecię to dziewczę nie wziąłem.

W cyklu „Jaś i Kasia“ (Kolb. *Pieśni* I, N. 5, str. 62, strofa 26) równie wyraźnie powiedziano: *Kasiuleczka pływa, jako ceraneczka— Nie wróci jéj ojciec, ani mateczka.* A tożsamość tak wyraźnie zaznaczona tłómaczy pieśni, które są przekształceniem *wesela wodnego*,

---

(1) Kolberg, *Lud* IV, str. 42, N. 188 i 189.— (2) Na Wołyniu w wilią Now. roku dziewki na wydaniu śpiewają o zgubie pasionych *kaczek*, szukająca trafia do Wasila orzącego w czystém polu (Bibl. Warszaw. III, 294, r. 1858).

a w których rolę młodzieńców, ratujących konno płynącą pannę lub wianek (1), grają „łabęty."

W Wodném weselu jest: wicie wianka z ruty lub z czegoś podobnego, puszczanie go na wodę: z drugiéj strony wody jadą konni, śpieszy jeden ratować, tonie. W przeróbce jest:

Miałam ci ja złoty wianek, wpadł mi do wody.
Nie płacz (*bis*), nie lamentuj, bo mamci dwu łabętów,
Popłyną ci poń itd. (Roger str. 31, N. 5)

Téż same siwe łabędzie charakterystycznie występują w pieśni niby o rekrutach (Kozłowski str. 136, N. 5), w któréj z kolei następujące wzywanie przez topielca o pomoc różnych członków rodziny, wskazuje na przeróbkę z weselnéj, opiewającéj tonięcie państwa młodych (2). To skojarzenie obrazów, bynajmniéj nie będąc objawem nonsensu, owszem, przeciwnie stwierdza pierwotny związek symboliczny i rzeczowy tychże obrazów w praktyce pogańskiéj.

Jakby na potwierdzenie téj myśli, jedna pieśń (3) wyraża się dosadnie, jak to jest zwykła przenośnia: *Na téj lipie, na téj zielonéj, trzéj ptaszkowie śpiewali—Nie byli to ptaszkowie, ale kawalerowie.*

Najbardziéj nauczającą w kwestyi tych podstawień, jest pieśń zwana przez Woycickiego „*Przemiany*", a dająca jakby klucz do powyżéj przedstawionego systematu podstawiania się metafor (4). W téj pieśni dziewczę, unikając chłopca, zapowiada: *A ja się stanę drobną ptaszyną, będę latała gęstą krzewiną.* Chłopiec oświadcza: *Mają tu cieśle takie topory—Co wycinają lasy i bory.*—Dziewczę: *A ja się stanę małą rybeczką—Będę pływała bystrą wódeczką,*—potém: *A ja się stanę dzikim kaczorem,*—wreszcie: *gwiazdką na niebie.* Jéj waryant podaje inne przeobrażenia dziewczyny: rybka, gołąb' (chłopiec w jastrzębia) kaczor i gwiazdka (5).

III.

Osobną grupę stanowią krakowiaki, w pierwszym wierszu wspominające studnię albo cembrzynę, i, jak to już poprzednio nadmieniliśmy, dość ściśle wiążące się z typem „koń". I w téj grupie będą wielką pomocą pieśni większe, a nawet opowiadania prozaiczne,

---

(1) Kozłowski 43; Kolberg: *Pieśni* I, N. 16; W. z Oleska str. 507, N. 27. — (2) W. z Ol. str. 1—2, N. 1, str 9, N. 24, str. 226, N. 25, str. 163, N. 887, Konopka str. 54, str. 16, N. 97, por. Kolberg I. (Pieśni) N. 12 s.—(3) Kozłowski *Lud* str. 60, Kolberg *Lud* II, str. 175, Wacław z Oleska str. 504, N. 24.—(4) Wacł. z Oleska str. 417. N. 287. (5) Kolberg Lud IV, str. 19. N. 137.

które (wedle naszego przynajmniéj doświadczenia) powstawszy z formy rymowéj, nic dziwnego że z jéj treścią się zgadzają. Takie rozszerzenie zakresu porównywanych materyałów bynajmniéj nieszkodzi wartości rezultatów. Owszem; wyprowadza to na jaw, jak i dotąd to już mogliśmy zauważyć, pewną *powszechność* jednych i tych samych motywów, różnorodnie skombinowanych. Jesteśmy przez to świadkami ciągłéj, jakby, reperkusyi tych samych pojęć, myśli, obrazów w nowym a racyonalnym związku; tenże sam temat, mocą kunsztownéj stylistyki, mnoży się bez końca; mnóstwo zaś tych odmian tylko podnosi wrażenie, czy to ilości nigdy niewyczerpujących się podstawień, porównań, antytez itd. czy téż stałości niewielu zasadniczych motywów. Na mniejszą skalę, to maestrya tegoż rodzaju, która z 3 nut w pewném tempie wydała *Sinphonia eroica* Bethowena. Grupa „cembrzyna“ albo „studnia“ jest może z tego względu najciekawsza, że, choć samodzielna, blizkie ma pokrewieństwo z grupą „woda“, i z niéj wiele otrzymuje objaśnienia.

Typowy krakowiak z niniejszéj grupy brzmi: *Dudni woda, dudni, w cembrowanéj studni—Zakochać się łatwo, lecz odkochać trudniéj.* (Kozłowski *Lud* str. 286, N. 124, Wóycicki II, 208, N, 69).

Najogólniejszy sens tego krakowiaka leży w połączeniu myśli o miłości z wodą, zawartą w studni. Łatwo spostrzedz, że to zestawienie nie jest oderwane, nie stoi samotnie w literaturze naszéj. Tak np. powiastka kujawska o *wężu zaklętym* (1) niesie podanie o studzience, w któréj mięszka wąż zaklęty tj. młodzian w niego zaklęty; tylko temu zaś da wody zaczerpnąć wąż utrapiony, kto zechce być żoną jego. Podobny dziw-psisko mięszka w źródle i poślubia dziewczynę, która zgubiła grzechotkę i dzbanuszek w źródle, a to wedle tradycyi Czerskiéj (2). Pieśń weselna kujawska, nucona przy zdejmowaniu wianka pannie młodéj (tj. przy oczepinach) zawiéra taki obraz:

Zapłakana Maryś nad studnią chodziła,
Zielony wianyszek we wodzie zgubiła.
. . . .
Sięgajże go Maryś, sięgaj go aż do dna,
Jeszcze go dostaniesz, jeżeliś go godna (3)

Pieśń kolędowa krakowska (Konopka str. 94, 95) nuci: *W tym rajskim sadeczku lipka zielona—Oj pod tą lipką zieloną studzienka cembrowa*—i daléj opowiada, jak „Marya (M. Boska) umyła się,“ co jest zwykłém preludium miłosném, rodzi syna, i chce ryby (także symbol

(1) Kolberg III, str. 122, N. 4.—(2) Kozłowski *Lud* str. 296, por. Kolberg I, str. 296, Baliński *Powieści ludu* str. 130.—(3) Kolberg IV. str. 272, N. 36, str. 302, N. 76.

miłosny) jeść. U Podhalan (Zejszner str. 44 N. 25, str. 56, N. 58) śpiewają:

W lesie kochaneczka, w lesie studzieneczka,
Przy niéj frajereczka (kochanka) stoi, piórko (wianek) me wije ze zielonéj lelije.
Studzienna wodziczka pójdźmy chłopcy na nie,
Dyć se napijemy damy nic za nie.

Do tego można dodać okoliczność, że w Lubelskiém i na Mazowszu rano we wróżebny dzień ś. Jędrzeja, dziewczęta zaglądają do studni, by w niéj ujrzéć przyszłego męża (1).

Jeśli porównamy z sobą te szczegóły, zobaczymy w powieść ze studnią wplątane to małżeństwo wyraźnie i niewątpliwie, to przenośnie symboliczną utratę wianka, to wreszcie równoznaczne z tamtémi porodziny dziecka. Najpowierzchowniejsza znajomość nietylko podhalskiego, ale tyrolskiego i innych okolic, frajerowania, zmusza i wicie wianka przy studni, przez frajerkę, dla kochanka, wziąć za nowy synonim wyrazowy tego samego faktu, co i poprzednie.

W takim razie, taki waryant w rozbieranéj już przez nas pieśni (Kolberg I, *Pieśni* N. 5, mm, str. 59):

I przywędrowali na *stare studniska* (2)
Zdymaj że Kasiulu te srebrne suknisko.

straci barwę nonsensowego tylko rymu. Oprócz konia, wędrówki na nim dokonywanéj przez dziewczę z lubym, będzie to nowy dowód, że pieśń „*Jasio konie poił, Kasia wodę brała*" zawiéra w sobie cały szereg faktów z cyklu weselno miłosnego, że żaden najmniéj niby znaczący motyw nie jest użyty bez pewnéj zasady loicznéj.

Roli studni w innych obrzędach nie rozważamy (3). O ile studnia z żórawiem ma symboliczne, zmysłowe, znaczenie w stosunku do małżeństwa, również nie wchodzi to w nasz rachunek. Nie zaprzeczamy go bynajmniéj, ale sądzimy, że wyobraźnia pogańskiego Słowianina nie łączyła studni w ten sposób powszechny z małżeństwem, jak dajmy na to u Indyan i Greków łączył się moździerz i tłuczek, lub żarna (4).

---

(1) Wóycicki *Archiwum dom.* str. 574.—(2) Ciekawe etymologia daje zestawienia: *studnia* jest w związku z *w-stydem* i *studz-eniem*, w lot wyobraźnia stąd snuje obraz: w studni wstyd ginie.—(3) W Łużycach np. na górze Morani (koło Eilau) i Lerberg myją się w studni na Zielone Świątki (*N. Lausitz. Magas.* 1829, 3 str.) Na nowy rok w Wogezach na studni w lesie stroją gaik (*Illustrirte Welt* 1857 str. 17—18), u nas z lasu „po moście" idzie gaik.—(4) Godna uwagi, że najdawniejsze podanie o Ludgardzie, żonie Przemysława II, zabitéj z jego rozkazu, opisuje jéj śmierć w ten sposób, że została między dwoma kamieniami młyńskiemi roztarta (1283. *Mon. Bielow.* II, str. 849). Może te kamienie młyńskie zastępują pierwotniejszą wzmiankę o żarnach, także prokreacyjnego

Zdaje nam się, że grupa „studnia“ (cembrzyna) powstała na zasadzie synegdochy, biorącéj formę ogarniającą za treść (wodę) ogarnioną, i przyznając jéj samodzielność pewną, będziemy jednak tę grupę, ze względu na treść, za waryant „wody“ uważać. Co do studni, to byśmy chętnie widzieli w niéj dowód, jak pod wpływem cywilizacyi, stosunki życiowe dopełniają się w coraz ulepszonych warunkach. To się znaczy, że studnia (cembrzyna) dla nas jest fazą postępową, objawem skupiania się ludności we wsie, osady, z sztucznie tworzonémi zbiornikami wody, będącémi teraz tak miejscami poświęconémi scenom miłosnym (1), jak niegdyś woda, w jeziorach, strugach swobodnie ciekąca.

Wszelkie bowiem powody mamy mniemania, że podanie greckie, wywodzące Wenerę, boginią miłości, z wody (piany morskiéj), jest jakby kluczem wielu naszych przenośni i to tém łacniéj do słowiańskich stosunków się nadającym, że warunki topograficzne starożytnéj Słowiańszczyzny były odpowiednie, aby stworzyć takie metafory: wodno-miłosne.

Pomijając już imiona ludów słowiańskich jak Ligiowie (łęg, ług) i Wendowie (woda), bliskie z wodą mających stosunki, przypominamy Jordanesa wyrażenie, podające lasy i bagna za miejsce pobytu Słowian. Nestor w XII wieku jeszcze silniéj, niż Jordanes a nawet cesarz Maurycy, związał byt Słowian z wodą, w naszych pojęciach, zapisując w swéj kronice (*Mon.* Biel. I, str. 559), że śluby u Drewlan nie istnieją, lecz dziewczęta porywają sobie mężczyźni „u wody.“

Ta jedna wiadomość dziejowa, związek małżeński z wodą topograficznie łącząca, wystarcza (naszém przynajmniéj zdaniem) do nadania studni, w naszych krakowiakach lub pieśniach wspominanéj, roli jedynie: odmianki tekstowéj, waryantu zwyczajnego. Ów bowiem fakt dziejowy, u Nestora zapisany, na równi ze studnią poetyczną, stawia cały rój jednoznaczników (synonimów) i zjawisk mających wspólne źródło w fakcie małżeństwa u wody.

W samych utworach ludowych mamy wskazówki, że studnię brano za ekwiwalent wody. np. rzecznéj. Tak np. na Wołyniu druga

---

w mitologii znaczenia. Długosz z roczników lub z życia zaczerpnął wieść, o oplewaniu téj zbrodni książęcéj, przez lud, a głównie o powtarzaniu jakoby skarg zabijanéj, proszącéj o odesłanie do rodziców, choćby w koszulce jednéj (Długosz IV, str. 469—470, 481, 533) Są to istotnie, jak by skargi dziewczyny z „Jasia i Kasi,“ także rozbieranéj przez kochanka-męża, a trzeba zauważyć, że młyn (*totum pro parte*) gra w utopieniu téj Kasi niemałą rolę. Wszakże główną tu rzeczą jest woda (patrz niżéj)

(1) Porównać jeszcze biblijną scenę—Elezara i Rebeki, i z dzisiejszego Wschodu, lub Ukrainy schadzki u studni.

strofa pieśni w Nowy rok przez dziewki na wydaniu śpiewana (1) opiéwa, jako dniestrowę wodę piją. na kamieniu nogi myją, fartuch moczą, a wiatr go suszy (por. fartuszek w „Gąsiorze“). W pieśni ruskiéj weselnéj, nuconéj przy powrocie ze ślubu (2), występuje dyalog identyczny sokoła (pana młodego) z kumą: *gdzieś kumo była, żeś nogi zbrudziła, wianek* (pironka) *zrosiła?— Wodę studzienną* (zam. Dniestrową) *piła, i tam nóżki zbrudziła i wianek zmoczyła.*

A kiedy na Mazowszu i w Lubelskiém, jak wspomniano, dziewczęta w studni dopatrują wizerunku swego przyszłego, to w Sandomierskiém, miejscem podobnych wróżb jest rzeka, strumień, lub staw (3).

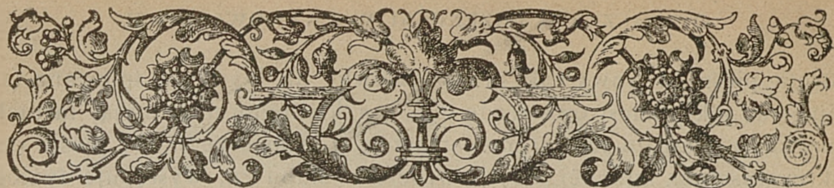
Kiedy znowu w już znanéj nam pieśni oczepinowéj kujawskiéj dziewczę, stając się panną młodą, gubi wianek w studni i próżno sili się go dobyć (4), to pieśń szląska podaje waryant o tymże wianku, wpadającym do wody wogóle (5), a pieśń Podhalan, górali karpackich (6) głosi: *Topi się, topi się, mój wianeczek topi—Poniżéj „majerza“ łapają go chłopi.* Ten majerz, albo minior (Zejszner str. 74, N. 219), jak go inaczéj zowią Podhalanie, wyjaśnia nam nazwę studzienki, gdzie smok v. robak, a przyszły mąż siedzi i czerpiącéj wodę mówi (w kujawskiém podaniu): *Jeśli będziesz ślubowała, z tego m o r z a będziesz brała.*

W pieśni zaś „*Jasio konie poił, Kasia wodę brała*“ (Kolberg: *Pieśni* I, N. 5) — z zastąpieniem tylko wianka przez kobietę (o czém niżéj)— mamy waryanty: stawik, dunaj, zimny zdrój, morze (str. 37, litera *l*), zwane téż stawiczkiem, czerwone morze (litera *gg*, str. 55), czyli dunaj, studniska, a spotkanie odbywa się u zdroju zimnego, u bieżącéj wody (lit. *qq*, str. 63), lub studzieneczki (lit. *oo*, str. 59), co daje toż samo co wyżéj równanie.

---

(1) Bibl. Warsz. 1858, III, str. 299 pierwsza o pasieniu kaczek. — (2) W. z Oleska str. 11, N 29. — (3) Gloger: *Obchody weselne* I, str. 51—52. — (4) Kolberg III, str. 272, N. 36; str 302, N 76; str. 318, N. 104. — (5) Roger str. 31, N. 37. — (6) Zejszner str. 75, N. 221. Pieśń z pod Piątku i Kutna (Łęczycko-gostyńska) weselna, wyraża się jak poprzednie: *Już to po sprawie* (bis)— *Utopiłaś swój wianeczek w tutejszym stawie* (Bibl. Warsz. 1847, IV, str. 657, N. 44). W wieluńskiém po oczepinach (str. 593, N. 78) wianki spadają do wody: *Łabędź płynie, wianek tonie do samego dna — Juści, juści ty, bladuniu* (? blada) *wianka niegodna.*

Ernest Sulimczyk Swieżawski.



Czyż to nie wiersze Reja?

(Nieznane polskie i łacińskie wiersze politycznéj treści 1548—1551, wydał Józef Korzeniowski. Kraków. 1886, str. 36).

Wiadomo, jak wiele utworów Mikołaja Reja, zwłaszcza drobniejszych, zaginęło. Z wyliczonych przez jego biografa, Jędrzeja Trzycieskiego, dwudziestu kilku pism i pisemek, mało co więcéj nad połowę znamy dzisiaj. O odszukaniu reszty prawie zwątpiliśmy. Dlatego téż, gdy nam błyśnie nadzieja, że przecież ona nie nawieki stracona, doznajemy radości niemałéj. Zdaje mi się, że obecnie znajdujemy się w tym wypadku. Rzecz tak się ma.

P. Józef Korzeniowski, młody badacz literatury polskiéj, wnuk znakomitego autora, w rękopiśmie należącym do archiwum ks. Czartoryskich odkrył kilka utworów dotychczas nieznanych i ogłosił je w wypisanéj pod nagłówkiem książeczce. Jest ich pięć: dwa w języku łacińskim, trzy w polskim. Łacińskie nie posiadają donioślejszego znaczenia; jeden jest miękką satyrą, ułożoną ze słów Pisma ś. na króla i dwu senatorów, Maciejowskiego i Tarnowskiego; drugi pochwałą Mikołaja Radziwiłła Rudego; ironii, przypuszczanéj w tym wierszu przez wydawcę, dopatrzyć się trudno. Co do wierszy polskich, mamy tu najprzód nagrobek dla Barbary Radziwiłłówny, w dwu miejscach niezbyt szczęśliwie wspomnieniami mitologicznemi upstrzony: (Szczęście) „potym mój stan tak wyniosło, iżbych wyższego nie dostała, Bych Jowisza ojca miała“; — „Straciłam powagę onę, któréj i Dido nie miała, Gdy na świecie królowała.“ Najpiękniejszy jest cztérowiersz końcowy: „A karz się moją przygodą, A nie ciesz się stanem, urodą, Wszystko to śmierć zmieni snadnie; Przed tą się nikt nie ukradnie.“ Najważniejszemi atoli i najciekawszemi są tu dwa następne wiersze: 1) „Rzecz pospolita polska chramiąc tuła sie po światu szukając pomocy a narzeka na swe Pany, iż o nię nie dbają. Anno 1549“ i 2) „Kot ze lwem rosprawia o swobodzie a o niewoli.“ Pierwszy z nich ma najwidoczniéj charakter polityczny; jest satyrą

na rozwielmożniającą się w kraju prywatę wogóle, a na „jad niewieści“ i duchowne rządy w szczególności; przyczém dotkniętą została sprawa małżeństwa Zygmunta Augusta z Barbarą, a ci senatorowie, co tę sprawę popierali, wystawieni na ostre przymówki. Autorem musiał być, jak słusznie zauważył wydawca, zwolennik dążności reformacyjnych, niechętny małżeństwu królewskiemu i całemu stronnictwu, co je pochwalało. Ale dlaczego wydawca uważa go za „człowieka humanistycznie wykształconego“, dociec niepodobna, gdyż dwie wzmianki, wspominające o walkach „wnętrznych“ pomiędzy Grekami i o „Trojéj“, jako w niéj „Ilium skażono, przez niewiastę z gruntu wywrócono“, nie mogą być przecież dowodem specyalnie humanistycznego wykształcenia, bo znać w nich tyle tylko humanizmu, ile go znajdujemy w pismach Reja, którego przecież nie tylko za humanistę nie uważamy, ale go owszem jako pisarza rodzimego przeciwstawimy prądowi, który z każdym rokiem w połowie XVI stulecia zyskiwał zwolenników. Jeżeli odłożymy na bok te cząstki utworu, gdzie jest mowa o królu i senatorach mu sprzyjających, a więc o okolicznościach ściśle z datą pisemka 1549 związanych, to w pozostałéj jego części, znacznie obszerniejszéj, znajdziemy poglądy te same, jakie w pismach Reja napotykamy. Najbliżéj zaś spokrewnione z tym wierszem będą chyba „Krótka rozprawa między panem, wójtem i plebanem“, oraz „Przemowa krótka do poćciwego Polaka stanu rycerskiego.“ Trzy te utwory są-to satyry polityczne w duchu czysto-rodzimym przeprowadzone, z tą różnicą, że „Przemowa krótka“ jest więcéj dydaktyczną, a „Rozprawa“ i wiersz obecnie drukiem ogłoszony więcéj satyryczne. To téż sądzę, że autora téj właśnie przez p. Korzeniowskiego wydrukowanéj satyry szukać należy nie w kim innym tylko w Reju. Wszak Trzycieski świadczy, iż Rej „napisał téż *narzekanie na nierząd polski*“, a wspomina to w tém miejscu biografii, gdzie mówi o „przemowie do poćciwego Polaka“, o „zbroi rycerza chrześciańskiego.“ Czyż to niedość wyraźna wskazówka, zwłaszcza gdy ją połączymy z dowodami, które w wierszu, języku i poszczególnych wyrażeniach znaleść można. Co do wiersza, jest w tém Narzekaniu Rzeczypospolitéj takaż sama rozmaitość form wierszowych jak w Żywocie Józefa, a wprowadzony przez Reja wiersz 13-zgłoskowy ze średniówką po 7 zgłosce, który w Żywocie Józefa dość często napotykamy, widzimy i tutaj w przemowaah „Statutu“ i „Sejmu.“ Tok wiersza, porównania i przenośnie są zupełnie takież jak w pismach Reja. To co mówi „Statut“ jest wybornym zarysem tego, co naprzód w „Krótkiéj Rozprawie“ a późniéj w „Przemówie krótkiéj“ w rozdziałku „Sprawiedliwość“ szerzéj rozwinął Rej. Przemowa „Żony“ jest tak znamienna, że trudno ko-

mu innemu ją przypisać jak naszemu Rejowi. Mówi ona do Rzeczypospolitéj:

Czemu na nas, *pokuso*, powstajesz,
Srogo mówisz, wszystkim grożąc łajesz,
Ukazujesz nam na przyszłe czasy,
Ganisz nasze srebrne, złote pasy...
Powiedasz być wszystko to utraty
Iż ty sama *odrapano* chodzisz
Idź precz rychléj, *nędzo pospolita!*...

Dodam jeszcze jeden drobiazg charakterystyczny; wyraz *niesłotes* (niestetyż), który mamy w „Narzekaniu", znajdujemy w téj saméj formie bardzo często w Żywocie Józefa.

I drugi téż wiersz, ogłoszony przez p. Korzeniowskiego, to jest rozprawę kota ze lwem, ośmielam się przypisać również Rejowi. I znowuż powołać się mogę na świadectwo Trzycieskiego, który w życiorysie Reja wyliczając jego utwory, powiada: „Pisał téż *dla dobrych towarzyszów* dyalogi rozliczne: Kosterę z Pijanicą, Warwasa z Dikasem, *lwa z kotem*." Do tego świadectwa dodam uwagę, iż język, wiersz i styl dyalogu ogłoszonego przez p. K. w niczém nie są odmienne od języka, wiersza i stylu Rejowego. Wiersz w tym dyalogu 8-zgłoskowy takiż sam jak w „Krótkiéj rozprawie między panem, wojtem i plebanem", a wyrażenia: „kto zna, niechaj każdy powie", „liczy się nam być w rodzie", „bo sie czasem więcéj wlewa tam, gdzie sie kto nie nadziewa", „aleć to snać pańska roskosz siedzieć jako w gniaździe kokosz" i t. p. są czysto Rejowskie. Pomiędzy rosprawą kota ze lwem a Narzekaniem Rzeczypospolitéj jest ścisłe powinowactwo nie co do tendencyi politycznéj, bo téj w rozprawie kota ze lwem wcale nie widzę,—ale w stylu. Wydawca uznając tę rosprawę za polityczną, trudził się bezskutecznie odgadywaniem jéj znaczenia i skarży się na niezrozumiałość. Jeżeli ją będzie uważał za dyalog moralny pisany dla „dobrych towarzyszów", jak go nam Trzycieski zarekomendował, nie znajdzie, jak sądzę, zawiłości żadnych, gdyż myśl, że lepiéj biednemu i niepokaźnemu kotowi na swobodzie niż lwu w klatce bardzo jasno w całości została rozwinięta, a we wzajemnych lwa i kota zarzutach żartem okraszona.

Rozwój myśli głównych w tym dyalogu tak się przedstawia. Kot widzi lwa w klatce i dostrzega, że to ktoś z jego rodu, bo „ogon, twarz i postawa, poirzenie i każda sprawa podobno ku kotowi." I lew ujrzawszy kota nie przeczy podobieństwu, ale go lekceważy, gdyż widzi w jego łbie „płochą sprawę." Kot w odpowiedzi swojéj lwu uwydatnia swoję wolność a lwią niewolę i dodaje, że „u nas każdego *zufalca*, by nad cię był na dwa palca, który jedno z płochą głową, to każdem kotem zową", że „zacny to dziś dom na świecie, pełno go w każdym powiecie", i że lewkowie by skakali, gdyby napadli ich „ci stryjowie." Lew wyzyskuje tę odpowiedź i przedrzeźnia wy-

rażenie, iż *zufalca* zowią kotem. Kot znowuż zaznacza czyny swego rodu powiadając, jak kot jeden u Jacimierza zbódł był czystego rycerza, acz się przed nim bardzo często pławił. Wtedy lew wyśmiewając ten czyn opisuje często w XVI wieku wspominane *ciągnienie kota*: „Przeciągną powróz przez wodę, A pewnie komu na szkodę, Przywiążą kota u końca, Zdrugą stronę drugi gońca; Dawaj, dawaj zawołają, Za powróz wszyscy chwytają, To sie pan ani obaczy, Gdy sie ajwo przemknąć raczy, Nie wie co rzec szalony trup, Łapa brzegu a woła hup, Wywlecze chwastu na sobie, Więc się tu stojąc w łeb skrobie.... Otrząsa sie, by właźni był, Ano sie tak nachyłkiem zmył." Kot odgryzając się za to szyderstwo przypomina starą gadkę, iż lew boi się kura; lew zaś odpowiada, że to wymysł tych co „czytają herbarze" (zielniki) i opisuje strach koguta, którego schrupał. Rzecz cała kończy się przemową kota, który wraca do swéj pierwszéj myśli, że nędzne to królowanie w klatce i że już lepsze chyba jego swobodne „kotostwo." „Ja przy swobodzie zostawam—powiada—a ty już tak, panie bracie, racz królować tu w téj kracie."

Nie mogę się też zgodzić na potępiające zdanie wydawcy, jakoby utwór ten nie zalecał się ani formą, ani treścią, gdy przeciwnie w Narzekaniu rzeczypospolitéj widzi p. K. „język silny i energiczny, myśl częstokroć głęboką, plastyczność wyrażenia i zjadliwy dowcip satyry." Zdaje mi się, że pokonana trudność w odgadnięciu aluzyi politycznych zawartych w Narzekaniu Rzeczypospolitéj ozłociła wydawcy ten utwór, gdy przeciwnie mozół bezowocnie w tymże celu przy rozprawie kota ze lwem poniesiony zbyt obniżył w jego oczach jéj wartość. Dla mnie przynajmniéj oba utwory pod względem stylu i kompozycyi stoją zupełnie narówni i wykazują jednego autora. Nie cenię ich tak wysoko jak p. K. „Narzekanie Rzpltéj", ani tak nisko jak dyalog kota ze lwem. Gdyby przypuszczenie moje okazało się słusznem, mielibyśmy utwory Reja uważane dotąd za zaginione.

Ale jakiegoż można oczekiwać na to dowodu? Gdyby się wynalazły druki pierwotne tych dwu wierszy („Narzekania" i rozprawy kota ze lwem), które istnieć musiały, toby wówczas chyba nikt nie wątpił, iż są utwory, o których mówi Trzycieski jako o pismach Reja. Na nich niewątpliwie nie byłoby wyrażonego nazwiska autora, bo Rej, jak wiadomo, nie podpisywał dzieł swoich; cóżby tedy w tych drukach było bardziéj przemawiającego za jego autorstwem. czego by obecnie, gdy posiadamy tylko rękopisma, przywieść na potwierdzenie nie można. Zdaje mi się, że świadectwo Trzycieskiego oraz świadectwo wiersza i stylu powinny nam wystarczyć, ażeby ogłoszone obecnie Narzekanie Rzpltéj i rozprawę kota ze lwem uznać za pisma Reja. *P. Chmielowski.*



PRZEGLĄD DRAMATYCZNY.

Osaczony, komedya w 5-ciu aktach przez Edwarda Lubowskiego, przedstawiona w teatrze Rozmaitości w maju r. b.

Konkurs dramatyczny imienia Wojciecha Bogusławskiego nie tylko wywołał nadzwyczajną, dotąd na żadnym innym nieujawnioną w tak rozległéj mierze produkcyą, ale nadto wykazał istnienie talentów młodych, które w literaturze jeszcze poznać się poprzednio nie dały. Z 70 sztuk nadesłanych na konkurs, trzem przyznano nagrodę a kilka zaszczytną z pomiędzy innych wyróżniono pochwałą. Otóż i w jednéj i w drugiéj kategoryi utworów przeważają nazwiska nieznane; dwu bowiem tylko autorów głośnych (pp. Lubowski i Bałucki) odznaczono albo nagrodą albo pochwałą; reszta zaś sztuk nagrodzonych i pochwalonych to dzieła ludzi, którzy odtąd dopiero mogą być zaliczeni do naszych sił literackich.

Z utworów, przez konkurs nagrodzonych, jeden tylko dotychczas dostał się na scenę i w zupełności usprawiedliwił wobec ogółu tę przynajmniéj stronę sądu konkursowego, że i téj sztuce wśród innych przysądzono nagrodę. Autorem tak zaszczytnie z dwu stron wyróżnionego dzieła jest znany komedyo-i powieściopisarz, p. Edward Lubowski, a dzieło samo nosi napis „Osaczony“.

Miejscem akcyi jest Galicya, a tłem, na którém się ona rozwija, wybory do rady państwa. Na tém atoli tle polityczném nie uwydatnia autor politycznych pobudek działania; co więcéj, w motywach postępowania kierownika głównego nigdzie nie spotykamy jakichś interesów majątkowych, lub daleko sięgających planów ambicyi, któreby pod pokrywką uczuć obywatelskich chciał przemycić; ale tylko same czysto indywidualne i to chwilowe powody, których inaczéj jak zachciankami nazwać nie podobna. Z tego względu komedya nie przybiera i przybrać nie może szerszego charateru satyry po-

lityczno-społecznéj, lecz się obraca ciągle, jak wszystkie prawie nasze utwory tego rodzaju, w sferze stosunków towarzyskich i studyów charakterowych, pożyczając jedynie specyalnego zabarwienia od tych czynników, które tkwią w życiu parlamentarném. Nie myślę bynajmniéj robić stąd zarzutu autorowi; artysta bowiem ma i powinien miéć wszelką swobodę zarówno w wyborze tematu jak w sposobie jego oświetlenia, a krytyk nie ma prawa narzucać mu swoich poglądów; to téż powyższemi uwagami chciałem tylko zaznaczyć charakter komedyi pana Lubowskiego, ażeby zgodnie z tym charakterem przedstawiła się czytelnikom analiza całości.

Pierwszym kierownikiem akcyi dramatycznéj jest książę August. Potomek-to osławionych w byłéj Rzeczypospolitéj oligarchów, którzy zawsze chcieli prowadzić politykę na własną rękę, najczęściéj wprost przeciwną téj, jaka dla istotnego dobra kraju była pożądaną. Książę August nie może już na tak wielką jak jego przodkowie skalę ciągnąć korzyści z dobra publicznego na rzecz kastowego czy indywidualnego samolubstwa; bo się zmieniło ogólne położenie narodu; ale we wszystkich możliwych kierunkach zdolny on jest do lekceważenia tego dobra i spożytkowywania go dla siebie. Obdarzony umysłem bystrym, wykształcony encyklopedycznie, władający słowem dowcipu i sarkazmu biegle, nie mając skrupułów moralnych żadnych, ani téż wrzących namiętności, przy zdarzonéj porze, mógłby wyzyskiwać ludzi i rzeczy jaknajswobodniéj i jaknajkorzystniéj. Ze wszystkich zawikłań potrafi się wyplątać bardzo zręcznie, tak że na niego samego cień niekorzystnego podejrzenia nie pada nigdy, bo to, czego on chce dokonać, dokonywa za pośrednictwem ludzi, którzy za niego pracują i za niego cierpią karę śmieszności czy niepowodzenia. P. Lubowski ukazał go nam w drobnéj ostatecznie sprawie, ale okazał w taki sposób, że możemy sobie odtworzyć całość jego fizyonomii moralnéj.

Książę August jak i ród jego popierał kandydaturę Władysława Wrzeckiego, ktory był uważany za konkurenta Jadwigi, siostry hrabiego Stefana, skoligaconego z księciem. Naraz przychodzi mu myśl zastąpienia Wrzeckiego samym hrabią Stefanem, niedołęgą umysłowym i fizycznym, nie posiadającym prócz powierzchownéj ogłady zalet żadnych. Skąd myśl ta zjawiła się w głowie księcia? Oto dostrzegł on, że żona hrabiego Stefana, Iza, kobieta namiętna, pełna życia i dowcipu, kocha się we Wrzeckim; chce ją tedy ratować pomimo jéj woli, nie w tym naturalnie celu, ażeby ją od upadku moralnego powstrzymać,—bo taka myśl apostolska daleka jest od przewrotnéj i cynicznéj natury księcia,—ale dlatego, ażeby wyprawiwszy męża do Wiednia, módz z jego żoną swobodnie czas przepędzać.

Rozumie się, że takie postanowienie nie wynika u księcia z pobudek namiętności, ale jest tylko chwilowym kaprysem człowieka, który ma umysł potrzebujący zatrudnienia i dużo czasu wolnego. Urzeczywistnieniu téj zachcianki oddaje się z całym uporem samoluba i z całą bezwzględnością cynika. Sprzymierza się, oczywiście chwilowo tylko, z ludźmi, których lekceważy lub którymi pogardza, używa podstępów, plotek i oszczerstw, ale tak zręcznie, żeby późniéj módz pozostać czystym od posądzenia, iż od niego cała intryga wychodziła.

Najczynniejszym sprzymierzeńcem i najskuteczniejszém narzędziem księcia jest redaktor Koszyrski, człowiek nikczemny i wstrętny. Istotnym rysem jego charakteru jest, tak samo jak u księcia, olbrzymio rozrośnięte samolubstwo; przejawia się ono jednak u niego, z powodu odmiennego położenia towarzyskiego i majątkowego, całkiem inaczéj. Nie imponuje on jak książę, bo nie ma czém; czołga się natomiast na podobieństwo płazu. Jak wąż ale częściéj niż wąż zmienia skórę to jest przekonania i poglądy, których w swéj gazecie ma być przedstawicielem i rzecznikiem. Gdy mu zabłyśnie nadzieja wejścia na salony arystokratyczne, a co większa, znalezienia tam posagu i protekcyi, będzie twierdził, że zawsze w głębi duszy wyznawał idee zachowawcze i że natura jego zawsze dążyła do sfer odznaczających się dobrém wychowaniem i smakiem wykwintnym. Gdy mu gwiazda téj nadziei ściemnieje, powie, że było to chwilowe obłąkanie, które mu łatwo przebaczą bracia demokraci, gdyż on nigdy nie był zdolny do stałego wytrwania w arystokratycznym świecie udawania, fałszu i zepsucia, gdyż on zawsze w piersi swéj miał gorące ukochanie dla mas biednych i uciśnionych.

Książę August zna doskonale wartość moralną Koszyrskiego i we właściwy sobie sposób z nim postępuje. Dopóki pomoc jego publicystyczna jest mu potrzebna, pochlebia mu półgębkiem, potakuje jego pretensyom arystokratycznym, udaje że wierzy w bajkę o księżniczce Koszyrskiéj,—ale do poufałości nie przypuszcza go nigdy, ręki nie podaje mu ani razu. Gdy mu już zbytecznym się okazuje, wtedy z grzeczną wprawdzie zawsze, ale do żywego docinającą ironią trawestuje swoje poprzednie zachowanie się. wykrywa w sposób dotkliwy właściwości natury Koszyrskiego, który za jedyną swą posiadłość ma frazes, a w końcu bez ceremonii, z zimną pogardą wielkiego pana, wskazuje drzwi byłemu sprzymierzeńcowi. Zewnętrznie czy raczéj powierzchownie rzecz biorąc, Koszyrski tylko w komedyi przedstawia się jako łotr; ale w gruncie rzeczy jest nim i książę August, gdyż we wszystkich nikczemnościach przewrotnego redaktora bierze udział. On dopuszcza, żeby Wrzecki został zniesławiony naj-

przód zarzutem o wątpliwéj czystości majątku, który po ojcu odebrał, a potém zarzutem przywłaszczenia sobie pewnéj sumy, gdy był plenipotentem hrabiego Stefana; sumienie jego nie wzdryga się na użycie tych nikczemnych środków; dla niego bowiem wszystko i wszyscy są drobnostką, są igraszką istniejącą na to, aby go w nudach rozerwać. Koszyrski został ukarany, bo się sromotnie skompromitował; książę August nie doznaje żadnéj kary, bo że jego planik na hrabinę Izę nie udał mu się, gdyż Iza wraz z mężem do Wiednia wyjeżdża, to dla niego nawet wielką przykrością nazwać się nie może, ponieważ namiętność w tym planie roli nie grała. Wolno oczywiście uważać takie ustosunkowanie odpowiedzialności za winy jako niesprawiedliwe, ale trzeba zaraz dodać, że komedyopisarz miał najzupełniejszą słuszność, w ten sposób je przedstawiając, gdyż w świecie pozorów pozory muszą miéć najdonioślejsze znaczenie. Koszyrski odsłonił się całkowicie, jako twórca oszczerstw i potwarzy na Wrzeckiego; książę August zaś umiał tak się zachować, iż nań posądzenia ciążyć nie mogły, a końcowém znalezieniem się wobec Wrzeckiego, nasuwał nawet myśl ludziom, iż zawsze był po stronie prawości i uczciwości. Prócz tego Koszyrski był biedny i wpływów wielkich nie posiadał, książę August zaś miał do rozporządzenia i majątek i stosunki. Nic więc dziwnego, że w tym świecie, w którym żyli, nie jedną wagą odważono ich postępki i nic dziwnego, że Koszyrski wyśmiany został i zniesławiony, a książę August dawną swą opinią bez zmiany wśród społeczeństwa utrzymał.

Te dwie postaci są w komedyi p. Lubowskiego najznakomitsze i najwszechstronniéj przedstawione; ale ponieważ w ich istocie wiele jest rysów subtelnych, ponieważ dla należytego ich zrozumienia i ocenienia potrzebny jest rozmysł głębszy, nie one robią na scenie efekt największy. Jeszcze Koszyrski, rozporządzający jaskrawemi frazesami, uwydatnia się lepiéj i zapisuje się w pamięci na dłużéj, ale książę August (po części z winy aktora) nie występuje na plan pierwszy, jak być powinno, gdyż i ze stanowiska swego w dramacie i z częstego znajdowania się na widowni najzupełniejsze ma do tego prawo.

Natomiast natury płytsze, a więc łatwiejsze do ogarnięcia myślą i osądzenia, takie jak hrabia Stefan i redaktor Bicki, lubo mniéj doniosłe odgrywają role, wystąpiły na scenie bardzo wyraziście, do czego się naturalnie przyczyniła w wysokim stopniu dobra gra artystów (pp. Rapackiego i Wolskiego).

Hrabia Stefan nic nigdy z własnéj inicyatywy nie robi i robić nie może, gdyż brak mu nie tylko sprytu i energii, ale prostego rozsądku i woli; brak mu i fizycznie i moralnie warunków do działania

samoistnego. Ażeby coś przedsięwziął, potrzebuje koniecznie popchnięcia z zewnątrz. Kieruje nim książę August lub żona. I dopóki trwa ta ich elektryzacya, dopóty hrabia Stefan wydaje się osobistością działającą, a przynajmniéj wyobrażającą sobie, że działa; gdy impulsu zbraknie, czuje się on jak pływak nieumiejętny na niewielkiéj wodzie; nie tonie, bo niéma gdzie, ale okazuje wszystkie objawy niezaradności. Że jest panem domu, trzeba mu to przypominać, bo nigdyby nie wpadł na myśl podobną; że i on może starać się o zostanie posłem, nigdy mu nie przeszło przez głowę i dopiero słowa księcia Augusta budzą w nim złudzenie świadomości o swoich ku temu kwalifikacyach. Środków ku osiągnięciu roznieconego w duszy jego zamiaru sam nie przedsięwziąłby żadnych, na spotwarzenie przeciwnika nie zdobyłby się nigdy; bo jako lalka salonowa nie ma wyobrażenia o czémś inném jak o formach znalezienia się powierzchownego w salonie; ale na wszystko zezwoli, na wszystko się zgodzi, nie czując ani odrobiny niechęci do faktu zohydzenia nazwiska swojego znajomego, konkurenta swéj siostry, we własnym swym domu. Nic nie odczuwa samoistnie, więc téż i popełnionych w jego interesie niegodziwości nie czuje ani tak jak wyniosły i lekceważący wszystkich książę August, dla którego są-to drobiazgi niewarte długiego zastanowienia, ani tak jak Koszyrski, który w nich widzi środki swego wyniesienia, a więc poczytuje za konieczność nieuniknioną dla własnego samolubstwa. Gdy ma mieć mówkę przed wyborcami, żoną jego obiecuje mu dać znak za pośrednictwem dzwonka elektrycznego, kiedy zabrnie a więc kiedy powinien przestać; i rzeczywiście dzwonek ten odzywa się dwukrotnie i przymusza biednego Stefana do przerwania oracyi w chwili, gdy zasady swe polityczne miał wygłosić, a więc w samę porę. Podobnież, gdy po wyjaśnieniu sprawy Wrzeckiego tak sponiewieranego w domu hrabiego Stefana, wypada temuż obrać jakieś określone stanowisko, gdy siostra jego Jadwiga oświadczyła chęć dzielenia losów „osaczonego", nie byłby biedak umiał sobie dać rady, gdyby mu książę August giestami i mową nie przyszedł z pomocą i nie pokierował calą sceną w ten sposób, że wszystko co zaszło musiało być uważane za niebyłe.

Redaktor Bicki to wyborna postać warchoła demokratycznego. Złym i przedajnym jak Koszyrski on nie jest; do progów pańskich się nie pnie, owszem z pewną Dyogenesowską ostentacyą popisuje się zaniedbanym ubiorem swoim i niedbałością o zachowaniu form towarzyskich; ale ma jednę nieposkromioną pasyą, która go prowadzi nieraz w błoto, lubi do wszystkiego się mieszać i miéć o wszystkiém jaknajświeższą wiadomość. Znieważać i spotwarzać umyślnie ludzi on nie pragnie, lecz kocha się namiętnie w wykrywaniu zdroż-

ności ludzkich i piętnowaniu ich w swoim dzienniku; a ponieważ stara się z umieszczeniem wszelkich wieści w piśmie swém uprzedzać innych, więc nie ma czasu na sprawdzanie, a wskutek tego drukuje bardzo często fałsze i staje się narzędziem w ręku przebieglejszych, bo chłodniejszych podszczuwaczy. On gotów za wprowadzenie siebie w błąd i obić tego, co mu wieści udzielił, i odwołać potwarz, ale ze słabości swéj do chwytania nowinek w lot nie wyleczy się, bo bez téj słabości nie rozumiałby istnienia swego jako dziennikarza. I tu w „Obsaczonym“ jest on narzędziem, za pośrednictwem którego rozpowszechnia Koszyrski potwarze na Wrzeckiego, najmocniéj w danéj chwili przekonany, że Wrzecki to wrzód społeczny, który rozpalonėm żelazem z organizmu wydalić należy. Głosuje wraz ze swoimi mieszczanami, których trzyma w despotycznym rygorze, za hrabią Stefanem, gdyż swego kandydata przeprowadzić nie mógł, a wszystko mu jedno, kto z większych posiadaczów zostanie posłem. Głosuje bezinteresownie, gdyż propozycye hr. Stefana odrzuca z pogardą, glosuje dlatego tylko, ażeby żadna czynność bez jego spółudziału się nie obeszła.

Zupełném przeciwieństwem Bickiego jest Korbaczewski. Temperament jego flegmatyczny nie dozwala mu silnie odczuwać ani złego, ani dobrego, a więc téż nie powoduje w nim wystąpień stanowczych. Ma on uczucie poczciwe i szlachetne; gotów się rąbać z oszczercami, ale gdy mu wielu ludzi powie, że broniony przezeń jest nikczemnikiem, gotów w to uwierzyć w końcu nie tyle przekonany, ile znudzony gadaniną. Mało zresztą myśli i chętnie grą w karty chwile wolne od pracy zabija. Żona mówi za niego, a że jest najczęściéj przeciwnego niż mąż zdania, ztąd w Korbaczewskim wyrabia się skłonność do milczenia, gdyż prowadzić ciągłéj walki na słowa z niewielką nadzieją powodzenia nie chce. Gdy znajduje się w otoczeniu uczciwych jednostek, mówić i działać będzie jak człowiek rozumny i uczciwy. Figura ta doskonalą być mogła, szkoda, że ją autor zbyt w cieniu zostawił.

Do takich uczciwych i rozumnych należy redaktor Strzembosz, przyjaciel „Osaczonego“ wierny jego sprawie od początku do końca. Na skreślenie jego sylwetki komedyopisarz mało dostarczył rysów. Wiadomo ogólnie, że dodatnie postaci w komedyi od dawiendawna zarówno w innych literaturach jak i u nas są poprostu szablonowe. Nie ustaliło się jeszcze przekonanie a w każdym razie nie weszło jeszcze w kreacye sztuki, iż dodatnie osobistości nie potrzebują być wcale wzorami doskonałości bez drobnych wad, usterek i śmiesznostek, innemi słowy bez cech wyraźnéj indywidualności. Wogóle postaci te złożone są z pierwiastków ogólnikowych: rozumu

w mierze, uczciwości nieposzlakowanéj, skłonności do mówienia tyrad dosyć długich i dosyć nudnych. Strzemborz w komedyi pełni dwojaką funkcyą: protestującego przeciwko wyborowi hr. Stefana i zwiastuna oszczerstw miotanych na Wrzeckiego: rola-to bądź-cobądź nie zbyt dramatyczna.

Równie bezbarwną jest druga dodatnia postać, tj. sam tytułowy bohater, Władysław Wrzecki. Działa on bardzo mało i na scenie ukazuje się rzadko; co robi, tego dokonywa za kulisami. Wobec widzów odgrywa scenę Józefa biblijnego względem hrabiny Izy i czułego kochanka względem hrabianki Jadwigi. Mówi dobrze i bez patosu; to stanowi jego wielką zaletę.

Z postaci kobiecych jedna tylko hrabina Iza ma silnie zarysowaną indywidualność. Wyszedłszy ze względów towarzyskich za hr. Stefana, znanego już nam niedołęgę, żywa i namiętna, spragniona uczucia, pokochała Wrzeckiego, magnetyzowała go wzrokiem, pociągała rozmową i półwyznaniami; zdawało się jéj że w jego sercu obudziła również miłość dla siebie. Łudziła się: Wrzecki miał dla niéj tylko uczucie litości i przyjaźni, kochał bowiem Jadwigę. Gdy zrobiła to smutne dla siebie odkrycie, a zwłaszcza gdy je wskazał obserwujący ją dobrze książę August, zawrzała uczuciem zemsty, weszła w przymierze z księciem Augustem i Koszyrskim, a więc przyjęła téż na siebie część odpowiedzialności za spotwarzenie Wrzeckiego. Nie doznała jednak zadowolenia, gdy ujrzała ukochanego niegdyś pod brzemieniem niesławy, témbardziéj że tenże na oświadczenie, iż ona była motorem całéj intrygi, nie odpowiedział jéj przekleństwem, ale znów oświadczył, że może nań liczyć jako na przyjaciela. W kobiecie nerwowéj zachodzi przemiana, zapewne nietrwała, ale na chwilę przynajmniéj uspakajają się jéj namiętności; wyjeżdża z mężem do Wiednia, nie dlatego prawdopodobnie, ażeby stać się wzorową małżonką, ale by w wirze zabaw wielkomiejskich zapomnieć o doznanych zawodach a szukać nowych upojeń.

Pani Sabatier, ciotka hr. Stefana, reprezentuje typ t. z. matron dawniejszego pokroju, nie wiedzących, co to zdenerwowanie i co to szukanie wrażeń poza ogniskiem domowém. Arystokratyczne nawyknienia i przesądy nie zaćmiewają jéj umysłu, widzi rzeczy jasno i trzeźwo, posądzenia rzucone na Wrzeckiego odrzuca odrazu i stałą jest w przyjaznych względem niego uczuciach; ona téż (jak to na starą matronę z komedyi przystało) wydobywa w końcu sztuki papiery ze szkatułki, wyjaśniające pochodzenie majątku Wrzeckiego i usuwające potwarz. Bez szkatułki téj można się było obejść, to nie ulega chyba wątpliwości; na scenie jednak wobec widzów, dla któ-

rych ten środek nie wydaje się jeszcze zużytym, robi ona dość silne wrażenie, silniejsze prawdopodobnie, niżby wywarło np. samo opowiadanie, bo rzecz widziana naocznie mocniéj się w umysł nasz wraja aniżeli słyszana tylko.

Jadwiga wreszcie to również typ stałych kochanek niewątpiących ani na chwilę o uczuciach i uczciwości swoich narzeczonych; od tłumu swoich podobizn w komedyach wyróżnia się tem, że należy do grupy śmiałych i energicznych, że gotowa podeptać względy towarzyskie, poróżnić się z członkami rodziny i pójść za Wrzeckiego wbrew zdaniu najbliższych krewnych; szczęściem, że robić tego nie potrzebuje, gdyż wszystko układa się pomyślnie.

Jak wszystkie dotychczasowe komedye p. Lubowskiego, tak i „Osaczony“ celuje przedewszystkiém wyborną charakterystyką postaci zarówno głównych jak podrzędnych, a następnie znamienném dyalogowaniem, któremu w razie potrzeby dowcip przychodzi w pomoc skuteczną. Ludzie jego są ludźmi żywymi; mają swoję sferę uczuć i myśli, swój własny język, swoje giesta. Wątek jest i w téj komedyi dość słaby, a raczéj traktowany bez szczególnéj staranności; zawikłań prawie że niéma; i dlatego rzecz wydaje się rozwleczoną jedynie dla okazania charakterów w całéj pełni. Konstrukcya utworu jest prawie bez zarzutu; wszystkie wejścia i wyjścia są należycie upowodowane; dziwi tylko obecność Strzemborza i Wrzeckiego w domu hr. Stefana już po znieważeniu bohatera w tymże właśnie domu; tłómaczy się a raczéj objaśnia się to tém tylko, że autor przez całe pięć aktów jedność miejsca chciał zachować; gdyż zmiana dekoracyi w akcie V-ym ma już na celu jedynie rozerwanie widzów, przez 4 akta w téż same przedmioty wpatrujących się.

Wykonanie sceniczne „Osaczonego“ było wogóle wyborne; była w nim artystycznie obmyślana „całość“; bo nawet najpodrzędniejsze figury bardzo dobrze się wywiązywały ze swego szczupłego zadania.





ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Stanisława Skrodzkiego Porządek prawa bartnego dla starostwa łomżyńskiego z roku 1616, opracował Ad. Ant. Kryński. Kraków 1885, str. 44.— Słownik wyrazów godnych uwagi, użytych w „Porządku prawa bartnego“, ułożył Ad. Ant. Kryński. Kraków 1885, str. 40.

Obie te prace znanego i wielce zasłużonego filologa warszawskiego pojawiły się w wydawnictwach krakowskiéj Akademii umiejętności, a mianowicie pierwsza w „Archiwum komisyi historycznéj“ (tom IV), druga zaś w „Sprawozdaniach komisyi językowéj“ (t. IV). Stanowią one właściwie jednę całość, ciekawą tak dla prawników jak i filologów polskich. W pierwszéj mamy dosłowy tekst 117 artykułów „prawa bartnego zwyczajowego, jakim się bartnicy do starostwa łomżyńskiego należący rządzili według zwyczaju przodków aż do czasów jeszcze książąt mazowieckich.“ Artykuły te zebrał Stan. Skrodzki z miasta Kolna w r. 1616, a zachowały się nam one w rękopisie, który jest własnością p. Ant. Troczewskiego w Warszawie. Jestto książka z r. 1616 o 48 kartach w czwórce zwyczajnéj. Aż do str. 82 pismo jest jednostajne i bardzo staranne, dopiero kilka ostatnich kart końcowych ma pismo dość niedbałe, pochodzące widocznie z innéj ręki, która się nie siliła na kréski i kropki. Z tego to rękopisu wydał tekst niniejszy prof. Kryński „dosłownie i wiernie z zachowaniem wszystkich własności pisowni pierwowzoru.“ Treść tego tekstu „przypomina w wielu miejscach znany dotychczas jedyny układ „Prawa bartnego“ Krzysztofa Niszczyckiego, drukowanego już w r. 1559, jakotéż późniéj w r. 1730 i 1854. Z bliższego obu dzielek porównania okazuje się, że pisarz Skrodzki znał dziełko Niszczyckiego, miał je podczas swéj pracy pod ręką i niejeden stamtąd artykuł przeniósł do swojego układu prawa w odmiennéj tylko redakcyi; w znacznéj nawet liczbie artykułów (około 50) pozostawił

też same co u Niszczyckiego nagłówki".—Wyjąwszy tych słów kilka z dokładnéj i wyczerpującéj przedmowy wydawcy, odsyłamy ciekawych do samego tekstu, ważnego tak dla historyi prawa polskiego jak i dla dziejów naszego języka.

„Słownik" jest wybornym i nader użytecznym uzupełnieniem wydanego tekstu. Zawiera on wyrazy i wyrażenia „godne uwagi bądź pod względem prawnym bądź językowym". Ułożone są one alfabetycznie i opatrzone licznemi cytatami. Z terminów prawniczych są np. ciekawe: *aktor* (powód), *chądziebnie* (tajemnie), *gajony* sąd, *przewiedzienie* prawa, *postępek* prawny, *pozew* i *przypozew*, *prza*, *pierca*, *rozparcie* prawa, *wzdać*, *wzdawać* i *wzdawne*, *wywieść się*, *wynalazek* sądu, *zacząć* prawo, *zajście* prawa, *zamiankowy* zapis, *zapisny* dług, *zysk* i *przezysk* prawa, *żałować* na kogo, itp. wyrazy, mniéj lub więcéj już znane prawie od wieku XIV. W znacznéj mierze używano ich jeszcze i w wieku XVIII. Mamy właśnie pod reką tekst ormiański z r. 1751, w którym zostawiono wszystkie „les mots techniques" w ich polskiém brzmieniu; zaczyna on się od słów: *Meskhi sługan* bidi *wojthic pozown* danê *pozwanin* mod, or phałan sahthenъ ganni i tadastanadanъ džujeab dału *akhthorin*, itd.

Niemało jest tu także wyrazów, ważnych pod względem *językowym* np. kajać się, kniejnik, kradziestwo, kupia, łącze (sidło), nielatny, obyść się, podmietać, obiesić i obiniony obok obwarować i obwieścić, obroczny (czynszowy), przenagabywać, wystatczać, zufalec, daléj liczne słowa pochodzące od słow. rdzenia *dě-* (indoeurop. *dhē-*), jak: dziać, dziany, dzianie, dziatwa obok dzietwa, dzień, jakotéż złożone: dodziać, zadziać, zadziatek, przydziatek itp. Ciekawe są téż nazwy różnych narzędzi „bartnych," jak *ciosnka*, *serka*, *pieśnia* lub *pieszmia*, itd. Pierwszy z tych wyrazów jest jasny, w drugim domyślalibyśmy się niem. *Schecre* w zdrobnieniu, a trzeci jest może w związku z lit. *peszù* (pészti), skubać, wyrywać. Z *litewskiego* pochodzi tu niewątpliwie wyraz *jegla* (jodła), por. lit. egle, łot. egle; forma prasłow. tego wyrazu była **jedla* (por. czes. jedla, stołow. jela), por. téż stprus. addle. Wyrazów zaś *niemieckich* mamy—jak wiadomo—dość w swym języku już od najdawniejszéj jego doby piśmiennéj; do takich należą tutaj np. *rug*, *rugować* (stgn. ruogen, śrgn. ruege, goc. wrôhs, skarga), *łożny* (stgn. lôs, goc. lauss, próżny, wolny), *żak* (rodzaj sieci) z niem. Sack (stgn. sac z łać. saccus, gr. σάκκος) i inne. Pisownia *smiat* w Art. 110. jest zdaje się błędna, czeskie bowiem *snět* (pień drzewa) przemawiałoby tylko za wyrazem *śniat*. Oprócz *szwiepioty* mamy l. poj. *świepiot*, rus. *svepet*, w znaczeniu: dziupło pszczół leśnych. Wyraz *uciérzchlenie* zestawia p. K. ze stsłow. *čr̆ъt-ati*; znaczenie wprawdzie odpowiada, lecz brzmienie nie bardzo.

W polskim bowiem odpowiadałoby mu nie *cierzchlić* lecz **czertać*, por. stsł. *črъpati*, pols. *czerpać*. Jednym z rzadszych wyrazów a zarazem trudniejszych do objaśnienia jest tu słowo *kleczyć* (obsadzać pszczoły młode w górnéj części barci) z pochodnemi: *kleczba*, *kleczenie*; *okleczyć*, *odkleczyć*, itp. Gdyby nie wyraz *oklek* (plastry w górnéj części barci) możnaby przypuszczać, że słowo to brzmiało raczéj *klecić*, por. *kleć* (stsłow. klětь, lit. klétis), *klatka*, itp. W wywody etymologiczne jednak rzadko się wdaje p. K., i całkiem słusznie. Niekiedy tylko zwraca uwagę na podobne wyrazy i zwroty czeskie, jakotéż na ślady dyalektyczne w pisowni naszego zabytku, jak *póžar* (pożar), *mięnić*, *mięniać*, *sosnia*, itp. Nie chcąc się dłużéj zatrzymywać nad tą piękną pracą polecamy ją tylko usilnie tym wszystkim, których nieco zajmuje prawo polskie albo téż przeszłość języka ojczystego.

Dr. Jan Hanusz,

= **Katalog biblioteki Raczyńskich w Poznaniu.** *Opracowali M. E. Sosnowski, bibliotekarz i L. Kurtzmann (obok tytuł niemiecki). 4 tomy. Tom I-szy str. X+58+CDXLI+485; tom II-gi str. XV+953; tom 3-ci str. XI+667; tom 4-ty str. 277. Poznań 1885.* — Parokrotnie już podejmowano zmudną i kosztowną pracę spisania umiejętnego rękopismów i książek znajdujących się w bibliotece Raczyńskich; ale próby te nie były szczęśliwe. Obecnie wydany katalog w części przez bibliotekarza p. Sosnowskiego, przeważnie zaś przez p. L. Kurtzmana, który od lat wielu zaznajamia Niemców z naszą literaturą, jest przedewszystkiém najzupełniejszy, a powtóre ułożony starannie i dla badaczów dogodnie. Sam katalog poprzedzony został życiorysem Edwarda hr. Raczyńskiego założyciela biblioteki, skreślonym zwięźle przez p. Sosnowskiego, oraz historyą biblioteki ułożoną na podstawie dokumentów przez p. Kurtzmana. Portret Raczyńskiego i widok biblioteki przyozdabiają tę część wstępną. Następnie znajdujemy spis 359 tomów rękopiśmiennych, ze szczegółowém, gdzie tego zachodziła potrzeba, wymienieniem ich zawartości. Dalej mamy 230 regiestrów dokumentowych i spis 191 inkunabułów. To stanowi połowę tomu pierwszego. W drugiéj połowie mieści się katalog druków z działu teologii, prawa, filozofii, pedagogiki, matematyki, nauk przyrodniczych, gospodarstwa rolnego, przemysłu, handlu, sztuki, wojskowości i medycyny. Każdy z tych działów obrobiony został według systematycznie przeprowadzonego planu, rozpoczynając się od ogólnego zarysu danych umiejętności a kończącego się specyalnemi jéj rozgałęzieniami. Tak np. dział filozofii ujęty został w na-

stępne szczegółowe rubryki: *a*) encyklopedya filozofii i pisma ogólnéj treści, *b*) dzieje filoz., *c*) logika, dyalektyka, metafizyka, *d*) filozofia natury, psychologia, *e*) estetyka, *f*) filozofia religii, *g*) etyka, *h*) filozofia grecka, *i*) scholastyka, *k*) filozofia nowsza. Tom drugi obejmuje mniéj więcéj według takiegoż planu druki odnoszące się do działu literatury i historyi powszechnéj. W dziale literatury mamy najprzód dzieła do historyi literatury wogóle, a następnie do filologii klasycznéj, nowołacińskiéj, wschodniéj, giermańskiéj, romańskiéj. W dziale historyi, podobnież uporządkowanym, mieszczą się także dzieła geograficzne i podróżnicze. Tom trzeci wyłącznie poświęcony został rzeczom polskim, przyczém na wstępie podano dzieła należące do działu slawistyki wogóle. Po tym wstępie mamy spis dzieł ogólnéj treści dotyczących Polski, następnie spis dzieł do ogółu dziejów krajowych, a daléj do poszczególnych panowań. Literatura podzielona została na naukową i nadobną. Czwarty tom obejmuje starannie przez p. Kurtzmanna ułożone wskazówki alfabetyczne. Ogółem katalog ten obejmuje tytułów 23610, z których 8367 spisał p. Sosnowski, a 15243 p. Kurtzmann. Dla badaczów wydawnictwo to może niewątpliwie oddać wielkie usługi, zastępując mozolne i kosztowne nieraz informacye, gdyż albo listownie ściągać je było potrzeba, albo osobiście jechać po nie do Poznania.

= **Dr. W. Kętrzyński. O dwóch nieznanych historykach Polskich.** (*Przewodn. Nauk. i Liter. r. 1886, zesz. kwiet.*). — Jednym z najbardziéj pracowitych i zasłużonych historyków naszych jest p. Kętrzyński. Obdarowawszy nas kilkoma cennemi pracami z zakresu dziejów pruskich, oddał się obecnie sz. dyrektor zakładu Ossolińskich z zapałem zbieraniu i wydawaniu naszych dawnych zabytków historycznych. Dzieło rozpoczęte przez Bielowskiego, obecnie w jego prawie wyłącznie znajduje się rękach. Rozporządzając bardzo skromnemi środkami, bo zasiłek Akademi na druk ledwo wystarcza, nie waha się jednak p. Kętrzyński corocznie kosztowne odbywać podróże po Galicyi i Królestwie Polskiém, by tylko jak najwięcéj wyszukać materyału do „Monumentów.“ Nie poprzestając na pracy wydawniczéj, ogłasza nadto szereg przyczynków do średniowiecznéj historyografii polskiéj, które zwykle uzupełnia wstępami. Najnowszym artykułem tego rodzaju jest krótka wymieniona na czele rozprawka. Dzieli się ona na dwie części: w pierwszéj traktuje p. Kętrzyński o kompilatorze Trzemeszeńskim, będącym źródłem kroniki Trzemeszeńskiéj z XVII w., w drugiéj zaś stara się oznaczyć autora kroniki Oliwskiéj. Późniejsze z XVI lub XVII wieku pochodzące dzieła historyczne zawierają niejednokrotnie wiadomości zaczerpnięte z dawniejszych kronik i roczników lokalnych. Obowiązkiem badacza jest o ile moż-

ności docierać zawsze do tych pierwotnych źródeł, gdy jednakże zabytki rękopiśmienne na to nie pozwalają, ograniczyć się on musi na wyśledzeniu części składowych późniejszych opracowań, na ocenieniu ich wieku i wartości. Zadanie to będzie nieraz bardzo trudném, przedsięwzięte badania nie przyniosą niejednokrotnie nic nad domysły i przypuszczenia. Kętrzyński był tyle szczęśliwym, że wcale przekonywująco zdołał udowodnić czynność dziejopisarską księdza Andrzeja Drzężyńskiego, opata Trzemeszeńskiego w latach 1504—1522. Nieznany ten dotychczas historyk należałby, jeżeli nie działalnością literacką, to większą połową życia jeszcze do średnich wieków a znaczenie jego pracy, przechowanéj nam pośrednio w kronice Trzemeszeńskiéj, tém wiekszéj nabiera wagi, że jak udowodnia p. Kętrzyński, czerpał ks. Drzężyński z tak cennych źródeł, jakiemi musiały być: 1) dawny katalog przełożonych Trzemeszeńskich, 2) rocznik, 3) i „liber mortuorum" tego klasztoru. Kroniką Oliwską zajmowano się zwłaszcza w Prusach nie mało: Hirsch, Perlbach i Fuchs (w Altpreuss. Monatschrift) poświęcali jéj bądź obszerne wstępy przy wydaniu, bądź osobne rozprawy; żaden z nich jednak nie zdołał oznaczyć autora cennego tego pomnika. P. Kętrzyński sądzi, że był nim opat Stanisław sprawujący rządy w Oliwskim Cystersów klasztorze, w 1330—1356. Główny na to argument upatruje autor w okoliczności, że ów Stanisław nigdy w saméj kronice z imienia nie jest nazwany, lecz występuje tylko jako „abbas"; samo zaś imię zastąpione jest 2 kropkami. Mimo najlepszéj chęci zgodzenia się na te wywody, nie możemy uważać argumentu, za właściwy. Owszem sądzilibyśmy, że przytoczona okoliczność wprost wyklucza możność przypisania Stanisławowi autorstwa kroniki. Według etykiety średniowiecznéj oznaczało opuszczenie imienia czyjego i zastąpienia go 2 kropkami chęć okazania przez piszącego tej osobie szacunku, i była powszechnie, zwłaszcza przez kancelaryą papieskę używana w korespondencyi do znakomitszych duchownych, których zawsze tylko według godności oznaczano. Nie znam przykładu, aby jaki autor średniowieczny, mówiąc w którém ze swych dzieł o własnéj osobie, użył dwóch kropek zamiast swego nazwiska; zazwyczaj mówił w takim razie o sobie jak gdyby o kimś trzecim, a więc w danym przypadku powiedziałby „abbas" lub „Abbas Stanislaus". Obecność dwóch kropek zamiast imienia opata Stanisława w kronice Oliwskiéj do dwóch następnych tylko upoważnia wniosków: 1) pisarz kroniki wykończył swą pracę za życia Stanisława; 2) był członkiem konwentu Oliwskiego, a więc jako taki do szczególnego poszanowania dla Stanisława obowiązany. Nic oczywiście nie stoi i w tym razie na zawadzie zaliczeniu autora kroniki do narodowości Polskiéj.

B.

= **Hugo Loersch. Der Ingelheimer Oberhof.** *Bonn 1885.* W ostatnich czasach znowu zaczynają w Niemczech bardziéj się zajmować licznie niegdyś rozsianemi sądami wyższemi. Mamy dawniejsze prace Thomasa o sądzie wyższym Lubeckim, Michelsena o sądzie Frankfurckim, Tomaschka o sądzie w Igławie. Nowa praca prof. Loerscha bardzo jest pożądaną i dla nas, którzy także wykazać się możemy licznemi sądami wyższemi, mającemi co prawda inne nieco od niemieckich atrybucye. W pierwszéj obszernéj części podaje p. Loersch część systematyczną czyli obrobienie zamieszczonych w części drugiéj wyroków, które oczywiście wydawane były wszystkie po Niemiecku. Dokładny indeks rzeczowy, jako téż przejrzysta mapa ułatwiają bardzo korzystanie z téj nader pożytecznéj publikacyi. *B.*

= **Dr. Heinrich Siegel. Deutsche Rechtsgeschichte.** *Berlin 1886.* Dziełu temu głośnego professora prawa Niemieckiego na uniwersytecie Wiedeńskim uczynić słusznie można zarzut zbytniéj krótkości. Obejmuje ono wprawdzie stron blisko 500, ale po odtrąceniu przypisków a zwłaszcza po użyciu trochę ciaśniejszego druku, książka ta stopniałaby do jakich 200 stronnic. Jest to więc raczéj „Grundriss“ niż właściwa historya prawa. Może ona być pomocą dla uczniów słuchających wykładów pana Siegla, dla dokładnie zwłaszcza podanéj literatury, ale nikomu nie da wyobrażenia o historycznym rozwoju prawa Niemieckiego. Tak więc możemy wnosić, że nowy ten podręcznik, jak na teraz, nie zdoła wyprzéć podobne przeznaczenie mającéj książki słynnego kanonisty Schultego, którą spotkał w ostatnich czasach zaszczyt, dostania się w tłumaczeniu p. Fournier do naukowéj literatury francuskiéj. Jak donoszą ogłoszenia księgarskie, ma się niebawem pojawić Historya prawa Niemieckiego z pod pióra professora Ryszarda Schrödera, znanego ze wspólnie z panem Loerschem wydanych „Urkunden zur Geschichte des Deutschen Privatrechts.“



KRONIKA MIESIĘCZNA

Posępna wiosna. — Niedotrzymane przyrzeczenia prasy. — Pomoc ogółu w walce z prawami kolonizacyjnemi. — Co nas dotąd broniło od zagłady. Potrzeba świadomości planu pracy. — Drobny środek. — Materyalne i moralne korzyści ze skarbonki. — Czy pojedziemy w tym roku do Niemiec? — Nasi prawnicy. — Dotychczasowy brak ładu i życia w palestrze. — Tolerancya opieszałości. — Pocieszające oznaki. — Gazeta sądowa.

Majowe słońce i balsamiczna woń wiosennego powietrza wskrzesza bardzo nawet nadwątlone siły, dodaje otuchy, budzi nadzieje, pozwala weseléj patrzéć na świat. Nam w tym roku sama nawet natura, zdaje się, odmawia łagodnych uśmiechów, a w życiu coraz to nowe klęski bardziéj i bardziéj ponurym cieniem oblekają teraźniejszość i każą się trwożyć o przyszłość. Na posępném tle wewnętrznych stosunków galicyjskich, nie gasnąc prawie, płoną łuny pożarów, a przy tém oświetleniu poruszenia gromad chłopskich wywołują straszne widmo mordów z 46 roku. Zmęczone oko i przerażona wyobraźnia nie mają punktu dla spoczynku; gdzieindziéj nie dzieje się w téj chwili lepiéj, a może nawet gorzéj znacznie; niepodobna nie widzieć, że wszystkim potrzebom życia grożą niebezpieczeństwa, zamachy. Poznańskie, Prusy i Szląsk także pociechy do serc wlać nie mogą. Przeciwnie tam jutro groźniejsze niż gdzie indziéj. Pożary zagasną i miasta się odbudują, poczucie obywatelskie przeniknie w końcu do gromad tarnowskich, inne niebezpieczeństwa miną, pozostawiając drobne tylko szczerby w życiu i niemiłe wspomnienie w pamięci, ale czy wróci do rąk naszych ojcowizna, wydarta przez Niemców? Kiedy ks. Bismarck wskazywał nam na miejsce przytułku Monaco, prasa odpowiedziała mu chórem „nie pójdziemy tam.“ Przyrzekano sobie i światu, że oszczędność, zapobiegliwość, pomoc własna uratują ziemię polską od chciwości obcéj. Panowie galicyjscy mieli nie pożałować pieniędzy na ten cel. Tymczasem w tak krótkim czasie,

kiedy jeszcze świeże wrażenie nie mogło, nie powinno było ostygnąć i natarczywiej pchać do czynu niż kiedyindziéj, 12000-morgowy majątek Komorowo, w pow. gnieźnieńskim staje się pierwszą ofiarą praw kolonizacyjnych. Co będzie, gdy się oswoimy z niebezpieczeństwem i groza onego przestanie już tak żywo oddziaływać? Może zresztą czas pomiędzy błyskawicami prawodawczemi i uderzeniem pierwszego gromu był zbyt krótki, ażeby można było zdążyć zapobiedz katastrofie, ale czy oddawna nie należało zdobyć się na zorganizowaną obronę ziemi, która bez głośnych praw systematycznie osuwała się na zachodnich krańcach w otchłanie coraz bliższego germanizmu. Nie chodzi tu o wytaczanie procesu przeszłości, ale o to, aby się jéj błędy nie powtórzyły. Napaści olbrzymiego narodu niemieckiego, zorganizowanego w potężne cesarstwo, usiłowania kilkuset obywateli mniejszych i kilku właścicieli fortun pańskich w jednéj prowincyi odeprzeć nie zdołają, potrzebny jest wysiłek i to wielki wysiłek całego ogółu. Niebezpieczeństwo bliższe niż Hanibal bram rzymskich, a tymczasem, żaden plan ogólniejszéj pracy ani wskazany, a wykonywany nie jest.

Często słyszeć się daje przechwałka, że pomimo tylu ciosów istniejemy i coraz to jakaś świeża gałązka wyrasta na polu życia narodowego. Zapewne, twierdzenie takie nie jest pozbawione racyi. Taką samą jednak racyją do szczycenia się ze swéj energii, umiejętności i talentu miałby lekkomyślny spadkobierca, który, pozostawiwszy zarząd majątku lasce boskiéj i chwilowéj fantazyi własnéj, otrzymuje jednak jakieś dochody wskutek wysokiéj wartości fortuny. Pomimo całego rozprzężenia i upadku półtorawiecznego ostatnich czasów Rzeczypospolitéj, otrzymaliśmy od przeszłości bogatą spuściznę uczuć, cnót i zdolności, a nawet bogactwa materyalnego. Spuścizną tą żyliśmy i żyjemy, daje nam ona jakieś odsetki nieraz znaczne, ale niesystematyczna gospodarka zmiejszyła mocno sam kapitał. Od wypierania z ojcowizny realnéj i idealnéj broniła nas nie praca świadoma, lez jakaś siła bezwładności, siła rozpędowa. Chyba niepotrzeba dowodzić, że w końcu zaciekły nacisk, wywierany konsekwentnie, z planem, wytrwale, zwycięży bierny odpór, chociażby bardzo nawet w początkach wielki. Pod grozą zaniknięcia musimy pracę naszą uczynić świadomie systematyczną i ciągłą.

Niemożemy tu naturalnie ani kreślić planu, ani brać inicyatywy w sprawie najwyższéj doniosłości, aleśmy chcieli zwrócić uwagę na jeden drobny szczegół. Ileż to razy zdarza się i zdarzać będzie co raz częściéj potrzeba pieniędzy na jakieś cele ogólniejsze, czy to na poparcie oświaty ludowéj na Szląsku, czy na budowę teatru w Poznaniu, czy na ufundowanie Macierzy i t. p. Potrzeba się uciekać do składek, które szerszy ogół uważa za rodzaj klęski,

i zasłania się przed niemi, jak może: ciężkiemi czasami, brakiem funduszów i t. d. Należy wpoić we wszystkich przeświadczenie, że oddawanie jakiéjś części środków osobistych na rzecz zbiorowéj całości jest potrzebą i obowiązkiem i że jednorazowy, wypadkowy datek nie wystarcza. W każdym domu powinna być zaprowadzoną skarbónka, do któréj by codzień wrzucano jakąś kwotę. W Czechach niegdyś, a może i dzisiaj skarbónki takie były rozpowszechnione i powiększono ich zawartość przy każdéj sposobności. Przyjmowano gości, nawet cudzoziemców, bardzo skromnie, rzucając natomiast przy nich zaoszczędzone pieniądze do puszki. Gminy żydowskie posługują się również tym środkiem dla różnych celów. W chwilach żywszego odczucia obowiązków w Warszawie saméj, przy ludności o połowę mniejszéj niż dzisiaj, zbierano miedziakami po parę tysięcy rubli dziennie. Gdyby więc myśl ta znalazła poparcie i rozpowszechniła się w całym kraju, to w każdéj chwili w razie potrzeby można by z łatwością rozporządzać znacznemi środkami.

Dobre skutki podobnego zwyczaju nie kończą się jednak na materyalnych korzyściach. Ciągły stosunek ze skarbónką wpajał by w rodzinach przeświadczenie o potrzebie ofiarności na rzeczy publiczne, ze skarbónki można zrobić *memento*, przywodzące starszym na pamięć, potrzeby różne i oznajamiające z takowemi dzieci. Nieustanne przestrzeganie czystości języka jest bardzo ważnym zadaniem rodzin; dla tem żywszego upamiętnienia, można, jak to się w wielu miejscach praktykuje, ściągać kary i rzucać do puszki. Prócz tego, ciągłe odkładanie pieniędzy zmuszało by do niejakiego ograniczania się, do oszczędności, co już samo przez się jest dobre, ale także dobroczynnie oddziaływać by mogło na wzrastające pokolenie, które wychowując się w przeświadczeniu, iż ciągle poświęca coś dla kraju, wyniosło by stąd niejako moralne zobowiązanie na całe życie.

Zresztą z najbardziéj ogólnego stanowiska, przyzwyczajanie dzieci do ograniczania swych potrzeb, do wyrzekania się przyjemnostek, wywiera bardzo dobry wpływ na ukształtowanie charakteru. Ten to wzgląd głównie kierował wychowawcami przy urządzaniu kas oszczędności w szkołach, (we Francyi np.). U nas podnoszono niegdyś myśl zakładania popobnych kas i wtedy parokrotnie protestował przeciwko temu wymówny głos ówczesnego kronikarza „Tygodnika Illustrowanego“, wychodząc z punktu obawy, ażeby zajmowanie dzieci myślą o gromadzeniu grosza nie zmateryalizowało ich ducha. Czy zarzut ten jest słuszny, lub nie, to w każdym razie wobec proponowanych przez nas skarbónek upada, gdyż one właśnie mogą nieustannie wprowadzać umysł i uczucia dziecka w sfery idealnych uczuć i poświęceń.

Brak energii i niejaka bezwładność, okazana wobec praw ks. Bismarka, skierowanych wprost przeciwko naszemu istnieniu, nie bardzo pozwala wierzyć, ażeby projekt niejechania na kuracyą do Niemiec został ściśle wykonany. W roku zeszłym zawzinano się mocno w niektórych miejscach leczniczych, że noga polska nie postanie w żadnym zakładzie kąpielowym, położonym w obrębie władzy żelaznego kanclerza; ale przez 10-ć miesięcy głos pseudo-rozsądku miał czas nabrać siły dostatecznéj do upozorowania zamiarów, podyktowanych przez przewagę uczuć samolubnych nad obywatelskiemi. Przecie codzień na każdym kroku spotykamy uchylanie się od obowiązków oporu lub protestu oraz ustępstwa na rzecz dogodnej bierności i korzystnego poddawania się prądowi nacisku, czemu panujący płytki utylitaryzm daje zawsze dyspensę w formę wykrzykników: „cóż się przez to dokaże!", albo: „jestto dziecinne kiwanie palcem w bucie" i t. d. Zdaje się, że taksamo stało się z zamiarami niesprowadzania towarów z Niemiec; różne firmy głosiły doniośle swe piękne postanowienia, a tymczasem podobno ilość pak, przychodzących z Lipska i Berlina do tych mianowicie firm wcale się nie zmniejszyła. Nam to się wydaje rzeczą tak łatwą do zrozumienia, że kiedy państwo niemieckie wypowiedziało wojnę żywiołowi polskiemu, grożąc mu zagładą zupełną, to dbałość o istnienie zmuszać nas powinna do odpornego zachowywania się. Wymaga tego i godność narodowa i taktyka. Inaczéj znosić będziemy wszystkie złe strony walki, nieosłabiając wroga nawet tyle, ile to możemy zrobić bez żadnego wysiłku. Włosi niegdyś wyrzekli się palenia tytoniu, aby nie dawać rakuskiemu mocarstwu dochodów; jak by się na podobny projekt oburzył nasz utylitaryzm! To téż Włochy święciły już jubileusz spełnienia swych marzeń! W danym zresztą wypadku względy czysto osobistéj natury powinny powstrzymać naszych kuracyuszów i wojażerów od wybierania sobie na miejsce letniéj rezydencyi kąpieli niemieckich. Jeżeli nawet policyja pruska okaże im tyle łaski, że nie wyrzuci podczas sezonu, to w każdym razie możność takiego wypadku wisieć będzie po nad głowami, jak miecz nad Damoklesem. Wypadki rozkazów wyjazdu, które stosowano do ludzi, udających się po najzwyklejsze sprawunki, a które codziennie niemal podają gazety, mogą aż nadto przekonać, iż władze pruskie żadnéj ceremonii z nikim robić sobie nie będą. Co więcéj, panu K. Woźniakowskiemu z wieluńskiego nie pozwolono na pobyt we Wrocławiu, gdzie powiózł chorą żonę jedynie dla dokonania operacyi. Sądzimy, że na większe względy nasi kuracyusze letni u wód niemieckich liczyć nie mogą. Jakiś czas zarządy kąpielowe i nawet rady miejskie starały się w opinii tutejszéj wyrobić przekonanie, że

żadne niebezpieczeństwo nie grozi gościom, przyjeżdżającym na kuracyą, ale władze same odebrały wszelką wartość podobnym zapewnieniom, gdyż *Ostpreussische Zeitung*, organ naczelnego prezesa Prus wschodnich, świeżo oświadczył, iż rząd żadnych wyjątków ani uwzględnień robić nie myśli.

Ruchem wycieczek letnich kierują w znacznéj części lekarze, na nich téż głównie spadłaby odpowiedzialność, gdyby w kuracyjnych znakładach niemieckich zależli się w tym roku polacy. *Medycyna* w 20 numerze podnosi tę kwestyą i tak mówi: „Z przyczyny zbliżającéj się pory wyjazdu do wód i kąpieli mineralnych nie od rzeczy będzie zwrócić uwagę kolegów na to, iż przy ordynowaniu takiéj kuracyi, należy o ile możności unikać wysyłania pacyentów do zdrojowisk pruskich (1). Ważny powód skłaniać nas do tego powinien; mianowicie, że tam pacyenci nasi narażeni być mogą na przerwę kuracyi, gdyż zatrzymanie w danéj miejscowości Polaków lub ich wydalenie zależy od fantazyi miejscowéj władzy“... „Wody mineralne w obrębie Prus położone nie są takie, iżby się innemi zastąpić nie dały. Wszak mamy liczne zdrojowiska, kąpiele i stacye klimatyczne w Galicyi, Austryi, w Belgii, we Francyi etc., w których wszystkie postacie chorób chronicznych leczyć możemy, że nie wspominamy już o naszym Ciechocinku, Nałęczowie, Busku, Sławinku, Solcu, Sławucie, Szepietówce, Ojcowie, Druskienikach etc. Tam należy zwracać kroki naszych pacyentów, a nie do kraju, w którym nienawiść i zaciekłość ku nam zaślepienie do ostateczności doprowadza i nakłania do sposobu postępowania z nami, który w krajach grubą pomroką barbarzyństwa okrytych byłby tylko możliwym.“

Było by bardzo smutnym objawem, gdyby medycy nasi nie okazali w tym wypadku dostatecznéj energii i dobrych chęci. Wtedy niewiadomo byłoby doprawdy, na kogo liczyć można. Ze wszystkich grup miejskiéj inteligencyi lekarze dawali zawsze najwięcéj może dowodów uczuć obywatelskich, wewnętrznéj spójności i taktu. Prawnicy ustępują im pod tym względem znacznie. Weźmy naprzykład literaturę lekarską, ma ona kilka wydawnictw peryodycznych, od czasu do czasu zjawiają się książki poważne treścią i znaczne rozmiarami, a wszystko utrzymuje się, rozwija siłami i środkami samych medyków. Tymczasem *Biblioteka umiejętności prawnych* posiada zaledwie 116 prenumeratorów i wydawaną jest kosztem protektora, który kończył wprawdzie wydział prawny, lecz z fachu jurystą nie jest. Prócz tego z prac, zamieszczanych w tém piśmie, widać, jak

(1) Nam się wydaje, że przestrogę Medycyny zastosować należy do wszystkich miejsc leczniczych, w obrębie całego cesarstwa niemieckiego położonych.

mały biorą miejscowi urzędnicy sądowi i palestra udział w naukowym ruchu swéj specyalności. Pisują głównie profesorzy uniwersytetu i prawnicy galicyjscy, dopiero w roku zeszłym zjawiły się dwie prace adwokatów tutejszych z prawa administracyjnego i ekonomii politycznéj. W piśmie jest dział Miscelaneów, który powinni by zasilać obficie praktykujący prawnicy; tymczasem tak się wcale nie dzieje. Nawet stosunkowo nieliczni i teoretycznie mniéj wykwalifikowani farmaceuci mają swoje *Wiadomości Farmaceutyczne*, które wydają sami, nie uciekając się do nikogo o pomoc. *Gazeta sądowa* tymczasem brała w roku zeszłym tysiącorublowy zasiłek z kasy Mianowskiego. Czy nie jest to wstydem dla prawników, że, licząc w swym ciele tylu ludzi zamożnych, że należąc do czoła inteligencyi, dopuścili, iż pismo, poświęcone wyłącznie ich potrzebom, zwracać się musiało do biednego ogółu o jałmużnę. Gazeta Sądowa posiada zaledwie 500 abonentów. W jednym z miast gubernialnych praktykuje 18 adwokatów i niema tam ani jednego prenumeratora.

Widocznie zainteresowanie się rzeczami prawnemi jest żadne. W początkach roku 1877 Akademia Umiejętności ogłosiła za pośrednictwem Gazety Sądowéj kwestyonaryusz do zbierania danych o prawie zwyczajowém w Polsce. W roku 1883 *Gazeta* zamieściła znowu korespondencyą p. Henryka Konitza, w któréj ten zachęca do zbierania pewnéj kategoryi materyałów, wskazanych przez kwestyonaryusz. Redakcya pomieściła od siebie dopisek, iż sama zwracała się niejednokrotnie do osób kompetentych z prośbą o odpowiednie dane. Jednakże Gazeta Sądowa dotychczas materyałów takich albo nie drukowała wcale, albo bardzo mało. Kilka razy rzucane były myśli podjęcia zbiorowemi siłami innych także prac, wymagających wspólnych starań a jakoś nie widzimy, aby coś z tego doszło do skutku.

W najświeższych czasach czterech adwokatów warszawskich ułożyło kwestyonaryusz, zawierający pytania co do stosunku obrońców między sobą i z publicznością, co do obowiązków fachowych i ogólno-ludzkich itd. Kwestyonaryusz ten nie został dobrze przyjęty przez kolegów. A jednak była to myśl bądź co bądź i poważna i obywatelska. Jeżeli jakaś klasa ludzi, posiadająca swe odrębne interesy, związana wspólnością pracy, pragnie mieć jakąś siłę wewnętrzną, chce wytworzyć opinią, która by podnosiła i utrzymywała jéj członków na pewnym poziomie moralnym, to koniecznie potrzebuje wyrobić sobie zasady postępowania, omówione dokładnie, zrozumiane i przyjęte przez ogół. Roztrząsanie pytań, zawartych w kwestyonaryuszu, bez najmniejszéj kwestyi rozjaśnić może wiele wątpliwości, poruszyć wiele ważnych punktów i przyczynić się do ugruntowania w opinii podstaw etyki adwokackiéj. Chociażby więc można

było zarzucić coś wykonaniu dobréj téj myśli, to należało jednak poprzeć życzliwie pierwszą próbę.

Niejednokrotnie już podnosiły się głosy, zarzucające prawnikom pewną bezwładność, zasklepianie się w sferze zajęć osobistych niejako. Jeden z adwokatów przysięgłych w 1881 czy 1882 r. zbijał takie oskarżenie w „Wieku“, dowodząc, iż adwokaci tak są obarczeni pracą zawodową, tyle muszą okazywać pomocy wdowom i sierotom, że czasu niemają na jakąś literacką działalność. P. F. Flamm znowu w dziele *O wekslach i czekach* tłómaczy, iż różnorodność ustaw obowiązujących u nas, a układanych w różnych językach, wymaga wielkiéj pracy od prawników, jako to: studyów lingwistycznych, i nie pozwala im robić nic innego. Podobne racye wskazywał również p. Niemirowski w Jednodniówce na pogorzelców. Naturalnie takie tolerowanie i uprawnianie opieszałości, przez kolegów samych nie mogło przynieść dobrych owoców.

Tak było dotąd, zdaje się jednak, że nastąpił jakiś szczęśliwy zwrot w usposobieniach i chęciach prawników. Zakrzątnęli się energicznie około uorganizowania *kasy pomocy dla adwokatów*, powierzając jéj zarząd w ręce, zasługujące na najzupełniejsze zaufanie. Z drugiéj znowu strony znaczna ilość prawników postanowiła wziąć w swoje ręce Gazetę Sądową, podnieść jéj wartość i zapewnić byt. Są to bardzo pocieszające objawy, które niewątpliwie przyniosą niemałe korzyści ogółowi.

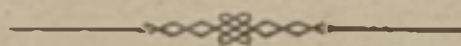
Ludwik Straszewicz.

NEKROLOGIA.

† **Łucya z Giedrojciów Rautenstrauchowa,** rówieśniczka Klementyny Tańskiéj, urodzona r. 1798, wychowana wśród wrzawy wojennéj w Paryżu, mając umysł bystry i wyobraźnię ruchliwą, wcześnie zabrała się do pióra, gdy widziała, że i ks. Wirtemberska i Tańska z takiém powodzeniem na widownię literacką wystąpiły. Zawiodła się jednakże w początku: siły jéj były za słabe, ażeby zdobyć się na dzieło, któreby uwagę powszechną zwróciło. Pierwsze jéj powieści od r. 1821—1831 („Emmelina i Arnolf“, „Ragana“, „Przeznaczenie“) zaliczono i słusznie do prób bardzo słabych, nieodpowiadających wymaganiom, jakie już wówczas względem tego rodzaju utworów stawiano. Zrozumiała to autorka, która w tym czasie, roku 1822 wyszła za jen. Rautenstraucha, że zdolności jéj nie nadają się do po-

wieściopisarstwa i dlatego w drugiéj fazie działalności swojéj po roku 1831 zwróciła się ku opisywaniu przedmiotów, które widziała, i przedstawianiu poglądów i tendencyi, które poznała. W tym nowym kierunku pierwszą jéj pracą były „Wspomnienia moje o Francyi“ wydane w Krakowie 1839, z których wyjątki poprzednio już drukowała Tańska w nowéj seryi „Rozrywek dla młodzieży“ wydawanéj w Paryżu. Potém nastąpiła „Druga podróż do Francyi“ (Lipsk 1841), a następnie zbiór szkiców podróżniczych p. n. „Miasta, góry i doliny“ (5 tomów, Poznań, 1844 r.), wreszcie „W Alpach i za Alpami“ (3 tomy, Warszawa, 1847). Od tego czasu zamilkła Rautenstrauchowa, gdyż tylko w r. 1853 dała część przekładu Korynny, a 1883 opowiadanie o siostrze swojéj Białopiotrowiczowéj. Żyła w zaciszu, wiele dobrego świadcząc ubogim. Umarła 2-go maja r. b. w Puławach w ustroniu nazwanym przez nią Cienistą. Był-to jeden z dzielniejszych umysłów niewieścich, który jednakże zabłysnął jak meteor i do pracy ciągłéj zdolnym nie był.

† **Teofil Matecki** urodzony w Wielkopolsce w r. 1810, odbywszy kampanię w 1831 i ukończywszy wydział lekarski w Berlinie, osiadł w Poznaniu i należał do tego szlachetnego i rozumnego grona obywateli, jak Marcinkowski i Libelt, które starało się podtrzymać i rozwijać siły życia narodowego w w. ks. Poznańskiém. Kiedy w jesieni r. 1841 rozpoczął się w Poznaniu szereg odczytów, mających zastąpić brak wykładów uniwersyteckich, Matecki wystąpił z prelekcyami „o fizyce i chemii.“ W r. 1848 ogłosił „Poradnik dla młodych matek“; w r. 1855 wydał rzecz o „Słownictwie chemiczném polskiém.“ Gdy zawiązane zostało w Poznaniu Towarzystwo Przyjaciół Nauk, był Matecki jednym z najgorliwszych jego członków, a potém jego wiceprezesem. Wtedy wydał następne pisma: w roku 1860: „Domowa apteczka“, w r. 1865: „Operacya fistuł pochwo-pęcherzowych“; w 1867: „Rady i nauki starego lekarza dla nielekarzy“; w r. 1872 próbę „Słownika lekarskiego“ (od A do Aedoea). Oprócz czynnego udziału we wszystkich ważnych instytucyach miejscowych. wspomnieć należy jego zasługi obywatelskie jako założyciela i organizatora wielu szpitali, oraz danie inicyatywy do wzniesienia Mickiewiczowi pomnika obok kościoła św. Marcina w Poznaniu. Przed dwoma laty utracił żonę i usunął się od życia gwarnego. Umarł w Poznaniu 11 maja r. b. Cześć jego pamięci!



KORESPONDENCYA DO REDAKCYI.

W „Bibliotece Warszawskiéj“ (w zeszytach z Lipca, Września, Października i Listopada r. 1885) wyszła moja rozprawa pod tytułem: „Pojęcie przyczynowości w Systemie Logiki dedukcyjnéj i indukcyjnéj J. St. Milla.“ Rozprawa ta uległa ze strony Redakcyi „Biblioteki Warszawskiéj“ najrozmaitszym przeróbkom, które zmieniły ją zupełnie tak pod względem treści, przez podsuwanie mi myśli obcych i przez wypaczenie moich własnych, jak téż i pod względem formy, przez dodawanie słów zbyteczych, opuszczanie potrzebnych, albo wreszcie przez używanie słów zupełnie innych. Wskutek tego muszę zastrzedz się przed odpowiedzialnością w obec krytyki za tę mieszaninę moich własnych myśli i przeróbek Redakcyi „Biblioteki Warszawskiéj“ (dokonanych w liczbie około 250-ciu, np. w zesz. Lipcowym na str. 13 dwukrotnie, 15 dwukrotnie, 16, 18, 19; w zesz. Listopadowym na str. 225, 229, 231, 278, 279, 280 i t. d.).

Dr. Aleksander Raciborski,
docent filozofii uniwersytetu Lwowskiego.

Paryż 12 Maja 1886.

Wydawca, **W. Spasowicz.** — Redaktor, **Piotr Chmielowski,**

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w ciągu m. Kwietnia i Maja 1886 r.

---

1. **Kosmografija.** Napisał *Jan Jędrzejewicz* (Biblioteka matematyczno-fizyczna, wydawana staraniem M. A. Baranieckiego i A. Czajewicza, z zapomogi Kasy pomocy imienia Józefa Mianowskiego. Seryja III. tom IX). Warsz. 1886, 8-o. str. XLVII i 400 (z licznemi rysunkami); cena rsr. 3 k. 80.
2. **Postęp, szczęście i przewroty społeczne.** Chłodne uwagi o palących kwestyach, napisał *Władysław Michał Dębicki.* Wyd. 2-e uzupełnione. Warsz., nakł. księg. Wojciecha Cithurusa, 1886. 8-o. str. 84; cena rs. 1.
3. **Elektromagnetyczna teorya światła James'a Clerk'a Maxwell'a.** Wykład popularny przez *H. Merczynga,* (odbitka z „Kosmosu“). Lwów, 1886. 8-o. str. 17.
4. **W sprawie składów zbożowych i warrantów.** Przemówienie *dr. Włodzimierza Kozłowskiego* na zgromadzeniu galicyjskiego Towarzystwa gospodarskiego, dnia 5 Marca 1886 roku (odbitka z „Rolnika“). Lwów. 8 o, str. 15.
5. **Oddział Warszawski Towarzystwa popierania przemysłu i handlu.** Sekcya II: Sprawozdania meteorologiczne za miesiąc Luty 1886 r. (Warsz. 4-to. str. 16).
6. **Nieznane polskie i łacińskie wiersze politycznej treści** 1548—1551 wydał *Józef Korzeniowski.* Krak. 1886, 8-o, str. 36.
7. **Motory gazowe.** Zarys ustroju kilku ważniejszych typów (w szczególności maszyny systemu Otto), oraz teoryi ich działania. (Szkic z zakresu fizyki przemysłowej). Napisał *H. Merczyng,* kand nauk fiz.-matem., inżynier komunikacyj. Warsz., 1886, 8-o. str. 27 z tablicą rysunków.
8. **Stosunki polskie po śmierci Leszka Białego w 1228 roku.** Napisał *Kazimierz Szkaradek.* Krak. 1886, 8-o, str. 95.
9. **O wartości pożywnej chleba wobec nowoczesnej techniki piekarskiej.** (Materyjały i wskazówki dla hygienistów i techników przemysłu piekarskiego). Napisał *M. Heilpern.* Warsz. 1886, 8-o. str. 218 i 2 tablic rysunków.
10. **O zarazie moralnej.** Studyum psychologiczno-społeczne przez *J. Wł. Dawida.* Warsz. nakł. księg. A. Gruszeckiego, 1886, 8 o, str. 224.
11. **Sprawozdanie** czwarte z czynności komitetu zarządającego Kasą pomocy dla osób pracujących na polu naukowem imienia D-ra Medycyny Józefa Mianowskiego. Za rok 1885.—Warsz. 1886, 8-o. str. 80.
12. **Encyklopedya techniczna.** Podręcznik praktyczny technologii chemicznej w zastosowaniu do przemysłu, rękodzieł, rzemiosł, sztuk, rolnictwa i gospodarstwa domowego, opracowana podług najnowszych źródeł pod redakcyją *D-ra Aleksandra M. Weinberga.* Warsz. 1886, 8-o, zesz. II, od str. 81—160 (z drzewor.)

Дозволено Цензурою, Варшава 21 Мая 1886 г.